TOP SECRET



GEORGE ORWELL

ROK 1984

Część pierwsza

1

Był jasny, zimny dzień kwietniowy i zegary biły trzynastą. Winston Smith, z głową wtuloną w ramiona dla osłony przed tnącym wiatrem, wślizgnął się przez szklane drzwi do Bloku Zwycięstwa, ale nie dość szybko, by powstrzymać tuman ziarnistego pyłu, który wtargnął za nim do środka.

Klatka schodowa cuchnęła gotowaną kapustą i starymi, butwiejącymi wycieraczkami. Na jednym jej końcu wisiał barwny plakat, zbyt wielki do eksponowania w ciasnym wnętrzu. Przedstawiał tylko ogromną twarz, przeszło metrowej szerokości: przystojną, czerstwą twarz mniej więcej czterdziestopięcioletniego mężczyzny z sutym czarnym wąsem. Winston skierował się w stronę schodów. Sprawdzanie, czy winda działa, nie miało żadnego sensu. Nawet w najlepszych okresach rzadko bywała czynna, obecnie zaś, w ramach oszczędności związanych z przygotowaniami do Tygodnia Nienawiści, nie włączano prądu przed zmrokiem. Winston mieszkał na siódmym piętrze, a ponieważ miał już trzydzieści dziewięć lat i owrzodzenia żylakowe na prawej nodze powyżej kostki, wspinał się wolno, kilka razy odpoczywając po drodze. Na każdym piętrze, na wprost drzwi windy, spoglądał ze ściany plakat z ogromną twarzą. Była tak namalowana, że oczy mężczyzny zdawały się śledzić każdy ruch przechodzącego. WIELKI BRAT PATRZY, głosił napis u dołu plakatu.

W mieszkaniu przejęty głos czytał kolumny cyfr dotyczące wytopu surówki. Wydobywał się z podłużnej metalowej płyty przypominającej matowe lustro, wmontowanej w ścianę po prawej. Winston obrócił pokrętło i głos nieco przycichł, lecz mimo to każde słowo dobiegało wyraźnie. Urządzenie (nazywane teleekranem) można było ściszyć, ale nie wyłączyć. Winston podszedł do okna: drobna, mizerna postać, której chudość podkreślał jeszcze granatowy kombinezon, ubiór członka Partii. Mężczyzna miał bardzo jasne włosy, cerę z natury rumianą, a skórę szorstką od chropowatego mydła, tępych żyletek i niedawnych mrozów.

Świat na zewnątrz, nawet oglądany przez zamknięte okno, tchnął chłodem. W dole, na ulicy, podmuchy wiatru wprawiały w wir kurz i skrawki papieru, a choć świeciło słońce, niebo miało barwę stali; wszystko było jakby pozbawione koloru -z wyjątkiem porozlepianych wszędzie dookoła plakatów. Wąsata twarz patrzyła z każdej lepiej wyeksponowanej powierzchni. Jeden plakat wisiał na fasadzie domu dokładnie naprzeciwko. WIELKI BRAT PATRZY, głosił napis, a ciemne oczy wwiercały się w oczy Winstona. Niżej, na poziomie ulicy, inny plakat, z naderwanym rogiem, trzepotał bezładnie na wietrze, to odkrywając, to zasłaniając pojedyncze słowo ANGSOC. W oddali helikopter zniżył się pomiędzy dachy, zawisł na moment niczym mucha mięsna, po czym poderwał się i odleciał, zataczając łuk. Był to patrol policji, szpiegujący mieszkańców przez okna. Ale zwykła policja to pestka. Prawdziwą grozą napawała Policja Myśli.

Za plecami Winstona głos płynący z teleekranu wciąż trajkotał o wytopie surówki i przekroczeniu Dziewiątego Planu Trzyletniego. Teleekran służył równocześnie za odbiornik i nadajnik, dostatecznie czuły, żeby wychwycić każdy dźwięk głośniejszy od zniżonego szeptu; co więcej, jak długo Winston pozostawał w zasięgu metalowej płyty, był nie tylko słyszalny, lecz także widoczny. Nikt oczywiście nie wiedział, czy w danym momencie jest obserwowany. Snuto jedynie domysły, jak często i według jakich zasad Policja Myśli prowadzi inwigilację. Nie sposób też było wykluczyć, że przez cały czas nadzoruje wszystkich. Tak czy inaczej, mogła się włączyć w dowolny kanał, kiedy tylko chciała. Pozostawało, więc żyć z założeniem - i żyło się, z nawyku,

który przeszedł w odruch - iż każde słowo jest podsłuchiwane, a każdy ruch pilnie śledzony, chyba że w pomieszczeniu panuje akurat mrok.

Winston stał tyłem do teleekranu. Tak było bezpieczniej, choć - jak wiedział - z pleców też można wiele wyczytać. Kilometr dalej potężny biały gmach Ministerstwa Prawdy, jego miejsce pracy, górował nad ponurym krajobrazem. I to jest Londyn, pomyślał z niejasną odrazą, główne miasto Pasa Startowego Jeden, trzeciej pod względem zaludnienia prowincji Oceanii. Usiłował wydobyć z pamięci jakieś wspomnienia z dzieciństwa, żeby się przekonać, czy Londyn zawsze wyglądał tak samo. Czy zawsze widziało się tu tylko rzędy sypiących się dziewiętnastowiecznych czynszówek o ścianach podpartych stemplami, oknach pozatykanych kawałkami dykty, dachach łatanych blachą falistą oraz rachityczne, walące się murki między ogródkami? I te porośnięte wierzbówką gruzy zbombardowanych domów, nad którymi unoszą się tumany białego pyłu, lub tereny doszczętnie zniszczone przez bomby, gdzie zaraz wyrosły kolonie nędznych drewnianych chat, istnych kurników? Wysiłki Winstona były jednak daremne, nie potrafił sobie nic przypomnieć; z dzieciństwa pozostała mu w pamięci tylko seria świetlistych obrazów, pozbawionych tła i sensu.

Gmach Ministerstwa Prawdy - w nowomowie *(Nowomowa stanowiła urzędowy język Oceanii. Opis jego budowy i etymologii zawarty jest w Aneksie.) Miniprawd -odbijał zdecydowanie od wszystkich innych budowli w okolicy. Była to ogromna piramida z lśniącego białego betonu, pnąca się tarasami w górę na wysokość trzystu metrów. Z okna swojego mieszkania Winston widział wyraźnie trzy hasła Partii, wymalowane starannie na białej fasadzie:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
IGNORANCJA TO SIŁA

Mówiono, że gmach Ministerstwa Prawdy ma trzy tysiące pomieszczeń nad ziemią i tyleż samo pod ziemią. W Londynie istniały jeszcze tylko trzy budynki o podobnych rozmiarach i zbliżonym wyglądzie. Tak górowały nad resztą miasta, że z dachu Bloku Zwycięstwa dostrzegało się je wszystkie równocześnie. Mieściły cztery ministerstwa, składające się na aparat rządowy: Ministerstwo Prawdy, któremu podlegała prasa, rozrywka, oświata i sztuka, Ministerstwo Pokoju, które zajmowało się prowadzeniem wojny, Ministerstwo Miłości, które pilnowało ładu i porządku, wreszcie Ministerstwo Obfitości, sprawujące pieczę nad gospodarką. Ich nazwy, w nowomowie, brzmiały następująco: Miniprawd, Minipax, Minimiło i Miniobfi.
Największą grozę budziło Ministerstwo Miłości. Gmach ten w ogóle nie miał okien. Winston nigdy nie był ani w środku gmachu, ani też bliżej niż pół kilometra od niego. Na teren ministerstwa wpuszczano jedynie w sprawach służbowych, lecz nawet wówczas interesant musiał pokonywać labirynt zasieków, stalowych bram i ukrytych stanowisk karabinów maszynowych. Także ulice w pobliżu patrolowali gorylowaci strażnicy w czarnych mundurach, uzbrojeni w rozsuwane pałki.

Winston odwrócił się gwałtownie. Wcześniej przybrał wyraz spokojnego optymizmu, jaki najbezpieczniej było przyjąć, stojąc przodem do teleekranu. Przemierzył pokój i wszedł do maleńkiej kuchni. Chcąc wrócić do mieszkania w czasie przerwy obiadowej, zrezygnował z posiłku w stołówce ministerstwa, chociaż wiedział, iż w domu nie ma nic do jedzenia oprócz kawałka ciemnego chleba, który musi sobie zostawić na jutrzejsze śniadanie. Zdjął z półki butelkę bezbarwnego płynu ze zwykłą białą etykietą opatrzoną napisem DŻIN ZWYCIĘSTWA. Trunek wydzielał mdłą, oleistą woń, niczym chińska wódka pędzona z ryżu. Winston nalał sobie prawie pełną filiżankę i pokonując wstręt, opróżnił ją jednym haustem, jakby pił lekarstwo.

Twarz natychmiast mu spurpurowiała, oczy zaszły łzami. Dżin miał smak kwasu azotowego, a w dodatku człowiek po każdym łyku czuł się tak, jakby dostał w łeb gumową pałką. Jednakże w następnej chwili palenie w żołądku nieco zelżało i świat wydał się Winstonowi

weselszy. Wydobył papierosa z pomiętej paczki z napisem PAPIEROSY ZWYCIĘSTWA i niebacznie uniósł go pionowo, co sprawiło, że cały tytoń wysypał się na podłogę. Z następnym poszło mu lepiej. Wrócił do pokoju i usiadł przy stoliku na lewo od teleekranu. Wyjął z szuflady obsadkę, butelkę atramentu oraz czysty gruby zeszyt o marmurkowej okładce i czerwonym grzbiecie.

Z niewiadomego powodu teleekran znajdował się w dziwnym miejscu. Zamiast, jak w innych mieszkaniach, tkwić na ścianie bocznej, skąd roztaczał się widok na cały pokój, wmontowany był pośrodku najdłuższej ściany, dokładnie na wprost okna. Po jednej jego stronie mieściła się płytka wnęka, w której teraz siedział Winston, a którą - gdy budowano blok - przeznaczono zapewne na regał z książkami. Siedząc we wnęce, cofnięty jak najgłębiej, Winston znajdował się poza polem widzenia teleekranu. Wciąż, oczywiście, było go słychać, lecz dopóki się nie podnosił, pozostawał niewidoczny. W pewnej mierze to ten niezwykły układ pokoju podsunął mu pomysł, do którego realizacji właśnie się zabierał.

Głównie jednak podsunął mu go zeszyt wyjęty przed chwilą z szuflady. Był to wyjątkowo piękny zeszyt, choć, o kartkach nieco pożółkłych ze starości. Takiego gładkiego, kremowego papieru nie produkowano od ponad czterdziestu lat. Winston podejrzewał nawet, że zeszyt jest znacznie starszy. Dostrzegł go na wystawie ubogiego sklepiku z rupieciami w jednej z bardziej obskurnych dzielnic miasta (gdzie dokładnie, już teraz nie pamiętał) i natychmiast zapragnął go mieć. Członkowie Partii nie powinni zaopatrywać się w zwykłych sklepach (czyli „dokonywać transakcji wolnorynkowych"), lecz rozporządzenia tego nie przestrzegano zbyt surowo, gdyż wielu artykułów, takich jak sznurowadła i żyletki, nie sposób było zdobyć w żaden inny sposób, Rozejrzał się szybko po ulicy, a następnie wślizgnął do sklepiku i kupił zeszyt za dwa i pół dolara, nawet nie zastanawiając się po co. Niosąc go w teczce do domu, czuł się jak winowajca. Samo posiadanie czystego zeszytu mogło bowiem budzić podejrzenia.

Teraz zabierał się do pisania pamiętnika. Nie było to zakazane (nic nie było zakazane, gdyż wszelkie prawa dawno już zniesiono), ale nie wątpił, że jeśli go nakryją, dostanie karę śmierci lub przynajmniej dwadzieścia pięć lat ciężkich robót. Włożył do obsadki stalówkę i possał przez chwilę, żeby ją oczyścić. Pióra, archaicznego narzędzia, rzadko używano nawet do składania podpisów, ale zdobył je - potajemnie i z pewnym trudem - ponieważ uznał, że piękny kremowy papier zasługuje na coś lepszego niż drapanie kopiowym ołówkiem. Prawdę mówiąc, nie nawykł do ręcznego pisania. Poza krótkimi notatkami na ogół dyktowało się wszystko do mowopisu; teraz jednak Winston z oczywistych względów nie mógł wykorzystać tego urządzenia do swoich celów. Zanurzył stalówkę w atramencie i zawahał się. Poczuł skurcz kiszek. Skreślenie pierwszego słowa to decydujący krok. Drobnymi, niezgrabnymi literami napisał:

4 kwietnia 1984

Odchylił się do tyłu. Ogarnęło go poczucie totalnej bezradności. Wcale nie był przekonany, czy rzeczywiście jest rok 1984. Wydawało mu się to całkiem prawdopodobne, gdyż raczej nie wątpił, że ma trzydzieści dziewięć lat, a wiedział, że urodził się albo w 1944, albo w 1945; jednakże w obecnych czasach nie dało się określić żadnej daty z większą dokładnością niż do roku lub dwóch.

Dla kogo, zaczął się nagle zastanawiać, piszę ten pamiętnik? Dla przyszłości, dla jeszcze nienarodzonych pokoleń. Jego myśli wirowały przez moment wokół niepewnej daty zapisanej na kartce, aż naraz wyłoniło się spośród nich jedno z ulubionych pojęć nowomowy: *dwójmyślenie.* Po raz pierwszy pojął ogrom swojego przedsięwzięcia. Jak można porozumieć się z przyszłością? Jest to z natury rzeczy niemożliwe. Albo przyszłość okaże się podobna do teraźniejszości, a wówczas nie zechce go słuchać; albo okaże się całkiem inna, a wtedy Jego problemy będą dla niej zupełnie niezrozumiałe.

Przez pewien czas wpatrywał się tępo w otwarty zeszyt. Z teleekranu rozbrzmiewały teraz przenikliwe tony marsza wojskowego. Najdziwniejsze było to, że nie tylko utracił zdolność formowania myśli, lecz wręcz zapomniał, co zamierzał napisać. Przez długie tygodnie szykował się do tej chwili i nigdy mu nie przyszło do głowy, że będzie potrzebował czegokolwiek poza odwagą. Samo pisanie wydawało się łatwe. Miał jedynie przelać na papier nieprzerwany, gorączkowy monolog, który brzęczał mu w głowie od wielu lat. Ale teraz ucichł zupełnie. W dodatku skóra na nodze wokół owrzodzeń zaczęła Winstona nieznośnie swędzić. Bał się podrapać, bo wówczas zawsze wdawała się infekcja. Mijały sekundy. Nie był świadom niczego oprócz pustej kartki, swędzenia nad kostką, grzmotu muzyki i lekkiego rauszu wywołanego dżinem.

Nagle, ogarnięty panicznym strachem, zaczął pisać, tylko częściowo zdając sobie sprawę z tego, co notuje. Nierówne wiersze, kreślone drobnym, dziecinnym pismem, zapełniały stronę, gubiąc najpierw duże litery, a w końcu i znaki przestankowe.

4 kwietnia 1984. Wczoraj wieczorem byłem w kinie. Same kroniki wojenne. Jedna znakomita, pokazywała bombardowanie statku z uchodźcami gdzieś na Morzu Śródziemnym. Widownię ubawiły najbardziej ujęcia olbrzymiego tłuściocha uciekającego wpław przed helikopterem, najpierw pokazywano go, jak pluszcze się w wodzie niczym morświn, potem przez celowniki helikoptera, a potem podziurawionego jak sito, woda wokół niego zaczerwieniła się i nagle zaczął iść na dno, jakby przez te dziury woda wlewała mu się do środka, widownia wyła ze śmiechu, kiedy tonął, potem pokazano łódź ratunkową z dziećmi, nad którą zawisł helikopter, na dziobie siedziała kobieta w średnim wieku, chyba żydówka, trzymając w ramionach chłopczyka, może trzyletniego, wył z przerażenia i chował głowę między jej piersi, jakby chciał się tam skryć niczym zwierzę w norze, a ona, ta kobieta, tuliła go i uspokajała, choć sama była zielona ze strachu, cały czas zasłaniając go rękoma, jakby mogła ochronić przed kulami, potem helikopter zrzucił na nich 20 kilową bombę niesamowity błysk i łódź rozpadła się w drzazgi, potem było świetne ujęcie dziecięcej rączki wylatującej w górę hen hen w górę helikopter z kamerą na dziobie musiał to filmować z rzędów dla partyjnych posypały się rzęsiste oklaski ale w części dla proli jakaś kobieta zaczęta się nagle awanturować i wydzierać że nie powinni tego pokazywać nie przy dzieciach że tak nie można nie przy dzieciach nie wolno aż w końcu policjanci musieli ją wyrzucić z sali wyrzucili ale pewnie nic jej się nie stanie nikogo nie obchodzi co gadają prole typowa reakcja prolki tacy nigdy...

Winston przerwał pisanie, bo chwycił go skurcz w dłoni. Nie miał pojęcia, co go skłoniło do wypisywania podobnych bzdur. Ale stało się coś dziwnego: podczas gdy relacjonował kronikę filmową, zupełnie inne wydarzenie stanęło mu w pamięci, i to tak wyraźnie, że niemal poczuł się na siłach utrwalić je również. Uświadomił sobie, że właśnie z powodu tego wydarzenia nagle zdecydował się wrócić w przerwie do domu i akurat dziś rozpocząć pisanie pamiętnika.

Do wydarzenia tego - jeśli coś tak nieuchwytnego można w ogóle nazwać wydarzeniem - doszło dziś rano w ministerstwie.

Zbliżała się jedenasta zero zero i w Departamencie Archiwów, gdzie zatrudniony był Winston, w przygotowaniu do Dwóch Minut Nienawiści wyciągnięto już krzesła z poszczególnych przegród i ustawiono na środku sali naprzeciwko wielkiego teleekranu. Winston właśnie zajmował miejsce w jednym ze środkowych rzędów, gdy na salę weszły niespodziewanie dwie osoby. Znał je z widzenia, lecz nigdy nie zamienił z nimi słowa. Pierwszą z nich była dziewczyna, którą często mijał na korytarzu. Nie miał pojęcia, jak się nazywa, ale wiedział, że pracuje w Departamencie Literatury. Prawdopodobnie - ponieważ czasem widywał ją z narzędziami i z rękoma powalanymi smarem - była mechanikiem obsługującym jedną z maszyn piszących powieści. Wyglądała na zuchwałą dziewczynę, na oko dwudziestokilkuletnią, i miała gęste, ciemne włosy, piegowatą twarz oraz szybkie ruchy sportsmenki. Wąska czerwona szarfa, emblemat Młodzieżowej i Ligi

Antyseksualnej, oplatała ją ciasno w pasie, uwypuklając kształtność sylwetki ukrytej pod kombinezonem. Winston nie cierpiał jej, nienawidził od pierwszego wejrzenia. Doskonale wiedział dlaczego: drażnił go zapał do pieszych wędrówek, hokeja na trawie, zimnych pryszniców i prawomyślność, które zdawały się z niej promieniować. Nie cierpiał wszystkich kobiet, a zwłaszcza młodych i ładnych. Z reguły właśnie kobiety, szczególnie te młode, były najbardziej fanatycznymi zwolennikami Partii, wierzącymi ślepo w budujące slogany, ochoczo szpiegującymi wszystkich dookoła i węszącymi najdrobniejsze przejawy nieortodoksyjności. Ta zaś sprawiała wrażenie bardziej niebezpiecznej od innych. Raz, kiedy mijali się na korytarzu, posłała mu z ukosa szybkie spojrzenie, które przewierciło go niemal na wylot i przejęło panicznym lękiem. Przyszło mu do głowy, że dziewczyna jest agentką Policji Myśli. Chociaż było to mało prawdopodobne, zawsze odczuwał dziwny niepokój, w którym strach mieszał się z wrogością, ilekroć znajdowała się w pobliżu.

Drugą osobą był mężczyzna nazwiskiem O'Brien, członek Wewnętrznej Partii, piastujący tak ważną i wysoką funkcję, że Winston miał jedynie mgliste pojęcie, na czym ona polega. Na widok zbliżającego się czarnego kombinezonu członka Wewnętrznej Partii wśród osób zgromadzonych przy krzesłach momentalnie zapanowała cisza. O'Brien, postawny, tęgi mężczyzna o byczym karku i pospolitej, wyrazistej, wiecznie nasrożonej twarzy, mimo swego groźnego wyglądu nie pozbawiony był pewnego uroku. Sposób, w jaki poprawiał na nosie okulary, miał w sobie coś autentycznie rozbrajającego, a zarazem niezwykle kulturalnego. Gdyby ktoś jeszcze rozumował w podobnych kategoriach, gest ten przywodziłby na myśl szlachcica z osiemnastego wieku, częstującego znajomych tabaką. Winston widział O'Briena z dziesięć razy w ciągu tyluż lat. Coś go przyciągało do niego, i to nie tylko ów dziwny kontrast między uprzejmym sposobem bycia a wyglądem zawodowego zapaśnika. Chodziło raczej o skryte przeświadczenie - nawet nie tyle przeświadczenie, ile nadzieję - że polityczna ortodoksyjność O'Briena jest daleka od doskonałości. Coś w jego twarzy sugerowało to nieodparcie. Możliwe jednak, iż na obliczu O'Briena nie malował się brak ortodoksyjności, lecz po prostu inteligencja. W każdym razie sprawiał wrażenie człowieka, z którym można by porozmawiać, gdyby udało się oszukać teleekrany i znaleźć z nim sam na sam. Winston nie uczynił nigdy najmniejszej próby, by sprawdzić swoje podejrzenia; zresztą nie miał jak. O'Brien spojrzał na zegarek i widząc, że dochodzi jedenasta zero zero, postanowił zostać w Departamencie Archiwów na Dwie Minuty Nienawiści. Zajął miejsce w tym samym rzędzie co Winston, kilka krzeseł dalej. Między nimi siedziała drobna rudawa blondynka, która pracowała w przegrodzie sąsiadującej z przegrodą Winstona. Dziewczyna o ciemnych włosach usiadła bezpośrednio za Winstonem.

W następnej sekundzie z wielkiego teleekranu z przodu sali popłynął ohydny zgryźliwy głos, przypominający warkot jakiejś potwornej nienaoliwionej maszyny, głos tak koszmarny, że słuchaczy bolały zęby i ciarki przechodziły im po grzbiecie. Zaczęła się Nienawiść.

Jak zwykle, na ekran wypłynęła twarz Emmanuela Goldsteina, Wroga Ludu. Wśród widowni rozległy się syki. Drobna rudawa blondynka wydała pisk strachu i obrzydzenia. Goldstein, renegat i odstępca, niegdyś, dawno temu (jak dawno, tego nikt dokładnie nie pamiętał) był jednym z przywódców Partii, równym niemal samemu Wielkiemu Bratu, ale później wdał się w działalność kontrrewolucyjną i został skazany na karę śmierci; w tajemniczych okolicznościach udało mu się jednak zbiec, a następnie zniknąć. Program Dwóch Minut Nienawiści zmieniał się codziennie, lecz za każdym razem koncentrował się na Goldsteinie. Był głównym zdrajcą - on pierwszy skalał czystość Partii. Wszystkie następne zbrodnie przeciwko Partii, wszystkie zdrady, sabotaże, herezje, dewiacje, wywodziły się bezpośrednio z jego nauk. Wciąż knuł coraz to nowe spiski: zza morza, gdzie żył pod ochroną swoich zagranicznych mocodawców, albo nawet - bo krążyły i takie pogłoski - z ukrycia w samej Oceanii.

Winston czuł ucisk przepony. Ilekroć widział twarz Goldsteina, targały nim sprzeczne emocje. Była to szczupła, żydowska twarz z niewielką kozią bródką, otoczona ogromną aureolą

kręconych siwych włosów - bystra twarz, lecz zarazem mająca w sobie coś, co zasługiwało na najwyższą pogardę: jakaś starcza głupkowatość cechowała długi wąski nos, na którego końcu sterczały okulary. Przywodziła na myśl pysk owcy, a głos także kojarzył się z owczym bekiem. Goldstein wygłaszał swój zwykły jadowity atak na doktryny Partii -atak tak przesadny i przewrotny, że nawet dziecko powinno się na nim poznać, jednocześnie zaś na tyle przekonujący, aby w każdym wzbudzić lęk, iż inni, mniej rozważni słuchacze, mogą dać się nabrać. Szkalował Wielkiego Brata, wyszydzał dyktaturę Partii, domagał się natychmiastowego zawarcia pokoju z Eurazją, opowiadał się za wolnością słowa i druku, prawem do zgromadzeń, wolnością myśli, krzyczał histerycznie, że zdradzono rewolucję - wszystko to w szybkiej, wielozgłoskowej mowie, swoistej parodii stylu partyjnych mówców, a nawet zawierającej zwroty z nowomowy - w rzeczy samej, zawierającej więcej takich zwrotów, niż jakikolwiek członek Partii używał na co dzień. I przez cały ten czas, żeby nikt nie miał wątpliwości, czyim interesom mają faktycznie służyć zwodnicze enuncjacje Goldsteina, za jego głową maszerowały przez ekran niezliczone kolumny eurazjatyckich wojsk - szereg za szeregiem krzepko wyglądających żołnierzy o pozbawionych wyrazu azjatyckich twarzach, które podpływały do samego ekranu i nikły, a na ich miejscu pojawiały się następne. Głuche, miarowe dudnienie żołnierskich butów tworzyło podkład dla bekliwego głosu Goldsteina.

Nienawiść nie trwała jeszcze trzydziestu sekund, gdy mimowolne okrzyki wściekłości wyrwały się z gardeł obecnych na sali. Nie sposób było znosić cierpliwie widoku zadowolonego z siebie owczego pyska i przerażającej potęgi eurazjatyckiej armii maszerującej w tle; co więcej, nie tylko jego widok, lecz nawet myśl o Goldsteinie automatycznie wywoływała lęk i gniew. Stanowił obiekt nienawiści znacznie trwalszy niż Eurazja czy Wschódazja, bo kiedy Oceania prowadziła wojnę z jednym mocarstwem, zwykle zawierała pokój z drugim. A najdziwniejsze było to, że choć darzono go taką pogardą i nienawiścią, choć codziennie po tysiąc razy - z mównic i teleekranów, w gazetach i książkach - zbijano, druzgotano, ośmieszano i demaskowano jego teorie jako żałosne brednie - wpływy Goldsteina wcale nie malały. Zawsze znajdowali się nowi naiwniacy dający się okpić. Niemal codziennie Policja Myśli demaskowała szpiegów i sabotażystów działających pod jego kierunkiem. Dowodził wielką tajną armią, podziemną organizacją spiskowców dążących za wszelką cenę do obalenia ustroju. Podobno zwała się Braterstwem. Chodziły też słuchy o strasznej księdze, kompendium wszystkich herezji, autorstwa Goldsteina, która krąży potajemnie. Była to książka bez tytułu. Jeśli ktoś w ogóle o niej wspomniał, nazywał ją po prostu Księgą. Ale wiedziano o niej tylko z niejasnych pogłosek. Zarówno Braterstwo, jak i Księga należały do tematów, których nie poruszał - jeśli mógł je ominąć - żaden szeregowy członek Partii

W drugiej minucie Nienawiści zebranych ogarnął szał. Zrywali się z krzeseł i wrzeszczeli ile sił w płucach, żeby tylko zagłuszyć ohydne beczenie płynące z ekranu. Twarz drobnej rudawej blondynki nabiegła krwią, jej usta zamykały się i otwierały niczym paszcza wyrzuconej na brzeg ryby. Nawet tłuste policzki O'Briena pokryły się rumieńcem. Członek Wewnętrznej Partii siedział wyprostowany, a jego potężna klatka piersiowa unosiła się i drżała, jakby tamował nią napór wzburzonej fali. Ciemnowłosa dziewczyna za Winstonem zaczęła krzyczeć: „Świnia! Świnia! Świnia!", po czym nagle chwyciła opasły *Słownik nowomowy* i cisnęła nim w ekran. Trafił Goldsteina w nos, ale odbił się i spadł na ziemię; głos zdrajcy perorował nieubłaganie. W chwili opamiętania Winston zdał sobie sprawę, że krzyczy wraz z innymi i z furią bębni piętami w poprzeczkę krzesła. Najgorsze w Dwóch Minutach Nienawiści było nie to, iż człowiek czuł się zmuszony do takiego zachowania, ale że nie umiał się wręcz powstrzymać od przyłączenia do zbiorowego obłędu. Już po trzydziestu sekundach udawanie stawało się zbędne. Ohydna ekstaza strachu i mściwości, pragnienie mordu, zadawania tortur, miażdżenia kilofem twarzy płynęły przez całą grupę jak prąd elektryczny, przemieniając wszystkich wbrew ich woli w toczących pianę, rozwrzeszczanych szaleńców. Ta przemożna furia była abstrakcyjnym, nie ukierunkowanym uczuciem, które z łatwością skupiało się na tym lub innym celu niby płomień lampy lutowniczej.

Zdarzało się, że nienawiść Winstona wcale nie była zwrócona przeciwko Goldsteinowi, lecz wręcz odwrotnie, przeciwko Wielkiemu Bratu, Partii i Policji Myśli; w takich chwilach całym sercem współczuł samotnemu, wyszydzanemu odszczepieńcowi na ekranie, jedynemu strażnikowi prawdy i rozsądku w świecie kłamstw. Lecz już w następnej sekundzie jednoczył się z otaczającym go tłumem i wszystko, co mówiono o Goldsteinie, traktował jak najświętszą prawdę. Jego skrywana nienawiść do Wielkiego Brata przeradzała się w uwielbienie: Wielki Brat jawił mu się jako potężny, niepokonany, nieustraszony obrońca, żelazna opoka powstrzymująca azjatyckie hordy, Goldstein zaś, mimo osamotnienia, bezradności oraz wątpliwości co do samego faktu jego istnienia, zdawał mu się złowrogim czarownikiem, zdolnym siłą głosu zburzyć fundamenty cywilizacji.

Chwilami można było świadomie zwracać własną nienawiść w tę lub w inną stronę. Nagle, z gwałtownym wysiłkiem, z jakim podczas nocnego koszmaru odrywa się głowę od poduszki, Winstonowi udało się skierować gniew z twarzy na ekranie ku ciemnowłosej dziewczynie. Żywe, wspaniałe obrazy rozbłysły w jego myślach. Okłada ją gumową pałką, aż pada martwa. Przywiązuje do pala tak jak oprawcy świętego Sebastiana i szpikuje strzałami. Gwałci ją i w chwili orgazmu podrzyna jej gardło. Znacznie jaśniej niż kiedykolwiek przedtem zdał sobie sprawę, d l a c z e g o tak bardzo jej nienawidzi. Nienawidzi jej, ponieważ jest młoda, ładna i aseksualna, ponieważ chce z nią pójść do łóżka, a nigdy nie będzie mógł, ponieważ jej rozkoszną, gibką kibić, która aż się prosi, żeby otoczyć ją ręką, opasuje obmierzła szkarłatna szarfa, agresywny symbol wstrzemięźliwości płciowej.

Nienawiść osiągnęła apogeum. Głos Goldsteina przeszedł w autentyczne beczenie i na moment zamiast jego twarzy pojawił się barani łeb, który wnet zastąpiła sylwetka eurazjatyckiego żołnierza. Zbliżał się, rosnąc w oczach, potężny i straszny, z terkoczącym pistoletem maszynowym w dłoniach, jakby zaraz miał wyskoczyć z ekranu, aż niektórzy siedzący w pierwszym rzędzie szarpnęli się ze strachu do tyłu. Lecz w tej samej chwili głębokie westchnienie ulgi wyrwało się ze wszystkich piersi, gdyż miejsce wrogiej sylwetki zajęła twarz Wielkiego Brata, o ciemnych włosach i wąsach, promieniująca potęgą i tajemniczym spokojem, tak ogromna, że wypełniła niemal cały ekran. Nikt nie słyszał, co mówi Wielki Brat. Lecz znać było po tonie, że to słowa pokrzepienia, jakie! zwykle wypowiada się w zgiełku bitwy: ich sens jest nieważny J bo przywracają otuchę przez sam fakt wypowiedzenia. Potem twarz Wielkiego Brata zaczęła znikać, a na jej miejsce pojawiły się trzy hasła Partii wypisane tłustymi wersalikami:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
IGNORANCJA TO SIŁA

Wąsate oblicze majaczyło jeszcze przez kilka sekund na ekranie, jakby tak mocno odcisnęło się w umysłach patrzących, iż nie mogli go od razu zapomnieć. Drobna rudawa blondynka wychyliła się gwałtownie ponad oparciem stojącego przed nią krzesła. Drżącym szeptem zawołała coś, co brzmiało jak: „Mój zbawco!" i wyciągnęła ręce w stronę ekranu. Następnie ukryła twarz w dłoniach. Nie ulegało wątpliwości, że przeżywa wręcz religijną ekstazę.

W tym samym momencie wszyscy zebrani *zaczęli* głośno i rytmicznie skandować: „Wu-Be!... Wu-Be!". Wu-Be!" -raz po raz, bez pośpiechu, pozostawiając wyraźną przerwę między pierwszą zgłoską a drugą - głuche zawodzenie, tak autentycznie dzikie, że w tle niemal słyszało się tupot bosych stóp i łoskot tam-tamów. Trwało to dobre pół godziny. Pieśń ta rozbrzmiewała wówczas, gdy chciano dać upust nazbyt silnym emocjom. W pewnej mierze stanowiła pean na cześć mądrości i majestatu Wielkiego Brata, ale przede wszystkim był to rodzaj autohipnozy, świadome zagłuszanie myśli rytmicznym wrzaskiem. Winston czuł, że wywracają mu się wnętrzności. Choć podczas Dwóch Minut Nienawiści nie umiał się powstrzymać od udziału w zbiorowym szaleństwie, prymitywne wycie „Wu-Be!... Wu-Be!" zawsze przejmowało go grozą.

Oczywiście krzyczał wraz z innymi; nie sposób było postąpić inaczej. Ukrywanie prawdziwych uczuć, kontrolowanie mimiki, robienie tego samego co wszyscy stało się reakcją odruchową. Ale właśnie wtedy, przez kilka sekund, wyraz oczu mógł *zdradzać* jego najskrytsze myśli. I właśnie wtedy nastąpiło to niezwykłe wydarzenie -jeśli rzeczywiście nastąpiło cokolwiek.

Na chwilę skrzyżowały się spojrzenia jego i O'Briena. O'Brien akurat wstał. Zdjął okulary i ponownie je zakładał charakterystycznym gestem. Lecz w ułamku sekundy, kiedy ich oczy się spotkały, i gdy patrzyli na siebie, Winston wiedział - tak, wiedział! - że O'Brien myśli to samo co on. Porozumieli się wzrokiem, zupełnie jakby ich umysły otworzyły się i myśli płynęły z jednego do drugiego za pośrednictwem oczu. „Jestem z tobą - zdawał się mówić O'Brien. - Wiem doskonale, co czujesz. Wiem wszystko o twojej pogardzie, nienawiści, obrzydzeniu. Ale nie trać otuchy, jestem po twojej stronie!" Potem kontakt duchowy się urwał, a twarz O'Briena stała się tak samo nieprzenikniona jak twarze pozostałych.

To wszystko, co zaszło; Winston już nie był nawet pewien, czy ta *znacząca* wymiana spojrzeń nastąpiła rzeczywiście. Takie sytuacje nigdy nie miały dalszego ciągu, ale przynajmniej podtrzymywały w nim wiarę - lub nadzieję - że Partia liczy więcej wrogów niż on jeden. Może pogłoski o potężnych tajnych spiskach są prawdziwe - może Braterstwo istnieje naprawdę! Bo mimo ciągłych aresztowań, publicznych spowiedzi i egzekucji nie sposób było wykluczyć, że Braterstwo to wyłącznie mistyfikacja. Winston czasem wierzył w jego istnienie, kiedy indziej znów nie. Nie dysponował żadnymi dowodami, swoje podejrzenia opierał na błahostkach, które mogły nic nie znaczyć, na strzępach zasłyszanych rozmów, zatartych gryzmołach na ścianach toalet, a raz - obserwując spotkanie dwóch nieznajomych - na drobnym ruchu ręki, który sprawiał wrażenie znaku rozpoznawczego. Była to jednak wyłącznie zabawa w zgadywankę; zresztą całkiem prawdopodobne, że miał po prostu zbyt bujną wyobraźnię. Wrócił do swojej przegrody, nie patrząc więcej na O'Briena. Nie przyszło mu do głowy, żeby po wymianie porozumiewawczych spojrzeń uczynić następny krok. Nawet gdyby wiedział, jak się do tego zabrać, byłoby to zbyt niebezpieczne. Przez sekundę lub dwie spoglądali na siebie znacząco, ale na tym musiało się zakończyć. Lecz w ciasnej samotności, w jakiej przyszło wszystkim wegetować, nawet tak drobny incydent był pamiętnym wydarzeniem.

Winston otrząsnął się z zadumy i wyprostował na krześle. Beknął. Wypity dżin podchodził mu do gardła.

Znów spojrzał na otwarty zeszyt. Stwierdził, że kiedy tak siedział pogrążony w bezradnych rozmyślaniach, równocześnie - jakby automatycznie - pisał. I to nie tym samym ścieśnionym, krzywym pismem co wcześniej. Pióro ślizgało się zmysłowo po gładkim papierze, kreśląc dużymi, zgrabnymi literami:

PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM

raz za razem, raz za razem, zapełniając pół strony.

Nie mógł opanować dreszczu trwogi. Absurdalna reakcja bo napisanie tych konkretnych słów nie stwarzało większego niebezpieczeństwa niż sam fakt otwarcia zeszytu; przez moment miał jednak ochotę wyrwać zapisane strony i w ogóle zrezygnować z prowadzenia pamiętnika.

Nie uczynił tego, gdyż wiedział, że to nic nie da. Nie robi różnicy, czy będzie dalej pisał PRECZ Z WIELKIM BRATEM, czy przestanie. Nie robi różnicy, czy będzie dalej prowadził pamiętnik, czy zrezygnuje. Policja Myśli i tak go dopadnie. Popełnił - i popełniłby nawet wówczas,

gdyby nie napisał ani słowa - zasadniczą zbrodnię, z której brały się wszystkie pozostałe. Myślozbrodnię. Myślozbrodni nie da się ukrywać wiecznie. Przez pewien czas, nawet przez lata, winowajca może unikać kary, ale prędzej czy później musi mu się powinąć noga.

Aresztowania następowały nocą - zawsze nocą. Nagłe wyrwanie ze snu, brutalna dłoń szarpiąca cię za ramię, oślepiający blask latarki, wokół łóżka krąg surowych twarzy. Na ogół nie było procesów, żadnych komunikatów o aresztowaniu. Ludzie po prostu znikali - zawsze nocą. Twoje nazwisko usuwano z ksiąg metrykalnych, wymazywano każdy ślad tego, co robiłeś w życiu, twoje krótkie istnienie zostawało zdementowane i zapomniane. Likwidowano cię, unicestwiano; mówiono o tobie, że zostałeś ewaporowany.

Na moment ogarnęła go histeria. Zaczął czym prędzej pokrywać kartkę niechlujnymi bazgrołami:

zastrzelą mnie co z tego strzelą mi w tył głowy co z tego precz z wielkim bratem zawsze strzelają w tył głowy co z tego precz z wielkim bratem...

Trochę zawstydzony, odchylił się do tyłu i odłożył pióro. W następnej chwili podskoczył gwałtownie na krześle. Ktoś stukał do drzwi.

Tak szybko! Siedział cicho jak mysz, w daremnej nadziei, że stukanie się nie powtórzy. Ale nie, rozległo się ponownie. Zwlekając, mógł tylko pogorszyć sytuację. Serce waliło mu jak młotem, lecz jego twarz, na skutek wieloletniego przyzwyczajenia, była pozbawiona wszelkiego wyrazu. Podniósł się i ciężkim krokiem ruszył w stronę drzwi.

2

Z dłonią na klamce spostrzegł, że zostawił na stoliku pamiętnik. Przez całą stronę biegły słowa PRECZ Z WIELKIM BRATEM, wypisane tak dużymi literami, że niemal dawały się odczytać z drugiego końca pokoju. Pozostawienie zeszytu na wierzchu było szczytem głupoty, ale - jak zdał sobie sprawę -nawet ogarnięty strachem nie chciał go zamknąć przed wyschnięciem atramentu, żeby nie poplamić kremowego papieru.

Wziął głęboki oddech i otworzył drzwi. Natychmiast zalała go fala ulgi. Na korytarzu stała bezbarwna, zahukana kobiecina o rzadkich włosach i poznaczonej bruzdami twarzy.

- A, jesteście, towarzyszu - zaczęła żałobnym, skomlącym głosem. - Zdawało mi się, że słyszę, jak wracacie. Czy moglibyście wpaść do nas obejrzeć zlew? Zatkał się i...

Była to pani Parsons, sąsiadka z tego samego piętra. (Partia nie pochwalała stosowania zwrotu „pani" - należało do każdego zwracać się per „towarzyszu" lub „towarzyszko" -ale w wypadku niektórych kobiet wyraz ten sam cisnął się na usta). Miała około trzydziestki, wyglądała jednak znacznie starzej. Odnosiło się wrażenie, że w jej zmarszczkach osiadł kurz. Winston ruszył za nią korytarzem. Konieczność dokonywania drobnych napraw stanowiła niemal codzienną bolączkę lokatorów. Blok Zwycięstwa był starym budynkiem, wzniesionym około 1930 roku, i dosłownie się sypał. Tynk odpadał z sufitów i ścian, rury pękały przy silniejszych mrozach, dach przeciekał, ilekroć padał śnieg, a kaloryfery były zwykle letnie, chyba że dla oszczędności w ogóle je wyłączano. Naprawy, jeśli nie zdołano ich wykonać we własnym zakresie, wymagały zatwierdzenia przez odległe komisje, które zwykłe wstawienie szyby potrafiły przeciągać dwa lata.

- To oczywiście dlatego, że Toma nie ma w domu - dodała pani Parsons.

Mieszkanie Parsonsów, większe niż Winstona, także wyglądało obskurnie, lecz w nieco inny sposób. Wszystko było poobijane i poniszczone, jak gdyby przed chwilą przeszło tędy jakieś ogromne zwierzę, tratując przeszkody na swej drodze. Po podłodze walał się sprzęt sportowy - kije hokejowe, rękawice bokserskie, rozpruta piłka nożna - i para przepoconych szortów wywróconych na lewą stronę, a na stole piętrzyły się brudne naczynia oraz postrzępione podręczniki szkolne. Na ścianach wisiały szkarłatne proporce Ligi Młodych i Kapusiów, oraz duży plakat Wielkiego Brata. Tutaj również unosił się w powietrzu zapach gotowanej kapusty, jednakże wymieszany z ostrzejszą wonią potu, który - nie wiadomo jak, ale czuło się to zaraz po wejściu do środka - wydzielała osoba chwilowo nieobecna w mieszkaniu. W innym pokoju ktoś usiłował akompaniować na grzebieniu, przykrytym skrawkiem papieru toaletowego, orkiestrze wojskowej; dźwięki marsza nadal płynęły z teleekranu.

- To dzieci - oznajmiła pani Parsons, rzucając wylęknione spojrzenie w stronę zamkniętych drzwi. - Przez cały dzień nie wychodziły z domu. I oczywiście...

Zwykła nie kończyć rozpoczętych zdań. Zlew kuchenny wypełniony był niemal po brzegi brudną, zielonkawą wodą, która obrzydliwie cuchnęła kapustą. Winston ukląkł, żeby obejrzeć kolanko syfonu. Nie cierpiał pracy fizycznej i nie lubił się schylać, bo prawie zawsze dostawał wtedy ataku kaszlu. Pani Parsons obserwowała go bezradnie.

- Oczywiście, gdyby Tom był w domu, naprawiłby to w mig - powiedziała. - Uwielbia takie zajęcia. Tom to złota rączka!

Parsons tak samo jak Winston pracował w Ministerstwie Prawdy. Był tłustawym, lecz pełnym wigoru mężczyzną wręcz paraliżującej głupoty, zlepkiem idiotycznych entuzjazmów, jednym z tych ślepo posłusznych i całkowicie oddanych wołów roboczych, na których - bardziej niż na Policji Myśli -opierała się stabilność Partii. Ostatnio, w wieku trzydziestu pięciu lat, został niemal siłą usunięty z Ligi Młodych, a nim przeszedł do Ligi, zdołał przedłużyć swoje członkostwo w Kapusiach o rok ponad wiek statutowy. W ministerstwie zajmował jakieś podrzędne stanowisko nie wymagające żadnej inteligencji, należał za to do najbardziej czynnych członków Komitetu Sportowego oraz innych zespołów zajmujących się organizowaniem wspólnych pieszych wycieczek, spontanicznych manifestacji, kampanii oszczędnościowych i innych dobrowolnych akcji. Między pyknięciami fajki z cichą dumą informował każdego, że przez ostatnie cztery lata nie opuścił ani jednego wieczoru w świetlicy osiedlowej. Zapierający dech odór potu, jakby podświadome świadectwo jego pracowitości, towarzyszył mu wszędzie i unosił się w powietrzu długo po jego wyjściu.

- Czy ma pani żabkę? Takie narzędzie? - spytał Winston, zbadawszy zakrętkę przy kolanku.

- Żabkę? - powtórzyła pani Parsons, natychmiast tracąc resztki wiary w siebie. - Nie wiem, nie jestem pewna. Może dzieci...

Rozległ się tupot butów, kolejny przenikliwy świst na grzebieniu i dzieci wpadły do salonu. Pani Parsons przyniosła żabkę. Winston wypuścił wodę i z obrzydzeniem wyciągnął zlepek włosów, który zatykał odpływ. Umył ręce najlepiej jak mógł w zimnej wodzie płynącej z kranu i wrócił do pokoju.

- Ręce do góry! - ryknął bezlitosny głos.

Dorodny dziewięcioletni urwis wyskoczył zza stołu, grożąc Winstonowi dziecinnym pistoletem maszynowym, podczas gdy jego o dwa lata młodsza siostrzyczka celowała w Winstona z kawałka patyka. Oboje mieli na sobie granatowe spodenki, szare bluzy i czerwone chusty - umundurowanie Kapusiów. Winston podniósł ręce nad głowę, ale zrobiło mu się nieswojo, gdyż zachowanie malców było tak zajadłe, jakby wcale nie chodziło o zabawę.

- Zdrajca! - wrzeszczał dzieciak. - Myślozbrodniarz! Eurazjatycki szpicel! Zastrzelę cię, ty łajdaku, ewaporuję, wyślę do kopalni soli!

Nagle oboje - dziewczynka naśladowała każdy gest brata -zaczęli skakać wokół niego i krzyczeć: „Zdrajca! Myślozbrodniarz!" W ich zachowaniu było coś przerażającego, tak jak w igraszkach tygrysich szczeniąt, które kiedyś wyrosną na ludojady. Z oczu chłopca biła jakaś rozmyślna zaciekłość, całkiem wyraźna chęć uderzenia lub kopnięcia Winstona i świadomość, że już wkrótce będzie dość duży, aby to uczynić. Winston czuł ulgę, iż pistolet chłopaczka jest tylko zabawką.

Pani Parsons spoglądała nerwowo to na Winstona, to na dzieci. W lepszym świetle pokoju przekonał się ze zdumieniem, że jej zmarszczki naprawdę wypełnia kurz.

- Czasami rzeczywiście bywają bardzo hałaśliwe - stwierdziła. - Są zawiedzione, że nie zobaczą wieszania, i to pewnie dlatego. Ja jestem zbyt zajęta, żeby je *zabrać, a* Tom nie zdąży wrócić na czas z pracy.

- Dlaczego nie możemy zobaczyć wieszania? - ryknął chłopiec na cały głos.

- Chcemy zobaczyć wieszanie! Chcemy zobaczyć wieszanie! - darła się mała, wciąż skacząc dookoła.

Winston przypomniał sobie, że wieczorem grupa jeńców eurazjatyckich, winnych zbrodni wojennych, ma zostać powieszona w parku. Egzekucje odbywały się zwykle raz w miesiącu i zawsze cieszyły się dużą popularnością. Zwłaszcza dzieci uważały je za wspaniałą rozrywkę. Pożegnał się z panią Parsons i wyszedł na korytarz. Ale ledwo się oddalił o kilka kroków, coś niespodziewanie trafiło go w tył głowy; uderzenie było wyjątkowo bolesne, zupełnie jakby ktoś go dźgnął rozpalonym do czerwoności drutem. Kiedy okręcił się na pięcie, ujrzał, jak pani Parsons wciąga siłą do mieszkania swoją latorośl, chowającą do kieszeni procę.

- Goldstein! - wrzasnął malec, zanim zatrzasnęły się drzwi.

Najmocniej jednak poruszył Winstona wyraz bezradnego strachu na szarej twarzy pani Parsons.

Wróciwszy do mieszkania, przeszedł szybko obok teleekranu i rozcierając kark znów usiadł przy stoliku. Muzyka umilkła. Z ekranu dobiegał teraz szczekliwy wojskowy głos: z wyraźną krwiożerczą satysfakcją czytał opis uzbrojenia nowej pływającej fortecy, którą właśnie zakotwiczono między Islandią a Wyspami Owczymi.

Z takimi dziećmi, pomyślał Winston, ta nieszczęsna kobieta musi żyć w ustawicznym strachu. Jeszcze rok lub dwa, a zaczną ją szpiegować dwadzieścia cztery godziny na dobę, wypatrując przejawów nieprawomyślności. Niemal wszystkie dzieci to potwory. Najgorsze, że choć za pośrednictwem takich organizacji jak Kapusie chowano je na małych barbarzyńców nie do okiełznania, im nawet się nie śniło, aby buntować się przeciwko władzy Partii. Wręcz przeciwnie, uwielbiały Partię i wszystko, co z nią związane. Piosenki, pochody, transparenty, wycieczki, musztra z drewnianymi karabinami, skandowanie haseł, gloryfikowanie Wielkiego Brata - dla nich równało się to wspaniałej zabawie. Całą swoją furię kierowały na zewnątrz, przeciwko wrogom Państwa, przeciwko cudzoziemcom, zdrajcom, sabotażystom, myślozbrodniarzom. Było niemal normalne, że ludzie powyżej trzydziestki bali się własnych dzieci. I nie bez powodu, bo prawie co tydzień „The Times" poświęcał akapit jakiejś wścibskiej małej gnidzie - zwykle używano określenia „małoletni bohater" - która podsłuchała coś kompromitującego i złożyła Policji Myśli donos na rodziców.

Ćmienie po pocisku z procy ustąpiło. Winston bez przekonania wziął do ręki pióro, zastanawiając się, czy przyjdzie mu jeszcze do głowy coś wartego zapisania w pamiętniku. Nagle zaczął znów rozmyślać o O'Brienie.

Przed laty -jak dawno? Chyba ze siedem lat temu - śniło mu się, że idzie przez pokój zatopiony w ciemnościach. I kiedy mijał kogoś siedzącego nieco na uboczu, ten rzekł: „Spotkamy się tam, gdzie nie ma mroku". Powiedział to bardzo cicho i jakby od niechcenia - zabrzmiało nie jak polecenie, lecz stwierdzenie faktu. Winston, nie zatrzymując się, poszedł dalej. Rzecz dziwna, wówczas, we śnie, słowa te nie zrobiły na nim większego wrażenia. Jednakże z czasem zyskały na

znaczeniu. Teraz już nie pamiętał, czy to przed tym snem, czy dopiero później po raz pierwszy ujrzał 0'Briena; nie pamiętał też, kiedy uświadomił sobie, że głos ten należał do niego. W każdym razie nie miał żadnych wątpliwości. To właśnie O'Brien przemówił w ciemnościach.

Winston nie potrafił się zdecydować i nawet po dzisiejszej wymianie spojrzeń wciąż nie był pewien - czy O'Brien jest jego przyjacielem, czy wrogiem. Nie wydawało mu się to też specjalnie istotne. Łączyła ich nić porozumienia, ważniejsza od sympatii i osobistych przekonań. Powiedział: „Spotkamy się tam, gdzie nie ma mroku". Winston nie wiedział, co oznaczają te słowa, ale był przekonany, że się kiedyś sprawdzą, w ten czy inny sposób.

Głos płynący z teleekranu umilkł. Sygnał trąbki, czysty i piękny, przeciął zatęchłe powietrze. Po czym spiker podjął chrapliwie:

- Uwaga! Uwaga! Przed chwilą otrzymaliśmy komunikat z frontu malabarskiego. Nasze siły w południowych Indiach odniosły druzgocące zwycięstwo. Zostałem upoważniony do zakomunikowania telewidzom, że ofensywa, o której przebiegu za moment poinformujemy, może przybliżyć nas do widocznego kresu działań wojennych. Oto treść komunikatu...

Zaraz podadzą jakieś złe nowiny, pomyślał Winston. I rzeczywiście; po krwawym opisie unicestwienia eurazjatyckich wojsk i odczytaniu nieprawdopodobnej liczby zabitych i jeńców, ogłoszono, że od przyszłego tygodnia przydział czekolady będzie zmniejszony z trzydziestu do dwudziestu gramów.

Winston znów czknął. Działanie dżinu mijało, pozostawiając uczucie przygnębienia. Z teleekranu - albo w celu uczczenia zwycięstwa, albo zatarcia pamięci o odebranej czekoladzie - popłynęły huraganowe tony hymnu „Gwiazdo, zachowaj Oceanie". Należało stanąć na baczność, ale w miejscu gdzie siedział, Winston był niewidoczny.

„Gwiazdo, zachowaj Oceanię" ustąpiło miejsca lżejszej i muzyce. Winston podszedł do okna, wciąż zwrócony plecami do teleekranu. Dzień nadal był zimny i przejrzysty. Gdzieś w oddali z głuchym łoskotem wybuchł pocisk rakietowy. Obecnie spadało na Londyn od dwudziestu do trzydziestu pocisków tygodniowo.

W dole na ulicy wiatr szarpał naderwanym plakatem, na zmianę to zasłaniając, to odkrywając napis ANGSOC. Angsoc. Nienaruszalne zasady angsocu. Nowomowa, dwójmyślenie, zmienność przeszłości. Wydawało mu się, że wędruje przez dżunglę porastającą morskie dno, zagubiony w potwornym świecie, w którym on także jest potworem. Czuł się zupełnie sam. Przeszłość była martwa, przyszłość niewyobrażalna. Jaką miał pewność, że po jego stronie stoi choć jeden żywy człowiek? I skąd mógł wiedzieć, czy panowanie Partii nie będzie trwało wiecznie? Zamiast odpowiedzi ujrzał trzy hasła wypisane na białej fasadzie Ministerstwa Prawdy:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
IGNORANCJA TO SIŁA

Wyjął z kieszeni dwudziestopięciocentówkę. Na niej również, wyraźnymi, maleńkimi literkami, wypisano te same hasła; rewers zdobiło oblicze Wielkiego Brata. Nawet z monety jego oczy śledziły każdy ruch. Ta sama podobizna widniała na monetach, znaczkach, okładkach książek, opakowaniach papierosów - wszędzie. I zewsząd obserwowały cię oczy, a głos napominał. We śnie czy na jawie, w pracy, podczas posiłków, w budynku czy na powietrzu, w kąpieli czy w łóżku -nie miałeś dokąd uciec. Nic nie było twoje oprócz tych kilku centymetrów sześciennych zamkniętych pod czaszką.

Słońce przesunęło się i teraz, gdy nie odbijały się w nich jego promienie, niezliczone okna Ministerstwa Prawdy wyglądały równie groźnie jak strzelnice warowni. Na widok ogromnego gmaszyska w kształcie piramidy serce podeszło Winstonowi do gardła. Budowla była zbyt potężna, by można ją zdobyć szturmem. Nawet tysiąc pocisków rakietowych nie zdołałoby jej zdruzgotać.

Znów zaczął się zastanawiać, dla kogo pisze pamiętnik. Dla przyszłości, dla przeszłości - dla urojonej przez siebie epoki. Czekała go nie śmierć, lecz unicestwienie. Pamiętnik zostanie spopielony, on sam ewaporowany. Tylko Policja Myśli przeczyta jego bazgroły, zanim wymaże go ze świata żywych i z ludzkiej pamięci. Jak tu przemawiać do przyszłości, skoro nie przetrwa po tobie żaden ślad, choćby jedno anonimowe słowo nagryzmolone na skrawku papieru?

Teleekran wybił czternastą. Za dziesięć minut Winston powinien wyjść. O czternastej trzydzieści musi być z powrotem w pracy.

O dziwo, transmitowane bicie zegara dodało mu otuchy. Był samotnym duchem, głoszącym prawdę, której nikt nigdy nie usłyszy. Dopóki jednak będzie ją głosił, w jakiś niejasny sposób ciągłość nie zostanie zerwana. To nie przez fakt, że ktoś cię słyszy, ale dlatego, że nie dajesz się ogłupić, trwa kulturowe dziedzictwo. Wrócił do stołu, zanurzył pióro w atramencie i napisał:

Do przyszłości czy przeszłości, do czasów, w których myśl jest wolna, w których ludzie różnią się między sobą i nie żyją samotnie - do czasów, w których istnieje prawda, a tego, co się stało, nie można zmienić.

Z epoki identyczności, z epoki samotności, z epoki Wielkiego Brata, z epoki dwójmyślenia - pozdrawiam was!

Uzmysłowił sobie, że właściwie jest już trupem. Zrozumiał, iż dopiero teraz, kiedy odzyskał zdolność formułowania myśli, zrobił prawdziwy początek. Następstwa każdego czynu są z góry w nim zawarte. Napisał:

Myślozbrodnia nie pociąga za sobą kary śmierci: myślozbrodnia JEST śmiercią.

Teraz, gdy uświadomił sobie, że jest trupem, najważniejszej było jak najdłużej utrzymać się przy życiu. Dwa palce miał poplamione atramentem. Właśnie taki drobiazg mógł go *zdradzić*. Jakiś wścibski gorliwiec w ministerstwie (najprawdopodobniej kobieta, ktoś taki jak ta drobna rudawa blondynka albo ciemnowłosa dziewczyna z Departamentu Literatury) może zacząć się zastanawiać, dlaczego pisał podczas przerwy obiadowej, dlaczego posługiwał się staromodnym piórem, no i c o pisał - a potem szepnąć słówko komu trzeba. Poszedł do łazienki i dokładnie zmył atrament grudowatym, brunatnym mydłem, które drapało skórę jak papier ścierny, więc znakomicie nadało się do tego celu.

Schował pamiętnik do szuflady. Żadna próba ukrycia go nie miała najmniejszego sensu, ale powinien przynajmniej coś zrobić, żeby wiedzieć, czy grzebano mu w szufladzie. Położenie włosa na krawędzi było zbyt oczywistą sztuczką. Czubkiem palca podniósł charakterystyczny jasny paproch i umieścił na okładce, z której musiał spaść, jeśli ktoś ruszyłby zeszyt.

3

Winstonowi śniła się matka.

Miał nie więcej niż dziesięć lub jedenaście lat, kiedy zniknęła. Była wysoką, postawną, dość małomówną kobietą o powolnych ruchach i wspaniałych jasnych włosach. Ojca widział we wspomnieniach mniej wyraźnie: smagły, szczupły mężczyzna w okularach, zawsze starannie ubrany na ciemno (najsilniej wryły mu się w pamięć ojcowskie buty na cienkich podeszwach). Najwidoczniej oboje pochłonęła jedna z pierwszych wielkich czystek w latach pięćdziesiątych.

W tej chwili matka siedziała gdzieś daleko pod nim, tuląc w ramionach jego siostrę. Siostry właściwie nie pamiętał wcale; tylko tyle, że była maleńkim, słabym, cichym dzieckiem o dużych, czujnych oczach. Obie patrzyły w górę na niego. Tkwiły gdzieś w dole - może na dnie studni, może

głębokiego grobu - i miejsce to, choć znajdowało się daleko pod nim, ciągle się obniżało. Były w salonie tonącego statku i spoglądały w górę przez coraz ciemniejszą wodę. W salonie jeszcze nie brakło powietrza, nadal go widziały, a on widział je, lecz cały czas pogrążały się w zielonej toni, która za chwilę miała je skryć na zawsze. On stał w świetle, na powietrzu, one zaś opadały nieustannie ku śmierci, a znajdowały się tam dlatego, że on przebywał na górze. Wiedział o tym, i one również, tę wiedzę miały wypisaną na twarzach. Ale nie było w ich oczach ani sercach wymówki, jedynie świadomość, że muszą umrzeć, aby on mógł żyć, i że należy to do nieodwracalnego porządku rzeczy.

Nie mógł sobie przypomnieć, co się stało, wiedział jednak we śnie, że w jakiś sposób matka i siostra poświęcają dla niego życie. Był to jeden z owych snów, które mimo typowo sennej scenerii stanowią kontynuację wcześniejszych rozmyślań śpiącego: podczas snu dokonuje on spostrzeżeń, a te nawet po przebudzeniu pozostają odkrywcze i cenne. Winston zdał sobie nagle sprawę, że śmierć matki przed blisko trzydziestu laty była wydarzeniem tragicznym i smutnym w sposób dziś już całkiem nierealny. Uprzytomnił sobie, iż *rozpacz* należy do minionych czasów, gdy istniało jeszcze życie osobiste, miłość, przyjaźń, a członkowie rodziny trzymali ze sobą w każdej sytuacji. Serce krwawiło mu na wspomnienie matki, bo umarła, kochając go, podczas gdy on był zbyt samolubny, aby odwzajemniać jej uczucie, i ponieważ w jakiś sposób, choć nie pamiętał w jaki, poświęciła życie dla osobistego, niezmiennego pojęcia wierności ideałom. Wiedział, że obecnie takie postępowanie nie jest możliwe. Dziś istnieją strach, nienawiść i ból, nie ma zaś godności uczuć ani żadnych głębokich, skomplikowanych tragedii. Wyczytał to wszystko z wielkich oczu matki i siostry, które patrzyły na niego przez zieloną wodę, setki sążni od powierzchni i wciąż spadając coraz głębiej w otchłań.

Nagle stał w letni wieczór na krótkiej, sprężystej murawie, pozłoconej ukośnymi promieniami słońca. Krajobraz, pośród którego teraz się znajdował, tak często powracał w jego snach, że Winston nie był do końca pewien, czy rzeczywiście ani razu nie widział go na jawie. W myślach nazywał go Złotą Krainą. Było to opuszczone pastwisko z trawą wyskubaną przez króliki i krętą ścieżką, która wiodła między kopczykami kretowisk. W nierównym szeregu drzew po drugiej stronie pastwiska gałęzie wiązów kołysały się łagodnie na wietrze, poruszając gęstwiną liści podobną do kobiecych włosów. Gdzieś nieopodal, choć poza zasięgiem wzroku, wił się przejrzysty strumyk, a w rozlewiskach pod wierzbami pływały klenie.

Ciemnowłosa dziewczyna szła w tę stronę przez murawę. Nagle jednym ruchem zdarła z siebie ubranie i pogardliwie cisnęła na ziemię. Ciało miała białe i gładkie, ale nie wywołało w nim pożądania, właściwie nawet na nią nie spojrzał. Ogarnął go natomiast podziw dla gestu, jakim odrzuciła ubranie. Ta swoboda i wdzięk przekreśliły cały kulturowy i myślowy dorobek ustroju, aż człowiek gotów był uwierzyć, że wystarczy jeden wspaniały ruch ręki, by unicestwić Wielkiego Brata, Partię i Policję Myśli. Ten gest również należał do minionych czasów. Winston obudził się ze słowem „Shakespeare" na ustach.

Z teleekranu wydobywał się ogłuszający gwizd, który trwał nieprzerwanie przez trzydzieści sekund. Była siódma piętnaście, pora pobudki dla urzędników. Winston gwałtownie poderwał się z łóżka - nagi, bo członek Zewnętrznej Partii rocznie otrzymywał zaledwie trzy tysiące kartek odzieżowych, a na piżamę trzeba było zużyć sześćset - i chwycił z krzesła znoszony podkoszulek oraz kalesony. Za trzy minuty miały się rozpocząć Podrygi Poranne. W następnej chwili wstrząsnął nim gwałtowny atak kaszlu, który zawsze nachodził go tuż po przebudzeniu. Tak mu później brakowało tchu, że musiał się położyć na plecach i kilka razy wciągnąć głęboko powietrze, aby znów normalnie oddychać. Od intensywnego kaszlu żyły nabiegły mu krwią, a owrzodzenia na nodze zaczęły swędzić.

- Trzydziesto-czterdziestolatki! - wrzasnął świdrujący kobiecy głos. - Trzydziesto-czterdziestolatki! Proszę na miejsca! Trzydziesto-czterdziestolatki!

Winston stanął na baczność przed teleekranem, na którym pojawiła się postać młodej kobiety, chudej, lecz muskularnej, w stroju gimnastycznym i tenisówkach.

- Zgięcia i wyrzuty ramion! - zakomenderowała. - Uwaga, podaję tempo! Raz, dwa, trzy cztery! Raz, dwa, trzy, cztery! No, z życiem, towarzysze, z życiem! Raz, dwa, trzy, cztery! Raz, dwa, trzy, cztery!...

Bolesny atak kaszlu nie zdołał wymazać z pamięci Winstona wrażenia, jakie wywarł na nim sen; powrócił do niego podczas rytmicznych ćwiczeń. Z twarzą ułożoną w ponury grymas zadowolenia, najwłaściwszy w czasie Podrygów Porannych, wyrzucał mechanicznie ramiona, usiłując przywołać we wspomnieniach mglisty okres wczesnego dzieciństwa. Było to wyjątkowo trudne. Nie sięgał pamięcią dalej niż do późnych lat pięćdziesiątych. W braku jakichkolwiek zewnętrznych punktów odniesienia nawet zarysy własnego życia tracą ostrość. Pamięta się doniosłe wydarzenia, jakie prawdopodobnie nigdy nie nastąpiły, pamięta się szczegóły pewnych sytuacji, ale nic z ich nastroju, i zostają długie, puste okresy, z których nie pamięta się nic. Wiedział, że wtedy wszystko było inne. Nawet nazwy państw i ich kontury na mapach. Na przykład Pas Startowy Jeden nazywał się przed laty Anglią lub Brytanią, choć Londyn - co do tego raczej nie miał wątpliwości - zawsze nazywał się Londynem.

Nie przypominał sobie takiego okresu, kiedy ojczyzna nie prowadziłaby wojny, lecz w latach jego dzieciństwa musiał przez pewien czas panować pokój, gdyż jedno z najwcześniejszych wspomnień dotyczyło nalotu, który wszystkich zaskoczył. Może to właśnie wtedy zrzucono bombę atomową na Colchester. Nie pamiętał samego nalotu, ale pamiętał dłoń ojca zaciśniętą na swojej dłoni, gdy biegli w dół, coraz niżej i niżej, krętymi schodami, które dzwoniły pod ciężarem ich kroków, schodami prowadzącymi do schronu głęboko pod ziemią; od tego biegu tak rozbolały go nogi, że zaczął płakać i musieli się *zatrzymać*, żeby odpoczął. Matka, jak zawsze powolna, jakby senna, podążała daleko w tyle. Niosła w beciku jego siostrę - a może tylko stertę koców; nie miał pewności, czy siostra już była na świecie. Wreszcie znaleźli się w hałaśliwym, zatłoczonym schronie; rozpoznał stację metra.

Na kamiennych płytach posadzki wszędzie siedzieli ludzie, a inni, ciasno stłoczeni, zajmowali miejsca na piętrowych pryczach. Winston i jego rodzice ulokowali się na ziemi tuż obok pary starców przycupniętych na pryczy. Mężczyzna, w porządnym ciemnym garniturze i zepchniętej na tył głowy czarnej płóciennej czapce, spod której sterczały kosmyki całkiem siwych włosów, twarz miał czerwoną, a niebieskie oczy zapłakane. Zalatywał dżinem, jakby to dżin wydobywał się z jego porów i spływał z oczu zamiast łez. Chociaż starzec był mocno wstawiony, czuło się, że jego rozpacz jest głęboka i szczera. Mimo młodego wieku Winston pojął, że zdarzyło się coś strasznego, coś nie do wybaczenia. I chyba wiedział, co takiego. Zginął ktoś, kogo starzec bardzo kochał - może jego mała wnuczka. Co kilka minut starzec powtarzał:

- Nie wolno im było ufać. Ostrzegałem, prawda, kobieto? I oto mamy skutek! Powtarzałem od samego początku, że nie wolno ufać tym zbójom!

Ale jakim zbójom nie wolno było ufać, tego Winston nie wiedział.

Mniej więcej od tamtego momentu wojna trwała właściwie bez przerwy, chociaż ściśle mówiąc, nie była to cały czas ta sama wojna. Kiedy Winston miał kilka lat, w samym Londynie toczyły się przez parę miesięcy chaotyczne walki uliczne, z których pewne sceny wyraźnie wryły mu się w pamięć. Gdyby jednak chciał poznać dokładnie historię tego okresu, dowiedzieć się, kto w danej chwili walczył z kim, byłoby to zupełnie niemożliwe, gdyż nie istniał żaden zapis, żadna wzmianka o jakimkolwiek układzie sił innym od aktualnego. Na przykład obecnie, w roku 1984 (jeśli faktycznie był rok 1984), Oceania w sojuszu ze Wschódazją prowadziła wojnę z Eurazją. W żadnej oficjalnej czy też prywatnej wypowiedzi nigdy nie przyznawano, że między trzema mocarstwami panowały kiedykolwiek odmienne stosunki. W rzeczywistości, jak Winston doskonale wiedział, zaledwie przed czterema laty Oceania, wspólnie z Eurazją, walczyła ze Wschódazją. Ale zachował tę tajną wiedzę tylko dlatego, że jego pamięć niedostatecznie poddawała

się regulacji. Oficjalnie zmiana sojuszy nigdy nie miała miejsca. Skoro Oceania prowadzi wojnę z Eurazją, przeto zawsze prowadziła wojnę z Eurazją. Wróg aktualny ucieleśniał zło najwyższe, a zatem żadne wchodzenie z nim w układy nie było możliwe: teraz, w przyszłości i nawet w przeszłości.

Najtragiczniejsze, pomyślał po raz dziesięciotysięczny, wyginając się boleśnie do tyłu (z rękami na biodrach wykonywali skręty tułowia, ćwiczenie podobno świetne na wzmocnienie kręgosłupa) - najtragiczniejsze jest to, że wszystko, co twierdzi Partia, staje się prawdą. Czyż świadomość faktu, iż Partia może wetknąć łapę w przeszłość i oznajmić, że jakieś wydarzenie nigdy nie miało miejsca, nie jest bardziej przerażająca niż najsroższe tortury lub śmierć?

Partia utrzymuje, jakoby nigdy nie było przymierza między Oceanią i Eurazją. On, Winston Smith, wie, że Oceanię zaledwie cztery lata temu łączył z Eurazją sojusz. Ale skąd czerpie tę wiedzę? Istnieje wyłącznie w jego świadomości, która i tak wkrótce zostanie unicestwiona. A jeśli wszyscy poza nim akceptują kłamstwo narzucone przez Partię -i powtarzają je również wszystkie dokumenty - wówczas wchodzi ono do historii i staje się prawdą. „Kto rządzi przeszłością - głosił jeden ze sloganów Partii - w tego rękach jest przyszłość; kto rządzi teraźniejszością, w tego rękach jest przeszłość". Zarazem jednak przeszłość, choć z natury podatna na zmiany, nigdy zmieniana nie była. Co stanowiło prawdę teraz, stanowiło prawdę od zawsze i wiecznie. Zasada była dziecinnie prosta. Wymagała jedynie ciągłych zwycięstw nad własną pamięcią. Nazywano to „regulacją faktów", a w nowomowie „dwójmyśleniem".

- Dosyć! - burknęła instruktorka nieco łagodniejszym tonem.

Winston opuścił ręce wzdłuż tułowia i powoli nabrał w płuca powietrza. W swoich rozważaniach zagłębiał się coraz bardziej w labirynt świata dwójmyśli. Wiedzieć i nie wiedzieć; mieć poczucie absolutnej prawdomówności, a jednocześnie wygłaszać umiejętnie skonstruowane kłamstwa; wyznawać dwa zupełnie sprzeczne poglądy na dany temat i mimo świadomości, że się wzajemnie wykluczają, wierzyć w oba; używać logiki przeciwko logice; odrzucać moralność i zarazem rościć sobie do niej prawo; wierzyć, że demokracja jest niemożliwa oraz że Partia stoi na jej straży; zapomnieć wszystko, czego nie należy wiedzieć, po czym przypominać sobie, kiedy się staje potrzebne, a następnie znów szybko wymazywać z pamięci; przede wszystkim zaś stosować ten proces do samego procesu. To była największa sztuka: świadomie wprowadzać się w stan nieświadomości, po czym stawać się nieświadomym dopiero co dokonywanego aktu autosugestii. Nawet samo zrozumienie słowa „dwójmyśl" wymagało stosowania dwójmyślenia.

Instruktorka znów poleciła wszystkim stanąć na baczność.

- A teraz przekonamy się, kto potrafi dotknąć palcami podłogi! - zawołała z entuzjazmem. - Schylamy się, towarzysze! Nogi proste! Raz-dwa, raz-dwa...!

Winston nie znosił tego ćwiczenia, gdyż podczas każdego skłonu przeszywał go ból od pięt po pośladki, a w dodatku często dostawał ataku kaszlu. Prysł na wpół przyjemny nastrój, który towarzyszył jego rozważaniom. Przeszłość, pomyślał, nie tylko była zmieniana, ale wręcz niszczona. Bo jak można ustalić choćby najprostszy fakt, skoro nie istnieje żadne świadectwo oprócz własnej pamięci? Usiłował sobie przypomnieć, w którym roku po raz pierwszy usłyszał o Wielkim Bracie. Chyba dopiero w latach sześćdziesiątych, a pewności nie miał. W partyjnych podręcznikach historii Wielki Brat figurował jako Wódz i Strażnik Rewolucji od samych jej początków. Jego bohaterskie czyny stopniowo cofano w czasie, tak iż obecnie sięgały mitycznych lat czterdziestych i trzydziestych, kiedy to ulicami Londynu jeździli jeszcze - rozparci wygodnie w ogromnych lśniących samochodach lub oszklonych powozach - kapitaliści w dziwnych walcowatych kapeluszach. Skąd jednak można wiedzieć, co wydarzyło się naprawdę, a co po prostu zmyślono. Winston nie znał nawet daty powstania Partii. O ile pamiętał, z terminem „angsoc" również zetknął się po 1960 roku, ale możliwe, że samo pojęcie funkcjonowało znacznie wcześniej w tej postaci, jaką miało w staromowie: „socjalizm angielski". Wszystko spowijała mgła. Czasami rzeczywiście udawało się nakryć Partię na wyraźnym kłamstwie. Nie było na przykład prawdą, że -

jak twierdziły partyjne podręczniki historii - to Partia wynalazła samolot. Samoloty pamiętał z najwcześniejszego dzieciństwa. Nie sposób było jednak niczego udowodnić. Nie istniały żadne świadectwa. Tylko raz w życiu miał w ręku niewątpliwy dowód sfałszowania historycznego faktu. Ale wówczas...

- Smith! - wrzasnął jędzowaty głos z teleekranu. - 6079 Smith W.! Tak, wy! Proszę schylić się niżej! Stać was na więcej, towarzyszu! Nie staracie się! Niżej! Właśnie, towarzyszu, już lepiej. A teraz wszyscy spocznij i proszę mnie obserwować!

Nagły gorący pot wystąpił na całym ciele Winstona. Jednakże wyraz jego twarzy pozostał nieprzenikniony. Nigdy nie zdradzaj lęku! Nigdy nie okazuj złości! Nawet jedno drgnienie powiek może cię zdradzić! Stał i patrzył, jak instruktorka podnosi ręce nad głowę, po czym - bez odrobiny wdzięku, ale za to niebywale zręcznie i sprawnie - pochyla się i *zahacza* palce o stopy.

- O właśnie, towarzysze! T a k macie ćwiczyć. Przyjrzyjcie się jeszcze raz. Mam trzydzieści dziewięć lat i urodziłam czworo dzieci. Patrzcie! - Znów wykonała skłon. - Czy widzicie, żebym zginała kolana? Wszyscy dacie radę poprawnie wykonać to ćwiczenie, jeśli się tylko bardziej przyłożycie! Każdy poniżej czterdziestu pięciu lat powinien bez trudu dotykać palcami podłogi. Ominął nas przywilej walczenia na pierwszej linii frontu, ale powinniśmy przynajmniej dbać o sprawność fizyczną. Pamiętajcie o naszych chłopcach na froncie malabarskim! I o marynarzach w pływających fortecach! Pomyślcie tylko, jakich bohaterskich dokonują czynów! Spróbujcie znowu. Lepiej, towarzyszu, znacznie lepiej - pochwaliła Winstona, który, schyliwszy się z gwałtownym zamachem, zdołał po raz pierwszy od kilku lat dotknąć podłogi bez zginania kolan.

4

Z głębokim, bezwiednym westchnieniem, od którego -mimo bliskości teleekranu - nie umiał się powstrzymać na początku dnia pracy, Winston przyciągnął do siebie mowopis, zdmuchnął kurz z mikrofonu i włożył okulary. Następnie rozwinął i spiął razem cztery nieduże rolki papieru, które wypadły z rury pneumatycznej na prawą stronę biurka.

W ścianach przegrody były trzy otwory. Na prawo od mowopisu niewielki wylot rury pneumatycznej przeznaczonej na pisemne notatki; na lewo wylot większej rury, przeznaczonej na gazety; na bocznej ścianie, w zasięgu ręki Winstona, spora, podłużna szpara osłonięta drucianą siatką. Ten ostatni j otwór przeznaczony był na brudnopisy i zbędne dokumenty. W budynku znajdowały się dosłownie tysiące podobnych szpar, nie tylko w każdym pomieszczeniu, lecz również w niewielkich odstępach na wszystkich korytarzach. Nie wiadomo dlaczego nazywano je lukami pamięci. Kiedy jakiś dokument należało zniszczyć lub gdy spostrzegło się na ziemi skrawek papieru, niemal odruchowo unosiło się klapę najbliższej luki pamięci i wrzucało skrawek do środka, gdzie natychmiast porywał go strumień ciepłego powietrza i unosił w stronę ogromnych pieców ukrytych w trzewiach budynku.

Winston obejrzał cztery kartki, które przed chwilą rozwinął. Każda zawierała zwięzłą notatkę, długości zaledwie jednego lub dwóch wierszy, sporządzoną w skrótowym żargonie - nie tożsamym z nowomową, lecz w znacznej mierze na niej opartym - którym posługiwano się w ministerstwie dla celów wewnętrznych. Ich treść była następująca:

times 17.3.84 przemówienie wb mylrel afryka sprost
times 19.12.83 prognoza 3 let 4 kwart 83 błędruk skoryg wg najnowy nr
times 14.2.84 miniobfi mylcyt czekolada sprost

times 3.12.83 rei rozdn wb dwaplusbezdobrze
wzm nieabywatele nowa wersja przedłprzel antearchw

Z uczuciem pewnego zadowolenia Winston odłożył na bok czwartą notatkę. Było to odpowiedzialne i trudne zadanie i dlatego wolał je zostawić na koniec. Trzy pozostałe zalecenia miały charakter rutynowy, choć drugie mogło wymagać żmudnego przekopywania się przez długie kolumny cyfr.

Winston nastawił tarczę teleekranu na „stare numery" i zamówił właściwe egzemplarze „The Times", które po zaledwie kilku minutach wysunęły się z rury pneumatycznej. Otrzymane przez niego notatki dotyczyły artykułów i komunikatów uznanych obecnie, z takich lub innych względów, za wymagające przerobienia czy też - jak to urzędowo określono - „sprostowania". Na przykład z relacji w „The Times" z siedemnastego marca wynikało, że dzień wcześniej Wielki Brat przepowiedział w swoim wystąpieniu, iż na froncie południowoindyjskim będzie panował spokój, a ofensywa eurazjatycka rozpocznie się w Afryce Północnej. Tak się jednak złożyło, że Eurazjatyckie Dowództwo Naczelne zdecydowało się przeprowadzić natarcie nie w Afryce, lecz w południowych Indiach. Należało więc odpowiednio przerobić akapit przemówienia Wielkiego Brata, aby przepowiedział to, co się rzeczywiście wydarzyło. Z kolei „The Times" z dziewiętnastego grudnia opublikował oficjalną prognozę na temat produkcji szerokiego asortymentu artykułów konsumpcyjnych w czwartym kwartale 1983 roku, czyli w szóstym kwartale Dziewiątego Planu Trzyletniego. W dzisiejszym numerze gazety znalazły się dane o faktycznej produkcji, z których wynikało, że prognoza była całkowicie błędna. Zadanie Winstona polegało na „sprostowaniu" oryginalnych liczb, aby zgadzały się z aktualnymi. Co do trzeciej notatki, dotyczyła bardzo prostego błędu, którego usunięcie zajęło dosłownie minutę. Zaledwie w lutym Ministerstwo Obfitości złożyło solenną obietnicę (w języku urzędowym „kategoryczne zaręczenie"), że do końca roku 1984 przydział czekolady nie ulegnie redukcji. Tymczasem, jak ogłoszono wczoraj, pod koniec bieżącego tygodnia miał zostać zmniejszony z trzydziestu gramów do dwudziestu. W tym wypadku wystarczyło zmienić obietnicę na uprzedzenie, że już w kwietniu zajdzie Prawdopodobnie konieczność ograniczenia przydziału.

Zaraz po wykonaniu każdego polecenia Winston przypinał nową, sporządzoną na mowopisie wersję do właściwego egzemplarza „The Times" i wsuwał gazetę do rury pneumatycznej. Następnie niemal odruchowo miął otrzymaną notatkę oraz wszelkie swoje brudnopisy i wrzucał do luki pamięci, na pastwę płomieni.

Nie orientował się w szczegółach, ale w ogólnych zarysach wiedział, co dzieje się w niewidzialnym labiryncie, do którego prowadzą rury pneumatyczne. Kiedy wszystkie poprawki, jakie należało wnieść do danego numeru gazety, były już gotowe, numer kolacjonowano i drukowano ponownie, po czym wydanie oryginalne niszczono, a w archiwach umieszczano nowe. Ten proces wprowadzania ciągłych zmian odbywał się nie tylko w wypadku gazet, lecz także książek, czasopism, plakatów, ulotek, filmów, nagrań, rysunków, fotografii - każdego typu literatury i dokumentacji o jakimkolwiek znaczeniu politycznym lub ideologicznym. Z dnia na dzień i niemal z minuty na minutę uaktualniano przeszłość. Tak preparowana dokumentacja potwierdzała słuszność każdej partyjnej prognozy; pilnowano, by nie ostało się choć jedno zdanie sprzeczne z potrzebą chwili. Całą historię przemieniano w palimpsest, zeskrobywany i zapisywany tak często, jak to uważano za konieczne. Gdy już raz dokonano zmian, nie sposób było udowodnić, że nastąpiła najmniejsza falsyfikacja. Jedyne zadanie personelu największego działu Departamentu Archiwów, znacznie większego od działu Winstona, polegało na wynajdywaniu i usuwaniu wszystkich egzemplarzy książek, gazet i innych dokumentów, które należało podmienić i zniszczyć. Numer „The Times", przerabiany kilkanaście razy z powodu zmian w sojuszach politycznych lub błędnych prognoz Wielkiego Brata, figurował w katalogach pod oryginalną datą, a z jego wcześniejszych wydań nie ostawał się ani jeden egzemplarz, który mógłby posłużyć za dowód

mistyfikacji. Książki także wycofywano i przerabiano raz po raz, po czym niezmiennie wydawano znów, nie przyznając się do wprowadzenia jakichkolwiek poprawek. Również pisemne instrukcje otrzymywane przez Winstona, które niszczył natychmiast po wypełnieniu zawartych w nich poleceń, nigdy nie stwierdzały, ani nawet nie sugerowały, że ma nastąpić fałszerstwo: zawsze mowa w nich była wyłącznie o pomyłkach, błędach drukarskich i mylnie cytowanych wypowiedziach, wymagających sprostowania w trosce o ścisłość.

Choć właściwie trudno to nawet nazwać fałszerstwem, pomyślał korygując liczby Ministerstwa Obfitości. Po prostu zastępuje się jedne bzdury innymi. Większość materiałów, które przechodziły przez jego ręce, nie miała żadnego związku z rzeczywistością, nawet takiego, jakie na ogół ma zwykłe kłamstwo. Wszystkie dane statystyczne były czystą fantazją, tak samo w wersji oryginalnej, jak i skorygowanej. Nowe liczby brał po prostu z głowy, zgodnie zresztą z tym, czego od niego oczekiwano. Na przykład, według zapowiedzi Ministerstwa Obfitości, produkcja obuwia w czwartym kwartale miała wynieść sto czterdzieści pięć milionów par. Według ostatnich danych wyprodukowano sześćdziesiąt dwa miliony. Jednakże Winston, korygując zapowiedź, zmniejszył tę liczbę do pięćdziesięciu siedmiu milionów, aby można było jak zwykle twierdzić, że planowa produkcja została przekroczona. Zresztą liczba sześćdziesiąt dwa miliony nie miała więcej wspólnego z prawdą niż pięćdziesiąt siedem milionów czy sto czterdzieści pięć. Bardzo możliwe, że nie wyprodukowano ani jednej pary butów. A jeszcze bardziej prawdopodobne, że nikt nie miał pojęcia, ile par wyprodukowano, i absolutnie nikogo to nie obchodziło. Każdy wiedział tylko, iż na papierze co kwartał produkowano ich astronomiczną liczbę, podczas gdy połowa obywateli Oceanii chodziła boso. Dokładnie tak samo przedstawiały się informacje dotyczące innych spraw, od najdrobniejszych po najważniejsze. Wszystko rozmazywało się w świecie ułudy i w końcu nawet to, który jest rok, nie było już pewne.

Winston spojrzał w kierunku przejścia. Tillotson, urzędnik zajmujący przegrodę po przeciwnej stronie, nieduży, wyglądający na pedanta mężczyzna z cieniem zarostu na brodzie, siedział trzymając na kolanach złożoną gazetę i przytknąwszy usta do mikrofonu szeptał coś pilnie do mowopisu. Zachowywał się tak, jakby to, co mówił, było tajemnicą między nim a teleekranem. Kiedy podniósł wzrok, jego szkła błysnęły złowrogo w stronę Winstona.

Winston znał go bardzo słabo i nie miał pojęcia, czym się zajmuje. Urzędnicy Departamentu Archiwów niechętnie mówili o swoich obowiązkach. W długiej hali bez okien, podzielonej na jednoosobowe boksy ciągnące się wzdłuż ścian i wypełnionej niemilknącym szelestem papierów oraz gwarem głosów mruczących do mowopisów, pracowało co najmniej kilkanaście osób, których nawet nie znał z nazwiska, choć co dzień widział, jak przemierzają pospiesznie korytarze lub gestykulują wściekle podczas Dwóch Minut Nienawiści, j Wiedział, że jedynym zadaniem drobnej rudawej blondynki zajmującej sąsiednią przegrodę jest mozolne tropienie i usuwanie z prasy nazwisk ludzi, których ewaporowano, a więc którzy jakby nigdy nie istnieli. Była to czynność o tyle stosowna w jej wypadku, że przed paru laty ewaporowano jej męża. Kilka boksów dalej łagodny safanduła nazwiskiem Ampleforth, marzyciel o wyjątkowo włochatych uszach i niesłychanej umiejętności żonglowania rymem i metrum, produkował przeinaczone wersje - zwane ostatecznymi - wierszy, które uznano za niewłaściwe ideologicznie, lecz z takich czy innych względów postanowiono zostawić w antologiach. Jednakże hala ta, miejsce pracy blisko pięćdziesięciu osób, była zaledwie podsekcją czy też jedną komórką ogromnego Departamentu Archiwów. Na tym samym piętrze, a także wyżej i niżej, roje innych pracowników zajmowały się wykonywaniem tysięcy przeróżnych czynności. W gmachu mieściły się ogromne drukarnie zatrudniające sztaby redaktorów i fachowców od typografii, a także doskonale wyposażone pracownie fotograficzne wyspecjalizowane w podrabianiu zdjęć. Istniała sekcja teleprogramów mająca własnych inżynierów i kierowników produkcji oraz zespoły starannie dobranych aktorów posiadających dar naśladowania głosów. Obok pracowała cała armia urzędników, których jedynym obowiązkiem było sporządzanie spisów książek i czasopism przeznaczonych do wycofania.

Znajdowały się tu również rozległe magazyny, gdzie przechowywano poprawioną dokumentację, a w podziemiach stały piece służące do palenia oryginałów. Ponadto gdzieś na terenie gmachu, choć nikt nie wiedział gdzie, urzędował zespół anonimowych mózgów, który kierował całym przedsięwzięciem: nie tylko koordynował prace poszczególnych działów, lecz przede wszystkim ustalał kurs określający, co z przeszłości należy zachować, co sfałszować, a co wymazać i unicestwić.

A przecież Departament Archiwów stanowił zaledwie jedną z komórek Ministerstwa Prawdy, którego podstawowym celem była nie przebudowa przeszłości, lecz dostarczanie obywatelom Oceanii gazet, filmów, podręczników, teleprogramów, sztuk, powieści; wszelkich możliwych materiałów informacyjnych, oświatowych i rozrywkowych, od pomnika po slogan, od poematu lirycznego po rozprawę naukową z zakresu biologii, od elementarza po *Słownik nowomowy.* Co więcej, ministerstwo musiało zaspokoić nie tylko wielorakie potrzeby członków Partii, lecz również dublować swoją działalność produkując materiały adresowane do proletariatu. Istniała ogromna sieć odrębnych departamentów zajmujących się proletariacką literaturą, muzyką, teatrem, i w ogóle rozrywką. W nich właśnie redagowano szmatławe gazety przynoszące prawie wyłącznie wiadomości sportowe, opisy zbrodni i horoskopy; tu powstawały sensacyjne powieścidła, filmy ociekające seksem oraz sentymentalne śpiewki komponowane mechanicznie na specjalnym kalejdoskopie zwanym wersyfikatorem. Była nawet cała podsekcja - w nowomowie Pornosek - wydająca najohydniejszą pornografię, którą rozsyłano w zaklejonych opakowaniach, a której żaden członek Partii nie związany z jej produkcją nie miał prawa oglądać.

Podczas gdy Winston pracował, trzy dalsze notatki wypadły z rury pneumatycznej, ale ponieważ dotyczyły prostych spraw, uporał się z nimi, zanim Dwie Minuty Nienawiści oderwały go od zajęć. Wróciwszy do swojej przegrody, zdjął z półki *Słownik nowomowy,* odsunął na bok mowopis, przetarł okulary i zabrał się do najtrudniejszego ze zleceń.

Praca była największą radością w życiu Winstona. Przeważająca część jego obowiązków sprowadzała się do nudnej rutyny, lecz czasem zdarzały się sprawy tak złożone i trudne, że pochłaniały go bez reszty niczym zadania z wyższej matematyki - subtelne fałszerstwa, przy których zdany był wyłącznie na swoją znajomość zasad angsocu i własne wyczucie tego, czego Partia od niego oczekuje. Z takich zadań wywiązywał się znakomicie. Niekiedy powierzano mu nawet korygowanie artykułów wstępnych z „The Times", pisanych od początku do końca w nowomowie. Rozwinął notatkę, którą wcześniej odłożył na bok. Jej treść była następująca:

times 3.12.83 rei rozdn wb dwaplusbezdobrze
wzm nieobywatele nowa wersja przedłprzeł antearchw

w staromowie można by to oddać w ten sposób:

Relacja o rozkazie dziennym Wielkiego Brata zawarta w „The Times" z 3 grudnia 1983 roku jest wielce niezadowalająca i zawiera wzmianki na temat nie istniejących osób. Należy napisać nową wersję i przedłożyć przełożonemu przed odesłaniem do archiwum.

Winston w całości przeczytał zakwestionowany artykuł. Wynikało z niego, że ów rozkaz dzienny Wielkiego Brata wynosił pod niebiosa działalność organizacji znanej pod skrótem ZPF, która zajmowała się zaopatrywaniem marynarzy z pływających fortec w papierosy i inne niezbędne artykuły. Niejaki towarzysz Withers, ważny członek Wewnętrznej Partii, został wyróżniony imienną pochwałą i odznaczony Orderem Najwyższej Zasługi drugiej klasy.

Trzy miesiące później rozwiązano ZPF bez podania przyczyny. Zgadywano, że Withers i jego współpracownicy znaleźli się w niełasce, choć ani prasa, ani teleekrany nie podały na ten temat żadnych wiadomości. O tyle nikogo to nie dziwiło, że przestępcom politycznym tylko wyjątkowo

wytaczano procesy lub publicznie ich demaskowano. Wielkie czystki obejmujące tysiące osób, z publicznymi procesami zdrajców i myślozbrodniarzy, którzy we łzach przyznawali się do swoich zbrodni, a następnie szli na stracenie, były specjalnymi pokazówkami, odbywającymi się nie częściej niż raz na dwa lata. Normalnie ludzie, którzy ściągnęli na siebie niezadowolenie Partii, po prostu znikali i nikt o nich więcej nie słyszał. Nie wiadomo, co się z nimi działo. Część może nawet wciąż żyła. Ze znanych Winstonowi osób co najmniej trzydzieści, nie licząc rodziców, znikło na przestrzeni lat.

Podrapał się lekko po nosie spinaczem. W przegrodzie po drugiej stronie przejścia towarzysz Tillotson wciąż coś dyktował, konspiracyjnie pochylony nad mowopisem. Na sekundę uniósł głowę: szkła znów błysnęły złowrogo. Winstonowi przeszło przez myśl, że może towarzysz Tillotson pracuje nad tym samym co on. Było to całkiem prawdopodobne. Wykluczone, aby tak odpowiedzialne zadania zlecono tylko jednej osobie; z kolei powierzenie go komitetowi nie wchodziło w grę, gdyż stanowiłoby to jawne przyznanie się do fałszerstwa. Pewnie przynajmniej z dziesięć osób pracowało teraz nad konkurencyjnymi wersjami tego, co naprawdę powiedział Wielki Brat. I już wkrótce jakaś tęga głowa z Wewnętrznej Partii wyselekcjonuje jedną z nich, zredaguje, po czym wprawi w ruch zawiły proces wnoszenia niezbędnych poprawek do reszty dokumentacji, aż w końcu wybrane kłamstwo wejdzie do archiwów i stanie się prawdą.

Winston nie znał przyczyny nagłej niełaski Withersa. Może chodziło o korupcję lub nieudolność. Może Wielki Brat chciał się pozbyć zbyt popularnego podwładnego. Może Withersa albo kogoś z jego najbliższego otoczenia podejrzewano o rewizjonizm. A może - co było najbardziej prawdopodobne -podpadł po prostu dlatego, że czystki i ewaporacje okazały się niezbędnym składnikiem mechanizmu sprawowania władzy. Jedynej wskazówki dostarczało sformułowanie „wzm nieobywatele", świadczące, że Withers już nie żył. Nie można było mieć tej pewności co do wszystkich aresztowanych. Niektórych czasem wypuszczano, przez rok albo dwa pozwalano im przebywać na wolności i dopiero później wykonywano wyrok. Niekiedy, choć zdarzało się to rzadko, ktoś od dawna uważany za nieżyjącego pojawiał się nagle jak duch na publicznym procesie, składał zeznania obciążające setki innych osób, po czym znów znikał, tym razem na zawsze. Lecz Withers był nieobywatelem. Nie istniał; nigdy nie istniał. Winston doszedł do wniosku, że nie wystarczy zmienić tonu przemówienia Wielkiego Brata. Najlepiej napisać tekst od nowa, w całości poświęcając go sprawie zupełnie nie związanej z prawdziwym tematem.

Mógł przerobić przemowę na kolejny atak na zdrajców i myślozbrodniarzy, ale takie rozwiązanie wydało mu się zbyt oczywiste; z kolei wymyślenie zwycięstwa na froncie lub triumfalnego przekroczenia Dziewiątego Planu Trzyletniego w jakiejś dziedzinie produkcji nadmiernie skomplikowałoby przerabianie reszty dokumentacji. Potrzebne było coś całkiem wyssanego z palca. I nagle ujrzał w myślach gotową, w pełni ukształtowaną postać: niejakiego towarzysza Ogilvy'ego, który poniósł bohaterską śmierć w jednej z ostatnich bitew. Zdarzało się, że Wielki Brat czcił swoim rozkazem dziennym pamięć skromnego, szeregowego członka Partii, stawiając jego życie i śmierć za wzór godny naśladownictwa. Dziś uczci pamięć towarzysza Ogilvy'ego. Wprawdzie kogoś takiego nigdy nie było, lecz parę wierszy druku i kilka podrobionych fotografii wystarczy, aby zaistniał.

Winston zastanawiał się przez chwilę, po czym przysunął mowopis i zaczął dyktować, posługując się swoistym stylem Wielkiego Brata; stylem wojskowym i pedantycznym, a przez manierę stawiania pytań i natychmiastowego udzielania na nie odpowiedzi („Jaką naukę czerpiemy z tego faktu, towarzysze? Taką naukę, która jest również jedną z fundamentalnych podstaw angsocu, iż...", itd. itd.), zarazem niezwykle prostym do naśladowania.

W wieku trzech lat towarzysz Ogilvy nie uznawał żadnych innych zabawek oprócz bębna, pistoletu maszynowego i modelu helikoptera. W wieku lat sześciu, na rok przed czasem (specjalnie uczyniono dla niego wyjątek od przepisów) wstąpił do Kapusiów; w wieku dziewięciu lat został drużynowym. W wieku jedenastu zadenuncjował wuja Policji Myśli, podsłuchawszy rozmowę,

która jego zdaniem świadczyła o przestępczych tendencjach. W wieku lat siedemnastu został dzielnicowym organizatorem Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej. W wieku dziewiętnastu zaprojektował granat ręczny, który -zaakceptowany przez Ministerstwo Pokoju - już w czasie pierwszego próbnego wybuchu położył trupem trzydziestu jeden jeńców eurazjatyckich. W wieku dwudziestu trzech lat poległ na polu chwały. Ścigany nad Oceanem Indyjskim przez nieprzyjacielskie odrzutowce, gdy leciał jako kurier z ważnymi rozkazami, obciążył się karabinem maszynowym i wyskoczył z helikoptera do wody, zabierając dokumenty ze sobą - wspaniała śmierć, która -jak wyraził się Wielki Brat -powinna budzić najwyższy podziw i zazdrość. Wielki Brat dodał jeszcze kilka słów o wstrzemięźliwym stylu życia i nieskazitelnej postawie moralnej towarzysza Ogilvy'ego. Ten całkowity abstynent i człowiek niepalący nie uznawał żadnych rozrywek oprócz codziennej godziny ćwiczeń gimnastycznych, a w dodatku ślubował celibat, uważając małżeństwo i obowiązki rodzinne za niemożliwe do pogodzenia z ciągłą, całodobową gotowością służenia ojczyźnie. Nie uznawał innych tematów rozmów niż zasady angsocu, a jego jedynym celem było pokonanie armii eurazjatyckiej oraz wybicie co do nogi szpiegów, sabotażystów, myślozbrodniarzy i zdrajców wszelkiego autoramentu.

Winston wahał się, czy przyznać towarzyszowi Ogilvy'emu Order Najwyższej Zasługi; ostatecznie porzucił ten zamiar, gdyż pociągnęłoby to za sobą konieczność dokonania wielu zbędnych poprawek w reszcie dokumentacji.

Ponownie zerknął na swojego rywala po drugiej stronie przejścia. Coś mu mówiło, że Tillotson pracuje nad tym samym zadaniem. Nie sposób było zgadnąć, czyja wersja zostanie ostatecznie przyjęta, ale miał głębokie przekonanie, że jego. Towarzysz Ogilvy, nie wymyślony jeszcze przed godziną, teraz stał się faktem. Winstonowi wydawało się dość osobliwe, iż można tworzyć trupy, ale nie żywych ludzi. Towarzysz Ogilvy, który nigdy nie istniał w teraźniejszości, teraz zaistniał w przeszłości, a gdy samo fałszerstwo ulegnie zapomnieniu, jego istnienie stanie się równie autentyczne i nie gorzej udokumentowane niż Karola Wielkiego lub Juliusza Cezara.

5

W niskiej stołówce głęboko pod ziemią kolejka drgnęła i przesunęła się wolno do przodu. W wypełnionym po brzegi pomieszczeniu panował ogłuszający zgiełk. Znad garów gulaszu, przez kratę nad kontuarem, buchały kłęby pary przesycone kwaśną, metaliczną wonią, która jednak nie dawała rady zabić odoru Dżinu Zwycięstwa. Na drugim końcu stołówki mieścił się barek - zwykły otwór w ścianie - gdzie sprzedawano dżin po dziesięć centów za porcję.

- Właśnie cię szukam! - zawołał ktoś za plecami Winstona.

Winston obejrzał się. Stał za nim jego przyjaciel Syme, pracownik Departamentu Badań. Może „przyjaciel" nie było najwłaściwszym określeniem. W obecnych czasach nie miało się przyjaciół, lecz towarzyszy; jednakże pewnych towarzyszy darzyło się większą sympatią niż innych. Syme, filolog i specjalista od nowomowy, należał do ogromnego zespołu ekspertów redagujących jedenaste wydanie *Słownika nowomowy*. Był maleńkim człowieczkiem, sporo niższym od Winstona, o ciemnych włosach i wielkich, wyłupiastych oczach, smutnych, a zarazem szyderczych, które zdawały się pilnie śledzić każde drgnienie twarzy rozmówcy.

- Chciałem cię spytać, czy może masz żyletki?

- Ani jednej! - odparł szybko Winston, trochę zawstydzony. - Obszedłem wszystkie sklepy. Nigdzie nie znalazłem!

Wszyscy pytali o żyletki. Tak naprawdę miał jeszcze dwie, które trzymał na czarną godzinę. Deficyt żyletek trwał już od miesięcy. W sklepach dla partyjnych ciągle brakowało jakiegoś niezbędnego artykułu. Czasem włóczki, czasem guzików, innym razem sznurowadeł; obecnie brakowało żyletek. Można je było kupić tylko na „wolnym rynku", bardziej lub mniej ukradkiem, ale i to nie zawsze.

- Od sześciu tygodni używam tej samej - skłamał.

Kolejka znów drgnęła. Przesunąwszy się o kilka kroków, Winston znów odwrócił się do Syme'a. Obaj wzięli zatłuszczone metalowe tace ze stosu na skraju kontuaru.

- Byłeś wczoraj na wieszaniu jeńców? - spytał Syme.

- Pracowałem - odparł obojętnie Winston. - Pewnie wkrótce i tak pokażą to w kinie.

- Słaba namiastka! - zawyrokował Syme.

Szyderczym wzrokiem omiótł twarz Winstona. „Znam cię - zdawał się mówić - przejrzałem cię na wylot. Dobrze wiem, dlaczego nie poszedłeś na wieszanie jeńców". Na swój intelektualny sposób Syme był zajadle ortodoksyjny. Potrafił rozprawiać z niesmaczną satysfakcją o nalotach na nieprzyjacielskie wioski, procesach i spowiedziach myślozbrodniarzy, o egzekucjach w lochach Ministerstwa Miłości. Rozmawiając z nim, należało czym prędzej odciągać go od podobnych tematów i kierować na zawiłości nowomowy, o których umiał mówić fachowo i interesująco. Winston odwrócił nieco głowę, żeby uniknąć badawczego spojrzenia dużych, ciemnych oczu.

- Była to udana egzekucja - stwierdził z zadowoleniem Syme. - Moim zdaniem wiązanie nóg psuje cały efekt. Lubię widzieć, jak wierzgają. Ale najbardziej mi się podoba, gdy na końcu wywalają języki, takie sine, że aż fioletowe! Ten moment cieszy mnie najbardziej.

- Następny, proszę! - wrzasnęła prolka z warząchwią, odziana w biały fartuch.

Winston i Syme wsunęli tace pod kratę. Na każdą szybko wrzucono regulaminowy obiad - blaszaną miskę różowo-szarego gulaszu, pajdę chleba, kostkę sera, kubek Kawy Zwycięstwa (bez mleka) i jedną pastylkę sacharyny.

- Tam, pod teleekranem, jest wolny stolik - powiedział Syme. - Ale po drodze weźmy dżin.

Dżin wydano im w kubkach bez uchwytów. Przeszli przez zatłoczoną salę i zestawili miski na stolik z metalowym blatem, na którego brzegu ktoś pozostawił kałużę rozlanego gulaszu: ohydną płynną maź podobną do rzygowin. Winston uniósł kubek z dżinem, przez chwilę zbierał się na odwagę, po czym jednym haustem wypił oleistą ciecz. Oczy zaszły mu łzami, zamrugał więc kilka razy i nagle odkrył, że jest głodny. Zaczął przełykać pełne łychy błotnistego gulaszu, w którym gdzieniegdzie pływały gąbczaste różowe sześciany, prawdopodobnie jakiś preparat mięsny. Ani Winston, ani Syme nie odzywali się, dopóki nie opróżnili misek. Przy stoliku na lewo i nieco z tyłu ktoś trajkotał szybko i nieprzerwanie; przykry dźwięk, podobny do kwakania kaczki, wznosił się nad ogólny gwar.

- Jak się posuwa praca nad słownikiem? - spytał Winston usiłując przekrzyczeć hałas.

- Powoli - odparł Syme. - Zajmuję się przymiotnikami. Fascynująca rzecz!

Na wzmiankę o słowniku natychmiast się rozochocił. Odsunął miskę, w jedną delikatną dłoń ujął pajdę chleba, w drugą kostkę sera i pochylił się nad stolikiem, żeby nie podnosić głosu.

- Jedenaste wydanie będzie w pełni normatywne - rzekł. - Nadajemy językowi ostateczny kształt: taki, jaki będzie miał, gdy wszyscy zaczną posługiwać się wyłącznie nowo-mową. Kiedy skończymy, ty i inni będziecie musieli powtórnie jej się uczyć. Pewnie uważasz, że naszym głównym zajęciem jest wymyślanie nowych słów. Otóż nic bardziej błędnego! My niszczymy słowa. Setkami, i to dzień w dzień! Redukujemy język, plewimy ze wszystkiego, co zbędne. W jedenastym wydaniu będą wyłącznie słowa, które mają zostać w użyciu po roku dwa tysiące pięćdziesiątym.

Ugryzł potężny kęs chleba, przełknął parę razy, po czym znów zaczął perorować z pedantycznym żarem. Jego śniada, szczupła twarz ożywiła się, a oczy straciły szyderczy wyraz i stały się niemal rozmarzone.

- Niszczenie słów to coś pięknego. Najwięcej, oczywiście, wyrzucamy czasowników i przymiotników, ale setki rzeczowników też są zupełnie zbędne. Usuwamy nie tylko synonimy, lecz także wyrazy przeciwstawne. Bo jaką rację bytu mają słowa, których znaczenie jest po prostu przeciwieństwem innych? Każde słowo zawiera w sobie swoje przeciwieństwo. Weźmy na przykład przymiotnik „dobry". Jeśli mamy „dobry", po co nam taki przymiotnik jak „zły"? „Bezdobry" wystarczy w zupełności; jest nawet o tyle lepszy, że stanowi dokładne przeciwieństwo przymiotnika „dobry", czego nie można powiedzieć o „zły". A gdy z kolei chcemy coś wzmocnić, czy ma sens stosowanie mętnych i w sumie bezużytecznych określeń typu „wspaniały" lub „znakomity"? „Plusdobry" adekwatnie spełnia każdy wymóg, jeśli natomiast zachodzi potrzeba jeszcze większej emfazy, można użyć „dwaplusdobry". Akurat tymi formami posługujemy się już dzisiaj, lecz w swoim ostatecznym kształcie cała nowomowa będzie taka. Z czasem pojęcie dobra i zła ograniczy się do zaledwie sześciu słów, a naprawdę do jednego. Czyż to nie wspaniałe, Winston? Oczywiście był to pomysł W.B. - dorzucił jakby po namyśle.

Na wzmiankę o Wielkim Bracie Winston uśmiechnął się gorliwie, lecz jakby z przymusem. Syme natychmiast dostrzegł ten jego brak entuzjazmu.

- Nie potrafisz docenić nowomowy, Winston - powiedział niemal ze smutkiem. - Nawet kiedy piszesz, wciąż myślisz w staromowie. Czytam niekiedy artykuły, które pisujesz do „The Times". Nie są złe, ale to przekłady. W głębi serca wolałbyś pozostać przy staromowie, jej mętnych i bezużytecznych odcieniach znaczeniowych. Nie pojmujesz piękna niszczenia słów. Czy zdajesz sobie sprawę, że nowomowa jest jedynym językiem na świecie, którego słownictwo kurczy się z roku na rok?

Winston oczywiście zdawał sobie sprawę. Bał się odezwać, bo nie ufał swojemu głosowi, więc uśmiechnął się tylko -miał nadzieję, że przyjaźnie. Syme tymczasem ugryzł następny kęs szarego chleba, pożuł go przez chwilę, po czym ciągnął dalej:

- Czy nie rozumiesz, że nadrzędnym celem nowomowy jest zawężenie zakresu myślenia? W końcu doprowadzimy do tego, że myślozbrodnia stanie się fizycznie niemożliwa, gdyż zabraknie słów, żeby ją popełnić. Każde pojęcie da się wyrazić wyłącznie przez jedno słowo o ściśle określonym znaczeniu, natomiast wszystkie znaczenia uboczne zostaną wymazane i zapomniane. W jedenastym wydaniu jesteśmy już bardzo blisko tego celu. Lecz proces ten będzie postępował długo po naszej śmierci. Z roku na rok będzie coraz mniej słów i coraz węższy zakres świadomości. Nawet teraz, oczywiście, nie ma żadnych podstaw ani usprawiedliwień dla myślozbrodni. To jedynie kwestia samodyscypliny, regulacji faktów. Ale w końcu technika ta stanie się zbędna. Rewolucja zwycięży ostatecznie, gdy język osiągnie doskonałość. Nowomowa to angsoc, angsoc to nowomowa - stwierdził z niemal mistyczną satysfakcją. - Czy przyszło ci kiedy do głowy, Winston, że najpóźniej w roku dwa tysiące pięćdziesiątym nie będzie na ziemi ani jednego człowieka, który potrafiłby zrozumieć taką rozmowę jak nasza?

- Oprócz... - zaczął Winston, ale się zawahał.

Zamierzał powiedzieć: „Oprócz proli", lecz ugryzł się w język, ze strachu, że słowa te będą poczytane za objaw nieprawomyślności. Syme jednak domyślił się, o co mu chodzi.

- Prole to nie ludzie - rzucił niedbale. - Do roku dwa tysiące pięćdziesiątego, a przypuszczalnie wcześniej, prawdziwa znajomość staromowy zaniknie całkowicie. Literatura przeszłości ulegnie zniszczeniu. Chaucer, Shakespeare, Milton i Byron znani będą tylko z adaptacji na nowomowę, nie tylko innych, a wręcz sprzecznych z oryginałami. Nawet literatura partyjna nie uniknie zmian. I partyjne hasła. Bo jak może istnieć hasło „wolność to niewola", skoro zniknie pojęcie wolności? Myślenie ludzkie ulegnie przeobrażeniu. Tego, co my rozumiemy jako myślenie,

nie będzie w ogóle. Ortodoksyjność oznacza niemyślenie, brak potrzeby myślenia. Ortodoksyjność to nieświadomość.

Słuchając tego wywodu, Winston nabrał głębokiego przekonania, że Syme'a czeka ewaporacja. Jest zbyt inteligentny. Widzi wszystko zbyt wyraźnie i mówi zbyt jasno. Partia nie lubi takich ludzi. Pewnego dnia zniknie. Ma to wypisane na twarzy.

Winston zjadł chleb i ser. Przesunął się nieco na krześle i sięgnął po kawę. Przy stoliku z lewej mężczyzna o nieprzyjemnym głosie trajkotał bez chwili wytchnienia. Młoda kobieta siedząca tyłem do Winstona, zapewne sekretarka gaduły, słuchała go pilnie, gorliwie przytakując. Od czasu do czasu dobiegały Winstona takie zwroty, jak „zgadzam się z wami całkowicie, towarzyszu" lub „macie absolutną rację, towarzyszu", wypowiadane naiwnym, jeszcze dziewczęcym głosem. Mężczyzna jednak nie przerywał ani na moment, nawet kiedy ona coś komentowała. Winston znał go tylko z widzenia, ale wiedział, że piastuje ważne stanowisko w Departamencie Literatury. Był to gość około trzydziestki, o muskularnej szyi i dużych ruchliwych ustach. Siedział z głową odchyloną do tyłu pod takim kątem, że jego szkła odbijały światło, toteż zamiast oczu Winston widział dwa ślepe krążki. Zdumiewające, lecz z potoku słów, które facet bezustannie z siebie wylewał, nie można było rozróżnić ani jednego. Raz tylko udało się Winstonowi wyłowić zbitkę „całkowite i ostateczne wyplenienie goldsteinizmu", wyszczekaną tak szybko, że niemal wyplutą w jednym kawałku, niczym odlany wiersz druku. Reszta była tylko hałasem, kwakaniem, kwa-kwa-kwa. Jednakże mimo kłopotów ze zrozumieniem poszczególnych słów, Winston nie miał żadnych wątpliwości co do ogólnego charakteru wywodu. Może facet potępiał Goldsteina i żądał bardziej zdecydowanych działań przeciwko myślozbrodniarzom i sabotażystom, może oburzał się na zbrodnicze okrucieństwo wojsk eurazjatyckich, może wychwalał Wielkiego Brata albo bohaterów z frontu malabarskiego - nie miało to znaczenia. Cokolwiek mówił, była to najczystsza ortodoksja, najczystszy angsoc. Wpatrzony w bezoką twarz z poruszającą się gwałtownie szczęką, Winston miał dziwne uczucie, że obserwuje nie człowieka, lecz kukłę. Mówił nie mózg *mężczyzny,* tylko jego krtań. Wydobywające się z niej dźwięki składały się ze słów, ale nie tworzyły prawdziwej mowy; był to bezmyślny hałas, zupełnie jak kwakanie kaczki.

Syme zamilkł na chwilę i końcem łyżki zaczął rozmazywać po stole rozlany gulasz. Głos przy sąsiednim stoliku kwakał nieustannie, bez trudu wzbijając się nad gwar stołówki.

- Istnieje takie słowo w nowomowie - rzekł Syme - którego pewnie jeszcze nie znasz: *kwakmowa,* czyli mówienie podobne do kwakania kaczki. Jest to jedno z tych ciekawych słów, które mają dwa przeciwstawne znaczenia. W odniesieniu do wroga stanowi obelgę; w odniesieniu do kogoś, z kim się zgadzasz, komplement.

Nie ma dwóch zdań, że Syme'a czeka ewaporacja, pomyślał znów Winston. Pomyślał z pewnym smutkiem, aczkolwiek dobrze wiedział, że Syme nim gardzi i bez wahania zadenuncjowałby go jako myślozbrodniarza, gdyby tylko miał ku temu podstawy. Z Syme'em coś było nie w porządku. Czegoś mu brakowało: rozwagi, rezerwy, zbawczej głupoty. Nie żeby był nieprawomyślny. Wierzył w zasady angsocu, uwielbiał Wielkiego Brata, radował się ze zwycięstw, nienawidził rewizjonistów - wszystko nie tylko szczerze, lecz także z gorączkowym zapałem; co więcej, jego rozeznanie w aktualnej sytuacji politycznej znacznie przewyższało wiedzę innych szeregowych członków Partii. A jednak nie cieszył się dobrą sławą. Mówił to, co lepiej było przemilczeć, zbyt wiele czytał, przesiadywał w kawiarni Pod Kasztanem, uczęszczanej przez malarzy i muzyków. Nie obowiązywał żaden zakaz, nawet niepisany, odwiedzania tego lokalu, lecz bywanie tam nie wróżyło nic dobrego. Dawni, skompromitowani przywódcy partyjni zbierali się Pod Kasztanem często, dopóki nie objęła ich czystka. Podobno przed wielu, wielu laty widywano tam nawet samego Goldsteina. Tak więc los Syme'a łatwo było przewidzieć. A jednak Winston wiedział ponad wszelką wątpliwość, że gdyby choć na sekundę obnażył przed nim swoje prawdziwe uczucia, Syme natychmiast wydałby go Policji Myśli. Oczywiście, tak samo postąpiłby

każdy; ale Syme jako pierwszy. Lecz sama gorliwość nie wystarczy. Ortodoksyjność to nieświadomość.

Syme uniósł głowę.

- A oto i Parsons - rzucił.

Ton jego głosu niemal dopowiadał „ten zasrany kretyn". Parsons, współlokator Winstona z Bloku Zwycięstwa, tęgawy, średniego wzrostu blondyn o żabiej twarzy, istotnie szedł w ich stronę, klucząc między stolikami. Jak na trzydziesto-pięciolatka miał już pokaźne fałdy tłuszczu pod brodą i na biodrach, lecz jego ruchy nadal były zwinne i chłopięce. Właściwie sprawiał tak silne wrażenie małego chłopca w powiększeniu, że choć nosił regulaminowy kombinezon, trudno go było sobie wyobrazić w innym stroju niż granatowe spodenki, szara koszula i czerwona chusta Kapusiów. Myśląc o nim widziało się kolana z dołeczkami i podwinięte rękawy na pulchnych ramionach. Zresztą Parsons rzeczywiście wkładał chętnie szorty, ilekroć tylko nadarzała się ku temu okazja- piesza wycieczka lub inna rozrywka związana z wysiłkiem fizycznym. Przywitał Winstona i Syme'a wesołym „Czołem, czołem!", po czym usiadł obok, roztaczając intensywną woń potu. Jego różową twarz pokrywały gęsto krople. Miał wręcz nieprawdopodobny dar pocenia się. W osiedlowej świetlicy zawsze można było poznać, kiedy grał w ping-ponga, po mokrej rączce rakietki. Syme wyjął pasek papieru z długą kolumną słów i, z kopiowym ołówkiem w ręku, zaczął je studiować.

- Patrz, pracuje nawet w przerwie obiadowej! - zawołał Parsons, szturchając łokciem Winstona. - Ten się przykłada, co? Powiedz, stary, nad czym tak ślęczysz? Ech, dla mnie to pewnie i tak za mądre! Smith, stary druhu, dobrze, że cię dopadłem. Chodzi o tę dobrowolkę, którą zapomniałeś mi dać.

- Na co tym razem? - spytał Winston, automatycznie sięgając po pieniądze.

Prawie jedną czwartą pensji pochłaniały dobrowolne składki, tak liczne, że łatwo było w nich się pogubić.

- Na Tydzień Nienawiści. Wiesz, na fundusz osiedlowy. Jestem skarbnikiem naszego bloku. Staramy się jak nigdy, więc będzie na co popatrzeć. Osobiście robię wszystko, żeby Blok Zwycięstwa miał najwięcej flag na całej ulicy. Obiecałeś dwa dolary.

Winston wysupłał i wręczył mu dwa zmięte, brudne banknoty, a Parsons odnotował kwotę w niewielkim kajecie równym, starannym pismem półanalfabety.

- I jeszcze jedno, stary. Żona powiedziała mi, że ten mój szczeniak przysolił ci wczoraj z procy. Porządnie go obsztorcowałem. I nawet zagroziłem, że jeśli to się powtórzy, zabiorę mu procę.

- Chyba był trochę nie w sosie, że ominęła go egzekucja - rzekł Winston.

- Cóż, bywa... Ale jak mówią, nastawienie ma słuszne, sam przyznasz. Psotne szczeniaki, jedno i drugie, za to jakie gorliwe! W głowie im tylko Kapusie, no i wojna, oczywiście. Wiesz, co ta moja mała zrobiła w zeszłą sobotę, kiedy poszli całą drużyną na wycieczkę w okolice Berkhamsted? Namówiła dwie koleżanki, żeby też odłączyły się od reszty, i przez całe popołudnie śledziły jakiegoś faceta. Szły za nim bite dwie godziny, lasem, a gdy w końcu dotarli do Amersham, nasłały na niego patrol.

- Dlaczego? - spytał zdezorientowany Winston.

Parsons zaraz mu wyjaśnił triumfalnym tonem:

- Mała była pewna, że to szpieg. Może zrzucono go na spadochronie? Ale nie o to chodzi. Wiesz, stary, po czym zgadła? Spostrzegła, że ma dziwne buty, jakich nigdy jeszcze nie widziała. Więc od razu wykombinowała, że to cudzoziemiec. Smarkula ma dopiero siedem lat, a patrz, jaka cwana!

- Co się stało z tym człowiekiem? - spytał Winston.

- Nie wiem. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby... - Uniósł ręce, jakby celował z karabinu, po czym cmoknął głośno, naśladując wystrzał.

- I bardzo dobrze - pochwalił machinalnie Syme, nie odrywając oczu od paska papieru.

- Oczywiście, nie możemy ryzykować - przyznał z poczucia obowiązku Winston.
- Jak to mówią, trwa wojna, no nie?

Jakby na potwierdzenie tych słów z teleekranu tuż nad ich głowami rozległ się sygnał trąbki. Tym razem nie chodziło jednak o ogłoszenie kolejnego militarnego zwycięstwa, lecz o komunikat Ministerstwa Obfitości.

- Towarzysze! - zawołał ochoczo młodzieńczy głos. -Uwaga, towarzysze! Mamy dla was wspaniałe nowiny! Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo na froncie produkcyjnym! Z najnowszych kompleksowych zestawień statystycznych dotyczących produkcji artykułów konsumpcyjnych wynika, że w porównaniu z rokiem ubiegłym stopa życiowa obywateli wzrosła aż o dwadzieścia procent. Dziś rano w całej Oceanii odbyły się spontaniczne masowe manifestacje; ludzie wylegli z biur, z fabryk, defilowali ulicami, niosąc transparenty i wznosząc okrzyki na cześć Wielkiego Brata, aby wyrazić mu wdzięczność za nowe, szczęśliwe życie, jakie wiodą pod jego światłym kierownictwem. A oto niektóre z uzyskanych danych. Artykuły żywnościowe...

Zwrot „nowe, szczęśliwe życie" powtarzał się kilkakrotnie. Należał ostatnio do ulubionych określeń Ministerstwa Obfitości. Parsons, którego uwagę przykuł sygnał trąbki, siedział zasłuchany, z poważną miną i z rozdziawioną gębą; nudził się, ale w budujący sposób. Nie rozumiał przytaczanych liczb, wiedział jednak, że z jakichś względów są powodem do radości. Wyciągnął wielką, cuchnącą faję do połowy nabitą zwęglonym tytoniem. Tygodniowy przydział tytoniu wynosił zaledwie 100 gramów, rzadko więc kiedy można było nabić fajkę po brzeg główki. Winston palił Papierosa Zwycięstwa, trzymając go ostrożnie w pozycji poziomej. Zostały mu już tylko cztery, a nową kartkę mógł zrealizować dopiero nazajutrz. Skupił się, żeby nie słyszeć gwaru rozmów, i wsłuchał w głos płynący z teleekranu. Okazało się, że manifestowano również, by podziękować Wielkiemu Bratu za zwiększenie przydziału czekolady do dwudziestu gramów tygodniowo. A przecież zaledwie wczoraj, jak pamiętał Winston, nadano komunikat o zmniejszeniu przydziału do dwudziestu gramów. Czy możliwe, że wystarczą dwadzieścia cztery godziny, aby wszyscy przełknęli to kłamstwo? Tak, wystarczyły. Parsons przełknął je gładko, ze zwierzęcej głupoty. Bezoki stwór przy sąsiednim stoliku przełknął je fanatycznie, z zapałem, natychmiast pałając gwałtowną chęcią wyśledzenia, zadenuncjowania i ewaporowania każdego, kto twierdziłby, że w ubiegłym tygodniu przydział wynosił trzydzieści gramów. Syme również - w sposób bardziej złożony, dwójmyślny - ale też je przełknął. Czyżby więc tylko on jeden, Winston, obdarzony był pamięcią?

Fantastyczne dane wciąż lały się z teleekranu. W porównaniu z ubiegłym rokiem więcej było żywności, więcej odzieży, więcej domów, więcej mebli, więcej garnków, więcej paliw, więcej statków, więcej helikopterów, więcej książek, więcej noworodków - więcej wszystkiego oprócz chorób, przestępstw i szaleńców. Z roku na rok, wręcz z minuty na minutę, wszyscy i wszystko pięło się na coraz wyższe szczyty. Winston podniósł łyżkę i, tak jak wcześniej Syme, zaczął rozmazywać nią po blacie stołu jedną z odnóg gęstniejącej kałuży gulaszu. Rozmyślał z goryczą o materialnym poziomie życia. Czy zawsze było tak źle? Czy jedzenie zawsze miało tak podły smak? Rozejrzał się po stołówce. Niskie, zatłoczone pomieszczenie o ścianach szarych od dotyku niezliczonych ciał; poobijane metalowe stoły i krzesła, ustawione tak ciasno, że wszyscy niemal stykali się łokciami; pogięte łyżki, wyszczerbione tace, toporne białe kubki; każda powierzchnia zatłuszczona, każda szczelina wypełniona brudem; a wszędzie zatęchła, przemieszana woń podłego dżinu, kiepskiej kawy, kwaśnego gulaszu i nieświeżych ubrań. Ciało wzdrygało się, a kiszki skręcały na znak protestu, któremu towarzyszyło poczucie, że człowieka wykiwano, pozbawiając go czegoś, do czego miał niezbywalne prawo. Winston nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek było inaczej. Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze się nie dojadało, nosiło dziurawe skarpety i łataną bieliznę, meble były poobijane i krzywe, mieszkania niedogrzanie, metro zatłoczone, domy w rozsypce, chleb szary, kawa ohydna; herbata uchodziła za rarytas, papierosów nie wystarczało; niczego nie można było kupić tanio i bez ograniczeń z wyjątkiem syntetycznego dżinu. Oczywiście,

im człowiekowi przybywało lat, tym gorzej to wszystko znosił, ale skoro wzdrygał się na niewygody, brud i niedostatek, na nie kończące się zimy, lepkie od brudu skarpety, zepsute windy, chropowate mydło, rozpadające się papierosy i obrzydliwe, dziwne w smaku jadło, czyż nie był to właśnie znak, iż nie taki jest naturalny porządek rzeczy? Gdyby nie istniał w pamięci genetyczny zapis o innym, lepszym życiu, czy obecny świat wydawałby się aż tak obrzydliwy?

Znów rozejrzał się po stołówce. Niemal wszyscy byli brzydcy i tacy by pozostali, nawet gdyby ubrać ich w co innego niż identyczne granatowe kombinezony. Na drugim końcu sali niski mężczyzna, niezwykle podobny do pluskwy, siedział samotnie przy stoliku i pił kawę, co rusz zerkając podejrzliwie na boki maleńkimi oczkami. Jakże łatwo jest uwierzyć, pomyślał Winston, zwłaszcza jeśli ktoś nie rozgląda się dookoła, że typ fizyczny uważany przez Partię za ideał - wysocy, muskularni młodzieńcy i piersiaste dziewoje, wszystko jasnowłose, żywotne, opalone, beztroskie - istnieje, a nawet dominuje. W rzeczywistości, o ile mógł ocenić, większość mieszkańców Pasa Startowego Jeden była drobna, ciemna i nieurodziwa. Aż dziw, jak. typ pluskwy pienił się w ministerstwach: mali, przysadziści mężczyźni bardzo wcześnie nabierający tuszy, krótkonodzy, o chyżych, owadzich ruchach i nalanych, nieprzeniknionych twarzach z maleńkimi oczkami. To właśnie ten typ prosperował pod kierownictwem Partii.

Komunikat Ministerstwa Obfitości zakończył się również sygnałem trąbki; po nim rozległy się blaszane dźwięki muzyki. Parsons, w którym bombardowanie liczbami wzbudziło nie-sprecyzowany entuzjazm, wyjął fajkę z ust.

- No, Ministerstwo Obfitości rzeczywiście spisało się w tym roku na medal - rzekł kiwając z uznaniem głową. -Przy okazji, Smith, stary druhu, nie masz przypadkiem żyletki, którą mógłbyś mi odstąpić?

- Niestety - odparł Winston. - Sam od sześciu tygodni używam tej samej.

- Trudno. Ale wolałem się upewnić.

- Przykro mi.

Kwaczący głos przy sąsiednim stoliku, na krótko uciszony przez ministerialny komunikat, teraz wzbił się ponownie, donośny jak uprzednio. Nie wiedzieć czemu, Winstonowi stanęła przed oczyma pani Parsons ze swoimi rzadkimi włosami i zmarszczkami wypełnionymi kurzem. Jeszcze dwa lata, a dzieciaki zadenuncjują ją Policji Myśli. Pani Parsons zostanie ewaporowana. Syme również. I Winston. I O'Brien. Za to Parsons ostanie się na pewno. Tak samo bezoki stwór z głosem kaczki. Ostaną się mali urzędnicy podobni do pluskiew, pomykający tak zwinnie labiryntem ministerialnych korytarzy. Oraz ciemnowłosa dziewczyna z Departamentu Literatury. Zdawało mu się, że intuicyjnie wie, kto zginie, a kto przetrwa, chociaż nie umiałby jasno określić, jakie cechy gwarantują przetrwanie.

Nagle coś gwałtownie wyrwało go z zadumy. Dziewczyna przy sąsiednim stoliku obróciła się nieco i popatrzyła na niego. Była to brunetka z Departamentu Literatury. Przyglądała mu się spod oka z dziwną intensywnością. Zaledwie ich spojrzenia się spotkały, odwróciła wzrok.

Zimny pot zrosił plecy Winstona. Poczuł dreszcz panicznego strachu. Opanował się prawie natychmiast, lecz uporczywy niepokój pozostał. Dlaczego go obserwowała? Dlaczego za nim chodziła? Jak na złość nie pamiętał, czy siedziała już przy tym stoliku, kiedy się zjawił, czy usiadła tam dopiero później. W każdym razie wczoraj, podczas Dwóch Minut Nienawiści, zajęła miejsce tuż za nim, choć było wiele wolnych krzeseł. Najprawdopodobniej chciała sprawdzić, czy krzyczy odpowiednio głośno.

Znów pomyślał, że chyba jednak nie jest agentką Policji Myśli, ale cóż z tego, skoro właśnie szpicle amatorzy są najbardziej gorliwi. Nie wiedział, jak długo mu się przyglądała; mogła przecież obserwować go od pięciu minut, a nie miał pewności, czy przez cały ten czas dostatecznie panował nad mimiką. Oddawanie się rozmyślaniom w miejscu publicznym lub w zasięgu teleekranu było straszliwie niebezpieczne. Każdy drobiazg mógł człowieka zdradzić. Nerwowy tik, podświadomy wyraz troski, zwyczaj mamrotania do samego siebie - cokolwiek, co wyglądało na odstępstwo od

normy i mogło sugerować, że ma się coś do ukrycia. Zresztą niewłaściwy wyraz twarzy (na przykład niedowierzająca mina, gdy ogłaszano sukces militarny) stanowił sam w sobie przestępstwo, na które w nowomowie istniało odpowiednie określenie: *gębozbrodnia*.

Dziewczyna znów odwróciła się plecami do Winstona. Może wcale go nie śledziła; może to czysty przypadek, że dwa dni z rzędu usiadła tak blisko. Papieros mu zgasł, położył go więc ostrożnie na krawędzi blatu, zamierzając dopalić po pracy, o ile niechcący nie wysypie tytoniu. Nawet jeśli dziewczyna przy sąsiednim stoliku jest agentką Policji Myśli -a zatem nim miną trzy dni, Winstona zamkną w lochach Ministerstwa Miłości - to jeszcze nie powód, by marnować spory niedopałek. Syme złożył i schował do kieszeni pasek papieru. Parsons znów się odezwał:

- Czy opowiadałem ci, stary - spytał chichocząc przez zęby zaciśnięte na cybuchu fajki - jak to kiedyś te moje zuchy podpaliły kieckę babie na *bazarze*, bo zobaczyły, że zawija kiełbaski w plakat W.B.? Podkradły się od tyłu i podpaliły zapałkami! Nieźle była poparzona! Psotne szczeniaki, co? Ale jakie cwane! Przechodzą w Kapusiach pierwszej klasy trening, lepszy nawet niż za moich czasów. Wiesz, w co ich teraz wyposażają? W trąbki do podsłuchiwania przez dziurkę od klucza! Moja mała przyniosła taką do domu przed paroma dniami i wypróbowała na drzwiach do naszego pokoju; oznajmiła, że słyszy dwa razy lepiej, niż kiedy przykłada ucho. Oczywiście, to tylko zabawka. Ale sam przyznasz, że szkoli się ich w słusznym kierunku, nie?

W tym momencie teleekran wydał przejmujący gwizd. Był to znak, że pora wracać do pracy. Kiedy wszyscy trzej poderwali się na nogi, by dobiec do wind, zanim zrobi się przy nich ścisk, reszta tytoniu wysypała się z niedopałka.

6

Napisał w pamiętniku:

Wydarzyło się to trzy lata temu. Natknąłem się na nią ciemnym wieczorem w wąskiej bocznej uliczce w pobliżu dworca kolejowego. Stała przy bramie, pod latarnią, która rzucała tylko nikłe światło. Miała młodą twarz pokrytą grubo makijażem. To właśnie ten makijaż tak na mnie podziałał: twarz zupełnie biała, jak maska, usta jaskrawoczerwone. Kobiety należące do Partii nigdy się nie malują. Oprócz nas nie było nikogo, nie było też teleekranów. Powiedziała, że dwa dolary. Więc...

Przez chwilę nie mógł pisać dalej. Zamknął oczy i przycisnął palcami powieki, żeby wymazać obraz, który powracał w pamięci. Miał ochotę wykrzykiwać najgorsze przekleństwa, walić głową w ścianę, przewrócić kopniakiem stół, cisnąć kałamarz przez okno - zrobić coś gwałtownego, wywołać jakiś hałas lub nawet zadać sobie fizyczny ból, byleby tylko zatrzeć dręczące wspomnienie.

Najgroźniejszym wrogiem człowieka, pomyślał, jest jego układ nerwowy. Napięcie wewnętrzne może w każdej chwili ujawnić się poprzez zewnętrzne objawy. Przypomniał sobie mężczyznę, którego widział na ulicy przed kilkoma tygodniami: był to zupełnie zwyczajny jegomość, na oko poniżej czterdziestki, członek Partii, szczupły, dość wysoki, z teczką w ręce. Dzieliło ich zaledwie kilka metrów, gdy nagle jakiś skurcz wykrzywił lewą połowę twarzy tamtego. I po chwili znowu, kiedy się mijali; było to tylko drgnienie, w dodatku szybkie jak migawka, ale najwyraźniej zupełnie mimowolne. Winston pomyślał wtedy: dni tego biedaka są policzone.

Najstraszniejsze, że gość pewno wcale nie zdawał sobie sprawy ze swojego tiku. Jednakże największym niebezpieczeństwem było mówienie przez sen. A Winston nie wiedział, jak się przed tym ustrzec.

Wziął głęboki oddech i znów podjął pisanie:

Więc wszedłem za nią do bramy i dałem się zaprowadzić przez podwórze do kuchni w suterenie. Pod ścianą stało łóżko, a na stole przyćmiona lampa. Kobieta...

W gardle czuł suchość. Miał ochotę odplunąć. Myśląc o kobiecie z sutereny miał też przed oczami swoją żonę, Katherine. Winston bowiem był kiedyś żonaty - i prawdopodobnie nic się nie zmieniło, bo o ile wiedział, Katherine wciąż żyła. Znów poczuł w nozdrzach ciepły, duszny fetor sutereny, w którym smród pluskiew i odór brudnej odzieży mieszały się z wonią tanich perfum, obrzydliwą, lecz mimo to podniecającą, gdyż kobiety partyjne nie stosowały żadnych pachnideł; było wręcz niewyobrażalne, by któraś mogła to uczynić. Tylko pralki używały perfum. W jego umyśle zapach ten kojarzył się nierozerwalnie z kopulacją.

Pójście z tą kobietą stanowiło jego pierwszy występek tego typu od blisko dwóch lat. Oczywiście obowiązywał niepisany zakaz zadawania się z prostytutkami, lecz - zebrawszy się na odwagę - raz na pewien czas można go było złamać. Ryzykowało się wiele, ale za zbrodnię tę nie groziła kara śmierci. Przyłapani - chyba że mieli na sumieniu coś jeszcze -mogli się spodziewać kary pięciu lat ciężkich robót. Jeśli wiedziało się, jak uniknąć wpadki, sprawa nie nastręczała trudności. Ubogie dzielnice roiły się od kobiet gotowych sprzedawać swoje wdzięki. Czasami wystarczyła butelka dżinu, normalnie niedostępnego prolom. Po cichu Partia aprobowała nawet prostytucję, jako umożliwiającą zaspokojenie popędu, który nie dawał się całkowicie stłumić. Rozwiązłość nie przeszkadzała aż tak bardzo, o ile uprawiano ją potajemnie, bez radości i wyłącznie z kobietami należącymi do ujarzmionej i pogardzanej klasy. Zbrodnią niewybaczalną był stosunek pozamałżeński między członkami Partii. Ale -choć także i do tej zbrodni z reguły przyznawali się oskarżeni podczas wielkich czystek - trudno sobie wyobrazić, aby coś takiego naprawdę się zdarzyło.

Partia postawiła sobie za cel nie tylko powstrzymanie mężczyzn i kobiet od tworzenia związków, nad którymi nie miałaby żadnej kontroli. Uparcie, acz skrycie, dążyła do odarcia stosunku płciowego z wszelkiej przyjemności. Za wroga uważano nie tyle miłość, ile zmysłowość, zarówno w małżeństwie, jak i poza nim. Każdy związek małżeński między członkami Partii musiał zyskać akceptację specjalnej komisji i - choć nie istniał na to żaden paragraf - nie udzielano zgody kandydatom, którzy sprawiali wrażenie, że czują do siebie pociąg fizyczny. Jedynym akceptowanym celem małżeństwa było płodzenie przyszłych członków Partii. Sam stosunek płciowy należało traktować jako coś wzbudzającego odrazę, niczym lewatywa. Tego również nie mówiono wprost, lecz w pośredni sposób wpajano od dzieciństwa każdemu członkowi Partii. Działały nawet takie organizacje jak Młodzieżowa Liga Antyseksualna, które zalecały pełną wstrzemięźliwość płciową. Kobiety miano poddawać sztucznej inseminacji (w nowomowie *sztuczsem),* a urodzone przez nie dzieci wychowywać w specjalnych zakładach. Winston zdawał sobie sprawę, że projekt ten nie jest traktowany serio, aczkolwiek pasuje do ogólnej ideologii Partii. Partia usiłowała zabić popęd płciowy, a jeśli jej nie wychodziło, próbowała go przynajmniej spaczyć i zohydzić. Nie rozumiał dlaczego, ale ze strony Partii wydawało mu się to naturalne. I jeśli chodzi o kobiety, wysiłki te przynosiły pożądany rezultat.

Znów pomyślał o Katherine. Minęło dziewięć, dziesięć -blisko jedenaście lat, odkąd się rozstali. To dziwne, jak rzadko o niej myślał. Na długie tygodnie zapominał o tym, że jest żonaty. Byli razem tylko przez piętnaście miesięcy. Partia nie zezwalała na rozwody, ale małżeństwa bezdzietne na ogół zachęcano do separacji.

Katherine była prostą jak trzcina, wysoką, jasnowłosą dziewczyną o wspaniałych ruchach. Miała śmiałą, pociągłą twarz, która wydawała mu się uduchowiona - czysta iluzja, gdyż zaraz na samym początku małżeństwa Winston doszedł do wniosku, że ma do czynienia z najgłupszym, najprymitywniejszym i najbardziej pustym umysłem, z jakim dotąd się zetknął. Chociaż może wynikało to po prostu stąd, że poznał Katherine lepiej niż kogokolwiek. Głowę miała nabitą wyłącznie partyjnymi sloganami i zdolna była przełknąć każdą, dosłownie każdą bzdurę wymyśloną przez Partię. W myślach przezywał ją ludzkim gramofonem. Ale zniósłby jej towarzystwo, gdyby nie jedno - ich życie płciowe.

Ledwo jej dotknął, wzdrygała się i sztywniała. Obejmując ją czuł się tak, jakby obejmował drewnianą kukłę z ruchomymi kończynami. Najdziwniejsze, że nawet gdy leżał w jej ramionach, miał wrażenie, iż równocześnie odpycha go z całej siły. Uczucie to wywoływała sztywność jej członków, gdyż Katherine leżała z zamkniętymi oczami, ani się nie opierając, ani nie współuczestnicząc, lecz jakby biernie wszystko znosząc. Ich zbliżenia były nieprawdopodobnie żenujące, a z czasem stały się po prostu okropne. Ale mimo wszystko Winston wytrzymałby z żoną, gdyby się tylko zgodziła, by żyli w celibacie. Jednakże, ku jego zdumieniu, ta propozycja okazała się dla niej nie do przyjęcia. Oświadczyła, że muszą mieć dziecko. Tak więc powtarzali ten sam przykry rytuał regularnie raz na tydzień, chyba że akurat było to niemożliwe. Katherine nawet przypominała mu rano o czekającym ich akcie jak o czymś, co trzeba wykonać wieczorem i czego nie wolno zaniedbać. Posługiwała się dwoma określeniami. Pierwsze to „produkowanie dziecka", a drugie „nasz obowiązek wobec Partii" (tak jest, używała dokładnie tych słów!). Wkrótce Winston z coraz większym lękiem oczekiwał wyznaczonego dnia. Na szczęście Katherine nie zaszła w ciążę i w końcu zgodziła się zrezygnować z dalszych prób, a niedługo potem rozstali się na dobre.

Winston westchnął cicho, po czym znów ujął pióro i napisał:

Kobieta rzuciła się na łóżko i natychmiast, bez żadnych ceregieli, najbardziej ordynarnym, wstrętnym gestem, jaki można sobie wyobrazić, zadarta spódnicę. Wówczas ja...

Ujrzał siebie, jak stoi w bladym świetle lampy, wciągając w nozdrza woń pluskiew i tandetnych perfum, ogarnięty poczuciem klęski i urażonej godności, co nawet tam, w suterenie, wiązało się z myślą o białym ciele Katherine, obróconym w bryłę lodu przez hipnotyczną moc Partii. Dlaczego wszystko musiało zawsze źle się kończyć? Dlaczego, zamiast tych obmierzłych szamotanin powtarzających się w kilkuletnich odstępach, nie mógł mieć kobiety, którą by kochał? Ale prawdziwy romans nie mieścił się w głowie. Kobiety partyjne były wszystkie takie same. Czystość seksualną miały zakorzenioną równie głęboko jak lojalność wobec Partii. Poprzez umiejętne wczesne warunkowanie, przez gry i zimne prysznice, poprzez bzdury, które wpajano im w szkole, w Kapusiach i w Lidze Młodych, przez wykłady, pochody, piosenki, skandowanie haseł i wojskową muzykę udawało się stłumić w nich popęd naturalny. Rozum podpowiadał mu, że muszą istnieć wyjątki, lecz serce nie chciało w to wierzyć. Wszystkie znane mu kobiety były nie do zdobycia, tak jak tego oczekiwała od nich Partia. Bardziej jeszcze niż miłości pragnął obalić ten mur cnoty, choćby tylko raz w życiu. Udane spółkowanie było buntem. Pożądanie równało się myślozbrodni. Nawet rozbudzenie Katherine, jego własnej żony, oznaczałoby występek przeciwko Partii, gdyby mu się powiodło.

Ale musiał dokończyć swoją opowieść: Napisał:

Wówczas ja podkręciłem lampę. Kiedy ujrzałem kobietę w świetle...

Niewielki płomień lampy naftowej, kiedy rozbłysł w półmroku, wydał się niezwykle jasny. Winston dopiero teraz mógł się dobrze przyjrzeć kobiecie. Postąpił krok w jej stronę i przystanął, ogarnięty pożądaniem i lękiem. Był boleśnie świadom ryzyka, które podjął, przychodząc tutaj.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że patrol złapie go, kiedy będzie wychodził; bardzo możliwe, że policjanci już czekają za drzwiami. I tak go zwiną; nie może więc wyjść, nie zrobiwszy tego, po co wszedł...!

Musiał to napisać, musiał wyznać. Otóż w świetle zobaczył nagle, że kobieta jest **s t a r a.** Warstwa makijażu na jej twarzy była tak gruba, że mogła pęknąć niczym tekturowa maska. Widział włosy kobiety poprzetykane siwizną, lecz co najokropniejsze, gdy rozchyliła usta, ujrzał tylko czarną jamę. Prostytutka w ogóle nie miała zębów.

Nabazgrał szybkim, niestarannym pismem:

Kiedy ujrzałem kobietą w świetle, przekonałem się, że to stara baba, przynajmniej pięćdziesięcioletnia. Lecz nic nie mogło mnie powstrzymać: zrobiłem to, po co tam poszedłem.

Znów przycisnął palce do oczu. Wreszcie napisał wszystko, ale wcale mu nie ulżyło. Terapia nie odniosła skutku. Wciąż miał ochotę wrzeszczeć i kląć na całe gardło.

7

Jeśli jest jakakolwiek nadzieja, napisał Winston, *spoczywa w prolach.*

Jeśli jest jakakolwiek nadzieja, musi spoczywać w prolach, bo tylko pośród nich, w tej kotłującej się, lekceważonej masie stanowiącej 85% mieszkańców Oceanii, może się zrodzić siła zdolna obalić Partię. Partii nie sposób zniszczyć od wewnątrz. Jej wrogowie, o ile w ogóle istnieją, nie tylko nie potrafią się zjednoczyć, lecz także rozpoznawać. Nawet jeśli legendarne Braterstwo nie jest wyłącznie fikcją, trudno sobie wyobrazić, aby więcej niż dwóch lub trzech jego członków mogło spotykać się naraz. Wyrazem buntu było porozumiewawcze spojrzenie, modulacja głosu albo - co najwyżej - szeptem wypowiedziane słowo. Ale prole, gdyby tylko stali się świadomi własnej siły, nie musieliby spiskować. Wystarczyłoby, aby się podnieśli i otrząsnęli, niczym koń strącający muchy. Gdyby zechcieli, już jutro mogliby roznieść Partię w pył. Przecież chyba musi im to przyjść do głowy prędzej czy później! A jednak...

Przypomniał sobie, jak pewnego razu szedł rojną ulicą, gdy naraz potężny krzyk setek głosów - kobiecych głosów -buchnął z bocznej alejki nieco przed nim. Był to potężny, przeraźliwy krzyk rozpaczy i wściekłości, głębokie, głośne „Och-o-o-o-och", które wstrząsnęło powietrzem niczym bicie dzwonu. Serce kołatało mu mocniej. „Zaczęło się! -pomyślał. -Wybuchł bunt! Prole wreszcie zrzucają więzy!" Kiedy dotarł do rogu, ujrzał tłum, jakieś dwieście lub trzysta kobiet tłoczących się wokół straganów ulicznego kiermaszu, z twarzami tak przygnębionymi jak twarze pasażerów tonącego statku. Lecz w tej samej chwili wspólna *rozpacz* rozpadła się na dziesiątki pojedynczych kłótni. Okazało się, że na jednym straganie sprzedawano rondle, nędzne i z blachy cienkiej jak papier, ale i tak cenne, gdyż wszelkiego rodzaju garnki i sprzęty kuchenne były z trudem osiągalne. Teraz zapas się nagle skończył. Kobiety, które zdołały dokonać zakupu, popychane i potrącane przez resztę, usiłowały odejść ze swoją zdobyczą, podczas gdy dziesiątki innych tłoczyły się wokół straganu, oskarżając sprzedawcę o kumoterstwa i ukrywanie towaru. Znów rozległy się wrzaski. Dwie tłuste baby, jedna strasznie rozczochrana, uczepiły się blaszanego

rondla i próbowały wyrwać go sobie z rąk. Przez chwilę walczyły zajadle, aż nagle odpadł uchwyt. Winston obserwował je z niesmakiem. A jednak, przez moment, z jakąż przerażającą mocą brzmiał krzyk zaledwie dwustu gardeł! Dlaczego prole nigdy nie krzyczą tak głośno o czymś naprawdę istotnym?

Zanotował:

Dopóki nie palaczy ich świadomość, nigdy się nie zbuntują; dopóki się nie zbuntują, nie staną się świadomi.

To zdanie, pomyślał, wygląda jak żywcem przepisane z partyjnego podręcznika. Partia oczywiście utrzymywała, że wyzwoliła proli. Przed Rewolucją byli okrutnie ciemiężeni przez kapitalistów, głodzono ich i karano chłostą, kobiety zmuszano do pracy w kopalniach węgla (co prawda nadal w nich pracowały), a dzieci w wieku lat sześciu sprzedawano do fabryk. Równocześnie jednak, zgodnie z zasadami dwójmyślenia, Partia nauczała, że prole są gatunkiem z natury podlejszym, i należy - niczym zwierzęta - przymuszać ich do posłuszeństwa za pomocą pewnych nieskomplikowanych metod. W sumie bardzo mało wiedziano o prolach. Ale więcej nie trzeba było wiedzieć. Jak długo rozmnażali się i pracowali, nikogo nie obchodziło, co robią poza tym. Pozostawieni sobie, niczym bydło puszczone samopas na równinach Argentyny, powrócili do naturalnego dla nich stylu życia, odziedziczonego po przodkach. Rodzili się, wyrastali w rynsztokach, w wieku dwunastu lat szli do pracy, następnie przeżywali krótki okres rozkwitu urody i zmysłowości, w wieku lat dwudziestu żenili się, około trzydziestki wkraczali w wiek średni, a umierali na ogół około sześćdziesiątki. Ciężka praca fizyczna, prowadzenie domu i wychowywanie dzieci, sprzeczki z sąsiadami, filmy, piłka nożna, piwo, a przede wszystkim hazard zamykały ich horyzont myślowy. Utrzymanie proli w ryzach nie nastręczało trudności. Krążyła wśród nich garstka agentów Policji Myśli, rozprzestrzeniając fałszywe pogłoski oraz identyfikując i usuwając nieliczne jednostki, które uważano za potencjalnie groźne, lecz nie czyniono nic, by wszczepić im ideologię Partii. Było rzeczą wręcz niepożądaną, aby prole mieli zdecydowane poglądy polityczne. Wymagano od nich jedynie prymitywnego patriotyzmu, do którego można się było odwołać narzucając im wydłużony czas pracy lub zmniejszone racje żywnościowe. I nawet gdy wyrażali niezadowolenie, co się czasami zdarzało, nie prowadziło to do niczego, ponieważ żyli w nieświadomości politycznej i koncentrowali się wyłącznie na drobnych, pojedynczych bolączkach. Większe zło i jego przejawy niezmiennie umykały ich uwagi. Niewielu proli miało w domach teleekrany. Nawet policja obywatelska rzadko wtrącała się w ich sprawy. W Londynie przestępczość osiągnęła zastraszające rozmiary: roiło się od złodziei, rzezimieszków, prostytutek, handlarzy narkotyków i aferzystów wszelkiego autoramentu, ale ponieważ ich działalność ograniczała się do świata proli, nie uważano tego za istotne. W kwestiach obyczajowych pozwalano masom przejmować wzory przodków. Nie narzucano im partyjnej wstrzemięźliwości płciowej. Za rozwiązłość nie groziły kary, rozwody były dozwolone. Przypuszczalnie zezwolono by im nawet na odbywanie praktyk religijnych, gdyby wyrazili taką potrzebę lub chęć. Byli poza zasięgiem podejrzeń. Jak to ujmowało jedno z haseł Partii: „Prole i zwierzęta są wolne."

Winston opuścił rękę i ostrożnie podrapał owrzodzoną nogę. Znów go swędziła. W jego rozważaniach wciąż powracał problem niemożności dowiedzenia się, jak naprawdę wyglądało życie przed Rewolucją. Wyjął z szuflady szkolny podręcznik historii, pożyczony od pani Parsons, i przepisał do pamiętnika następujący fragment:

W dawnych czasach, przed sławną Rewolucją, Londyn nie był tym pięknym miastem, które znamy dzisiaj. Był ponurym siedliskiem brudu i nędzy, w którym większość ludzi chodziła głodna, a setki i tysiące biedaków nie tylko nie miały butów, lecz nawet dachu nad głową. Dzieci w waszym wieku musiały pracować przez dwanaście godzin na dobę u okrutnych mocodawców, którzy bili je

batami, jeśli pracowały zbyt wolno, karmili zaś wyłącznie suchymi skórkami od chleba i wodą. Pośród tej strasznej nędzy stało kilka ogromnych, wspaniałych domów. Mieszkali w nich bogacze, często obsługiwani aż przez trzydziestu służących. Ci bogacze nazywali się kapitalistami. Byli to tłuści, obmierzli ludzie o srogich obliczach, tacy jak ten ze zdjęcia na sąsiedniej stronie. Widzicie, że ubrany jest w długą czarną kurtkę, zwaną surdutem, oraz dziwaczny, lśniący kapelusz podobny do rury od pieca, zwany cylindrem. Tak właśnie wyglądały mundury kapitalistów i nikt inny nie mógł ich nosić. Cały świat należał do kapitalistów, a reszta ludzkości była ich niewolnikami. Kapitaliści posiadali wszystką ziemię, wszystkie domy, wszystkie fabryki i wszystkie pieniądze. Jeśli ktoś był im nieposłuszny, mogli go wtrącić do więzienia albo pozbawić pracy i zagłodzić na śmierć. Kiedy zwykły człowiek zwracał się do kapitalisty, musiał zdejmować z głowy czapkę, płaszczyć się przed nim, kłaniać i tytułować go „jaśnie wielmożnym panem". Przywódca wszystkich kapitalistów nazywał się król i...

Na pamięć znał resztę wywodu. Dalej była mowa o biskupach w szatach z batystowymi rękawami, o sędziach w gronostajach, o pręgierzu, dybach, kieratach poruszanych siłą ludzkich mięśni, o karze chłosty, o obiadach inauguracyjnych burmistrzów Londynu i zwyczaju całowania papieża w duży palec u nogi. Istniało też coś zwanego *ius primae noctis*, choć nie sądził, aby wspominano o tym w podręczniku dla dzieci. Tak zwało się prawo pozwalające każdemu kapitaliście sypiać ze wszystkimi kobietami zatrudnionymi w jego fabryce.

Jak tu stwierdzić, co z tego jest kłamstwem? Mogło być prawdą, że przeciętnemu człowiekowi wiodło się obecnie lepiej niż przed Rewolucją. Jedynym dowodem przeciw był niemy protest własnego ciała, instynktowna pewność, że warunki, w jakich się żyje, są nieznośne i kiedyś musiały być inne. To nie okrucieństwo i poczucie lęku najpełniej charakteryzowały współczesność, lecz ubóstwo, obskurność i apatia. Wystarczyło się rozejrzeć, aby stwierdzić, iż życie nie tylko nie przypomina kłamstw lejących się potokami z teleekranu, lecz także odbiega daleko od partyjnego ideału. Codzienność, nawet dla członków Partii, składała się w przeważającej mierze z zajęć apolitycznych i neutralnych, takich jak ślęczenie za biurkiem, tłoczenie się w metrze, cerowanie dziurawych skarpet, oszczędzanie niedopałków i próby wycyganienia od znajomych pastylki sacharyny. Ideał, do którego dążyła Partia, cechowały rozmach, monstrualność i połysk: był to świat ze stali i betonu, świat gigantycznych maszyn i straszliwej broni, świat wojowników i fanatyków maszerujących naprzód noga w nogę, identycznie myślących i skandujących te same hasła, wiecznie zapracowanych, walczących, triumfujących i szpiegujących się wzajem - trzysta milionów obywateli o jednej twarzy. Tymczasem na rzeczywistość składały się żałosne, sypiące się miasta, których ulice przemierzali niedożywieni ludzie w przemakających butach, ludzie z odrapanych dziewiętnastowiecznych czynszówek cuchnących gotowaną kapustą i pozatykanymi ustępami. Winston ujrzał w wyobraźni panoramę Londynu - jedną ogromną ruinę, miasto miliona śmietników, a na jego tle postać pani Parsons, kobiety o pomarszczonej twarzy i rzadkich włosach, bezskutecznie usiłującej przepchać rurę odpływową.

Znów podrapał się w kostkę. Dzień w dzień i noc w noc lały się z teleekranu, aż uszy puchły, dane statystyczne dowodzące, że obecnie ludzie mają więcej żywności, więcej odzieży, więcej rozrywek i lepsze domy - że żyją dłużej, pracują krócej, są roślejsi, zdrowsi, silniejsi, szczęśliwsi, inteligentniejsi i bardziej wykształceni niż ludzie pięćdziesiąt lat temu. Nie sposób było się przekonać, czy choćby jedna z tych informacji jest prawdziwa. Partia twierdziła na przykład, iż analfabetyzm wśród dorosłych proli spadł do 60%, podczas gdy przed Rewolucją wynosił aż 85%; współczynnik śmiertelności niemowląt zmalał do 160 na 1000 urodzeń, podczas gdy przed Rewolucją wynosił 300 - i tak dalej. Przypominało to jedno równanie z dwiema niewiadomymi. Mogło się okazać, że dosłownie każde zdanie w podręcznikach historii, nawet dotyczące spraw bezspornych, jest od początku do końca zmyślone. Równie dobrze mogło przecież nigdy nie istnieć

żadne prawo *ius primae noctis*, żadna istota zwana kapitalistą, żadne nakrycie głowy zwane cylindrem.

Wszystko rozmywało się we mgle. Przeszłość wymazywano, o fakcie wymazania zapominano, i kłamstwo stawało się prawdą. Tylko raz w życiu - i, co najistotniejsze, p o całym wydarzeniu - miał w ręku konkretny, namacalny dowód fałszerstwa. Trzymał go w palcach przez trzydzieści sekund. Zdarzyło się to chyba w 1973 roku - w każdym razie mniej więcej wtedy, gdy rozstał się z Katherine. Ale znacząca data była o siedem czy osiem lat wcześniejsza.

Cała historia rozpoczęła się w połowie lat sześćdziesiątych, w okresie wielkich czystek, kiedy to raz na zawsze rozprawiono się z faktycznymi przywódcami Rewolucji. Do roku 1970 nie ostał się żaden oprócz Wielkiego Brata. Wszystkich zdemaskowano jako zdrajców i kontrrewolucjonistów. Goldstein zbiegł i gdzieś się ukrywał; z innych część po prostu znikła, a większość została stracona po jawnych pokazowych procesach, na których wszyscy przyznali się do zarzucanych im zbrodni. Wśród garstki ocalałych znajdowali się trzej działacze o nazwiskach Jones, Aaronson i Rutherford. Aresztowano ich chyba w 1965 roku. Jak to się często zdarzało zniknęli na rok albo dłużej; nikt nie wiedział, czy jeszcze żyją, kiedy nagle pojawili się na sali sądowej, aby - zgodnie z przyjętą praktyką - złożyć inkryminujące ich samych zeznania. Przyznali się do wchodzenia w konszachty z wrogiem (w owym czasie, podobnie jak teraz, wrogiem była Eurazja), sprzeniewierzenia funduszy państwowych, zamordowania wielu wybitnych członków Partii, spiskowania przeciwko kierownictwu Wielkiego Brata na długo przed wybuchem Rewolucji oraz do prowadzenia akcji sabotażowej, w wyniku której setki tysięcy osób poniosły śmierć. Po tej spowiedzi amnestionowano ich, przyjęto z powrotem do Partii i przydzielono im ważne na pozór stanowiska, faktycznie będące tylko synekurami. Po kolei napisali do „The Times" sążniste, łzawe artykuły, w których roztrząsali przyczyny swojej zdrady i obiecywali naprawić wyrządzone zło.

W jakiś czas później Winston ujrzał wszystkich trzech w kafejce Pod Kasztanem. Pamiętał lękliwą fascynację, z jaką przypatrywał się im kątem oka. Byli o wiele starsi od niego -relikty dawnego świata, właściwie ostatnie legendarne postacie z wczesnych, bohaterskich lat Partii - i wciąż otoczeni lekko tylko zmurszałym nimbem sławy jako uczestnicy walki podziemnej i wojny domowej. Winstonowi zdawało się - choć już wówczas fakty i daty traciły ostrość - że znał ich nazwiska znacznie wcześniej, niż usłyszał o Wielkim Bracie. Ale byli również zbrodniarzami, wrogami, pariasami, których nie powinna ominąć likwidacja w ciągu najbliższego roku, może dwóch lat. Nikt, kto raz wpadł w ręce Policji Myśli, nie uchodził z życiem. Byli trupami, czekającymi na odesłanie do grobu.

Sąsiednie stoliki stały puste. Nawet samo przebywanie w pobliżu takich ludzi było głupotą. Siedzieli w milczeniu nad szklankami dżinu zaprawionego goździkami, specjalnością lokalu. Największe wrażenie zrobił na Winstonie wygląd Rutherforda. Był to niegdyś głośny karykaturzysta, którego jadowite rysunki pomogły rozbudzić świadomość mas jeszcze przed Rewolucją. Nawet teraz ukazywały się z rzadka w „The Times". Jednakże te obecne, mimo iż stanowiły kontynuację dawnego stylu Rutherforda, były dziwnie martwe i nieprzekonujące. Wciąż powtarzały się w nich te same oklepane motywy: rudery, głodujące dzieci, walki uliczne i kapitaliści w cylindrach, z którymi nie rozstawali się nawet na barykadach - nieustająca, beznadziejna próba powrotu do przeszłości. Rutherford był monstrualnych rozmiarów człowiekiem z grzywą siwych, pozlepianych włosów, worami pod oczyma, o twarzy poznaczonej bruzdami i grubych, murzyńskich wargach. Kiedyś musiał odznaczać się niesamowitą siłą, lecz teraz jego potężne ciało garbiło się, wybrzuszało, rozlewało i rozłaziło na wszystkie strony. Patrząc na niego trudno się było oprzeć wrażeniu, że zaraz cały się rozpadnie niczym zwietrzały odłam skalny.

Dochodziła godzina piętnasta; spokojna pora. Winston nie pamiętał już, dlaczego znalazł się w kafejce tak wcześnie. Lokal był prawie pusty. Z teleekranów sączyła się jakaś metaliczna muzyka. Trzej mężczyźni siedzieli w rogu sali, niemal bez ruchu i nie odzywając się słowem. Kelner, nie proszony, podał im nowe szklanki dżinu. Przed sobą mieli szachownicę z

rozstawionymi figurami, ale dotąd nie rozpoczęli partii. Wtem coś dziwnego stało się z teleekranem i trwało chyba z pół minuty. Zmieniła się nie tylko melodia, ale także charakter muzyki. Wkradła się w nią - aż trudno to opisać -jakaś dziwaczna, fałszywa, skrzecząca i szydercza nuta, dosłownie ociekająca żółcią, po czym jakiś głos zaśpiewał:

Pod konarami kasztana
Pan sprzedał mnie, a ja pana;
Ich pogrzebano, a my od rana
Pod konarami kasztana.

Trzej mężczyźni ani drgnęli. Ale gdy Winston znów zerknął na zniszczoną twarz Rutherforda, zobaczył, że jego oczy są **mokre od łez**. I dopiero teraz dostrzegł, i aż się wzdrygnął, choć nie wiedział dlaczego, iż Aaronson i Rutherford mają złamane nosy.

Niedługo potem wszystkich trzech znów aresztowano. Podobno natychmiast po zwolnieniu zaczęli od nowa spiskować. W trakcie drugiego procesu raz jeszcze przyznali się do swoich dawnych zbrodni i do całego szeregu świeżo popełnionych. Zostali straceni, a ich los odnotowano w partyjnych kronikach jako ostrzeżenie dla przyszłych pokoleń. Mniej więcej pięć lat później, w 1973 roku, rozwijając rulon dokumentów, który wypadł na jego biurko z rury pneumatycznej, Winston znalazł wśród nich zwitek papieru; ktoś najwyraźniej dołączył go do innych, a później zapomniał usunąć. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby Winston uświadomił sobie wagę odkrycia. Była to połowa strony wyrwanej z numeru „The Times" sprzed dziewięciu lat - górna połowa, a więc opatrzona datą - na której widniało zdjęcie delegacji przebywającej w Nowym Jorku w związku z jakąś partyjną uroczystością. W samym środku grupy stali Jones, Aaronson i Rutherford. Nie mogło być mowy o pomyłce; zresztą podpis pod zdjęciem wymieniał ich nazwiska.

Niezwykłość dokumentu polegała na tym, że podczas obu procesów wszyscy trzej zeznali, iż akurat tego dnia byli na terytorium Eurazji. Z tajnego lotniska w Kanadzie polecieli na Syberię, gdzie spotkali się z członkami Sztabu Generalnego Armii Eurazjatyckiej i zdradzili im ważne tajemnice wojskowe. Data utkwiła Winstonowi w pamięci, gdyż właśnie w ów dzień wypadało letnie przesilenie; te same informacje znalazły się zapewne w dziesiątkach innych źródeł. Wniosek nasuwał się jeden: zeznania były fałszywe.

To, samo w sobie, trudno uznać za rewelację. Winston dawno już przestał wierzyć, że ludzie likwidowani podczas czystek naprawdę popełnili zarzucane im zbrodnie. Ale po raz pierwszy miał w ręku namacalny dowód: skrawek zniszczonej przeszłości, który - podobnie jak skamielina znaleziona w niewłaściwej warstwie geologicznej może obalić naukową teorię - wystarczyłby, aby zniszczyć Partię, gdyby jakimś cudem udało się go ogłosić i wytłumaczyć światu jego sens.

Nie przerwał pracy. Ledwo ujrzał zdjęcie i zdał sobie sprawę z jego wagi, natychmiast przykrył je kartką papieru. Na szczęście, kiedy rozwijał skrawek przed teleekranem, trzymał go do góry nogami.

Oparł notatnik na kolanie i odsunął krzesło do tyłu, żeby znaleźć się jak najdalej od teleekranu. Utrzymanie nieprzeniknionego wyrazu twarzy nie nastręczało specjalnych trudności; nad oddechem też umiał panować, choć wymagało to pewnego wysiłku; nie potrafił jednak zwolnić przyspieszonego bicia serca, a wiedział, że teleekran jest dostatecznie czuły, aby je wychwycić. Odczekał dziesięć minut, cały czas cierpiąc katusze z obawy, że nagle wydarzy się coś, co go zdradzi -na przykład nagły przeciąg zdmuchnie papiery z biurka. Po czym zgarnął zdjęcie, nie oglądając go więcej, wraz z jakimiś brudnopisami i wrzucił do luki pamięci. Minutę później prawdopodobnie obróciło się w popiół.

Wydarzyło się to dziesięć czy jedenaście lat temu. Dziś najpewniej zachowałby zdjęcie. Dziwne, ale fakt, że trzymał je w palcach, nadal wydawał mu się istotny, choć zarówno zdjęcie, jak

i to, co przedstawiało, były jedynie odległym wspomnieniem. Czyż pięść Partii słabiej zaciskała się na przeszłości tylko dlatego, że pewien zniszczony już dowód istniał przed laty?

Dziś zdjęcie, nawet gdyby udało się je wydobyć jakoś z popiołów, mogło nie stanowić żadnego dowodu. Już wówczas, kiedy dokonał swojego odkrycia, Oceania nie prowadziła wojny z Eurazją, a zatem według obowiązującej wersji trzej straceni działacze niewątpliwie zdradzili tajemnice swojej ojczyzny agentom Wschódazji. Od tego czasu nastąpiły kolejne zmiany sojuszy - dwie, trzy, sam nie był pewien ile. Zeznania zapewne każdorazowo przerabiano, aż w końcu rzeczywiste fakty i daty straciły jakiekolwiek znaczenie. Przeszłość nie tylko że się zmieniała, lecz zmieniała się nieustannie. Uczucie pogrążenia się w koszmarze potęgowała w Winstonie niemożność zrozumienia, dlaczego podjęto się tego gigantycznego szalbierstwa. Natychmiastowe korzyści płynące z fałszowania przeszłości były ewidentne, lecz zasadnicza przyczyna fałszerstw pozostawała dla niego zagadką. Znów ujął pióro i napisał:

Rozumiem JAK; nie rozumiem DLACZEGO.

Zaczął się zastanawiać, zresztą nie po raz pierwszy, czy przypadkiem nie postradał zmysłów. Może wariat to po prostu członek jednoosobowej mniejszości. Niegdyś oznaką szaleństwa było upieranie się, że Ziemia obraca się wokół Słońca; dziś wiara, że przeszłość jest niezmienna. Może tylko on jeden wierzył w niezmienność przeszłości; jeśli tak, był wariatem. Myśl ta nie sprawiła mu specjalnej przykrości -bardziej się lękał tego, że może nie mieć racji.

Wziął do ręki szkolny podręcznik historii i popatrzył na portret Wielkiego Brata na frontyspisie. Z miejsca przeszył go hipnotyzujący wzrok wodza. Miał wrażenie, jakby miażdżyła go potworna siła, jakby coś wdzierało się do jego mózgu, napawało ogłupiającym lękiem, niemal zmuszało do odrzucenia świadectwa zmysłów. Pewnego dnia Partia ogłosi, że dwa i dwa to pięć, i wszyscy będą musieli w to uwierzyć. Prędzej czy później właśnie do tego dojdzie; taki krok był logicznym następstwem dotychczasowej linii. Ideologia Partii negowała pośrednio nie tylko świadectwo zmysłów, lecz samo istnienie świata zewnętrznego. Za największą herezję l uznawano zdrowy rozsądek. Najbardziej przerażało nawet nie | to, że mogą zabić człowieka za odmienność poglądów, lecz że mogą mieć rację. Bo przecież skąd naprawdę wiadomo, że dwa i dwa to cztery? Lub że istnieje siła grawitacji? Albo że przeszłość jest niezmienna? Jeśli zarówno przeszłość, jak i świat zewnętrzny istnieją wyłącznie w naszym umyśle, a umysł można kontrolować - co wtedy?

Ależ nie! Nagle w Winstona wstąpiła nowa otucha. Twarz| O'Briena, nie przywołana żadnymi skojarzeniami, stanęła mu w myślach. Czuł, z większą pewnością niż dotychczas, że O'Brien jest jego sprzymierzeńcem. Pisał dla O'Briena - do O'Briena: pamiętnik był jakby nie kończącym się listem, którego nikt nigdy nie przeczyta, lecz fakt, że adresowany jest do konkretnej osoby, wpływa na jego kształt.

Partia żądała, aby odrzucić świadectwo własnych oczu i uszu. Taki był jej podstawowy, najważniejszy rozkaz. Winstona ogarnęło przygnębienie na myśl o zwróconej przeciwko niemu ogromnej potędze Partii, o łatwości, z jaką każdy partyjny intelektualista pokonałby go w dyspucie, posługując się subtelnymi argumentami, których on nie potrafiłby nawet zrozumieć, a cóż dopiero odeprzeć. A jednak miał słuszność! To oni byli w błędzie, nie on. Należy bronić tego, co oczywiste i prawdziwe, mniejsza, że naiwne. Truizmy nie kłamią, na nich należy się opierać! Realny świat istnieje, jego prawa się nie zmieniają. Kamienie są twarde, woda jest mokra, przedmiot nie podtrzymywany spada w kierunku środka ciężkości Ziemi. Z poczuciem, że zwraca się do O'Briena i że zapisuje niezmiernie ważny aksjomat, zanotował:

Wolność oznacza prawo do twierdzenia, że dwa i dwa to cztery. Z niego wynika reszta.

8

Z jakiejś klatki schodowej wydobywał się na ulicę zapach palonej kawy - prawdziwej kawy, nie Kawy Zwycięstwa. Winston zatrzymał się mimo woli. Przez kilka sekund znów przebywał w na pół zapomnianym świecie dzieciństwa. Potem drzwi zatrzasnęły się z hukiem i zapach znikł tak raptownie, jak urywa się dźwięk.

Winston przemaszerował ulicami kilka kilometrów i owrzodzona noga dokuczała mu coraz silniej. Po raz drugi w ciągu trzech tygodni nie poszedł wieczorem do świetlicy osiedlowej - nierozważny krok, gdyż na pewno dokładnie sprawdzano, kto jest obecny. Uważano, że członek Partii nie powinien mieć wolnego czasu i dopóki nie położy się spać, ani chwili przebywać sam. Kiedy nie pracował, nie jadł lub nie spał, miał obowiązek uczestniczyć w życiu zbiorowym swojej społeczności; robienie czegokolwiek, co zdradzało zamiłowanie do samotnictwa - choćby pójście na spacer w pojedynkę - uchodziło za niebezpieczne. Nawet istniał na to w nowomowie odpowiedni termin: *sobizm,* oznaczający skłonność do indywidualizmu i ekscentryczności. Ale tego popołudnia, gdy Winston wyszedł z ministerstwa, skusiło go wonne kwietniowe powietrze. Niebo miało cieplejszy odcień błękitu niż kiedykolwiek w tym roku i nagle myśl o długim wieczorze w hałaśliwej świetlicy, o uczestniczeniu w nudnych, męczących grach i słuchaniu odczytów w sztucznej atmosferze koleżeństwa podsycanej dżinem, wydała mu się nie do zniesienia. Niewiele myśląc, minął przystanek i zagłębił się w labirynt londyńskich ulic: najpierw skierował się na południe, potem na wschód, potem znów na północ; gubił się w nieznanych dzielnicach i nawet nie zastanawiał nad tym, dokąd idzie.

„Jeśli jest jakakolwiek nadzieja - zanotował niedawno w pamiętniku - spoczywa w prolach". Słowa te wciąż powracały w jego myślach: stwierdzenie jakby mistycznej prawdy, a zarazem oczywisty absurd. Znajdował się pośród brunatnych slumsów ciągnących się na północny wschód od dawnego dworca Saint Pancras. Szedł po brukowanej kocimi łbami uliczce jednopiętrowych domków o odrapanych i dziwnie podobnych do mysich nor bramach wychodzących bezpośrednio na chodnik. Miejscami na bruku stały kałuże brudnej wody. Przez ciemne bramy i wąskie zaułki po obu stronach ulicy przelewały się zbite tłumy - dziewczyny w kwiecie wieku z wulgarnie umalowanymi ustami, uganiający się za nimi młodzieńcy, rozdęte, ociężałe baby, w jakie dziewczyny przeistoczą się za lat dziesięć, zgarbieni starcy powłóczący niemrawo nogami oraz obdarte, bose dzieciaki, które taplały się w kałużach i pierzchały na gniewny krzyk matek. Jedna czwarta okien była bez szyb i zabita deskami. Większość ludzi nie zwracała na Winstona uwagi; zaledwie parę osób przypatrywało mu się z ostrożnym zaciekawieniem. Dwie monstrualnych rozmiarów baby w fartuchach, z rękami barwy cegły złożonymi na piersiach, rozmawiały przed jedną z bram. Winstona doleciały strzępy ich rozmowy.

- Więc mówię tej idiotce, gadaj se zdrowa. Ale na moim miejscu zrobiłabyś to samo. Lepiej się nie wtrącaj. Ty masz własne kłopoty, a ja własne. Tak jej powiedziałam!

- Święta prawda! - zawołała druga. - Każdy ma własne kłopoty!

Podniesione głosy umilkły nagle. Kiedy przechodził obok, kobiety obserwowały go we wrogim milczeniu. Choć może ich milczenie było nie tyle wrogie, ile czujne; zesztywniałyby tak samo, gdyby mijało je obce zwierzę. Granatowy kombinezon członka Partii musiał przedstawiać rzadki widok w tej części miasta. Prawdę mówiąc, odwiedzanie takich miejsc nie było zbyt rozsądne, chyba że miało się jakiś konkretny interes. Winston wiedział, że gdyby natknął się na patrol, policjanci mogliby go zatrzymać. „Pokażcie dokumenty, towarzyszu. Co tu robicie? O której wyszliście z pracy? Którędy zwykle wracacie do domu?" - i tak dalej. Powrót do domu odmienną

trasą nie był zabroniony, lecz ktoś przyłapany na tym niechybnie zwróciłby na siebie uwagę Policji Myśli.

Nagle na całej ulicy wybuchł tumult. Ze wszystkich stron posypały się ostrzegawcze wrzaski. Ludzie pierzchali do bram niczym spłoszone króliki. Z bramy tuż przed Winstonem wyskoczyła jakaś młoda kobieta, porwała dziecko bawiące się w kałuży, zakryła je fartuchem i znów zniknęła w bramie, wszystko w ułamku sekundy. W tej samej chwili z bocznej alejki wyłonił się mężczyzna w czarnym ubraniu pofałdowanym jak harmonia i przebiegając obok Winstona krzyknął:

- Parowa! Człowieku, uważaj! Już leci! Padnij na ziemię!

„Parowami" prole nazywali pociski rakietowe. Winston natychmiast rzucił się na bruk. Prole niemal nigdy się nie mylili w swoich ostrzeżeniach. Jakiś szósty zmysł podpowiadał im kilka sekund wcześniej, że nadlatuje pocisk, aczkolwiek rakiety poruszały się z ponaddźwiękową prędkością. Winston przykrył rękami głowę. Rozległ się huk, od którego aż zatrzęsła się ziemia; Winston poczuł, jak coś drobnego spada mu na plecy. Kiedy wstał, przekonał się, że cały jest posypany odłamkami szkła z najbliższego okna.

Ruszył przed siebie. Dwieście metrów dalej pocisk zniszczył kilka domów. Pióropusz czarnego dymu piął się wysoko w niebo, a niżej rozpościerała chmura białego pyłu; Winston dojrzał w niej sylwetki ludzi gromadzących się wokół ruin. Na chodniku przed nim leżała kupka gruzu, pośrodku której coś się czerwieniło. Kiedy podszedł bliżej, ujrzał oderwaną ludzką dłoń. Z kikuta lała się krew, lecz sama dłoń była cała i tak dokładnie pokryta białym pyłem, że wyglądała jak gipsowy odlew.

Kopnął paskudztwo do rynsztoku, po czym - dla ominięcia tłumu - skręcił w prawo w boczną uliczkę. Po kilku minutach znalazł się poza obszarem dotkniętym eksplozją; tu nędzne, rojne życie uliczne toczyło się tak, jakby nic się nie stało. Dochodziła dwudziesta i w uczęszczanych przez proli piwo-sklepach (zwanych przez nich „piwiarniami") panował tłok. Zza brudnych, rozkołysanych wahadłowych drzwi zalatywało moczem, trocinami i skwaśniałym piwem. W płytkim zaułku między domami stało trzech proli zbitych w ciasną gromadkę -ten w środku trzymał złożoną gazetę, którą wszyscy bacznie studiowali. Zanim Winston zbliżył się na tyle, aby ujrzeć twarze, domyślił się napięcia mężczyzn po układzie ich ciał. Musieli czytać jakieś niezwykle ważne wiadomości. Kiedy dzieliło go od nich zaledwie kilka kroków, prole nagle odskoczyli od siebie; dwaj byli wyraźnie wściekli. Przez chwilę wyglądało nawet na to, że dojdzie między nimi do bitki.

- Cholera jasna, głuchy jesteś czy co?! Ile razy mam ci powtarzać, że od czternastu miesięcy nie wygrał żaden numer zakończony siódemką!

- A właśnie że wygrał!

- Gówno! Od dwóch lat zapisuję każdy numer, regularnie jak w zegarku. I mówię ci, że nie padła żadna liczba...

- Właśnie że siódemka wygrała! Kurwa, pamiętam nawet końcówkę: cztery zero siedem. Było to w lutym, drugiej niedzieli lutego...

- W lutym?! Takiego wała! Mam zapisane wszystkie numery i mówię ci, że żaden...

- No już, dajcie spokój! - wtrącił trzeci.

Chodziło o Loterię. Uszedłszy jakieś trzydzieści metrów, Winston spojrzał za siebie. Mężczyźni z twarzami nabiegłymi krwią wciąż sprzeczali się zawzięcie. Loteria, w której co tydzień padały olbrzymie wygrane, była jedyną publiczną imprezą poważnie traktowaną przez proli. Prawdopodobnie dla iluś milionów stanowiła główny, jeśli nie jedyny sens życia. Była ich radością, szaleństwem, odtrutką na codzienność, intelektualną podnietą. Kiedy rzecz dotyczyła Loterii, nawet półanalfabeci dokonywali skomplikowanych obliczeń i niesamowitych wyczynów pamięci. Istniało całe zbiorowisko ludzi, którzy utrzymywali się wyłącznie ze sprzedaży systemów, prognoz i amuletów przynoszących szczęście. Winston nie miał nic wspólnego z prowadzeniem

Loterii, jako że podlegała Ministerstwu Obfitości, ale orientował się, podobnie jak wszyscy członkowie Partii, iż wygrane są w większości ułudą. Tylko drobne sumki rzeczywiście wypłacano; główne nagrody przypadały fikcyjnym osobom. Pomiędzy prowincjami Oceanii nie istniała praktycznie żadna łączność, więc prawdę łatwo dawało się ukryć.

Lecz jeśli była jakakolwiek nadzieja, spoczywała w prolach. Tej myśli musiał się trzymać kurczowo. Ujęta w słowa, brzmiała rozsądnie; dopiero gdy patrzyło się na postacie spacerujące chodnikami, stawała się wyłącznie aktem wiary. Ulica, w którą skręcił, opadała w dół. Wydało mu się, że już kiedyś był w tej okolicy i że gdzieś w pobliżu biegnie jedna z głównych arterii. Skądś doleciał go zgiełk podniesionych głosów. Ulica znów skręciła ostro, po czym nagle zakończyła się schodami wychodzącymi na alejkę, w której stało kilka straganów ze zwiędłymi warzywami. Teraz dopiero zorientował się, gdzie jest. Alejka prowadziła do głównej arterii; za najbliższym rogiem, zaledwie pięć minut drogi stąd, mieścił się sklepik z rupieciami, w którym kupił zeszyt służący mu za pamiętnik. A kilka kroków dalej sklepik z przyborami piśmiennymi, gdzie nabył pióro i atrament.

Zatrzymał się na moment u szczytu schodów. Po drugiej stronie alejki ujrzał obskurną piwiarenkę z tak potwornie zakurzonymi szybami, że wyglądały niczym z matowego szkła. Zgarbiony, ale ruchliwy staruszek, o białych wąsach nastroszonych jak u raka, pchnął wahadłowe drzwi i wszedł do środka. Winstonowi przyszło do głowy, że staruszek, na oko co najmniej osiemdziesięcioletni, był już dorosłym człowiekiem, kiedy wybuchła Rewolucja. On i grono równie sędziwych dziadków byli ostatnimi łącznikami między światem obecnym a nie istniejącym światem kapitalizmu. Do Partii należało niewiele osób o poglądach ukształtowanych jeszcze przed Rewolucją. Starsze pokolenie zostało nieomal totalnie zlikwidowane podczas wielkich czystek w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a tych nielicznych, którzy ocaleli, tak skutecznie sterroryzowano, że bali się pisnąć choć słowo sprzeczne z ideologią partyjną. Jeśli ktokolwiek mógł mu szczerze opowiedzieć, jakie warunki panowały na początku stulecia, to jedynie prol. Nagle Winston przypomniał sobie akapit, który przepisał z podręcznika historii, i powziął śmiały pomysł. Wejdzie do piwiarni, nawiąże znajomość ze starcem i wypyta go o wszystko. Poprosi: „Opowiedzcie mi o czasach, kiedy byliście chłopcem. Jak się wtedy żyło? Lepiej niż teraz, czy gorzej?"

Szybko, żeby go nie ogarnął strach, zbiegł po schodach i przeszedł na drugą stronę alejki. Ten pomysł to czyste szaleństwo. Nie istniało, oczywiście, żadne prawo zabraniające rozmów z prolami i odwiedzania ich lokali, ale była to rzecz tak niesłychana, że nie mogła ujść uwagi. Wprawdzie gdyby zjawił się patrol, Winston mógłby się tłumaczyć, że nagle zrobiło mu się słabo, ale pewnie by mu nie uwierzono. Pchnął drzwi; ohydny, mdlący smród skwaśniałego piwa uderzył go w twarz. Kiedy postąpił naprzód, gwar głosów natychmiast przycichł. Czuł, że wszyscy wpatrują się w jego granatowy kombinezon. Mężczyźni rzucający strzałkami do tarczy na końcu pomieszczenia przerwali grę na dobre pół minuty. Starzec, za którym wszedł do środka, stał przy barze i spierał się o coś z barmanem, rosłym, tęgim młodzieńcem o haczykowatym nosie i potężnych, muskularnych rękach. Wokół zgromadziła się grupka klientów; ze szklankami w dłoniach obserwowali niezwykłą scenę.

- Pytam chyba grzecznie, no nie? - denerwował się starzec, prostując wojowniczo ramiona. - Chcesz mi wmówić, że w całej tej zafajdanej dziurze nie ma ani jednego półkwartowego kufelka?

- A co to takiego, u licha, półkwartowy kufelek? - spytał barman, pochylając się do przodu i opierając czubkami palców o kontuar.

- Patrzcie, patrzcie! Pracuje jako barman, a nie wie, co to półkwartowy kufel! Taki, co mieści pół kwarty! Jedną ósmą galona! Cholera jasna, wszystkiego trzeba ich uczyć! Abecadła też pewnie nie znasz, co?

- Pierwszy raz słyszę o jakichś kwartach i galonach - stwierdził sucho barman. - Podajemy piwo w półlitrowych i w litrowych szklankach. Takich jak te na półce.

- Wolałbym wypić pół kwarty - upierał się starzec. - Co za problem nalać komuś pół kwarty? Kiedy byłem młody, nikt nie stosował tych zasranych litrów.

- Kiedy byliście młodzi, my wszyscy jeszcze łaziliśmy po drzewach! - zażartował barman, zerkając na innych klientów.

Gruchnęli śmiechem; prysł niepokój wywołany pojawieniem się Winstona. Rumieniec oblał pokrytą siwym zarostem twarz starca. Obrócił się, mrucząc coś pod nosem i wpadł na Winstona. Ten ujął go łagodnie pod ramię.

- Pozwólcie, że postawię wam kolejkę, dziadku - rzekł.

- Czemu nie? - odparł starzec, znów się prostując. Chyba nie zauważył granatowego kombinezonu Winstona.

- Pół kwarty piwa! - krzyknął zaczepnie do barmana. -Pół kwarty duplowego!

Barman napełnił brunatnym piwem dwie półlitrowe szklanice z grubego szkła, które wcześniej opłukał w wiadrze stojącym pod kontuarem. Piwo było jedynym trunkiem sprzedawanym w lokalach przeznaczonych dla proli. Obowiązywał ich zakaz picia dżinu, choć w praktyce mogli go zdobyć bez trudu. Gra w strzałki znów szła pełną parą, a gromadka przy barze zaczęła rozmawiać o kuponach loteryjnych. Chwilowo zapomniano o obecności Winstona. Pod oknem Winston zauważył stół zbity z surowych desek, przy którym mógł rozmawiać ze starcem bez obawy, że ktoś ich podsłucha. Groziło to surowymi konsekwencjami, ale przynajmniej w pomieszczeniu nie było teleekranu, o czym się upewnił zaraz po wejściu.

- Mógł mi łobuz nalać pół kwarty - narzekał starzec, stawiając szklankę i siadając przy stole. - Pół litra to za mało. Nie starcza. A cały litr to za dużo. Pęcherz mi wtedy puszcza. I trzeba dwa razy tyle bulić!

- Musieliście być w życiu świadkiem wielkich zmian -zaczął go sondować Winston.

Starzec powiódł bladoniebieskimi oczami po sali; od tarczy, do której rzucano strzałkami, do baru, a następnie od baru do drzwi z napisem „WC", zupełnie jakby myślał, że Winston pyta o zmiany, jakie zaszły w piwiarni.

- Piwo było lepsze - oświadczył w końcu. - I tańsze! Kiedy byłem młody, za kufel lagrowego, zwaliśmy je leżakiem, płaciło się cztery pensy. To było jeszcze przed wojną, oczywiście.

- Przed którą wojną?

- Wszystkie wojny są jednakie. - Starzec podniósł szklankę i znów wyprostował ramiona. - Zdrowie szanownego pana!

Grdyka na chudej szyi poruszyła się raptownie w górę i w dół; szklanka opróżniła się. Winston poszedł do baru i przyniósł następną kolejkę. Starzec jakby zapomniał o swoim uprzedzeniu do picia całego litra.

- Jesteście o wiele starsi ode mnie - rzekł Winston. - Zanim ja się urodziłem, wyście już byli dorośli. Pamiętacie, jak żyło się w dawnych czasach, jeszcze przed Rewolucją. Ludzie w moim wieku właściwie nic nie wiedzą o tamtych latach. Znamy przeszłość tylko z książek, ale to, co w nich piszą, niekoniecznie musi pokrywać się z prawdą. Ciekaw jestem waszego zdania. Książki mówią, że warunki życia przed Rewolucją w niczym nie przypominały obecnych. Ponoć panował tak straszliwy ucisk, taka niesprawiedliwość i bieda, że trudno to sobie wyobrazić. Tu, w Londynie, większość mieszkańców rodziła się w głodzie i w głodzie umierała. Połowa z nich chodziła bez butów. Pracowali dwanaście godzin na dobę, w wieku dziewięciu lat kończyli naukę, spali po dziesięć osób w jednej izbie. A równocześnie żyła garstka ludzi, kilka tysięcy tak zwanych kapitalistów, którzy byli bogaci i wszechwładni. Należało do nich wszystko. Mieszkali w ogromnych, wspaniałych rezydencjach, mieli po trzydziestu służących każdy, jeździli samochodami i cztero-konnymi powozami, pili szampana, nosili cylindry...

Starzec nagle się ożywił.

- Cylindry! - ryknął. - Zabawne, że pan o nich wspomina. Bo właśnie wczoraj pomyślałem sobie, sam nie wiem dlaczego, że już od lat nie widziałem cylindra. Całkiem wyszły z mody. Ostatni raz miałem na głowie cylinder na pogrzebie bratowej. Było to, dokładnie nie pamiętam, z pięćdziesiąt lat temu. Oczywiście nie miałem własnego, musiałem wypożyczyć, sam pan rozumie.

- Nie tyle interesują mnie cylindry, ile ogólny obraz -wyjaśnił Winston, nie tracąc cierpliwości. - Z tego, co wiem, kapitaliści oraz grupa żerujących na nich prawników, księży i tym podobnych łotrów byli panami świata. Wszystko istniało dla ich użytku i wygody. Wy, zwykli ludzie, robotnicy, byliście ich niewolnikami. Mogli robić z wami, co im się żywnie podobało. Mogli wysłać was do Kanady niczym transport bydła. Jeśli naszła ich ochota, mogli sypiać z waszymi córkami. Mogli skazać was na chłostę tak zwanym batogiem. Musieliście zdejmować czapki, kiedy któryś z nich przechodził. Za każdym kapitalistą kroczyła banda lokajów, którzy...

Starzec znów się ożywił.

- Lokaje! Ho, ho, tego słowa też już kopę lat nie słyszałem. Lokaje! Ile wspomnień nasuwa się od razu! Pamiętam, jak wiele, wiele lat temu zaglądałem czasem do Hyde Parku w niedzielne popołudnia, żeby posłuchać mówców. Przemawiali faceci z Armii Zbawienia, katolicy, Żydzi, Hindusi, najróżniejsze typy. Był tam jeden gość, nazwiska to już sobie teraz nie przypomnę, i ten dopiero miał gadane! Ani myślał przebierać w słowach. „Lokaje! - krzyczał. - Lokaje burżuazji! Pachołki klasy panującej! Pasożyty!" - tak też ich określał. I „hieny", to jeszcze jedno z jego ulubionych określeń. Chodziło mu oczywiście o laburzystów, pan rozumie.

Winston pomyślał, że rozmawiają jak gęś z prosięciem.

- Chciałbym się tylko dowiedzieć jednego - rzekł. - Czy uważacie, że macie teraz więcej swobód niż przed laty? Czy czujecie się lepiej traktowani? W dawnych czasach bogacze, ci na górze...

- Izba Lordów - wtrącił starzec, któremu znów się coś przypomniało.

- Niech będzie Izba Lordów. Chciałbym wiedzieć, czy ci ludzie rzeczywiście mogli wami pomiatać tylko dlatego, że wy byliście biedni, a oni bogaci? Czy naprawdę musieliście tytułować ich „jaśnie wielmożnymi panami" i ściągać czapki, ilekroć się zbliżali?

Starzec jakby zamyślił się głęboko i wypił jedną czwartą szklanki, zanim odpowiedział.

- Tak. Lubili, żeby przynajmniej dotknąć palcami daszka. Okazać im szacunek. Nie bardzo mi to leżało, ale trudno, robiłem jak inni. Właściwie nie miałem wyboru.

- Czy rzeczywiście tak było - pytam o to, co wyczytałem w książkach historycznych - czy rzeczywiście tak było, że ci ludzie i ich służba spychali was z chodnika do rynsztoka?

- Raz jeden gość mnie pchnął - odparł starzec. - Pamiętam, jakby to wydarzyło się wczoraj. Było to w dniu regat na Tamizie; tego dnia zwykle tęgo sobie popijali. Na Shaftesbury Avenue trąciłem pewnego młodzika, eleganta, co się zowie: czarny płaszcz, cylinder, śnieżnobiała koszula. Szedł zataczając się od krawężnika do krawężnika, więc niechcący stuknąłem go ramieniem. A on z mordą: „Uważałbyś pan lepiej!" Więc ja na to: „A co, baranie, cały chodnik do ciebie należy?" „Nie bądź taki bezczelny, bo zaraz cię nauczę moresu!" - odszczeknął mi się. Wrzasnąłem: „Nie strugaj chojraka, pijaczyno, bo zaraz zawołam gliny!" Wtedy oparł mi dłoń na piersi i tak mnie pchnął, że o mało nie wpadłem pod autobus. Młody byłem, to i krew gorąca. Chciałem mu zaraz przy solić, ale...

Winstona ogarnęła bezsilność. Pamięć starego przypominała skład bezwartościowych rupieci. Można by go wypytywać cały dzień i nie dowiedzieć się nic konkretnego. A to, co mówił, pokrywało się w pewnym stopniu z tym, co pisano w partyjnych podręcznikach; może więc wszystko w nich zawarte było prawdą? Winston postanowił spróbować jeszcze raz.

- Może nie wyraziłem się dość jasno. Chodzi mi o rzecz następującą. Żyjecie bardzo długo; połowa waszego życia przypada na lata przed Rewolucją. W tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym byliście już dorosłym człowiekiem. Jak wam się wydaje, z własnego doświadczenia, czy w

dwudziestym piątym żyło się lepiej niż teraz, czy gorzej? Gdybyście mogli wybrać, czy wolelibyście żyć wtedy, czy obecnie?

Starzec spojrzał w zamyśleniu na tarczę ze strzałkami. Opróżnił szklankę, pijąc znacznie wolniej niż przedtem. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiała nuta wyrozumiałości, niemal filozoficznej zadumy, jakby złagodniał pod wpływem piwa.

- Wiem, czego pan oczekuje - rzekł. - Oczekuje pan, że powiem: „Znów chciałbym być młody". Większość starych ludzi tak właśnie by odpowiedziała. Chcieliby odzyskać zdrowie, siły. W tym wieku ciągle coś człowiekowi dolega. Nogi wciąż mnie bolą, pęcherz bez przerwy mi dokucza. W nocy siedem razy muszę zrywać się z łóżka. Ale, z drugiej strony, starość też ma swoje zalety. Odchodzi wiele zmartwień. Żadnych bzdur z babami, a to znaczna ulga. Wierzyć się nie chce, że minęło już trzydzieści lat, odkąd jakąś miałem. I nawet nie czułem przez ten czas potrzeby.

Winston oparł się plecami o parapet okna. Dalsze wypytywanie starca nie miało sensu. Właśnie zamierzał ponownie iść po piwo, gdy nagle starzec zerwał się i podreptał szybko w stronę drzwi cuchnącego ustępu. Dodatkowe pół litra zrobiło swoje. Winston siedział przez dłuższą chwilę wpatrzony w pustą szklankę. Nawet się nie zorientował, kiedy wstał i znów znalazł się w alejce. Rozmyślał o tym, że za dwadzieścia lat już nikt nie zdoła odpowiedzieć na tak strasznie ważne, a zarazem tak szalenie proste pytanie: „Czy przed Rewolucją żyło się lepiej niż obecnie?" Lecz w rzeczy samej już teraz nie sposób było uzyskać na nie odpowiedzi, gdyż nieliczne, rozproszone niedobitki dawnego świata nie umiały porównać jednej epoki z drugą. Staruszkowie pamiętali miliony bezużytecznych szczegółów: kłótnię z kumplem, szukanie zgubionej pompki rowerowej, wyraz twarzy dawno zmarłej siostry, kurz wirujący w wietrzny poranek przed siedemdziesięciu laty; natomiast wszelkie istotne fakty znajdowały się jakby poza ich polem widzenia. Byli jak mrówki, które widzą małe przedmioty, lecz nie dostrzegają wielkich. Kiedy zaś zawodzi pamięć, a wszelkie zapisy podlegają sfałszowaniu - wówczas chcąc nie chcąc musi się zaakceptować oświadczenie Partii, że polepszyła wszystkim warunki bytowe, gdyż nie ma i już nigdy nie będzie sposobu, by sprawdzić jej prawdomówność.

W tym momencie tok jego myśli nagle się urwał. Winston zatrzymał się i uniósł wzrok. W wąskiej uliczce oprócz domów mieszkalnych spostrzegł kilka mrocznych małych sklepików. Tuż nad jego głową wisiały trzy zmatowiałe metalowe kule, niegdyś pewnie pozłacane. Miejsce to wydało mu się dziwnie znajome. Ależ oczywiście! Stał przed sklepem z rupieciami, w którym kupił swój pamiętnik.

Przeraził się. Już samo nabycie zeszytu było wyjątkowo nieroztropnym krokiem; obiecał sobie wtedy, że jego stopa nigdy więcej nie postanie w tym miejscu. Wystarczyła jednak chwila zamyślenia, a nogi same go tu przyniosły. Przed takimi właśnie samobójczymi odruchami miało go chronić prowadzenie pamiętnika. Mimo wzburzenia zauważył, że choć dochodzi dwudziesta pierwsza, sklep jest nadal otwarty. Przyszło mu do głowy, iż mniej się będzie rzucał w oczy, jeśli wejdzie do środka, zamiast tak sterczeć na środku ulicy, i z tym przekonaniem skierował się do drzwi. Jeśli nadejdzie patrol, może przecież udawać, że chciał kupić żyletki.

Właściciel akurat zapalał wiszącą lampę naftową, która wydzielała ostrą, lecz przyjazną woń. Był to mężczyzna około sześćdziesiątki, wątły i przygarbiony, o długim, dobrotliwie wyglądającym nosie i łagodnych oczach zniekształconych grubymi szkłami. Włosy miał niemal całkiem siwe, lecz brwi nadal czarne i krzaczaste. Jego okulary, miękkie, powolne ruchy oraz wytarta aksamitna marynarka, w którą był odziany, przywodziły na myśl intelektualistę, może literata albo muzyka. Głos miał cichy, jakby wyblakły, akcent zaś znacznie mniej prostacki niż większość proli.

- Rozpoznałem pana przez szybę! - zawołał na powitanie. -To pan kupił u mnie sztambuch pensjonarki. Piękny papier! Kiedyś zwał się czerpany. Takiego papieru nie produkuje się już... och, chyba z pięćdziesiąt lat!

Popatrzył na Winstona znad okularów.

- Czym mogę panu służyć? A może woli pan się sam rozejrzeć?

- Przechodziłem tędy, więc postanowiłem wstąpić - odparł Winston. - Nie szukam nic konkretnego.

- Może to i lepiej, bo zapewne trudno by mi było pana zadowolić. - Przepraszającym gestem delikatnej dłoni wskazał wnętrze sklepu. - Sam pan widzi: pustki. Prawdę mówiąc, handel antykami po prostu dogorywa. Nie ma klientów, brakuje towarów. Meble, porcelana, szkło - z czasem wszystko połamało się lub wytłukło. Z kolei metalowe przedmioty przetopiono. Od lat już nie widziałem mosiężnego lichtarza.

W rzeczywistości maleńki sklepik pękał w szwach, lecz nie było w nim nic, co miałoby jakąkolwiek wartość. Panowała straszliwa ciasnota, gdyż prawie całą podłogę zalegały dziesiątki opartych o ścianę zakurzonych ram. Na parapecie stały tace pełne śrubek i nakrętek, zdartych dłut, scyzoryków z połamanymi ostrzami, zaśniedziałych zegarków, które nawet nie próbowały utrzymywać pozorów, że chodzą, oraz innych rupieci. Jedynie na niewielkim stoliku w samym rogu leżał stosik emaliowanych tabakierek, broszek z agatami i podobnych drobiazgów, wśród których dałoby się wyszperać coś ciekawego. Kiedy Winston podszedł do stolika, jego uwagę zwrócił okrągły, gładki przedmiot, połyskujący łagodnie w blasku lampy naftowej. Wziął go do ręki.

Była to ciężka bryła szkła, zaokrąglona z jednej strony, zupełnie płaska z drugiej - prawie idealna półkula. Zarówno jej barwa, jak i faktura miały w sobie dziwną miękkość kojarzącą się z wodą deszczową. W samym środku bryły, powiększony przez jej półokrągłą powierzchnię, tkwił jakiś tajemniczy, poskręcany czerwony kształt podobny do róży lub morskiego polipa.

- Co to takiego? - spytał Winston urzeczony.

- Koral - odparł właściciel. - Pochodzi z Oceanu Indyjskiego. Niegdyś umiano wtapiać je w szkło. Ten przedmiot ma przynajmniej sto lat. A może nawet więcej.

- Piękna rzecz - zachwycił się Winston.

- Rzeczywiście piękna - potwierdził ze znawstwem właściciel. - Ale mało kto umie to teraz docenić. - Zakasłał cicho. -Gdyby przypadkiem miał pan ochotę ją kupić, kosztuje cztery dolary. Pamiętam, jak za takie cuda płaciło się osiem funtów, a osiem funtów to... nie przeliczę, ale całkiem sporo pieniędzy. Lecz kogo teraz obchodzą antyki? A tak niewiele ich się ostało!

Winston szybko zapłacił cztery dolary i wsunął upragniony przedmiot do kieszeni. Pociągało go nawet nie tyle jego piękno, ile fakt, że pochodził z epoki zupełnie innej niż obecna. Jeszcze nigdy nie widział szkła, które wyglądałoby tak miękko, zupełnie jak woda deszczowa. Bezużyteczność szklanej półkuli - przypuszczalnie służyła niegdyś za przycisk - tylko potęgowała jej atrakcyjność w oczach Winstona. Chociaż dość ciężka, na szczęście nie wypychała mu zbyt widocznie kieszeni. Posiadanie takiego przedmiotu przez członka Partii byłoby nie tylko dziwne, lecz również kompromitujące. Każda stara lub po prostu piękna rzecz wzbudzała podejrzenia. Właściciel wyraźnie poweselał, kiedy otrzymał zapłatę. Winston zdał sobie sprawę, że pewnie zgodziłby się sprzedać przycisk za trzy, a nawet dwa dolary.

- Na górze mam jeszcze jeden pokój; może chciałby się pan po nim rozejrzeć? - spytał sklepikarz. - Niewiele tam jest. Ot, trochę sprzętów. Wezmę tylko lampę.

Zapalił drugą lampę i, lekko przygarbiony, ruszył wolno po stromych, zniszczonych schodach i wzdłuż wąziutkiego korytarza, prowadząc Winstona do pokoju, którego okna wychodziły nie na ulicę, lecz na wybrukowane podwórze i las blaszanych kominów. Pokój był tak urządzony, jakby ktoś w nim mieszkał. Na podłodze leżał dywan, na ścianie wisiał obrazek, a przy kominku - na którym tykał staromodny zegar z dwunastocyfrową tarczą - stał brudny głęboki fotel; pod oknem znajdowało się ogromne łóżko z materacem, zajmujące blisko jedną czwartą powierzchni pomieszczenia.

- Mieszkaliśmy tu z żoną do jej śmierci - powiedział właściciel, na wpół przepraszającym tonem. - Teraz wyprzedaje po kolei meble. Niech pan spojrzy, co za wspaniałe mahoniowe łoże! Trzeba je tylko odpluskwić. Ale podejrzewam, że dla pana byłoby trochę nieporęczne.

Trzymał lampę wysoko w górze, aby lepiej oświetlić całe wnętrze, i w jej ciepłym, nikłym blasku pokój wyglądał niezwykle zachęcająco. Winstonowi przemknęło przez myśl, że gdyby się tylko odważył, pewnie bez trudu mógłby go wynająć za kilka dolarów tygodniowo. Ten szalony, nierealny pomysł należało oddalić od siebie jak najprędzej; lecz pokój obudził w Winstonie jakąś tęsknotę, jakieś wspomnienie genetycznie zakodowane w pamięci. Wydało mu się, że dokładnie wie, jak to jest, kiedy przebywa się w takim pomieszczeniu, odpoczywa w fotelu przed kominkiem, dotykając nogami rozgrzanej kraty ochronnej i czekając, aż w czajniku zagotuje się woda na herbatę; słowem, kiedy siedzi się samotnie, z poczuciem pełnego bezpieczeństwa, bez obawy, że jest się obserwowanym, a zamiast natarczywego głosu, od którego aż puchną uszy, słychać jedynie syk wody w imbryku i przyjazne cykanie zegara.

- Nie ma teleekranu! - wyrwało mu się.

- A tak, nigdy sobie nie kupiłem. Za drogi. Poza tym jakoś nie czułem potrzeby. Ale proszę spojrzeć na ten rozkładany stół tam w rogu; czyż to nie piękny mebel? Trzeba tylko wstawić nowe zawiasy.

Winstona jednak bardziej zaciekawił niewielki regał z książkami stojący w przeciwnym rogu. Niestety, na półkach znalazł same śmiecie. Polowanie na książki i ich niszczenie przeprowadzono z taką samą sumiennością w dzielnicach proli, jak w pozostałych. Przypuszczalnie w całej Oceanii nie zachowała się ani jedna książka wydana przed 1960 rokiem. Sklepikarz oświetlił lampą obrazek w palisandrowej ramie wiszący po drugiej stronie kominka, dokładnie na wprost łóżka.

- A gdyby z kolei interesowały pana stare ryciny... - zaczął delikatnie.

Winston zbliżył się, by obejrzeć obrazek. Był to staloryt przedstawiający owalną budowlę z prostokątnymi oknami i niewielką wieżyczką. Wokół budynku biegł parkan, a z tyłu znajdował się jakiś pomnik. Winston przez chwilę przypatrywał się uważnie. Budowla wydawała mu się znajoma, choć pomnika na pewno nigdy nie widział.

- Rama jest przyśrubowana do ściany - oznajmił właściciel -ale gdyby pan chciał, mógłbym ją odkręcić.

- Poznaję ten budynek - przemówił wreszcie Winston. -Teraz to ruina, stoi na samym środku ulicy, na wprost Pałacu Sprawiedliwości.

- Tak jest. Na wprost gmachu sądu. Został zbombardowany w... och, wiele lat temu. Kiedyś był to kościół. Kościół Świętego Klemensa. - Uśmiechnął się z zażenowaniem, jakby świadom, że trochę się ośmiesza, i dodał: - „Pomarańcze za pensa, krzyczą dzwony Klemensa!"

- Słucham? - zdziwił się Winston.

- Och, „Pomarańcze za pensa, krzyczą dzwony Klemensa" to taki wierszyk, który się recytowało, kiedy byłem mały. Całości nie pamiętam, ale wiem, że kończył się następująco: „Oto ciastko, możesz zjeść połowę, a oto topór, który zetnie ci głowę". To była taka zabawa. Część dzieci stała parami naprzeciw siebie, trzymając w górze złączone ręce, a pozostałe przechodziły pod nimi. Kiedy padły słowa „A oto topór, który zetnie ci głowę", ręce się opuszczały, zatrzymując kogoś z przechodzących. Wierszyk wymieniał wszystkie londyńskie kościoły; przynajmniej wszystkie ważniejsze.

Winston zaczął się zastanawiać, ile lat może liczyć kościół przedstawiony na obrazku. Trudno było odgadnąć wiek jakiegokolwiek londyńskiego budynku. Wzniesienie wszystkich większych, imponujących gmachów, które nie wyglądały zbyt staro, Partia automatycznie przypisywała sobie; jeśli zaś jakaś budowla wyraźnie sprawiała wrażenie wcześniejszej, twierdzono, że powstała w odległym okresie zwanym średniowieczem. Według Partii, po erze kapitalizmu nie pozostało nic wartościowego. Tak więc z architektury, podobnie jak i z podręczników, nie można było nauczyć się historii. Pomniki, napisy, tablice pamiątkowe, nazwy ulic - wszystko, co mogło rzucić światło na przeszłość, skrupulatnie zmieniono.

- Nawet nie wiedziałem, że to był kościół - powiedział Winston.

- Jest ich wciąż bardzo wiele, choć służą teraz innym celom. Ale jak dalej szedł ten wierszyk? Ha! jednak sobie przypomniałem:

Pomarańcze za pensa, krzyczą dzwony Klemensa, Skradł cytryn pół tuzina, dudnią dzwony Marcina...

Reszty, niestety, nie pamiętam. A pens to taka dawniejsza moneta, odpowiednik centa.

- Gdzie był kościół Marcina?

- Kościół Świętego Marcina? Nadal stoi. Na placu Zwycięstwa, obok galerii sztuki. Gmach z trójkątnym frontonem, kolumnadą i szerokimi schodami.

Winston dobrze znał ten budynek. Było to obecnie muzeum, w którym organizowano różne propagandowe wystawy: eksponowano makiety pocisków rakietowych, modele pływających fortec oraz poustawiane w sugestywnych pozach figury woskowe, ukazujące zbrodnie nieprzyjacielskich żołnierzy.

Nie kupił ryciny. Byłby to nabytek jeszcze bardziej kompromitujący niż szklany przycisk; zresztą nie mógłby jej zabrać bez wyjmowania z ram. Ale ociągał się jeszcze przez kilka minut z opuszczeniem sklepu, rozmawiając z właścicielem, który - jak odkrył - wcale nie nazywał się Weeks, choć tak brzmiał napis na szyldzie sklepu, lecz Charrington. Pan Charrington był wdowcem, miał sześćdziesiąt trzy lata i mieszkał nad sklepem od trzydziestu lat. Przez cały ten czas zamierzał zmienić szyld, lecz jakoś nigdy się do tego nie zabrał. Podczas rozmowy Winstonowi wciąż rozbrzmiewał w myślach strzęp zapomnianego wierszyka. „Pomarańcze za pensa, krzyczą dzwony Klemensa, Skradł cytryn pół tuzina, dudnią dzwony Marcina!" Dziwne, ale kiedy powtarzał te słowa, miał wrażenie, iż naprawdę słyszy dzwony, dzwony dawnego Londynu, który - acz zmieniony i zapomniany -istniał nadal. Zdawało mu się, że słyszy, jak biją po kolei z widm kościelnych wież. A przecież, o ile pamiętał, nigdy nie słyszał kościelnego dzwonu.

Pożegnał się z panem Charringtonem i zaczął zbiegać po schodach, nie chcąc, aby starszy jegomość widział, jak rozgląda się na boki przed wyjściem na ulicę. Podjął już decyzję, że po pewnym czasie - na przykład po upływie miesiąca -zaryzykuje i ponownie odwiedzi sklep. Może wcale nie jest to bardziej niebezpieczne od nieobecności w świetlicy. Karygodną lekkomyślnością wykazał się, przychodząc po raz drugi do sklepiku, mimo że nie miał pojęcia, czy może ufać właścicielowi; ale skoro to się już stało...

Tak, obiecał sobie, wrócę. I znów kupi jakiś piękny rupieć. Nabędzie też rycinę kościoła Świętego Klemensa; wyjmie ją z ram, schowa pod kurtkę kombinezonu i tak zaniesie do domu. Wyciągnie resztę strof wiersza z pamięci pana Charringtona. Jeszcze raz przemknął mu przez myśl szalony pomysł wynajęcia pokoju na piętrze. Radosne podniecenie sprawiło, że na moment zapomniał o ostrożności i wyszedł na ulicę nie zerknąwszy przez okno. Zaczął nawet nucić pod nosem na zaimprowizowaną melodię:

Pomarańcze za pensa, krzyczą dzwony Klemensa,
Skradł cytryn pół tuzina, dudnią dzwo...

Nagle serce mu zamarło, a kiszki skręciły się ze strachu. Zaledwie dziesięć metrów przed sobą ujrzał zbliżającą się postać w granatowym kombinezonie. Była to ciemnowłosa dziewczyna z Departamentu Literatury. Mimo zmierzchu rozpoznał ją bez trudu. Spojrzała mu prosto w twarz, po czym przeszła obok, jakby go w ogóle nie widziała.

Przez kilka sekund stał w miejscu, dosłownie sparaliżowany strachem. W końcu ruszył ciężkim krokiem w prawo, nawet nie orientując się, że idzie w złym kierunku. Przynajmniej jedno się wyjaśniło. Teraz już nie miał żadnych wątpliwości, że dziewczyna go szpieguje. Musiała go śledzić, bo szansa spotkania jej na obskurnej uliczce, odległej o kilka kilometrów od dzielnic

przeznaczonych dla partyjnych, była tak mikroskopijna, że przypadek po prostu nie wchodził w rachubę. To, czy faktycznie była agentką Policji Myśli, czy też szpiegowała go z nadmiaru gorliwości, nie robiło różnicy. Dość, że miała go na oku. Prawdopodobnie widziała również, jak wchodził do piwiarni.

Z trudem poruszał nogami. Ukryta w kieszeni szklana bryła przy każdym kroku waliła go w udo; miał ochotę ją wyjąć i wyrzucić. Najbardziej dokuczał mu skurcz żołądka. Bał się, że umrze, jeśli natychmiast nie znajdzie toalety. Ale wiedział, że w tak podłej dzielnicy nie ma publicznych szaletów. Po kilku minutach skurcz minął, pozostawiając tylko tępy ból.

Uliczka była ślepa. Winston przystanął i przez kilka sekund zastanawiał się, co robić, po czym zawrócił w stronę sklepu. Idąc pomyślał, że minął się z dziewczyną zaledwie trzy minuty temu, gdyby więc zaczął biec, pewnie zdołałby ją dogonić. Szedłby za nią do jakiegoś odludnego miejsca, a tam roztrzaskał jej czaszkę kamieniem. Zresztą wystarczyłby szklany przycisk. Szybko jednak zrezygnował z tego pomysłu, albowiem już sama myśl o najmniejszym wysiłku fizycznym była dla niego nie do zniesienia. Podbiegnięcie czy zadanie ciosu przekraczało w tym momencie jego możliwości. Poza tym dziewczyna, młoda i silna, na pewno stawiałaby opór. Przyszło mu też do głowy, że czym prędzej powinien udać się do osiedlowej świetlicy, aby zapewnić sobie choć częściowe alibi na dzisiejszy wieczór. Lecz to również przekraczało jego siły. Ogarnęła go straszliwa niemoc. Pragnął tylko jak najszybciej *znaleźć* się u siebie, usiąść, nic nie robić.

Kiedy wreszcie dotarł do swojego mieszkania, minęła już dwudziesta druga. Światło wyłączano w całym domu o dwudziestej trzeciej trzydzieści. Wszedł do kuchni i wypił duszkiem prawie pełną filiżankę Dżinu Zwycięstwa. Następnie usiadł przy stoliku we wnęce i wydobył z szuflady pamiętnik. Nie otworzył go jednak. Z teleekranu grzmiał kobiecy głos wywrzaskujący jakąś patriotyczną pieśń. Winston, utkwiwszy wzrok w marmurkowej okładce, bezskutecznie usiłował nie dopuścić śpiewu do swojej świadomości.

Przychodzą w nocy, zawsze w nocy. Najlepiej się zabić, zanim wpadnie się w ich ręce. Na pewno sporo osób tak właśnie postępuje. Wielu spośród tych, którzy znikali, po prostu popełniało samobójstwo. Lecz odebranie sobie życia w świecie, gdzie broń palna lub działająca szybko i niezawodnie trucizna były absolutnie nie do zdobycia, wymagało desperackiej odwagi. Pomyślał jakby ze zdziwieniem o biologicznym bezsensie istnienia bólu i strachu, o zdradliwości ludzkiego ciała, które ogarnia totalna inercja dokładnie wtedy, kiedy konieczny jest maksymalny wysiłek. Gdyby zmobilizował się do działania, mógłby raz na zawsze zamknąć usta ciemnowłosej dziewczynie; lecz właśnie z powodu grozy sytuacji zupełnie stracił zdolność sprawnego funkcjonowania. Uderzyła go myśl, że w chwilach kryzysu nigdy nie walczy się z wrogiem zewnętrznym, ale zawsze z własnym ciałem. Nawet teraz, pomimo wypitego dżinu, tępe kłucie w żołądku uniemożliwiało mu koncentrację. Podejrzewał, że tak samo dzieje się we wszystkich groźnych lub tragicznych sytuacjach. Na polu bitwy, w sali tortur, na tonącym okręcie zapomina się o najwznioślejszych ideałach, gdyż ciało pęcznieje, aż wypełnia sobą cały wszechświat; lecz przecież nawet wówczas, kiedy człowiek nie jest sparaliżowany strachem albo nie wyje z bólu, życie stanowi nieprzerwane pasmo zmagań z głodem, chłodem, bezsennością, ze zgagą lub rwącym zębem.

Otworzył pamiętnik. Ważne było, aby coś napisać. Kobieta na teleekranie rozpoczęła kolejną pieśń. Jej głos wbijał mu się w mózg jak odłamki szkła. Próbował myśleć o O'Brienie, dla którego pisał lub do którego adresował pamiętnik, ale na próżno; wyobraźnia zaczęła mu podsuwać obrazy tego, co go czeka, kiedy wpadnie w łapy Policji Myśli. Gdyby zabijali od razu, nie byłoby to takie straszne. Każdy więzień oczekiwał, że prędzej czy później zostanie stracony. Ale przed śmiercią (choć nikt o tym nie mówił, wiedzieli to wszyscy) przechodziło się przez rytuał przesłuchań, do którego należało czołganie się po ziemi i skamlanie o litość, trzask łamanych kości, wybijane zęby, skrzepy krwi we włosach. Dlaczego człowiek musiał tak strasznie cierpieć, skoro czekał go i tak identyczny koniec? Dlaczego nie można było umrzeć o te kilka dni lub tygodni

wcześniej? Nikomu nie udawało się uniknąć wykrycia, wszyscy też w pełni przyznawali się do winy. Jeżeli ktoś dopuścił się myślozbrodni, mógł mieć pewność, że jego śmierć to tylko kwestia czasu. Dlaczego więc ten koszmar, który i tak niczego nie zmieniał, musiał się stawać jego udziałem?

Ponownie, tym razem z nieco większym powodzeniem, spróbował myśleć o O'Brienie. „Spotkamy się tam, gdzie nie ma mroku" - tak mu oznajmił. Winston wiedział, co to znaczy, a przynajmniej tak mu się zdawało. Miejsce, gdzie nie ma mroku, to następna epoka, której nigdy nie ujrzy, ale wierząc, że nadejdzie, może w niej duchowo uczestniczyć. Lecz natrętny głos dobiegający z teleekranu nie pozwolił pełniej rozwinąć tej myśli. Winston włożył do ust papierosa. Połowa tytoniu natychmiast wysypała mu się na język; gorzki pył nie dawał się wypluć. Nagle twarz Wielkiego Brata przysłoniła O'Briena. Tak jak przed kilkoma dniami, Winston wyjął z kieszeni monetę i podniósł do oczu. Patrzyło z niej to samo masywne, spokojne, opiekuńcze oblicze; ale jaki był uśmiech, który krył się pod czarnym wąsem? Niczym żałobne tony dzwonu rozdźwięczały się w mózgu Winstona wybite na monecie hasła:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
IGNORANCJA TO SIŁA

Część druga

1

Minęła połowa poranka, kiedy Winston opuścił swoją przegrodę, żeby pójść do toalety.

Jakaś samotna postać szła ku niemu z przeciwnego końca długiego, jaskrawo oświetlonego korytarza. Była to ta sama ciemnowłosa dziewczyna. Upłynęły cztery dni, odkąd owego wieczoru natknął się na nią przed sklepem ze starociami. Z bliska zobaczył, że prawą rękę ma na temblaku, wcześniej niewidocznym, gdyż był tej samej barwy co kombinezon. Przypuszczalnie wybiła ją sobie, przestawiając któryś z ogromnych kalejdoskopów używanych do „wypełniania" fabularnych zarysów powieści. Takie wypadki zdarzały się często w Departamencie Literatury.

Dzieliły ich mniej więcej cztery metry, gdy naraz dziewczyna potknęła się i upadła jak długa na ziemię. Wydała głośny okrzyk bólu - pewnie przygniotła sobie zwichniętą rękę. Winston przystanął. Dziewczyna tymczasem uniosła się na klęczki. Jej twarz przybrała żółtomleczną barwę, a przez to usta wydawały się jeszcze czerwieńsze. W oczach, patrzących błagalnie na niego, malował się jednak nie tyle ból, ile strach.

W sercu Winstona zrodziło się współczucie. Oto widział przed sobą śmiertelnego wroga, lecz był to zarazem człowiek, który cierpiał, może nawet miał złamany nadgarstek. Niewiele myśląc Winston podszedł, żeby pomóc dziewczynie. Kiedy upadła na zabandażowaną rękę, ból przeszył także jego ciało.

- Bardzoście się potłukli? - spytał.

- Nie, nie. Tylko ręka. Zaraz mi przejdzie.

Mówiła urywanym głosem, jakby serce wciąż waliło jej młotem. I wyraźnie zbladła.

- Nic sobie nie złamaliście?

- Nie, wszystko w porządku. Już przestało boleć.

Wyciągnęła do niego zdrową rękę i pomógł jej wstać. Odzyskała rumieńce; wyglądała znacznie lepiej.

- Nic mi nie jest! - oświadczyła zdecydowanie. - Tylko się uderzyłam. Dziękuję wam, towarzyszu!

I z tymi słowy dziarskim krokiem ruszyła przed siebie, jakby rzeczywiście nic jej nie dolegało. Całe zajście trwało najwyżej pół minuty. Kontrolowanie mimiki było nawykiem, który już dawno przerodził się w odruch, a w dodatku znajdowali się bezpośrednio pod teleekranem. Mimo to Winston ledwo pohamował wyraz zdumienia, albowiem gdy pomagał dziewczynie wstać,

wsunęła mu coś w dłoń. Nie ulegało wątpliwości, że świadomie. To coś było niewielkie i płaskie. Wchodząc do toalety włożył przedmiot do kieszeni i pomacał czubkami palców. Wyczuł złożony w kwadrat kawałek papieru.

Stojąc nad pisuarem, z trudem rozprostował kartkę, posługując się tylko jedną ręką. Coś musiało być tam napisane. Miał ochotę wejść do kabiny i przeczytać od razu. Byłoby to jednak istne szaleństwo. Gdzie jak gdzie, ale w toaletach teleekrany nastawiano na ciągły podgląd.

Wrócił do swojej przegrody, usiadł, rzucił niedbale kartkę pomiędzy inne papiery na biurku, włożył okulary i przysunął mowopis. „Pięć minut - pomyślał. - Muszę wytrzymać przynajmniej pięć minut!" Serce waliło mu przeraźliwie głośno. Na szczęście zadanie, które wykonywał - wprowadzanie zmian w długiej kolumnie liczb - należało do rutynowych i nie wymagało specjalnej koncentracji.

Był przekonany, że wiadomość zapisana na kartce musi mieć znaczenie polityczne. W grę wchodziły jedynie dwie możliwości. Pierwsza, bardziej prawdopodobna, to że dziewczyna rzeczy wiście jest agentką Policji Myśli, tak jak się tego obawiał. Nie rozumiał tylko, dlaczego Policja Myśli wybrała akurat ten sposób, żeby się z nim komunikować, ale pewnie miała swoje powody. Kartka mogła zawierać groźbę, wezwanie, rozkaz popełnienia samobójstwa; mógł też kryć się za nią podstęp, próba zdemaskowania. Ale była i inna możliwość, szalona i nierealna, która uporczywie domagała się rozpatrzenia, choć starał się ją od siebie odsunąć. Może autorem wiadomości wcale nie jest Policja Myśli, lecz jakaś podziemna organizacja! Może Braterstwo jednak istnieje! Może dziewczyna do niego należy! Pomysł niewątpliwie absurdalny, ale przyszedł mu do głowy, ledwie poczuł pod palcami szeleszczący papier. Dopiero po kilku minutach wpadł na bardziej racjonalne wytłumaczenie. Choć rozum mówił, że kartka najprawdopodobniej zawiera wyrok śmierci, wciąż nie chciał wierzyć, wciąż żywił niedorzeczną nadzieję, iż nie taki jest jej sens. Serce mu waliło i z trudem panował nad drżeniem głosu, dyktując liczby do mowopisu.

Zwinął otrzymany wydruk i wsunął do rury pneumatycznej. Minęło osiem minut. Poprawił okulary, westchnął i przysunął do siebie kolejny plik papierów - ten z leżącą na wierzchu kartką. Rozprostował ją. Wiadomość, skreślona dużym, dziecinnym pismem, brzmiała:

Kocham cię

Przez kilka sekund był tak oszołomiony, że zapomniał wrzucić kartkę do luki pamięci. Zanim to uczynił - chociaż wiedział, że zbyt wyraźne zainteresowanie jest bardzo podejrzane - przeczytał ją jeszcze raz, chcąc się upewnić, czy nic mu się nie przywidziało.

Przez resztę poranka nie miał serca do pracy. Jeszcze trudniej od skupienia się na serii nudnych drobiazgów przychodziło mu ukrywać podniecenie przed teleekranem. Czuł się tak, jakby ogień trawił jego trzewia. Obiad w dusznej, zatłoczonej i hałaśliwej stołówce był prawdziwą męczarnią. Liczył na chwilę spokoju, lecz jak na nieszczęście ten imbecyl Parsons klapnął przy jego stoliku, niemal zabijając wonią potu metaliczny, kwaśny zapach gulaszu, i zaczął rozwodzić się nad przygotowaniami do Tygodnia Nienawiści. Z ogromnym entuzjazmem mówił o dwumetrowej głowie Wielkiego Brata robionej na tę okazję z papier-mache przez drużynę Kapusiów, do której należała jego córka. Najbardziej irytujące było to, że w zgiełku panującym w stołówce Winston ledwo słyszał, co Parsons mówi, i co chwila musiał go prosić o powtórzenie jakiegoś kolejnego idiotyzmu. Tylko raz spojrzał na dziewczynę; siedziała z dwiema koleżankami w drugim końcu sali. Chyba go wcale nie zauważyła. Więcej nie patrzył w jej stronę.

Popołudnie było znośniejsze. Tuż po obiedzie zlecono mu subtelne i trudne zadanie, które wymagało kilku godzin pracy i odłożenia innych zleceń na później. Chodziło o sfałszowanie pliku sprawozdań produkcyjnych sprzed dwóch lat w taki sposób, aby zdyskredytować ważnego członka Wewnętrznej Partii, który popadł w niełaskę. Winston miał dar do podobnych zadań i wciągnął się do tego stopnia, że przez dwie godziny ani razu nie pomyślał o dziewczynie. Ale potem jej twarz

znów stanęła mu przed oczyma i ponownie ogarnęło go wściekłe, przemożne pragnienie, żeby znaleźć się w samotności. Dopiero wtedy mógłby przemyśleć sobie całą sytuację. Jednakże tego dnia musiał pokazać się w osiedlowej świetlicy. Po skończonej pracy przegryzł coś pospiesznie w stołówce i pognał do świetlicy, gdzie wziął udział w namaszczonej błazenadzie zwanej „kółkiem dyskusyjnym", rozegrał dwa mecze ping-ponga, wypił kilka szklanek dżinu oraz wysłuchał półgodzinnego referatu zatytułowanego „Angsoc a szachy". W środku aż skręcał się z nudy, lecz tym razem nawet nie przyszło mu do głowy, żeby się nie stawić w świetlicy. Na widok słów *Kocham cię* wezbrała w nim ochota do życia i podejmowanie zbędnego ryzyka wydało mu się nagle idiotyczne. Dopiero o dwudziestej trzeciej, gdy już wrócił do domu i leżał w łóżku przy zgaszonym świetle - a więc wreszcie, dopóki się nie odzywał, bezpieczny - mógł się bez przeszkód oddać rozmyślaniom.

Miał do rozwiązania niełatwy problem: jak skontaktować się z dziewczyną i umówić na spotkanie. Nie obawiał się żadnego podstępu. Był pewien, że dziewczyna nic nie knuje, bo jej zdenerwowanie, kiedy przekazywała mu kartkę, wyglądało na jak najbardziej autentyczne. Dosłownie drżała ze strachu, i nie bez przyczyny. Nawet przez myśl mu nie przeszło, aby zignorować jej awanse. Chociaż zaledwie pięć dni wcześniej chciał dziewczynie rozwalić głowę kamieniem, w tej chwili nie liczyło się to zupełnie. Wyobrażał sobie nagie młodzieńcze ciało, które dotąd widział tylko we śnie. Jeszcze niedawno uważał ją za taką samą idiotkę jak inne kobiety, o umyśle zatrutym bzdurami i nienawiścią, a łonie zimnym jak lód. Teraz myślał gorączkowo o tym, że może ją utracić, że to białe ciało może mu się wymknąć! Najbardziej lękał się tego, że dziewczyna po prostu zmieni zdanie, jeśli się szybko z nią nie skontaktuje. Ale umówienie się było właściwie rzeczą niewykonalną. Równie trudną jak zrobienie ruchu, kiedy już się dostało mata. Gdziekolwiek się człowiek obrócił, miał przed sobą teleekrany. Prawdę mówiąc, nim upłynęło pięć minut od przeczytania kartki, przyszło mu do głowy kilka pomysłów; teraz, w zaciszu domowym, rozważał je wszystkie po kolei, jakby zastanawiał się nad wyborem narzędzi przed przystąpieniem do skomplikowanej operacji.

Powtórne zainscenizowanie ich porannego spotkania było oczywiście wykluczone. Gdyby pracowała w Departamencie Archiwów, nawiązanie kontaktu nie przedstawiałoby większych trudności; nie orientował się natomiast, gdzie dokładnie mieści się Departament Literatury, i nie miał żadnego powodu, aby tam pójść. Gdyby wiedział, gdzie dziewczyna mieszka lub o której kończy pracę, postarałby się ją spotkać, kiedy będzie wracała do domu; ale czekanie pod ministerstwem to zbyt wielkie ryzyko. Wysłanie listu też nie wchodziło w rachubę, gdyż dla nikogo nie było tajemnicą, że cała poczta jest kontrolowana. W ogóle mało kto korespondował. Jeśli czasem zachodziła konieczność przekazania jakiejś wiadomości listownie, istniały druczki z gotowym spisem sformułowań; należało jedynie skreślić niepotrzebne. Nie znał zresztą adresu dziewczyny ani nawet jej imienia i nazwiska. W końcu uznał, że najbezpieczniej będzie nawiązać kontakt w stołówce. Jeśli tylko uda mu się zastać ją samą przy stoliku gdzieś pośrodku sali, nie za blisko teleekranów, i jeśli wokół choć przez trzydzieści sekund będzie rozbrzmiewał zwykły gwar - zdołają zamienić kilka słów.

Przez cały tydzień jego życie przypominało niespokojny sen. Nazajutrz po przekazaniu kartki dziewczyna pojawiła się w stołówce dopiero gdy wychodził, już po dzwonku oznajmiającym koniec przerwy. Zapewne pracowała na późniejszej zmianie. Minęli się, nawet na siebie nie patrząc. Następnego dnia była w stołówce o normalnej porze, lecz siedziała tuż pod teleekranem w towarzystwie trzech koleżanek. Przez trzy kolejne straszne dni w ogóle się nie zjawiła. Umysł i ciało Winstona stały się boleśnie nadwrażliwe; dziwne wyostrzenie zmysłów sprawiało, że każdy ruch, każdy dźwięk, każdy kontakt z drugim człowiekiem, każde słowo, które słyszał lub wypowiadał, stanowiły torturę. Obraz dziewczyny towarzyszył mu nawet we śnie. Przez cały ten czas ani razu nie otworzył pamiętnika. Jedyną ulgę dawała mu praca; czasami tak się wciągał, że na dziesięć minut udawało mu się zapomnieć o wszystkim. Nie miał bladego pojęcia, co się stało z

dziewczyną, a pytać nie mógł. Może ją ewaporowano, może popełniła samobójstwo, może przeniesiono ją na drugi koniec Oceanii; najgorsze, a zarazem najbardziej prawdopodobne było to, że go unika, bo się rozmyśliła.

Lecz dzień później znów ją zobaczył. Nie miała już ręki na temblaku, tylko kawałek plastra na nadgarstku. Poczuł tak wielką ulgę, że przez kilka sekund gapił się wprost na nią. Następnego dnia prawie udało mu się do niej odezwać. Kiedy wszedł do stołówki, siedziała przy stoliku z dala od ściany, i w dodatku zupełnie sama. Zjawił się wcześnie, wciąż było sporo wolnych miejsc. Kolejka przesuwała się powoli do przodu, aż w końcu, gdy Winston doszedł prawie do samego okienka, stanęła na dwie minuty, bo ktoś zaczął się awanturować, że nie dostał pastylki sacharyny. Ale dziewczyna wciąż siedziała sama, gdy Winstonowi wydano obiad, ruszył więc z tacą w jej stronę. Szedł niedbale, niby to szukając wzrokiem wolnego miejsca. Dzieliły go od niej już tylko trzy metry. Jeszcze dwie sekundy i mu się powiedzie.

Wtem jakiś głos za nim zawołał:

- Smith!

Udał, że nie słyszy.

- Smith! - Wołanie powtórzyło się, tym razem głośniejsze. Nie miał innego wyjścia. Odwrócił się. Młody blondyn o nieco głupkowatym wyrazie twarzy, nazwiskiem Wilsher, którego znał bardzo słabo, zapraszał go z uśmiechem do swojego stolika. Niebezpiecznie było odmówić. Skoro znalazło się wolne miejsce, nie mógł pójść dalej i przysiąść się do samotnej dziewczyny. Za bardzo by to kłuło w oczy. Usiadł, uśmiechając się przyjaźnie. Głupkowata twarz blondyna promieniała. Miał ochotę *zmiażdżyć* ją kilofem. Przy stoliku dziewczyny zajęto wszystkie miejsca.

Na pewno jednak widziała, że szedł w jej stronę, i powinna wyciągnąć z tego wniosek. I rzeczywiście; gdy nazajutrz zjawił się w stołówce, siedziała przy stoliku sama i podobnie jak wczoraj, z dala od teleekranu. W kolejce tuż przed Winstonem stał mały, zwinny, pluskwowaty człowieczek
o płaskiej twarzy i maleńkich, podejrzliwych oczkach. Kiedy Winston odwrócił się z tacą od kraty, zobaczył, że tamten kieruje się prosto do stołu dziewczyny. Znów stracił nadzieję. Przy następnym stoliku było wprawdzie jedno wolne miejsce, lecz coś w wyglądzie człowieczka sugerowało, że za bardzo ceni sobie wygodę, aby się tłoczyć z trzema osobami. Winston szedł za nim ze ściśniętym sercem. Musi znaleźć się z dziewczyną sam na sam, bo inaczej nic z tego nie wyjdzie. W tym momencie rozległ się potężny łoskot. Człowieczek padł na ziemię jak długi, wypuszczając z rąk tacę i rozbryzgując zupę i kawę po posadzce. Podniósł się i spojrzał gniewnie na Winstona, którego najwyraźniej podejrzewał o podstawienie nogi. Ale wszystko zakończyło się szczęśliwie. Pięć sekund później Winston, z walącym sercem, siedział przy stoliku dziewczyny.

Nie spojrzał na nią. Zestawił naczynia z tacy i zabrał się do jedzenia. Wiedział, że powinien przemówić jak najrychlej, zanim ktoś się dosiądzie, lecz nagle zdjął go blady strach. Minął tydzień, odkąd dała mu kartkę. Mogła się rozmyślić, na pewno się rozmyśliła! Nie wierzył w pomyślny rozwój tej historii; w życiu takie rzeczy po prostu się nie zdarzały. Może w ogóle nie wykrztusiłby słowa, gdyby naraz nie ujrzał Ampleforth'a, poety o owłosionych uszach, sunącego niemrawo po sali w poszukiwaniu wolnego miejsca. Na swój ślamazarny sposób Ampleforth lubił Winstona, było więc pewne, że się do niego dosiądzie, jeśli tylko go zauważy. Winston miał najwyżej minutę na działanie. Oboje z dziewczyną siedzieli wpatrzeni w miski, jedząc rzadki gulasz, a właściwie zupę - zupę fasolową. Winston zaczął mówić cichym, przytłumionym głosem. Żadne z nich nie podniosło głowy; jedli wodnistą breję, między jedną łyżką a drugą, monotonnym szeptem wymieniając niezbędne informacje.

- O której kończysz pracę?
- O osiemnastej trzydzieści.
- Gdzie się możemy spotkać?
- Na placu Zwycięstwa, obok pomnika.

- Tam jest pełno teleekranów.
- Jeśli jest tłum, to nic nie szkodzi.
- Dasz mi jakiś znak?
- Nie. Po prostu podejdź do mnie wówczas, kiedy będę w tłumie. I nie patrz na mnie. Ale podejdź blisko.
- O której?
- O dziewiętnastej.
- Dobrze.

Ampleforth nie dostrzegł Winstona; usiadł przy innym stoliku. Ale i tak nie odzywali się już więcej i - na tyle, na ile było to możliwe w wypadku dwóch, osób siedzących naprzeciwko siebie - unikali się wzrokiem. Dziewczyna szybko skończyła obiad i odeszła, a Winston został i zapalił papierosa.

Na placu Zwycięstwa zjawił się przed wyznaczonym czasem. Obszedł cokół ogromnej, żłobionej kolumny, z której szczytu posąg Wielkiego Brata patrzył na południe nieba; tam właśnie wódz rozgromił eurazjatyckie eskadry (kilka lat temu mówiło się, że wschódazjatyckie) w Bitwie o Pas Startowy Jeden. Nieopodal kolumny wznosił się pomnik jeźdźca; podobno przedstawiał Olivera Cromwella. O dziewiętnastej zero pięć dziewczyny wciąż nie było; Winstona znów oblał zimny pot. Nie przyjdzie, rozmyśliła się! Poszedł wolno na północną stronę placu i z pewną satysfakcją zidentyfikował kościół Świętego Marcina, którego dzwony – kiedy miał jeszcze takowe - biły „Skradł cytryn pół tuzina". Chwilę później ujrzał dziewczynę; stała przy kolumnie i czytała - lub udawała, że czyta - transparent obiegający spiralnie kamienny słup. Wiedział, że dopóki nie zgromadzi się więcej osób, dla własnego bezpieczeństwa powinni trzymać się od siebie z daleka - kolumnę otaczały teleekrany. Nagle jednak rozległy się okrzyki i warkot ciężkich pojazdów nadjeżdżających z lewa. Wszyscy zaczęli biec w tamtą stronę. Dziewczyna zwinnie okrążyła lwy u cokołu kolumny i przyłączyła się do biegnących. Winston popędził za nią. Z okrzyków wywnioskował, że zbliża się konwój eurazjatyckich jeńców.

Zbity tłum wypełniał już południową stronę placu. Winston, który w podobnych sytuacjach zwykle wolał trzymać się na uboczu, tym razem pchał się do przodu, torując sobie drogę łokciami. Wkrótce od dziewczyny dzieliło go zaledwie pół metra, lecz dalszą drogę blokowała mu para ogromnych proli, prawdopodobnie małżeństwo, których potężne cielska stanowiły przeszkodę nie do przebycia. Ustawił się bokiem i naparł z całej siły; zdołał wcisnąć ramię. Szamotał się przez chwilę, z uczuciem, że się dostał między dwa kamienie młyńskie, ale w końcu, zlany potem, przebił się na drugą stronę. Był tuż obok dziewczyny. Stali ramię w ramię, ze skupieniem patrząc prosto przed siebie.

Długa kolumna ciężarówek jechała wolno ulicą. W rogach każdej platformy stali uzbrojeni w pistolety maszynowe strażnicy o surowych obliczach; pilnowali drobnych, żółtych mężczyzn odzianych w liche zielone mundury. Jeńcy siedzieli w kucki, stłoczeni ciasno, a ich posępne mongolskie oczy patrzyły w dół z krańcową obojętnością. Co pewien czas, gdy ciężarówki podskakiwały na wybojach, rozlegał się brzęk żelastwa; jeńcy mieli skute nogi. Ciężarówka za ciężarówką przesuwały się przed Winstonem ponure twarze. Patrzył na nie, ale właściwie ich nie dostrzegał. Ramię dziewczyny przyciskało się do jego ramienia. Jej policzek był tak blisko, że czuł niemal jego ciepło. Podobnie jak w stołówce, od razu przejęła inicjatywę. Ledwo poruszając wargami, zaczęła mówić tym samym szeptem co poprzednio - cichym, monotonnym, łatwo ginącym pośród powszechnego zgiełku i warkotu silników.

- Słyszysz mnie?
- Tak.
- Czy jesteś wolny w niedzielę po południu?
- Tak.
- Więc słuchaj uważnie. Musisz wszystko zapamiętać. Pójdziesz na dworzec Paddington...

Z niemal wojskową precyzją, która wprawiła Winstona w zdumienie, poinstruowała go krok po kroku, co ma zrobić. Pół godziny koleją; ze stacji skręcić w lewo; przejść szosą dwa kilometry; przy bramie bez górnego pręta skręcić w polną drogę; dojść do leśnego duktu; potem skręcić na ścieżkę między krzakami; dojść do zwalonego pnia porośniętego mchem. Zupełnie jakby w głowie miała mapę.

- Zapamiętasz? - szepnęła na koniec.
- Tak.
- Skręcasz w lewo, w prawo, potem znów w lewo. Brama bez górnego pręta.
- Dobrze. O której?
- Około piętnastej. Może będziesz musiał na mnie zaczekać. Przyjdę inną trasą. Na pewno wszystko zapamiętałeś?
- Tak.
- Więc teraz szybko odejdź.

Tego nie musiała mu mówić. Ale nie od razu mogli się rozdzielić. Wciąż przejeżdżały ciężarówki, wszyscy więc stali, gapiąc się łapczywie. Na początku rozległo się trochę gwizdów i wrogich okrzyków, ale wydawali je nieliczni w tłumie partyjni i wkrótce też ucichli. Dominującym uczuciem była zwyczajna ciekawość. Cudzoziemcy, czy to Euroazjaci, czy Wschódazjaci, stanowili taką samą osobliwość jak rzadkie okazy zwierząt. Nigdy nie widywano ich inaczej niż w charakterze jeńców, i nawet wówczas zaledwie przez krótką chwilę. Nikt też nie wiedział, co się z nimi dzieje później; prawdopodobnie większość trafiała do obozów pracy, bo tylko drobną część wieszano jako zbrodniarzy wojennych. Okrągłe, mongolskie twarze ustąpiły miejsca bardziej europejskim, brudnym, zarośniętym i wymizerowanym. Znad nie ogolonych policzków patrzyły na Winstona wciąż nowe pary oczu; czasem wpijały się w niego z dziwną intensywnością, po czym odwracały. Konwój zbliżał się do końca. W ostatniej ciężarówce Winston zobaczył niemłodego mężczyznę z siwą gęstą brodą, który stał ze skrzyżowanymi rękami, jakby przywykł do tego, że skuwają mu je kajdany. Był już najwyższy czas odejść od dziewczyny. Lecz w ostatniej chwili, kiedy wciąż otaczał ich zwarty tłum, jej dłoń znalazła jego rękę i ścisnęła ją lekko.

Trwało to najwyżej dziesięć sekund, a jednak zdawało mu się, że trzymają się za ręce bardzo długo. Miał dość czasu, by poznać każdy szczegół jej dłoni. Badał dotykiem długie palce, kształtne paznokcie, stwardniałe od pracy i pokryte odciskami wnętrze dłoni, miękki nadgarstek. Umiałby teraz odróżnić tę dłoń wzrokiem. Nagle pomyślał, że nawet nie wie, jakiego koloru są oczy dziewczyny. Prawdopodobnie piwne, choć szatyni miewają czasem niebieskie tęczówki. Pragnął odwrócić głowę i sprawdzić, ale byłaby to niewyobrażalna głupota. Trzymając się za ręce, niewidoczne w zbitym tłumie, patrzyli prosto przed siebie i zamiast oczu dziewczyny, Winston napotkał smętny wzrok starego jeńca, spoglądającego spomiędzy siwych kłaków.

2

Winston szedł ocienionym duktem; gdzieniegdzie promienie słońca przedzierały się przez gałęzie, tworząc na ziemi jasne cętki; chwilami drzewa rzedły i wówczas dukt lśnił złociście. Pobocze po lewej stronie drogi mieniło się od dzwonków. Powietrze jakby pokrywało pieszczotami skórę. Był drugi dzień maja. Gdzieś z głębi lasu dolatywało gruchanie grzywaczy.

Przyjechał trochę wcześniej. Podróż odbyła się bez żadnych przygód; zorientowawszy się, że dziewczyna ma najwyraźniej doświadczenie w tego rodzaju sprawach, lękał się znacznie mniej, niżby oczekiwał. Z pewnością znalazła bezpieczne miejsce. Na ogół nie należało się spodziewać, że poza miastem zagrożenie maleje. W lasach nie instalowano oczywiście teleekranów, lecz każde słowo mogły zarejestrować poukrywane mikrofony, a rozpoznanie głosu nie nastręczało Policji Myśli najmniejszych kłopotów. Zresztą trudno było podróżować nie zwracając na siebie uwagi. Aczkolwiek wyjazd na odległość poniżej stu kilometrów od miejsca stałego pobytu nie wymagał specjalnej przepustki, to jednak na dworcach często kręciły się patrole policji, które legitymowały i szczegółowo wypytywały wszystkich napotkanych członków Partii. Ale tego dnia nie pojawił się żaden patrol ani też nikt nie śledził Winstona w drodze ze stacji, o czym się przekonał, co pewien czas oglądając się dyskretnie za siebie. Pociąg pełen był proli, w znakomitych humorach, bo akurat dopisała pogoda. Wagon z drewnianymi ławkami, w którym podróżował Winston, zajmowała niemal w całości jedna ogromna rodzina - od bezzębnej prababki po miesięczne niemowlę -jadąca odwiedzić teściów na wsi, aby tam - jak wyznali bez skrępowania - na lewo zaopatrzyć się w masło.

Dukt poszerzył się; po chwili Winston ujrzał ścieżkę, o której mówiła dziewczyna: wąską leśną drożynę wiodącą przez kępy krzaków. Nie miał zegarka, ale wiedział, że zjawił się przed czasem. Dzwonki rosły tu gęsto - nie sposób było po nich nie deptać. Ukląkł i zaczął je zbierać, trochę dla zabicia czasu, a częściowo dlatego, że nagle przyszło mu do głowy, iż z przyjemnością dałby dziewczynie bukiecik na powitanie. Miał już całkiem spory bukiet i właśnie go wąchał, wciągając w nozdrza nikły, nieco mdławy zapach, gdy wtem zamarł - usłyszał za sobą wyraźny trzask gałązki pękającej pod stopą. Wrócił do zrywania dzwonków. To było jedyne rozsądne wyjście. Mogła nadchodzić ona, ale równie dobrze ktoś mógł go mimo wszystko śledzić od stacji. Gdyby się obejrzał, wyglądałoby na to, że ma nieczyste sumienie. Zerwał jeden kwiat, zerwał drugi. Nagle poczuł na ramieniu dłoń.

Spojrzał do góry. To była ona. Potrząsnęła głową, widocznie aby go ostrzec, żeby się nie odzywał, po czym rozgarnęła krzaki i szybkim krokiem poprowadziła go ścieżką w głąb lasu. Najwyraźniej bywała tu nieraz, bo bez wahania omijała każde grząskie miejsce. Winston szedł za nią, wciąż ściskając w dłoni bukiet. Najpierw odetchnął z ulgą, lecz teraz, kiedy widział przed sobą szczupłe, silne ciało przepasane w talii szkarłatną szarfą podkreślającą krągłość bioder, owładnęło nim poczucie skrajnej niższości. Lękał się, że gdy dziewczyna odwróci się i mu przyjrzy, nie będzie go chciała. Wonne powietrze i widok zielonych liści odebrały Winstonowi resztki pewności siebie. Już w drodze ze stacji majowe słońce uzmysłowiło mu własną marność - marność bladej istoty żyjącej wiecznie pośród murów, z londyńskim kurzem i sadzą wżartymi w pory skóry. Zdał sobie sprawę, że dziewczyna nigdy dotąd nie widziała go w jasnym, dziennym świetle. Dotarli do zwalonego pnia, o którym mu wspominała. Przeskoczyła przez pień i weszła w krzaki, choć nie widać było między nimi żadnego przejścia. Winston ruszył jej śladem; chwilę później znaleźli się na niewielkiej porośniętej trawą polanie na szczycie małego pagórka, ze wszystkich stron otoczonego przez strzeliste młode drzewka, całkowicie kryjące go przed ludzkim wzrokiem. Dziewczyna zatrzymała się i odwróciła do Winstona.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczyła.

Stał kilka kroków od niej. I nie miał odwagi podejść bliżej.

- Specjalnie nie odezwałam się przy dukcie, bo tam mogą być mikrofony. Pewnie ich nie ma, ale lepiej nie ryzykować, że któryś z tych wieprzy rozpozna nasze głosy. Tu jesteśmy bezpieczni.

Wciąż brakowało mu śmiałości, żeby się do niej zbliżyć.

- Tu jesteśmy bezpieczni? - powtórzył tępo.

- Pewnie. Spójrz na te drzewa.

Wokół szumiały młode jesiony - niegdyś rósł tutaj wielki las, ale potem stare drzewa ścięto; ich pnie wypuściły nowe, proste pędy, z których żaden nie był grubszy od ludzkiej ręki.

- Nawet nie ma gdzie schować mikrofonu! - dodała. -Zresztą jestem tu nie pierwszy raz.

Lecz nie po to tu przyjechali, żeby rozmawiać. Winston zdobył się na odwagę i postąpił krok naprzód. Stała przed nim sztywno wyprostowana, z lekko ironicznym uśmiechem na ustach, jakby pytając, na co jeszcze czeka. Bukiet leżał na ziemi, choć nie pamiętał, żeby wypuścił go z rąk. Ujął dłoń dziewczyny.

- Czy uwierzysz, że do tej pory nie wiem, jakiego koloru masz oczy? - spytał.

Przekonał się, że są piwne; jasnopiwne, okolone czarnymi rzęsami.

- Powiedz, czy teraz, kiedy zobaczyłaś mnie z bliska, nie wydaję ci się wstrętny?

- Nie, skądże - odparła.

- Mam trzydzieści dziewięć lat. Żonę, której nie mogę się pozbyć. Wrzody na nogach. I pięć sztucznych zębów.

- To mnie nic nie obchodzi!

W następnej chwili, nie wiadomo, czy za jej, czy za jego sprawą, znalazła się w ramionach Winstona. Z początku myślał jedynie o tym, jakie to wszystko jest nieprawdopodobne. Dziewczęce ciało tuliło się do niego, ciemne włosy muskały mu policzek, a teraz... tak, zbliżyła twarz i oto całował pełne, czerwone usta! Zarzuciła mu ręce na szyję, szeptała, że jest najdroższy, cudowny, ukochany. Osunęli się na murawę; nie stawiała najmniejszego oporu, mógł z nią robić co chciał. Jednakże dotyk jej ciała nie rozpalił w nim namiętności. Czuł się dumny, szczęśliwy. Radował się z tego, co się dzieje, ale nie czuł pożądania. Sam dobrze nie wiedział dlaczego: może było na to zbyt wcześnie, może peszyły go jej młodość i uroda, może za długo żył bez kobiety. Dziewczyna podniosła się i wyjęła z włosów zgnieciony dzwonek. Usiadła i objęła Winstona ramieniem.

- Nie przejmuj się, kochanie. Nie ma pośpiechu. Całe popołudnie przed nami. Czy to nie wspaniała kryjówka? Znalazłam to miejsce, kiedy pewnego razu zgubiłam się na zbiorowej wycieczce. Jeśli ktoś idzie, słychać go na sto metrów.

- Jak masz na imię? - spytał.

- Julia. A ty Winston; nazywasz się Winston Smith.

- Skąd wiesz?

- Chyba jestem lepszym detektywem niż ty, mój kochany. Powiedz, co myślałeś o mnie, zanim dałam ci kartkę?

Nie miał ochoty kłamać. A zresztą, wyjawienie najgorszego było też pewnego rodzaju miłosnym podarkiem.

- Nienawidziłem cię strasznie. Chciałem cię zgwałcić, a potem zamordować. Przed dwoma tygodniami poważnie zastanawiałem się nad tym, czy nie roztrzaskać ci czaszki kamieniem. Skoro chcesz wiedzieć, powiem ci: byłem przekonany, że pracujesz dla Policji Myśli!

Dziewczyna roześmiała się radośnie, traktując to jako komplement dla swojej umiejętności kamuflażu.

- Coś ty, dla Policji Myśli?! Poważnie?

- No, może nie do końca. Ale kierując się twoim wyglądem, byłem przekonany... No, sama rozumiesz: jesteś młoda, świeża, zdrowa...

- Byłeś przekonany, że jestem wzorowym członkiem Partii. Czysta w myśli i uczynku. Transparenty, pochody, postępowe hasła, wspólne gry, piesze wycieczki i reszta tego gówna. I pewnie myślałeś, że gdybym miała choć cień podejrzenia, natychmiast bym cię zadenuncjowała jako myślozbrodniarza i cieszyła się z twojej śmierci?

- Tak, właśnie coś w tym stylu. Pamiętaj, że wiele młodych kobiet jest dokładnie takich.

- To wszystko przez tę przeklętą szmatę! - zawołała, zrywając z siebie szkarłatną szarfę Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej i ciskając ją na najbliższą gałąź.

Następnie, jakby dotknąwszy talii coś sobie przypomniała, wsunęła dłoń do kieszeni kombinezonu i wyjęła niedużą tabliczkę czekolady. Przełamała na dwie części i jedną dała Winstonowi. Jeszcze zanim jej skosztował, poznał po zapachu, że to niezwykła czekolada. Była

ciemna, lśniąca i owinięta w srebrną folię, podczas gdy normalnie sprzedawano matową, łamliwą masę brązowej barwy, o smaku kojarzącym się z wonią palonych śmieci. Ale kiedyś, dawno temu, jadł już taką czekoladę jak ta, którą poczęstowała go Julia. Sam zapach zbudził w nim silne, niepokojące, lecz całkiem zatarte wspomnienia.

- Skąd to masz? - spytał.

- Kupiłam na czarnym rynku - odparła obojętnie. - Fakt, pozornie jestem taka, za jaką mnie wziąłeś. Nigdy nie unikam sportu. W Kapusiach pełniłam funkcję drużynowej. Przez trzy wieczory w tygodniu pracuję ochotniczo w Młodzieżowej Lidze Antyseksualnej. Ileż to godzin zmarnowałam, obklejając cały Londyn tymi ich bzdetami! W pochodach z reguły noszę transparenty. Wyglądam pogodnie, nie wymiguję się od pracy społecznej. Zawsze krzycz to co inni, taka jest moja zasada. Tylko ona gwarantuje bezpieczeństwo.

Pierwszy kawałek czekolady roztopił się na języku Winstona. Była przepyszna. Tuż na skraju jego świadomości kołatał się jakiś zapomniany obraz, jakieś wspomnienie, silne, lecz niewyraźne niczym kształt dostrzegany kątem oka. Odsunął go od siebie, czując gdzieś w głębi, że wiąże się z jakimś uczynkiem, który najchętniej by odwołał, gdyby to tylko było możliwe.

- Jesteś bardzo młoda, Julio - rzekł. - Dziesięć, piętnaście lat młodsza ode mnie. Co takiego ci się we mnie spodobało?

- Masz coś w twarzy. Pomyślałam, że zaryzykuję. Umiem oceniać ludzi po wyglądzie. Wiedziałam, że oni cię mierżą.

Mówiąc oni miała na myśli Partię, a zwłaszcza Wewnętrzną Partię, z której tak bardzo się naigrawała, nie kryjąc swojej nienawiści, że Winston poczuł się nieswojo, chociaż wiedział, iż są tu wyjątkowo bezpieczni. Zdumiewało go też jej ordynarne słownictwo. Członkowie Partii nie powinni przeklinać i sam Winston klął bardzo rzadko, przynajmniej na głos. Julia natomiast jakby w ogóle nie potrafiła wspomnieć o Partii, a zwłaszcza o Wewnętrznej Partii, nie używając równie plugawych słów jak te powypisywane w cuchnących zaułkach. Nie żeby mu to przeszkadzało. Stanowiło po prostu kolejny przejaw buntu dziewczyny przeciwko Partii i wszystkiemu, co reprezentowała, i w pewien sposób wydawało mu się równie naturalne i zdrowe jak prychanie konia, który czuje zapach zgniłego siana. Opuścili polanę i wędrowali przed siebie ścieżką nakrapianą słońcem, idąc objęci, ilekroć jej szerokość na to pozwalała. Zdziwiło Winstona, o ileż miększa wydaje się talia dziewczyny, gdy nie opasuje jej szarfa. Rozmawiali szeptem. Poza polaną, zdaniem Julii, należało zachować ostrożność. Wkrótce doszli do skraju lasu. Julia zatrzymała się.

- Dalej nie idźmy. Na otwartym terenie ktoś może nas zauważyć. Tu zasłaniają nas gałęzie.

Stali w cieniu kępy leszczyny. Promienie słońca, mimo że przedzierały się przez dziesiątki liści, wciąż grzały im twarze. Winston spojrzał na pole rozciągające się przed nimi i nagłe, z najwyższym zdumieniem, rozpoznał to miejsce. Widział je nieraz. Opuszczone pastwisko z wyskubaną trawą, po którym -między kopczykami kretowisk - wiodła kręta ścieżka. Naprzeciw, w nierównym szeregu drzew, gałęzie wiązów drgały leciutko na wietrze, kołysząc gęstwiną liści niczym kobiecymi splotami. Gdzieś w pobliżu, choć poza zasięgiem wzroku, musi przepływać strumień, w którego zielonych rozlewiskach śmigają klenie!

- Czy gdzieś tędy przepływa strumyk? - spytał cicho.

- Tak, na skraju sąsiedniego pola. Są w nim ryby, i to naprawdę ogromne. Widać, jak czatują w rozlewiskach pod wierzbami, utrzymując się w miejscu lekkimi ruchami ogona.

- Złota Kraina - szepnął. - Prawie!

- Złota Kraina?

- Tak sobie nazwałem krajobraz, który czasami jawi mi się we śnie.

- Patrz! - powiedziała cicho Julia.

Niespełna pięć metrów od nich, na wysokości ich twarzy, przysiadł na gałęzi drozd. Może ich nie zauważył. Był w słońcu, a oni stali w cieniu. Rozpostarł skrzydła i znów je złożył, pokręcił łebkiem, jakby się kłaniał słońcu, po czym nagle zaśpiewał. W popołudniowej ciszy jego trel

zabrzmiał z niespodziewaną mocą. Winston i Julia przylgnęli do siebie, słuchając w oczarowaniu. Minuty mijały, a ptak śpiewał i śpiewał, coraz to inaczej, nie powtarzając się ani razu, jakby specjalnie popisywał się swoim kunsztem. Czasami milkł na kilka sekund, rozpościerał i składał skrzydła, a po chwili wypinał pierś i znów zanosił się śpiewem. Winston przypatrywał mu się z podziwem. Dla kogo i po co tak trelował? W pobliżu nie było żadnej samiczki, żadnego rywala. Co nim powodowało, że siedząc na skraju pustego lasu, wyśpiewywał w przestrzeń swoje tony? Ciekawe, czy był tu gdzieś ukryty mikrofon. On i Julia odzywali się do siebie tylko szeptem, zbyt cichym, aby mikrofon mógł go wyłowić, ale na pewno musiał rejestrować świergot. Może przy odbiorniku, daleko stąd, jakiś mały, pluskwowaty człowieczek nasłuchuje uważnie - i słyszy ptaka? Ale rozbrzmiewająca melodia stopniowo wyparła wszystkie myśli Winstona. Miał wrażenie, że zalewa go niczym balsamiczny płyn i miesza się z promieniami słońca przedzierającymi się przez gałęzie. Przestał myśleć; po prostu czuł. Kibić dziewczyny była miękka i ciepła. Obrócił Julię przodem do siebie; jej ciało jakby wtopiło się w jego własne. Kiedy dotykał dziewczyny, ulegle przyjmowała pieszczoty. Ich usta złączyły się, ale inaczej niż podczas pierwszych, gwałtownych pocałunków. Kiedy się odsunęli, oboje westchnęli głęboko. Spłoszony drozd odfrunął, łopocząc skrzydłami.

Winston zbliżył wargi do ucha Julii.

- Teraz - szepnął.

- Nie tutaj - odszepnęła. - Chodźmy na polankę. Tam bezpieczniej.

Pospiesznie, nie zważając na trzask gałązek, które pękały pod ich stopami, wrócili na dawne miejsce. Gdy znaleźli się na pagórku otoczonym młodymi jesionami, Julia odwróciła się do Winstona. Oboje oddychali ciężko, ale na jej wargach błąkał się uśmiech. Przez chwilę przypatrywała się mężczyźnie, po czym zbliżyła dłoń do błyskawicznego zamka kombinezonu. I stało się niemal to co w jego śnie! Niemal tak szybko, jak sobie wyobraził, zdarła z siebie ubranie i cisnęła na bok dokładnie tym samym wspaniałym gestem, obracającym wniwecz wszystkie nauki Partii. Jej białe ciało lśniło w słońcu. Na razie nie patrzył na nie; utkwił oczy w piegowatej, łobuzersko uśmiechniętej twarzy. Ukląkł przed Julią i ujął jej ręce w swoje.

- Czy robiłaś to już przedtem?

- Pewnie. Setki... no, dziesiątki razy.

- Z partyjnymi?

- Zawsze z partyjnymi.

- Z członkami Wewnętrznej Partii również?

- Nie, z tymi bydlakami nigdy. Ale wystarczyłoby, żebym kiwnęła palcem, a prawie każdy z nich poleciałby na mnie. Tylko, cholery, strugają takich świętoszków!

Serce zabiło mu radośniej. Robiła to dziesiątki razy -pragnął, aby były to setki, tysiące. Wszystko, co miało posmak zepsucia, napawało go nadzieją. Kto wie, może Partię już dawno przeżarła zgnilizna, może kult pracy i ascezy to blaga, zaledwie cienka otoczka skrywająca pełne rozpasanie. Gdyby mógł ich wszystkich *zarazić* trądem lub syfilisem, uczyniłby to z radością! Cokolwiek, byleby tylko osłabić, podkopać i zniszczyć tych drani! Pociągnął Julię w dół, tak aby klęczeli naprzeciw siebie.

- Słuchaj. Im więcej mężczyzn miałaś, tym bardziej cię kocham. Wiesz dlaczego?

- Tak. Doskonale.

- Nienawidzę czystości, nienawidzę dobroci! Nie chcę, żeby istniały jakiekolwiek cnoty. Pragnę, aby wszyscy byli zepsuci do szpiku kości.

- W takim razie powinnam ci odpowiadać, kochanie. Jestem zepsuta jak nikt.

- Lubisz to robić? Nie pytam o pieszczoty ze mną, lecz o seks jako taki.

- Uwielbiam!

To właśnie najbardziej pragnął usłyszeć. Nie chodziło mu o uczucie do konkretnej osoby, tylko o zwierzęcy instynkt, niepohamowany fizyczny popęd; on właśnie był siłą, która mogła

rozsadzić Partię. Przewrócił Julię na murawę, na rozsypane dzwonki; tym razem nie miał żadnych trudności. Po pewnym czasie ich przyspieszone oddechy powróciły do zwykłego rytmu i owładnięci błogą niemocą odsunęli się trochę od siebie. Słońce świeciło teraz jakby mocniej. Oboje czuli się senni. Winston przyciągnął kombinezon i narzucił na dziewczynę. Zasnęli niemal natychmiast i spali blisko pół godziny.

Winston obudził się pierwszy. Usiadł i popatrzył na piegowatą twarz Julii; dziewczyna nadal spała spokojnie, z policzkiem wspartym na dłoni. Żadna piękność, ale usta miała naprawdę wspaniałe. Kiedy się lepiej przyjrzał, pod jej oczami dostrzegł kilka pojedynczych zmarszczek. Za to krótkie ciemne włosy były wyjątkowo gęste i puszyste. Zdał sobie sprawę, że wciąż nie zna nazwiska Julii i nie wie, gdzie ona mieszka.

Młode, silne ciało, tak niewinnie pogrążone we śnie, wydało mu się kruche i bezradne, wzbudzało w nim opiekuńcze uczucia. Lecz naiwna tkliwość, która wezbrała w nim pod leszczyną, kiedy słuchali śpiewu drozda, minęła bezpowrotnie. Ściągnął z Julii kombinezon i długo wpatrywał się w jej gładkie białe ciało. W dawnych czasach, pomyślał, gdy mężczyzna patrzył na ciało dziewczyny, które go podniecało, sprawa była prosta. Obecnie jednak nie istniała sama miłość lub samo pożądanie. Żadne uczucie nie mogło być czyste, bo wszystko przesycały strach i nienawiść. Uściski jego i Julii były walką; ich orgazm zwycięstwem. Ciosem zadanym Partii. Udaną akcją polityczną.

3

Kiedyś możemy tu znów przyjechać - powiedziała Julia. - Zwykle każdej kryjówki można bezpiecznie używać dwa razy. Ale dopiero po miesiącu lub dwóch, oczywiście.

Natychmiast po przebudzeniu jej zachowanie całkiem się zmieniło: stała się czujna i rzeczowa. Ubrała się, obwiązała szarfą i zaczęła instruować Winstona, którędy ma jechać do domu. Wydało mu się naturalne, że to ona zajęła się planowaniem powrotu. Najwyraźniej miała dryg do takich spraw, którego jemu zupełnie brakowało, a w dodatku doskonale znała okolice Londynu z licznych pieszych wycieczek. Marszruta, jaką dla niego ułożyła, nie pokrywała się z jego poranną trasą; w Londynie też przyjeżdżał na inny dworzec.

- Nigdy nie należy wracać tą samą drogą - oświadczyła takim tonem, jakby obwieszczała żelazną regułę. Postanowiła, że ruszy pierwsza; Winston miał odczekać jeszcze pół godziny. Powiedziała mu, gdzie mogą się spotkać po pracy, za cztery dni. Wybrała uliczkę w jednej z uboższych dzielnic, na której znajdował się targ; zwykle panował tam zgiełk i przewalały się tłumy. Będzie kręciła się między straganami, udając, że szuka sznurowadeł lub nici. Jeśli uzna, że jest bezpiecznie, wytrze nos, kiedy Winston się zbliży; jeśli nie da tego znaku, ma ją po prostu minąć. Jeżeli szczęście dopisze, uda im się, niewidocznym w tłumie, porozmawiać z kwadrans i umówić się na następne spotkanie.

- Lecę - powiedziała, gdy tylko zapamiętał jej instrukcje. -O dziewiętnastej trzydzieści muszę być z powrotem. Obiecałam przepracować dwie godziny w Młodzieżowej Lidze Antyseksualnej, pewnie będę rozdawać ulotki czy robić coś podobnego. Szlag by ich trafił! Otrzep mnie, dobrze? Nie mam we włosach liści? Na pewno? W takim razie żegnaj, najdroższy, żegnaj!

Padła mu w ramiona, wycałowała gwałtownie, a chwilę później przedarła się przez młode jesiony i prawie bezszelestnie oddaliła. Wciąż nie znał jej nazwiska i adresu - ale mniejsza, bo przecież i tak nie mogli ani się odwiedzać, ani ze sobą korespondować.

Tak się złożyło, że nigdy więcej nie pojechali na polanę. W maju jeszcze tylko raz mieli okazję się kochać. Zdarzyło się to w innej kryjówce znanej Julii, dzwonnicy zburzonego kościoła w niemal całkiem wyludnionej okolicy, na którą przed trzydziestu laty zrzucono bombę atomową. Było to świetne miejsce, lecz samo dotarcie do niego wiązało się ze znacznym ryzykiem. W pozostałe dni spotykali się na ulicy, każdego wieczoru gdzie indziej i nigdy na dłużej niż na pół godziny. Mogli ze sobą wówczas rozmawiać, choć w dość osobliwy sposób. Wędrując zatłoczonymi chodnikami, nigdy ramię w ramię i ani razu na siebie nie patrząc, prowadzili dziwaczny dialog, przerywany niczym światło latarni morskiej; milkli nagle - często w połowie zdania - ilekroć widzieli partyjny kombinezon lub zbliżali się do teleekranu, by po kilku minutach podjąć przerwany wątek; gdy zaś dochodzili do miejsca, gdzie mieli się rozstać, urywali rozmowę, po czym nazajutrz kontynuowali ją bez żadnego wstępu. Julia była najwyraźniej przyzwyczajona do takiego sposobu porozumiewania się, który nazywała„rozmową na raty". Posiadała też niezwykłą biegłość w mówieniu bez poruszania ustami. Tylko raz, w ciągu niemal miesiąca wieczornych spotkań, udało im się pocałować. Szli w milczeniu boczną ulicą (Julia uważała, że z dala od głośnych arterii nie wolno się odzywać), gdy nagle doszedł ich ogłuszający ryk, ziemia zadygotała, niebo poczerniało i Winston nagle stwierdził, że leży na ziemi, przerażony i potłuczony. Gdzieś bardzo blisko rąbnął pocisk rakietowy. Wtem Winston ujrzał o kilka centymetrów od siebie twarz Julii - trupiobladą. Nawet usta miała białe. „Nie żyje!" -przeraził się. Przytulił ją i dopiero wtedy sobie uświadomił, że całuje ciepłą twarz żywej osoby. Pod wargami czuł pył; pokrywała ich gruba warstwa tynku.

Czasem, kiedy docierali na umówione miejsce, musieli się mijać bez jednego spojrzenia, bo albo zza rogu wyłaniał się patrol, albo w górze terkotał helikopter. Nawet gdyby było to mniej niebezpieczne, i tak nie mieliby czasu spotykać się częściej. Winston pracował sześćdziesiąt godzin tygodniowo, Julia jeszcze więcej; od nawału pracy zależało, kiedy wypadną ich wolne dni - często się nie pokrywały. Co więcej, Julia rzadko miała cały wolny wieczór. Niesamowicie dużo czasu pochłaniało jej słuchanie odczytów, udział w pochodach, rozdawanie ulotek Młodzieżowej Ligi Anty seksualnej, przygotowywanie transparentów na Tydzień Nienawiści, zbieranie składek podczas kampanii oszczędnościowej i podobna działalność społeczna. Twierdziła, że jej się to opłaca; daje doskonały kamuflaż. Przestrzegając błahych praw, można łamać wielkie. Namówiła nawet Winstona, aby poświęcił jeszcze jeden ze swoich wolnych wieczorów i zgłosił się ochotniczo do pracy w fabryce broni, gdzie - w ramach dodatkowych zajęć -zatrudniano gorliwych partyjniaków. Tak więc raz w tygodniu, przez cztery godziny, Winston z nudy odchodził niemal od zmysłów, skręcając ze sobą niewielkie kawałki metalu, prawdopodobnie części zapalników, w kiepsko oświetlonej, pełnej przeciągów hali, w której ponury stukot młotków zlewał się z muzyką płynącą z teleekranów.

Kiedy spotkali się w dzwonnicy, mogli wreszcie uzupełnić luki w swoich przerywanych rozmowach. Było upalne popołudnie. Powietrze w małym kwadratowym pomieszczeniu nad dzwonami, nagrzane i duszne, cuchnęło gołębimi odchodami. Rozmawiali przez wiele godzin, siedząc na zakurzonej, pokrytej gałązkami podłodze; tylko co jakiś czas któreś z nich wstawało, by spojrzeć przez wąskie otwory strzelnicze i sprawdzić, czy nikt się nie zbliża.

Julia miała dwadzieścia sześć lat. Mieszkała w hotelu robotniczym z trzydziestoma innymi dziewczętami („Wiecznie w tym babskim smrodzie! Jak ja nienawidzę kobiet" - dorzuciła) i pracowała, tak jak się domyślał, przy automatach do pisania powieści w Departamencie Literatury. Lubiła swój zawód: jej obowiązki polegały głównie na obsłudze i konserwacji potężnego, skomplikowanego silnika elektrycznego. Nie uważała się za specjalnie błyskotliwą, ale znała się na maszynach, a praca fizyczna sprawiała jej przyjemność. Potrafiła opisać cały proces tworzenia powieści od momentu nadejścia zlecenia z Komisji Planowania aż po ostateczny retusz dokonywany przez zespół autorski. Za to końcowy wynik jej nie interesował. Jak oświadczyła, nie

miała głowy do książek. Traktowała je tak samo jak inne artykuły, które się produkuje, na przykład sznurowadła lub dżemy.

Nie sięgała pamięcią dalej niż do początku lat sześćdziesiątych, a jedyną znaną jej osobą, która często mówiła o czasach przed Rewolucją, był jej dziadek; znikł, kiedy miała osiem lat. W szkole została kapitanem drużyny hokejowej i dwa lata z rzędu zdobyła tytuł najlepszej gimnastyczki. W Kapusiach była drużynową, a w Lidze Młodych - zanim przeszła do Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej - sekretarzem okręgowym. Zawsze cieszyła się znakomitą opinią. Wybrano ją nawet (nieomylna oznaka zaufania) do pracy w Pornoseku, sekcji Departamentu Literatury, zajmującej się produkcją tandetnej pornografii do rozprowadzania wśród proli. Między sobą, jak wyznała, pracownicy przezywali tę sekcję „Kloaką". Pracowała tam przez rok, pomagając wydawać broszury - od razu w zaklejonych opakowaniach - pod takimi tytułami jak *Lubię być chłostana* albo *Noc w internacie dla dziewcząt*, które później kupowali ukradkiem młodzieńcy z proletariackich rodzin, przekonani, że zdobywają coś zakazanego.

- Jakie one są? - zapytał zaciekawiony Winston.

- Ech, straszne śmiecie. I tak naprawdę, potwornie nudne. Jest tylko sześć fabuł, które za każdym razem co nieco się zmienia. Zresztą ja tylko obsługiwałam kalejdoskop. Nigdy nie pracowałam w zespole autorskim. Nie mam żadnych zdolności literackich, nawet do wymyślania takiej szmiry.

Zdumiała go wiadomość, że z wyjątkiem szefów wszystkich podsekcji w Pornoseku zatrudniano wyłącznie dziewczęta, uważając, że mężczyźni, u których popęd płciowy jest znacznie silniejszy, mogą prędzej ulec zepsuciu przez kontakt z produkowanymi przez siebie świństwami.

- Nawet mężatki niechętnie zatrudniają - dodała. - Wolą młode dziewczyny, bo niby są takie czyste. Ale co do mnie grubo się omylili!

Swój pierwszy romans miała w wieku lat szesnastu z sześćdziesięcioletnim członkiem Partii, który później popełnił samobójstwo, aby uniknąć aresztowania.

- I dobrze się stało - stwierdziła - bo gdyby go zaczęli maglować, na pewno by mnie wsypał.

Od tego czasu miała wielu kochanków. Filozofia życiowa Julii była bardzo prosta. Pragnęła się bawić, a „oni", czyli Partia, usiłowali jej w tym przeszkodzić; łamała więc prawo i jakoś sobie radziła. Uważała za tak samo naturalne to, że „oni" chcą pozbawić każdego radości, jak to, że każdy próbuje uniknąć złapania. Nienawidziła Partii i często o tym mówiła, używając jak najordynarniejszych słów, ale nie krytykowała jej założeń i polityki. Doktryny Partii zupełnie Julii nie interesowały, chyba że dotyczyły jej własnego życia. Winston stwierdził, że w ogóle nie stosuje nowomowy, z wyjątkiem paru słów, które weszły do powszechnego użycia. Nigdy nie słyszała o Braterstwie i nie chciała wierzyć w jego istnienie. Zorganizowany bunt przeciwko Partii, z góry skazany na niepowodzenie, uznała za idiotyzm. Twierdziła, że najrozsądniej jest po prostu łamać przepisy, lecz umiejętnie, tak aby nie wpaść. Winston ciekaw był, ilu przedstawicieli młodego pokolenia myśli podobnie jak ona - czy można *znaleźć* wielu ludzi wychowanych po Rewolucji, nieświadomych innego życia, którzy uważają Partię za coś równie trwałego jak niebo i nie buntują się otwarcie przeciwko jej autorytetowi, lecz usiłują jej się wymknąć ukradkiem niczym zając sforze psów.

Ani razu nie rozważali możliwości wzięcia ślubu, bo zastanawianie się nad czymś tak nierealnym po prostu nie miało sensu. Żadna komisja nie udzieliłaby im zgody, nawet gdyby Winstonowi udało się jakoś pozbyć Katherine. Nie było co marzyć.

- Jaka ona jest, ta twoja żona? - zapytała Julia.

- Hm... czy znasz taki termin z nowomowy: *dobromyślak?* Oznacza osobę dogłębnie ortodoksyjną, niezdolną do pomyślenia czegoś złego.

- Nie, tego zwrotu nie znam, ale wiem dobrze, o jaki typ człowieka ci chodzi.

Zaczął jej opowiadać historię swojego małżeństwa, lecz ku jego zaskoczeniu, nie gorzej niż on umiała scharakteryzować ten związek. Opisała mu ciało Katherine, jakby je widziała lub dotykała, sztywniejące, ilekroć się do niej zbliżał, oraz sposób, w jaki żona zdawała się z całej siły go odpychać nawet wówczas, gdy obejmowała go ciasno ramionami. Rozmawiając z Julią o tych sprawach, nie czuł skrępowania; zresztą Katherine już dawno przestała być dla niego bolesnym wspomnieniem; co najwyżej myślał o niej z niesmakiem.

- Wytrzymałbym z nią, gdyby nie jedno - oświadczył i opowiedział o frustrującej rodzinnej ceremonii, do której Katherine przymuszała go regularnie raz w tygodniu. - Nie znosiła tego, ale nic nie mogło jej powstrzymać. Nazywała to... Nigdy nie zgadniesz!

- Obowiązkiem wobec Partii - oznajmiła natychmiast Julia.

- Skąd wiedziałaś?!

- Ja też, kochany, chodziłam do szkoły. Szesnastolatki mają raz w miesiącu pogadanki na temat życia rodzinnego. To samo dzieje się w organizacjach młodzieżowych. Całymi latami wbijają ci do głowy te bzdury. I w wielu wypadkach chyba rzeczywiście im się udaje. Chociaż właściwie trudno ocenić; ludzie potrafią być szalenie obłudni!

Zaczęła rozwijać tę kwestię. Prawie każdy temat sprowadzała do własnej zmysłowości, a wówczas potrafiła wygłaszać niezwykle wnikliwe sądy. W odróżnieniu od Winstona, świetnie rozumiała, dlaczego Partia jest taka purytańska. Udane współżycie płciowe zwalczano nie dlatego, że między partnerami tworzy się intymna więź nie poddająca się partyjnej kontroli, ale ponieważ niezaspokojenie seksualne wywołuje histerię, stan ogromnie pożądany, gdyż łatwo go przekształcić w gorączkę wojenną lub w kult przywódcy. Julia ujęła to tak:

- Kiedy ludzie się kochają, zużywają energię, a potem jest im dobrze i zupełnie nic ich nie obchodzi. Więc Partia zakazuje im się kochać, bo chce, żeby każdy bezustannie aż tryskał energią. Te ciągłe pochody, okrzyki, wymachiwanie flagami to po prostu oznaki nie wyżycia seksualnego. Jeśli jest ci dobrze, po cholerę miałbyś się podniecać Wielkim Bratem, planami trzyletnimi, Dwoma Minutami Nienawiści i resztą tych bredni?

Ma rację, pomyślał. Między wstrzemięźliwością płciową a ortodoksją polityczną musi istnieć ścisły, bliski związek. Bo jak inaczej można utrzymać na tak wysokim poziomie owo natężenie strachu, nienawiści i obłąkańczej łatwowierności u wszystkich członków Partii, jeśli nie przez zatamowanie, spiętrzenie i odpowiednie ukierunkowanie jakiegoś potężnego naturalnego instynktu? Popęd płciowy stwarzał dla Partii zagrożenie, ale umiała go wykorzystać. Podobnie postąpiła z instynktem rodzicielskim. Nie mogła zakazać posiadania dzieci, zachęcała wiec do kochania ich w jak najbardziej tradycyjny sposób. Natomiast dzieci systematycznie obracano przeciwko rodzicom; uczono je, aby szpiegowały i donosiły, jeśli tylko zauważą coś odbiegającego od normy. Tak wiec rodzina stała się jakby przedłużeniem Policji Myśli; każdy, kto miał dzieci, przez cały czas przebywał w towarzystwie doskonale go znających kapusiów.

Nagle Winstonowi przypomniała się Katherine. Na pewno doniosłaby na niego Policji Myśli, gdyby po prostu nie była zbyt głupia, aby się zorientować, jak nieprawomyślne ma poglądy. Myśl o niej nasunął mu panujący upał, od którego czoło miał zroszone potem. Zaczął opowiadać Julii o tym, co się wydarzyło - a raczej prawie wydarzyło - w równie upalne letnie popołudnie przed jedenastu laty.

Było to trzy lub cztery miesiące po ich ślubie. Zgubili się podczas pieszej wycieczki w okolice Kent. Zostali w tyle za grupą zaledwie o kilkaset metrów, lecz skręcili w złą stronę i nagle znaleźli się na skraju urwiska, w miejscu gdzie niegdyś wybierano kredę. Pionowa ściana - dziesięć, dwadzieścia metrów - a poniżej głazy. Nie było nikogo, kogo mogliby zapytać o drogę. Kiedy Katherine zrozumiała, że się zgubili, wpadła w popłoch. Przebywanie choć przez chwilę z dala od hałaśliwych współuczestników wycieczki wywoływało u niej poczucie winy. Chciała czym prędzej wrócić tą samą drogą, którą przyszli, i udać się na poszukiwanie grupy. Ale akurat wtedy Winston spostrzegł kępy krwawnicy rosnące w szczelinach skalnych poniżej. Wśród nich dwubarwną -

karmazynową i ceglastoczerwoną - która najwyraźniej wyrastała z jednego korzenia. Nigdy nie widział czegoś podobnego, zawołał więc Katherine, żeby też zobaczyła.

- Spójrz, Katherine! Popatrz na tamte kwiaty. Ta kępa prawie na samym dole. Widzisz, że są w dwóch kolorach?

Już odchodziła, ale mimo wzburzenia cofnęła się. Wychyliła się przez urwisko i spojrzała tam, gdzie wskazywał. Stojąc o krok za nią, objął ją w talii, by nie straciła równowagi. W tejże chwili zdał sobie sprawę, że są zupełnie sami. W pobliżu nie było nikogo, nie drgał ani jeden liść, nie słyszało się nawet ptaków. Mała szansa, aby w takim miejscu znajdował się mikrofon, a nawet gdyby go tu gdzieś ukryto, wyłapywałby przecież tylko dźwięki. Była to najgorętsza, najbardziej senna pora popołudnia. Słońce paliło, pot ściekał Winstonowi z twarzy. I wtedy nagle przyszło mu do głowy...

- Dlaczegoś jej nie zepchnął? - spytała Julia. - Ja bym się tam nie wahała.

- Tak, najdroższa, nie wątpię. Ja też bym się nie wahał, gdybym wtedy był tym człowiekiem co teraz. Chociaż... sam nie wiem.

- Żałujesz, żeś jej nie zrzucił?

- Tak. W gruncie rzeczy żałuję.

Siedzieli obok siebie na zakurzonej posadzce. Przyciągnął dziewczynę bliżej. Oparła głowę o jego ramię; jej włosy wydzielały przyjemny zapach niweczący smród gołębich odchodów. Jest młoda, pomyślał, wciąż oczekuje czegoś od życia i nie rozumie, że zepchnięcie ze skały niewygodnej osoby niczego nie rozwiązuje.

- Przecież to by nic nie zmieniło - oświadczył.

- Więc dlaczego żałujesz, żeś jej nie zepchnął?

- Bo lepsze jest działanie od bierności. W grze, jaką prowadzimy, nie możemy odnieść zwycięstwa. Ale niektóre przegrane są mimo wszystko lepsze od innych.

Poczuł, że Julia wzrusza ramionami na znak sprzeciwu. Nigdy się z nim nie zgadzała, ilekroć mówił coś podobnego. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że jednostka zawsze musi przegrać. Zdawała sobie sprawę, iż zguba jest przesądzona, że prędzej czy później Policja Myśli złapie ich i zabije, ale równocześnie jakaś cząstka jej umysłu wierzyła w szansę stworzenia sobie tajemniczego świata, w którym można żyć, jak się tylko zapragnie. Wystarczyło mieć szczęście, przebiegłość i odwagę. Nie rozumiała, że szczęście po prostu nie istnieje, że zwycięstwo jest możliwe jedynie w odległej przyszłości, długo po ich śmierci, że od chwili wypowiedzenia wojny Partii najlepiej myśleć o sobie jako o trupie.

- Jesteśmy martwi - rzekł Winston.

- Jeszcze nie jesteśmy - zaprotestowała rzeczowo.

- Fizycznie nie jesteśmy. Ale za pół roku, za rok, góra za pięć lat będziemy. Boję się śmierci. Jesteś młodsza ode mnie, więc pewnie boisz się bardziej. Jasne, że spróbujemy odwlekać nasz koniec tak długo, jak nam się uda. Ale nie ma to wielkiego znaczenia. Skoro zdecydowaliśmy się być wolnymi ludźmi, musimy postawić znak równości między życiem i śmiercią.

- Bzdura! Wolisz się kochać ze mną czy z jakimś szkieletem? Nie radujesz się życiem? Nie cieszy cię, że możesz powiedzieć: to jestem ja, to jest moja ręka, moja noga, istnieję, naprawdę istnieję, żyję?! Nie sprawia ci to radości?!

Obróciła się ku niemu i przywarła całym ciałem. Czuł przez kombinezon dotyk jej dojrzałych, jędrnych piersi. Ciało Julii wlewało w niego swoją młodość i animusz.

- Masz rację, sprawia - przyznał.

- Więc przestań gadać o śmierci. A teraz, kochany, musimy się umówić na następne spotkanie. Chyba znów możemy się spotkać na polance. Odczekaliśmy dość długo. Tylko tym razem pojedziesz inną trasą. Wszystko już obmyśliłam. Wsiądziesz w pociąg... poczekaj, najlepiej ci to narysuję.

I, zaradna jak zawsze, gałązką z gołębiego gniazda *zaczęła* rysować mapę na zakurzonej posadzce.

4

Winston rozejrzał się po nędznym pokoiku nad sklepem pana Charringtona. Na ogromnym łóżku pod oknem leżały wystrzępione koce i poduszka bez powłoczki. Na kominku tykał staromodny zegar z dwunastocyfrową tarczą. W rogu, na rozkładanym stole, połyskiwał łagodnie w półmroku szklany przycisk, który Winston kupił przed miesiącem.

Za metalową osłoną kominka stał poobijany blaszany prymus, garnek oraz dwie filiżanki, wszystko dostarczone przez pana Charringtona. Winston rozpalił prymus i nastawił w garnku wodę. Przyniósł ze sobą pełną kopertę Kawy Zwycięstwa i kilka pastylek sacharyny. Zegar wskazywał siódmą dwadzieścia, czyli dziewiętnastą dwadzieścia. Julia miała przyjść o dziewiętnastej trzydzieści.

Szaleństwo, szaleństwo, szeptał mu wewnętrzny głos; świadome, niepotrzebne, samobójcze szaleństwo. Ze wszystkich przestępstw, jakie mógł popełnić członek Partii, to było najtrudniejsze do ukrycia. Pomysł przyszedł mu do głowy, gdy ujrzał w myślach szklany przycisk odbijający się w wypolerowanym blacie rozkładanego stołu. Tak jak oczekiwał, pan Charrington chętnie wynajął pokój. Ucieszył się, że wpadnie mu kilka dolarów ekstra. Ani się nie oburzył, ani nie zaczął nieprzyjemnie spoufalać, kiedy stało się jasne, iż Winston potrzebuje pokoju w celach romansowych. Starał się raczej nie patrzeć mu w oczy i wyrażać tylko ogólnikami; w sumie zachowywał się tak delikatnie, jakby chciał niemal stać się niewidoczny. Możliwość przebywania z dala od ludzi to cenna rzecz, oświadczył. Co pewien czas każdy odczuwa potrzebę samotności. A jeśli komuś akurat wiadomo, gdzie ktoś inny lubi izolować się od świata, zwykła grzeczność wymaga, aby tego nie rozgłaszał. Dodał nawet, z takim wyrazem twarzy, jakby najchętniej w ogóle rozpłynął się w powietrzu, że drugie drzwi domku wychodzą na podwórze, z którego jest przejście na sąsiednią uliczkę.

Za oknem ktoś śpiewał. Winston, ukryty za muślinową firanką, wyjrzał na zewnątrz. Czerwcowe słońce wciąż wędrowało wysoko po niebie, a na podwórku skąpanym w jego blasku olbrzymia baba przewiązana w pasie fartuchem uszytym z worka, masywna jak normandzka kolumna, o krzepkich, czerwonych ramionach, chodziła ciężko tam i z powrotem między balią a sznurem na bieliznę, rozwieszając dziesiątki białych, kwadratowych kawałków materiału, w których Winston rozpoznał pieluszki. Ilekroć wyjmowała z ust drewniane spinacze, natychmiast *zaczynała* śpiewać donośnym kontraltem:

To był tylko chwilowy urok
I minął jak kwietniowy dzień,
Lecz cóż za marzenia rozbudził!
Z serca mego najlżejszy zdjął cień!

Słowa te od tygodni nucił do znudzenia cały Londyn. Była to jedna z niezliczonych, bardzo do siebie podobnych piosenek, przygotowywanych dla proli przez którąś z sekcji Departamentu Muzyki. Ich teksty, bez absolutnie niczyjego udziału, układała maszyna zwana wersyfikatorem. Ale

kobieta śpiewała tak melodyjnie, że w jej ustach nawet te straszne brednie brzmiały niemal przyjemnie. Winston słyszał śpiew i szuranie butów prolki o bruk, krzyki dzieci bawiących się na ulicy, a gdzieś w oddali stłumione odgłosy ruchu kołowego, lecz pokój i tak wydawał mu się cichy przez to, że brakowało w nim teleekranu.

„Szaleństwo, czyste szaleństwo!" - pomyślał znów. Nie wierzył, aby widując się tutaj, mogli uniknąć wykrycia dłużej niż przez kilka tygodni. Ale pokusa, by wreszcie mieć stałe miejsce spotkań, w dodatku blisko i pod dachem, była dla nich zbyt silna. Po randce w dzwonnicy w ogóle nie udawało im się spotkać. W związku ze zbliżającym się Tygodniem Nienawiści drakońsko wydłużono czas pracy. Wprawdzie obchody rozpoczynały się dopiero za miesiąc, ale przygotowania prowadzono na tak gigantyczną skalę, że nikogo nie ominęły jakieś dodatkowe zajęcia. Wreszcie jednego dnia obojgu wypadało wolne popołudnie. Umówili się, że pojadą na polankę. Dzień wcześniej spotkali się wieczorem na ulicy. Jak zwykle Winston ledwo spojrzał na Julię, kiedy lawirowali w tłumie, powoli zbliżając się do siebie, lecz wydała mu się bledsza niż zazwyczaj.

- Nic z tego - szepnęła, gdy tylko uznała, że może się bezpiecznie odezwać. - Z jutra nici!
- Co takiego?
- Jutro nie mogę.
- Dlaczego?
- Z prozaicznej przyczyny. Tym razem zaczął mi się wcześniej.

Mężczyzna na moment wpadł we wściekłość. Odkąd miesiąc temu poznał Julię, zmienił się charakter jego pożądania. Na początku niewiele było w ich pieszczotach prawdziwej zmysłowości. Kiedy kochali się po raz pierwszy, był to po prostu świadomy akt woli. Ale już po drugim razie wszystko się zmieniło. Zapach włosów Julii, smak jej ust, dotyk skóry stały się jakby częścią jego i jego świata. Dziewczyna wydawała mu się teraz fizycznie niezbędna; nie tylko jej pragnął -uważał wręcz, że ma do niej prawo. Kiedy powiedziała, że jutro nie może jechać, poczuł się głęboko oszukany. Akurat w tym momencie tłum pchnął ich ku sobie i ich dłonie się zetknęły. Szybko uścisnęła czubki jego palców gestem, który wzbudził w nim nie tyle pożądanie, ile czułość. Uzmysłowił sobie, że kiedy żyje się z kobietą, taki powód odmowy jest rzeczą częstą i naturalną; ogarnęło go rozrzewnienie, jakiego nie znał nigdy dotąd. Zapragnął nagle, aby byli małżeństwem już od dziesięciu lat. Zapragnął iść z nią ulicą; nie tak jak teraz, lecz otwarcie i bez lęku, rozmawiając o błahostkach i kupując drobiazgi do wspólnego domu. Zamarzyło mu się, aby mieli gdzie się spotykać i przebywać tylko we dwoje bez poczucia, że za każdym razem muszą się kochać. Nie tego wieczoru, ale już następnego dnia wpadł mu pomysł, żeby wynająć pokój od pana Charringtona. Gdy powiedział o tym Julii, niespodziewanie przystała ochoczo. Oboje zdawali sobie sprawę, że to szaleństwo. Jakby naumyślnie postępowali o krok w stronę grobu. Siedząc na brzegu łóżka i czekając na Julię, pomyślał o lochach Ministerstwa Miłości. Dziwne, jak ów nieuchronny koszmar jawił się nagle przed oczyma, po czym znów znikał. Był czymś nieodwołalnym: stanowił część ich przyszłości, część poprzedzającą śmierć tak niezawodnie, jak liczba 99 poprzedza liczbę 100. Nie sposób było tego uniknąć, ale istniała szansa odroczenia; jednakże raz po raz z pełną świadomością niebezpieczeństwa robili coś, co tylko mogło skrócić okres dzielący ich od zguby.

W tym momencie na schodach rozległ się pospieszny tupot kroków i do pokoju wpadła Julia. Miała ze sobą torbę na narzędzia wykonaną z grubego brązowego płótna, z którą czasami widywał ją na korytarzu ministerstwa. Podszedł i przytulił dziewczynę, lecz szybko wyzwoliła się z objęć, wciąż ściskając torbę.

- Jedną chwilkę! Najpierw chcę ci pokazać, co zdobyłam. Ty pewnie przyniosłeś tę ohydną Kawę Zwycięstwa, no nie? Tak też myślałam. Możesz wyrzucić to gówno, nie będzie nam potrzebna. Patrz!

Uklękła na podłodze, otworzyła torbę i wysypała z niej leżące na wierzchu narzędzia. Pod spodem znajdowało się kilka zgrabnych papierowych paczuszek. W pierwszej, którą mu podała,

wyczuł dotykiem coś dziwnego, ale zarazem jakby mgliście znajomego. Wypełniała ją jakaś ciężka, ziarnista substancja ustępująca pod naciskiem palców.

- Czyżby to był cukier? - spytał.

- Tak, prawdziwy cukier. Nie sacharyna, tylko cukier! A oto bochenek chleba, prawdziwego, jasnego chleba, nie tego świństwa, którym nas karmią, oraz słoiczek dżemu. Do tego jeszcze puszka mleka i... Spójrz! Z tego jestem najbardziej dumna. Musiałam owinąć w szmatę, bo...

Nie potrzebowała mu wyjaśniać, dlaczego zawinęła tę paczkę: jej aromat od razu wypełnił pokój. Wonny, intensywny zapach kojarzył się Winstonowi z najwcześniejszym dzieciństwem, choć i teraz czasem zdarzało mu się go czuć - dochodził na przykład z głębi mijanej klatki schodowej, dopóki nagle nie zatrzaśnięto drzwi, albo unosił się tajemniczo na zatłoczonej ulicy; wąchało się go przez chwilę, po czym raptem nikł.

- Kawa — szepnął. - Prawdziwa kawa!

- Kawa Wewnętrznej Partii. Przyniosłam cały kilogram.

- Jak zdobyłaś te skarby?

- Członkowie Wewnętrznej Partii mają wszystkiego w bród. Tym świniom niczego nie brakuje, dosłownie niczego. Ale kelnerzy, służba i inni zawsze coś tam podkradają, więc... Patrz, mam nawet trochę herbaty.

Winston już dobrą chwilę temu przykucnął obok Julii. Rozerwał róg paczuszki.

- Prawdziwa herbata! Nie liście jeżyn!

- Ostatnio jest sporo herbaty. Pewnie zdobyli Indie czy coś w tym rodzaju - oświadczyła. - Poczekaj, kochany. Odwróć się i nie patrz na mnie przez kilka minut. Usiądź po drugiej stronie łóżka. Tylko nie podchodź zbyt blisko okna. I nie oglądaj się, dopóki ci nie powiem.

Winston zapatrzył się w muślinową firankę. Na podwórzu kobieta o czerwonych ramionach wciąż dreptała między balią i sznurem z bielizną. Wyjęła z ust kolejne dwa drewniane spinacze i zaśpiewała z przejęciem:

Mówią, że czas leczy rany,
Wszystko w niepamięć odpływa;
Lecz moje serce wciąż szlocha żałośnie,
Gdy wspomnienie sprzed lat w nim odżywa!

Najwyraźniej znała na pamięć całą szmatławą piosnkę. Jej głos - melodyjny, przepojony jakby pogodną melancholią -wzbijał się do góry wraz z wonnym letnim powietrzem. Odnosiło się wrażenie, że byłaby zupełnie szczęśliwa, gdyby ten czerwcowy wieczór trwał wiecznie, a góra prania nigdy się nie kończyła, i gdyby przez następne tysiące lat mogła rozwieszać pieluszki i wyśpiewywać bzdury. Pomyślał z zaskoczeniem, że nigdy nie słyszał, aby członek Partii śpiewał coś spontanicznie sam jeden. Byłoby to wręcz nieprawomyślne i pewnie uznane za oznakę niebezpiecznej ekscentryczności, podobnie jak mówienie na głos do siebie. Czyżby tylko ludzie żyjący na granicy ubóstwa mieli ochotę śpiewać?

- Możesz się odwrócić! - zawołała Julia.

Kiedy na nią spojrzał, w pierwszej chwili prawie jej nie poznał. Spodziewał się, że zobaczy dziewczynę nagą. Tymczasem zmiana, jaka nastąpiła, była znacznie bardziej niezwykła. Julia się umalowała.

Zapewne wstąpiła ukradkiem do jakiegoś sklepu w dzielnicy dla proli i kupiła zestaw kosmetyków. Usta miała ciemnoczerwone, na policzkach róż, nos przypudrowany; nawet oczy podkreśliła czymś, co sprawiło, że wydawały się jaśniejsze. Makijaż wykonała dość nieudolnie, ale też Winston nie był żadnym znawcą. Dotychczas nigdy nie widział i nawet sobie nie potrafił wyobrazić partyjniaczki z umalowaną twarzą. Przemiana, jaka się w Julii dokonała, była wprost

niesamowita. Za pomocą zaledwie kilku pociągnięć w odpowiednich miejscach stała się nie tylko znacznie ładniejsza, lecz przede wszystkim znacznie bardziej kobieca. Jej krótka fryzura i chłopięcy kombinezon jedynie potęgowały to wrażenie. Gdy brał ją w ramiona, poczuł sztuczny zapach fiołków. Przypomniał mu się półmrok sutereny i czarna jama w twarzy prostytutki. Używała tych samych perfum, ale wcale mu to nie przeszkadzało.

- Nawet perfumy! - wykrzyknął.

- Tak, najdroższy, nawet perfumy. I wiesz, co jeszcze zrobię? Zdobędę jakoś prawdziwą babską sukienkę i będę ją nosić zamiast tych cholernych gaci. Włożę jedwabne pończochy i pantofle na wysokich obcasach! W tym pokoju będę kobietą, a nie towarzyszką partyjną!

Zrzucili z siebie ubrania i położyli się na ogromnym mahoniowym łożu. Winston po raz pierwszy rozebrał się całkiem do naga w obecności Julii. Dotychczas zbyt się wstydził swojego bladego, mizernego ciała, żylaków na łydkach i fioletowej plamy nad kostką. Nie mieli prześcieradła, lecz wytarte koce, na których spoczywali, były gładkie w dotyku, a rozmiary i sprężystość łóżka wprawiały ich oboje w zdumienie.

- Pewnie aż roi się od pluskiew, ale co tam! - zawołała Julia.

Podwójnych łóżek w ogóle się nie widywało, chyba że w domach proli. W dzieciństwie Winston sypiał czasami w takim łóżku; Julia - z tego, co pamiętała - nigdy.

Wkrótce oboje zapadli w drzemkę. Kiedy Winston się zbudził, wskazówki zegara zbliżały się do dziewiątej. Leżał bez ruchu, ponieważ Julia spała z głową opartą na jego ramieniu. Starł jej się prawie cały makijaż, pozostawiając ślady na poduszce i twarzy Winstona, lecz resztka różu wciąż jeszcze podkreślała piękno kości policzkowych. Złote promienie zachodzącego słońca padały na skraj łóżka i kominek, oświetlając garnek, w którym bulgotała woda. Prolka na podwórzu przestała śpiewać, ale z uliczki nadal dobiegały przytłumione krzyki bawiących się dzieci. Winston zaczął się zastanawiać, czy w wymazanej przeszłości leżenie w łóżku w chłodzie letniego wieczoru było czymś normalnym; czy kobieta i mężczyzna mogli leżeć tak razem nago, kochać się, kiedy tylko zapragną, rozmawiać, o czym tylko chcą, nie czując żadnej potrzeby, aby wstać - czy wolno im było po prostu tak leżeć i słuchać cichych dźwięków płynących zza okna? Chyba niemożliwe, żeby taka słodka bezczynność była kiedykolwiek dozwolona! Julia obudziła się, przetarła oczy i unosząc się na łokciu spojrzała na prymus.

- Połowa wody się wygotowała - stwierdziła. - Zaraz wstanę i zrobię nam kawy. Mamy godzinę. O której gaszą światło w twoim bloku?

- O dwudziestej trzeciej trzydzieści.

- U mnie w hotelu punkt dwudziesta trzecia. Ale wszystkie musimy wracać sporo wcześniej, bo... Ojej! A masz, ty obrzydliwa bestio!

Nagle wychyliła się z łóżka, chwyciła z podłogi but i rzuciła w róg pokoju tym samym chłopięcym ruchem ramienia, jakim podczas Dwóch Minut Nienawiści na oczach Winstona cisnęła słownik w podobiznę Goldsteina.

- Co to było? - spytał zaskoczony.

- Szczur. Wystawił swój śmierdzący nos zza listwy. Na pewno jest tam dziura. Przynajmniej napędziłam mu pietra!

- Szczury - szepnął Winston. - Tutaj!

- Są wszędzie - powiedziała obojętnie Julia, kładąc się z powrotem. - W hotelu robotniczym mamy je w kuchni. Część dzielnic Londynu aż się od nich roi. Wiesz, że atakują dzieci? Na niektórych ulicach kobiety boją się zostawiać niemowlę bez opieki nawet na minutę. Najgorsze są te wielkie i brunatne. A najpotworniejsze jest to, że...

- **P r z e s t a ń !**- zawołał Winston, zaciskając mocno oczy.

- Najdroższy, strasznie zbladłeś! Co się stało? Masz alergię na szczury?

- Szczury to najohydniejsze, co może być na świecie! Wyznał.

Przytuliła go do siebie i otoczyła ramionami, jakby chcąc rozproszyć jego lęki ciepłem swojego ciała. Nie od razu otworzył oczy. Przez kilka chwil zdawało mu się, że znów powrócił koszmarny sen, który prześladował go przez całe życie w różnych odstępach czasu. Prawie zawsze był taki sam. Przed Winstonem jawiła się mroczna jama, a w niej czaiło się coś tak przerażającego i obrzydliwego, że bał się nawet spojrzeć. We śnie cały czas czuł, że oszukuje sam siebie, bo podświadomie wie, co kryje się w ciemnościach. Gdyby zdobył się na prawdziwie wielki wysiłek, tak brutalny, jakby chciał sam rozsadzić sobie czaszkę, zdołałby odkryć, co to takiego. Lecz za każdym razem budził się, nie uczyniwszy tego; koszmar jednak miał jakiś związek z tym, co mówiła Julia, kiedy na nią krzyknął.

- Przepraszam - rzekł. - Nic się nie stało. Po prostu nie lubię szczurów.

- Nie martw się, najdroższy, już ich więcej nie ujrzysz. Przed wyjściem zatkam otwór kawałkiem worka. A następnym razem przyniosę gips i porządnie wszystko zaklajstruję.

Już prawie zapomniał o swoim panicznym strachu. Lekko zawstydzony usiadł na łóżku. Julia wstała, włożyła kombinezon i zaparzyła kawy. Z garnka unosił się tak silny, wspaniały aromat, że zamknęli okno, aby przypadkiem nie poczuł go ktoś obcy i nie zaczął sprawdzać, skąd dochodzi. Jeszcze lepsza od samego smaku kawy była jedwabistość, jaką nadawał jej cukier - coś, czego Winston, po latach używania sacharyny, niemal nie pamiętał. Z jedną ręką w kieszeni, a w drugiej trzymając pajdę chleba z dżemem, Julia obeszła pokój; zerknęła obojętnie na regał z książkami, obejrzała rozkładany Stół i powiedziała, jak najlepiej go naprawić, opadła na fotel, żeby sprawdzić, czy siedzi się w nim wygodnie, wreszcie z ciekawością i rozbawieniem popatrzyła na zegar z absurdalną dwunastocyfrową tarczą. Potem przyniosła do łóżka szklany przycisk, chcąc obejrzeć go w lepszym świetle. Winston wyjął go jej z rąk, jak zawsze zauroczony miękką wodnistością szkła.

- Jak myślisz, do czego to służy? - spytała Julia.

- Do niczego; chyba nigdy nie miało żadnego zastosowania. I właśnie dlatego tak mi się podoba. To kawałek dawnej historii, który zapomnieli zmienić. Przesłanie sprzed stu lat; gdybyśmy tylko umieli je odczytać!

- A ten obrazek - wskazała głową rycinę na przeciwległej ścianie - też ma tyle lat?

- Więcej. Sądzę, że dwieście. Ale trudno odgadnąć. Nie wiadomo, co pochodzi z jakiego okresu.

Podeszła, żeby obejrzeć rycinę z bliska.

- O, to tędy wylazła ta bestia! - zawołała, kopiąc listwę dokładnie pod obrazkiem. - Co to za budynek? Gdzieś go chyba widziałam.

- To kościół, a przynajmniej niegdyś był to kościół. Kościół Świętego Klemensa.

Przypomniał mu się strzęp wierszyka, którego nauczył go pan Charnngton. Wyrecytował tęsknie:

- „Pomarańcze za pensa, krzyczą dzwony Klemensa!" Ku jego zaskoczeniu, dodała:

Skradł cytryn pół tuzina, dudnią dzwony Marcina,
Zaraz złapię złodzieja, ryczą dzwony Baileya...

- Dalej nie wiem. Pamiętam tylko sam koniec: „Oto ciastko, możesz zjeść połowę, a oto topór, który zetnie ci głowę!"

Niczym hasło i odzew. Ale po „dzwony Baileya" powinna być jeszcze jedna linijka. Może uda się jakoś ożywić pamięć pana Charringtona, by ją sobie przypomniał.

- Kto cię tego nauczył? - zapytał.

- Dziadek. Powtarzał mi ten wierszyk, kiedy byłam mała. Ale gdy miałam osiem lat, staruszka chyba ewaporowano. W każdym razie nagle znikł. Ciekawe, co to takiego cytryny - dodała, zmieniając temat. - Pomarańcze widziałam. To takie okrągłe żółtawe owoce z grubą skórką.

- Pamiętam cytryny - rzekł Winston. - W latach pięćdziesiątych było ich pod dostatkiem. Tak kwaśne, że od samego zapachu zęby cierpły.

- Założę się, że za tym obrazkiem gnieżdżą się pluskwy. Któregoś dnia zdejmę go i porządnie wyszoruję. Chyba już czas się zbierać. Muszę zmyć makijaż. Szlag by to trafił! Tobie też wytrę dokładnie twarz.

Winston nie wstawał jeszcze przez kilka minut. W pokoju powoli się ściemniało. Odwrócił się twarzą do światła i leżał tak wpatrzony w szklany przycisk. Fascynował go nie tyle koral w środku, ile sama faktura szkła. Było niemal tak przejrzyste jak powietrze, chociaż miało w sobie dziwną głębię. Zupełnie jakby powierzchnia szkła tworzyła łuk nieba otaczającego maleńki świat z własną atmosferą. Wydawało mu się, że potrafiłby przeniknąć do wnętrza, a właściwie, że już tam jest razem z mahoniowym łóżkiem, rozkładanym stołem, zegarem, stalorytem, a także z samym przyciskiem. Przycisk stał się tym pokojem, a koral życiem jego i Julii, zawieszonym jakby na wieczność w sercu szklanej bryłki.

5

Syme znikł. Pewnego dnia nie przyszedł do pracy; kilka nierozważnych osób skomentowało fakt jego nieobecności. Nazajutrz już nikt o nim nie wspominał. Trzeciego dnia Winston zatrzymał się przed tablicą ogłoszeń na korytarzu przy wejściu do Departamentu Archiwów. Wisiała tam między innymi lista członków Komitetu Szachowego, do którego należał Syme. Wyglądała prawie tak samo jak zawsze - nic z niej nie wykreślono - tylko była o jedno nazwisko krótsza. To wystarczyło. Syme przestał istnieć: nigdy nie istniał.

Lato robiło się coraz skwarniejsze. W labiryncie pozbawionych okien, klimatyzowanych pomieszczeń ministerstwa panowała niezmiennie ta sama temperatura, ale na zewnątrz płyty chodników paliły w stopy, a w metrze w godzinach szczytu przeraźliwie cuchnęło. Przygotowania do Tygodnia Nienawiści szły pełną parą; urzędnicy wszystkich ministerstw pracowali po godzinach. Trzeba było zorganizować pochody, zebrania, defilady wojskowe, wykłady, wystawy figur woskowych, pokazy filmów, programy teleekranowe; należało wznieść trybuny, poustawiać kukły wrogów, ułożyć odpowiednie hasła, napisać pieśni, rozpuścić pogłoski, podrobić fotografie. Komórka Departamentu Literatury, w której pracowała Julia, musiała zawiesić produkcję powieści i w błyskawicznym tempie przygotować serię broszur o zbrodniach wojennych nieprzyjaciela. Winston, oprócz swojej zwykłej pracy, długimi godzinami przekopywał się przez stare roczniki „The Times", poprawiając treść artykułów, na które zamierzano się powołać w przemówieniach, lub zmieniając ich styl na bardziej kwiecisty. Całe miasto ogarnął gorączkowy nastrój, co czuło się zwłaszcza późnym wieczorem, gdy na ulice wylęgały tłumy hałaśliwych proli. Pociski rakietowe spadały znacznie częściej, a czasami z oddali dobiegał huk potwornych detonacji, których przyczyny nikt nie znał; krążyły o nich najdziwaczniejsze pogłoski.

Skomponowano już melodię - muzyczny motyw przewodni Tygodnia Nienawiści (nazywała się Pieśnią Nienawiści) - i teraz bez przerwy grzmiała z teleekranów. Jej dziki, warczący rytm bardziej kojarzył się z dudnieniem werbli niż z prawdziwą muzyką. Wywrzaskiwana przez setki gardzieli w takt kroków maszerującej kolumny, zaiste miała w sobie coś przerażającego. Prole podchwycili ją natychmiast i w nocy z powodzeniem konkurowała z wciąż popularnym przebojem „To był tylko chwilowy urok". Winston ledwo mógł wytrzymać, bo dzieci Parsonsów wygrywały ją o każdej porze dnia i nocy na grzebieniu przykrytym skrawkiem papieru toaletowego. Wieczory miał teraz ciągle zajęte. Drużyny ochotników, zorganizowane przez Parsonsa, przygotowywały całą

ulicę do Tygodnia Nienawiści, rozmieszczając transparenty, malując plakaty, mocując na dachach maszty do wywieszania flag i z narażeniem życia rozciągając nad jezdnią druty do zaczepiania serpentyn. Parsons chwalił się, że na dekorację samego Bloku Zwycięstwa pójdzie czterysta metrów płótna. Był w swoim żywiole, wesoły jak szczygieł. Upał i praca fizyczna dały mu nareszcie pretekst, by wieczorami paradować w szortach i rozpiętej pod szyją koszuli. Wszędzie było go pełno: pchał, ciągnął, piłował, wbijał gwoździe, poprawiał, koleżeńskimi okrzykami zachęcał sąsiadów do większego wysiłku i z każdej fałdy skóry tryskał nie kończącymi się strugami jadowicie cuchnącego potu.

Nagle cały Londyn oblepiono nowym plakatem. Nie miał żadnych napisów, a przedstawiał tylko gigantyczną, ponad trzymetrową sylwetkę maszerującego eurazjatyckiego żołnierza; mongolska twarz bez wyrazu, ogromne buciory, na biodrze pistolet maszynowy. Gdziekolwiek się stało, lufa pistoletu powiększona przez skrót perspektywiczny celowała prosto w patrzącego. Plakaty porozlepiano dosłownie na wszystkich murach; było ich nawet więcej niż tych z podobizną Wielkiego Brata. Starano się rozniecić w prolach, których zwykle mało obchodziła wojna, kolejny szał patriotyzmu. Nienawiść podsycały także pociski rakietowe, zbierające krwawsze żniwo niż zazwyczaj. Jedna bomba spadła na zatłoczone kino w Stepney - kilkaset osób zginęło w gruzach. W wielogodzinnym pogrzebie ofiar, który przerodził się w gniewną manifestację, uczestniczyli wszyscy mieszkańcy dzielnicy. Inna bomba spadła na pusty teren służący za plac zabaw; śmierć poniosło kilkadziesiąt dzieci. Odbył się następny pochód: ludzie, manifestując swoje oburzenie, spalili kukłę Goldsteina, pozdzierali i cisnęli w płomienie setki plakatów z eurazjatyckim żołnierzem, a podczas ogólnego zamieszania splądrowano kilka sklepów. Później rozeszła się pogłoska, że to szpiedzy nakierowują bomby za pomocą fal radiowych, spalono więc dom starego małżeństwa, które podejrzewano o cudzoziemskie pochodzenie; staruszkowie zaczadzieli od dymu.

Każdą wolną chwilę Julia i Winston spędzali w pokoju nad sklepem pana Charringtona, leżąc nago na łóżku pod otwartym oknem; tak spragnieni byli odrobiny chłodu, że przez myśl im nie przeszło okrywać się kocem. Szczur więcej się nie pojawił, lecz za to w upale straszliwie rozpleniły się pluskwy. Jednakże Julii i Winstonowi to nie przeszkadzało. Brudny czy czysty, pokój był dla nich rajem. Zaraz po przyjściu wysypywali wszystko pieprzem kupionym na czarnym rynku, ściągali z siebie ubranie i zaczynali się kochać, choć pot lał się z nich strumieniami. Potem zasypiali, a ledwo się budzili, musieli odpierać zmasowane ataki nowych armii robactwa.

W czerwcu spotkali się w sumie cztery, pięć, sześć - nie, siedem razy. Winston skończył z popijaniem dżinu o każdej porze. Nie czuł więcej potrzeby. Przytył, opuchlizna na nodze opadła, pozostawiając jedynie brunatne znamię nad kostką, a poranne ataki kaszlu ustąpiły zupełnie. Życie przestało być nieznośne; odeszła go ochota, by robić miny do teleekranu albo kląć ile tchu w piersi. Teraz, gdy mieli bezpieczną kryjówkę, nieomal dom, nie ciążyło mu tak bardzo to, że spotykają się rzadko i najwyżej na kilka godzin. Świadomość, iż czeka na nich pokój, do którego nikt inny nie ma dostępu, była nieomal równie przyjemna jak przebywanie w nim. Pokój wydawał się minionym światem, skansenem przeszłości, w którym mogą bytować gatunki dawno wymarłe gdzie indziej. Pan Charrington zapewne również należał do takiego gatunku. W drodze na piętro Winston zwykle wstępował do sklepu, żeby zamienić z gospodarzeni kilka słów. Starszy pan chyba nigdy lub prawie nigdy nie opuszczał sklepu; chyba nigdy też nie miewał klientów. Żył, krążąc jak duch między niewielkim mrocznym sklepem a jeszcze mniejszą kuchnią na tyłach domu, gdzie przygotowywał sobie posiłki i gdzie pośród innych rzeczy przechowywał nieprawdopodobnie stary gramofon z olbrzymią tubą. Rozmowa z Winstonem zawsze sprawiała mu wyraźną przyjemność. Długonosy, w grubych szkłach i wytartej aksamitnej marynarce, kręcąc się pośród swoich bezwartościowych sprzętów, robił wrażenie nie tyle handlarza, ile kolekcjonera. Z wyblakłym entuzjazmem brał do ręki różne rupiecie - porcelanowy korek, malowane wieczko zepsutej tabakierki, otwierany tombakowy medalion z puklem włosów dawno zmarłego dziecka - nigdy nie namawiając Winstona, aby coś kupił, jedynie prosząc, by podziwiał. Słuchało go się jak zdartej pozytywki. Wygrzebywał z

otchłani pamięci strzępy zapomnianych wierszy. Jeden był o dwudziestu czterech kosach, inny o krowie z zakręcanym rogiem, jeszcze inny o śmierci biednego drozda. „Pomyślałem, że może to pana interesować" - informował uśmiechając się z zawstydzeniem, ilekroć przytaczał jakiś nowy fragment. Ale nigdy nie pamiętał więcej niż kilka linijek.

Winston i Julia wiedzieli - w pewnym sensie myśl ta nigdy ich nie opuszczała - że to, co się dzieje, nie może trwać wiecznie. Były chwile, kiedy swoją rychłą śmierć czuli nie mniej namacalnie niż łóżko, na którym leżeli, a wówczas ich pieszczoty stawały się rozpaczliwie namiętne, jakby od egzekucji dzieliły ich zaledwie sekundy. Ale zdarzało się i tak, że wierzyli nie tylko w iluzję bezpieczeństwa, lecz również w trwałość swojego szczęścia. Obojgu wydawało się wówczas, że dopóki są w pokoju nad sklepem, nic im nie grozi. Samo dojście do niego jest trudne i ryzykowne, lecz tu znajdują azyl. Winston miał identyczne wrażenie, kiedy wpatrywał się w przycisk; myślał wtedy, że gdyby tylko udało mu się przeniknąć do środka, czas stanąłby w miejscu. Często uciekali od rzeczywistości w marzenia. Szczęście nigdy ich nie opuści i będą spotykać się tak ukradkiem aż do późnej starości. Albo Katherine umrze, a im dzięki subtelnym intrygom uda się zawrzeć małżeństwo. Albo wspólnie popełnią samobójstwo. Lub nagle znikną, zmienią całkowicie swój wygląd, zaczną mówić z akcentem proli, najmą się do pracy w fabryce i - nie wykryci - będą żyli szczęśliwie na którejś z sąsiednich uliczek. Wiedzieli, że to mrzonki. Bo tak naprawdę nie istniał dla nich ratunek. A jedynego realnego pomysłu - wspólnego samobójstwa - nie mieli zamiaru wprowadzać w czyn. Żyć nawet tak, z dnia na dzień i z tygodnia na tydzień, wciąż w teraźniejszości i bez żadnych widoków na przyszłość, nakazywał im instynkt równie niemożliwy do przezwyciężenia jak ten, który wprawia w ruch płuca, dopóki w powietrzu jest choć odrobina tlenu.

Czasami rozmawiali także o czynnym buncie przeciwko Partii, ale nie mieli pojęcia, jak się zabrać do działania. Jeśli nawet legendarne Braterstwo istniało, zupełnie nie wiedzieli, jak nawiązać z nim kontakt. Winston opowiedział Julii o dziwnej zażyłości, prawdziwej lub urojonej, łączącej go z O'Brienem, oraz o impulsie, który go czasem nachodził, aby pójść do niego, wyznać swoją nienawiść wobec Partii i prosić o pomoc. Wbrew oczekiwaniom Winstona, dziewczynie pomysł ten wcale nie wydał się niedorzeczny. Sama zwykle oceniała ludzi po wyglądzie, więc uważała za rzecz całkiem naturalną, że uznał O'Briena za człowieka godnego zaufania tylko na podstawie wymiany spojrzeń. Zdaniem Julii -a nic nie mogło zachwiać jej pewności - każdy lub prawie każdy skrycie nienawidzi Partii i gotów jest łamać prawo, jeśli tylko sądzi, iż ujdzie mu to bezkarnie. Ale nie chciała dać wiary temu, że działa lub mógłby powstać masowy, zorganizowany ruch oporu. Opowieści o Goldsteinie i jego podziemnej armii były - w jej opinii - plotkami wymyślonymi przez Partię dla własnych celów; należało udawać, że się w nie wierzy, ale to wszystko. Sama, na zebraniach partyjnych i spontanicznych manifestacjach, bezustannie domagała się gromkim głosem śmierci ludzi, których nazwisk nigdy wcześniej nie słyszała, a w rzekomo popełnione przez nich zbrodnie wcale nie wierzyła. Kiedy odbywały się publiczne procesy, często odkomenderowywano ją wraz z innymi członkami Ligi Młodych, aby od rana do wieczora sterczeli przed gmachem sądów, co pewien czas wykrzykując: „Śmierć zdrajcom!" Podczas Dwóch Minut Nienawiści zawsze z największym zapałem obrzucała obelgami Goldsteina. Miała jednak bardzo nikłe pojęcie, kto to taki i jakie doktryny ma niby reprezentować. Wyrosła już po Rewolucji i była za młoda, żeby pamiętać walki ideologiczne lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Możliwość istnienia niezależnego ruchu politycznego w ogóle nie mieściła jej się w głowie; wiedziała, że Partia jest niepokonana. Będzie trwać wiecznie i nigdy się nie zmieni. Bunt mógł polegać jedynie na skrytym łamaniu prawa lub - w najskrajniejszej postaci - na pojedynczych aktach przemocy, takich jak zamachy lub podkładanie bomb.

Jednakże na wiele spraw Julia patrzyła znacznie bardziej przenikliwie od Winstona i była mniej od niego podatna na partyjną propagandę. Kiedy pewnego razu wspomniał o wojnie z Eurazją, zaskoczyła go, mówiąc jako rzecz oczywistą, że jej zdaniem żadnej wojny nie ma. Pociski rakietowe spadające codziennie na Londyn wystrzeliwał, według niej, sam rząd Oceanii, aby

„utrzymywać ludzi w ciągłym strachu". Tego rodzaju podejrzenia nigdy nie przyszły Winstonowi do głowy. Wzbudziła w nim też niemałą zazdrość wyznaniem, że podczas Dwóch Minut Nienawiści musi się hamować, aby nie parsknąć śmiechem, lecz ideologię Partii kwestionowała jedynie wówczas, kiedy bezpośrednio dotyczyła jej życia. Często gotowa była akceptować oficjalne mity, gdyż po prostu nie robiło jej różnicy, czy są prawdą, czy kłamstwem. Wierzyła na przykład, bo tego nauczono ją w szkole, jakoby to Partia wynalazła samoloty. (Za lat szkolnych Winstona twierdzono, że Partia wynalazła tylko helikoptery; kilkanaście lat później, gdy Julia chodziła do szkoły, Partia wynalazła już samoloty; następne pokolenie będzie się zapewne uczyć, że także maszynę parową). Kiedy jej wyjaśnił, iż samoloty latały przed jego urodzeniem i w ogóle na długo przed Rewolucją, wcale się tym nie przejęła. Co za różnica, kto wynalazł samoloty? Zdumiał się jeszcze bardziej, gdy z jakiejś jej uwagi zorientował się, że nie pamięta, iż cztery lata temu Oceania toczyła wojnę ze Wschódazją, a z Eurazją łączył ją sojusz. Wprawdzie Julia uważała całą wojną za jedną wielką blagę, ale najwyraźniej nie dostrzegła, że tymczasem zmieniono nieprzyjaciela.

- Myślałam, że zawsze prowadziliśmy wojnę z Eurazją -przyznała.

To go przeraziło. Samolot wynaleziono na wiele lat przed jej urodzeniem, lecz zmiana sojuszy nastąpiła zaledwie cztery lata temu, gdy Julia była już dorosłą kobietą. Przekonywał ją prawie kwadrans, aż wreszcie zaczęło się jej jakby przypominać, że kiedyś istotnie wrogiem była nie Eurazja, lecz Wschódazją. Jednakże w dalszym ciągu uważała to za fakt bez znaczenia.

- Co za różnica? - zniecierpliwiła się. - Ten wróg czy inny, ta zasrana wojna nigdy nie ustaje! A każdy wie, że gazety kłamią!

Czasami Winston mówił o swojej pracy w Departamencie Archiwów i o bezwstydnych fałszerstwach, których dokonywał. Julii wcale nie napawało to grozą. Na myśl o tym, że kłamstwa stają się prawdą, bynajmniej nie ogarniało jej uczucie, iż pod jej stopami otwiera się otchłań. Kiedy opowiedział o Jonesie, Aaronsonie, Rutherfordzie i niezwykłym skrawku gazety, który niegdyś dostał się w jego ręce, w pierwszej chwili nawet nie zrozumiała, o co mu chodzi.

- Byli twoimi przyjaciółmi? - spytała.

- Nie, w ogóle ich nie znałem. Należeli do Wewnętrznej Partii. Poza tym byli znacznie starsi ode mnie. Przedstawiciele starej gwardii, jeszcze sprzed Rewolucji. Widziałem ich zaledwie kilka razy w życiu.

- Więc dlaczego tak się nimi przejąłeś? Ludzie przecież wciąż giną, nie?

Usiłował jej wytłumaczyć.

- To była wyjątkowa sprawa. Nie chodzi wyłącznie o to, że znów kogoś zabito. Czy nie rozumiesz, że cała przeszłość, poczynając już od dnia wczorajszego, jest systematycznie niszczona? Jeśli cokolwiek z niej przetrwało, to jedynie garść niemych przedmiotów, takich jak ten kawał szkła. Już dziś nie wiemy właściwie nic o Rewolucji i czasach ją poprzedzających. Każdy dokument zniszczono lub sfałszowano, każdą książkę napisano od nowa, każdy obraz przemalowano, zmieniono nazwy wszystkich pomników, ulic, budynków, przerobiono daty. Proces ten trwa co dzień i w każdej minucie. Zatrzymano historię. Istnieje tylko nieograniczona teraźniejszość, w której Partia zawsze ma rację. Wiem, że fałszuje się przeszłość, ale nie potrafiłbym tego udowodnić, nawet w wypadku fałszerstw, których sam dokonałem. Nie zostają żadne ślady. Jedynym świadectwem jest moja pamięć, ale *czy* oprócz mnie ktoś jeszcze pamięta prawdę? Tylko ten jeden raz w całym moim życiu trzymałem w ręku niepodważalny dowód fałszerstwa, i to sprzed wielu, wielu lat!

- I co ci to dało?

- Nic, bo zaraz wyrzuciłem ten świstek. Gdyby sytuacja ta powtórzyła się dzisiaj, schowałbym.

- A ja nigdy! - zawołała Julia. - Gotowa jestem ryzykować, tylko wtedy jednak, gdy chodzi o sprawę naprawdę ważną, a nie o strzęp starej gazety! Co byś z nim zrobił?

- Pewnie nic. Ale miałbym dowód. Gdybym się odważył pokazać go paru osobom, może udałoby mi się wzbudzić w nich wątpliwości. Nie sądzę, abyśmy zdołali zmienić cokolwiek za naszego życia. Chociaż mogę sobie wyobrazić, jak powstają małe, rozsiane grupki oporu, które łączą się, stają coraz liczniejsze, a nawet zostawiają po sobie jakieś papiery, zapiski, żeby następne pokolenia kontynuowały ich dzieło.

- Kochany, nie obchodzą mnie następne pokolenia! Mnie chodzi o nas dwoje!

- Jesteś buntownikiem tylko od pasa w dół - stwierdził.

Uznała to za wyjątkowo zabawne i z radości rzuciła mu się na szyję.

Nie była również ciekawa ani rozwoju, ani następstw partyjnej ideologii. Kiedy usiłował jej wyjaśnić zasady angsocu i takie pojęcia, jak dwójmyślenie, zmienność przeszłości lub negacja obiektywnej rzeczywistości, albo też wtrącał terminy z nowomowy, zaczynała się nudzić, wszystko jej się mieszało i mówiła, że nigdy nie interesowały jej podobne bzdury. Każdy się orientuje, że to zwyczajny bełkot, po co więc zaprzątać sobie tym głowę? Wiedziała, kiedy klaskać, a kiedy gwizdać, i to jej wystarczało. Jeśli obstawał przy podobnym temacie, w którymś momencie - ku jego niezadowoleniu - po prostu zasypiała. Umiała zasnąć o każdej porze i w dowolnej pozycji. Prowadząc z nią rozmowy uzmysłowił sobie, jak nietrudno jest udawać wierność ideologii, o której nie ma się bladego pojęcia. I rzeczywiście partyjny światopogląd najłatwiej dawał się wpoić ludziom o zbyt ograniczonej inteligencji, aby go mogli pojąć. Bez protestu akceptowali nawet najjaskrawsze wypaczenia rzeczywistości, bo nie rozumieli w pełni potworności tego, czego od nich żądano, a ponadto zbyt mało interesowali się aktualnymi wydarzeniami, aby zdawać sobie sprawę z grozy sytuacji. Niewiedza pozwalała im zachować zdrowe zmysły. Przełykali wszystkie kłamstwa, i to bez najmniejszego dla siebie uszczerbku, bo przelatywały przez nich - nie strawione - niczym kamyki przez układ pokarmowy ptaka.

6

Wreszcie stało się. Kontakt został nawiązany. Winston miał wrażenie, że całe życie czekał na tę chwilę.

Szedł w ministerstwie długim korytarzem i właśnie zbliżał się do miejsca, w którym Julia wsunęła mu do ręki kartkę, gdy nagle zdał sobie sprawę, że tuż za nim idzie ktoś znacznie od niego roślejszy. Ten ktoś lekko zakasłał, jakby dając znak, że chce się odezwać. Winston zatrzymał się natychmiast i odwrócił. Ujrzał O'Briena.

Nareszcie stali twarzą w twarz, ale kierując się pierwszym odruchem Winston chciał rzucić się do ucieczki. Serce waliło mu jak młotem. Nie umiałby wydusić z siebie słowa. O'Brien tymczasem zrównał się z nim i ujął go przyjaźnie pod łokieć, nieznacznie popychając do przodu. Kiedy już szli obok siebie, przemówił z tą dziwnie surową uprzejmością, która różniła go od innych członków Wewnętrznej Partii.

- Od dawna miałem ochotę z wami porozmawiać, towarzyszu. Czytałem ostatnio jeden z waszych artykułów w „The Times", pisanym w nowomowie. Jak rozumiem, interesujecie się nowomową z pobudek naukowych?

Winston zdołał się trochę opanować.

- Nie, tylko jako amator - odparł. - To nie moja dziedzina. Nigdy nie miałem nic wspólnego z procesem tworzenia języka.

- Ale posługujecie się nim nad wyraz swobodnie - oświadczył O'Brien. - Nie tylko ja tak uważam. Wasz przyjaciel, z którym rozmawiałem jakiś czas temu, też się ze mną *zgadza,* a on jest prawdziwym ekspertem. Niestety, jego nazwisko wyleciało mi chwilowo z pamięci.

Serce Winstona znów zabiło mocniej. Nie ulegało wątpliwości, że to aluzja do Syme'a. Lecz przecież Syme nie żył; więcej nawet, nigdy nie istniał, był *nieobywatelem.* Jakakolwiek wzmianka o nim stanowiła śmiertelne niebezpieczeństwo. O'Brien musiał więc wspomnieć Syme'a specjalnie: był to znak, jakby zaszyfrowane hasło. Udział w tej drobnej myślozbrodni uczynił z nich wspólników.

Dotychczas szli wolno korytarzem, ale teraz O'Brien przystanął. Swoim charakterystycznym, rozbrajającym i przyjaznym gestem poprawił okulary, po czym kontynuował:

- Chciałem wam zakomunikować, że w waszym artykule dwukrotnie pojawiają się słowa, które wyszły z użycia. Bardzo niedawno, ale jednak. Czy widzieliście dziesiąte wydanie *Słownika nowomowy?*

- Nie - odparł Winston. - Nie miałem pojęcia, że już się ukazało. W Departamencie Archiwów wciąż posługujemy się dziewiątym.

- O ile wiem, ukaże się dopiero za parę miesięcy. Ale są już egzemplarze sygnalne. Sam mam jeden. Może chcielibyście obejrzeć?

- Tak; ogromnie - rzekł Winston; natychmiast się domyślił, do czego O'Brien *zmierza.*

- Niektóre nowe rozwiązania są bardzo pomysłowe. Redukcja liczby czasowników; to powinno wam się spodobać. Niech się zastanowię... Mogę wam przysłać słownik przez gońca. Chociaż nie, z reguły zapominam o podobnych drobiazgach. A może moglibyście po prostu wstąpić do mnie któregoś dnia? Chwileczkę, zapiszę wam adres.

Znajdowali się przed teleekranem. O'Brien z pewnym roztargnieniem sprawdził kieszenie i w końcu wyjął mały notes oprawny w skórę oraz złoty ołówek kopiowy. Stojąc dokładnie pod teleekranem, z notesem w takiej pozycji, aby funkcjonariusz dyżurujący przy odbiorniku mógł wszystko przeczytać, zapisał adres, wyrwał kartkę i wręczył ją Winstonowi.

- Wieczorem zwykle bywam w domu - rzekł. - Gdybyście mnie nie zastali, służący wyda wam słownik.

I odszedł, pozostawiając Winstona ze świstkiem w dłoni. Tym razem Winston nie musiał się kryć z kartką, ale na wszelki wypadek zapamiętał adres, a kilka godzin później wrzucił ją do luki pamięci wraz ze stertą innych papierów.

Stali razem najwyżej trzy minuty. Rozmowa mogła mieć tylko jeden cel. O'Brien zaaranżował ją po to, aby podać Winstonowi swój adres. Posłużył się pretekstem, bo nie sposób było dowiedzieć się, gdzie ktoś mieszka, w inny sposób, niż pytając go wprost. Księgi adresowe nie istniały. „Jeśli kiedykolwiek zechcesz się ze mną widzieć, wiesz, gdzie mnie szukać" -mówił mu O'Brien. Może w słowniku znajdzie ukrytą wiadomość. W każdym razie jedno było pewne. Podziemie, o którym marzył, istniało; właśnie dotarł do jego obrzeża.

Wiedział, że prędzej czy później odpowie na wezwanie O'Briena. Może jutro, może dopiero po dłuższej przerwie -jeszcze sobie tego nie przemyślał. Dzisiejsza rozmowa to kolejny etap w procesie, którego początek nastąpił przed laty. Pierwszym krokiem była skryta, mimowolna myśl; drugim - założenie pamiętnika. Od myśli doszedł do słów, teraz od słów przejdzie do czynów. Ostatni akt rozegra się w Ministerstwie Miłości. Już dawno się z tym pogodził. Początek zawiera w sobie koniec. Mimo to zdjął go strach: poczuł przedsmak śmierci, jakby jego życie zawisło na włosku. W trakcie rozmowy na korytarzu, kiedy tylko zrozumiał utajony sens słów O'Briena, lodowaty dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Miał wrażenie, że zapada się w wilgotny grób. I choć od dawna wiedział, iż grób ten czeka na niego, zdjął go paniczny strach.

7

Winston zbudził się zapłakany. Julia obróciła się sennie do niego, mrucząc niewyraźnie:

- Co się stało?
- Śniło mi się... - zaczął i urwał.

Nie sposób było tego opowiedzieć. Chodziło nie tyle o sam sen, ile o związane z nim wspomnienia, które nawiedziły Winstona kilka sekund po przebudzeniu.

Leżał przez chwilę z zamkniętymi oczami, wciąż pogrążony w atmosferze wspaniałego, świetlistego snu: widział całe swoje życie, rozciągało się przed nim niczym krajobraz w letni wieczór po deszczu. Wszystko działo się wewnątrz szklanego przycisku; zaokrąglona powierzchnia tworzyła sklepienie nieba, a wnętrze przepojone było przejrzystym, łagodnym światłem, w którym każdy przedmiot jawił się wyraźnie bez względu na odległość. Na treść snu składał się również, i silnie z nią wiązał, gest uczyniony niegdyś przez matkę Winstona, a powtórzony trzydzieści lat później, na kronice filmowej, przez Żydówkę, która usiłowała osłonić chłopca przed kulami, zanim bomba zrzucona z helikoptera roztrzaskała łódź w drzazgi.

- Wiesz, że do tej pory wierzyłem, że zamordowałem własną matkę?
- Dlaczego ją zamordowałeś? - spytała Julia, wciąż na pół drzemiąc.
- Nie zamordowałem jej. Nie dosłownie.

We śnie przypomniał sobie, kiedy widział matkę po raz ostatni, a tuż po przebudzeniu odżyły mu w pamięci inne związane z tym wspomnienia. Chodziło o sprawy, które całymi latami naumyślnie wyrzucał ze swojej świadomości. Nie znał żadnej daty, ale mógł mieć wówczas dziesięć, najwyżej dwanaście lat.

Ojciec znikł wcześniej; Winston nie był pewien, o ile wcześniej. Dość dobrze pamiętał nędzę i niepewność tamtych lat; panikę podczas ciągłych nalotów, ukrywanie się w stacjach metra służących za schrony, zwały gruzów wszędzie dokoła, niezrozumiałe manifesty rozlepiane na rogach ulic, bandy wyrostków w koszulach tej samej barwy, ogromne kolejki przed piekarniami, sporadyczny jazgot karabinów maszynowych dochodzący z oddali, a przede wszystkim ciągły brak żywności. Przez całe popołudnia buszował z innymi chłopcami po śmietnikach i wysypiskach, wygrzebując głąby kapusty, obierki, niekiedy nawet zeschłe skórki od chleba, które dokładnie czyścili z popiołu; często też wyczekiwał z kolegami na trasach, którymi jeździły ciężarówki z karmą dla bydła, bo gdy podskakiwały na wybojach, czasami spadało z nich nieco makuchów.

Kiedy znikł ojciec, matka ani nie okazała zdumienia, ani nie szalała z rozpaczy, lecz zmieniła się dosłownie z dnia na dzień. Straciła chęć do życia. Nawet dla Winstona było jasne, że czeka na coś, co musi się wydarzyć. Wypełniała swoje obowiązki - gotowała, prała, cerowała, ścieliła łóżko, zamiatała pokój, odkurzała kominek - zawsze bardzo powoli i dziwnie oszczędnymi ruchami, niczym poruszający się samoistnie manekin. Jej rosłe, kształtne ciało jakby naturalnie ogarniał letarg. Całymi godzinami siedziała na łóżku prawie nieruchomo, trzymając na rękach siostrę Winstona - maleńkie, niedomagające, wyjątkowo ciche dziecko, dwu- albo trzyletnie, o wychudłej małpiej twarzyczce. Czasami, choć dość rzadko, brała też w objęcia Winstona i długo, w milczeniu, tuliła go do siebie. Czuł, mimo młodego wieku i dziecięcego egoizmu, że ma to związek z tym, co - choć nigdy o tym nie mówiła - wkrótce się wydarzy.

Pamiętał ich pokój: ciemny, duszny, z przykrytym białą kapą wielkim łóżkiem, zajmującym niemal połowę powierzchni. W kominku stał palnik gazowy, na ścianie wisiała półka, na której

trzymali żywność, a na korytarzu znajdował się brązowy kamionkowy zlew, wspólny dla kilku rodzin. Pamiętał posągowe ciało matki pochylone nad palnikiem, gdy mieszała coś w garnku. Ale przede wszystkim pamiętał swój ustawiczny głód i zawzięte nikczemne boje toczone w porze posiłków. Wiecznie marudził, do znudzenia wypytując matkę, dlaczego mają tak mało jedzenia, krzyczał i awanturował się (pamiętał nawet ton swojego głosu, który czasami grzmiał z dziwną mocą, gdyż właśnie przechodził wtedy przedwczesną mutację) albo zaczynał żałośnie pochlipywać, byleby tylko dostać więcej niż swój przydział. Matka uważała za naturalne, że to jemu, rosnącemu chłopcu, należy się największa porcja; ale niezależnie od tego, ile mu dawała, zawsze domagał się jeszcze. Przy każdym posiłku błagała go, by nie był samolubny i pamiętał, że jego siostrzyczka jest chora i też musi jeść, ale jej prośby nie zdawały się na nic. Krzyczał z wściekłości, gdy przestawała nakładać mu jedzenie, usiłował wyrwać jej z rąk garnek, wykradał co mógł z talerza siostry. Wiedział, że przez niego obie przymierają głodem, lecz nie tylko nie potrafił się opanować, a wręcz wierzył, iż ma prawo tak postępować. Ciągłe burczenie w brzuchu jakby usprawiedliwiało jego zachowanie. Między posiłkami, jeśli matka go nie pilnowała, ustawicznie plądrował półkę ze szczupłymi zapasami.

Pewnego razu otrzymali przydział czekolady, niedostępnej od wielu tygodni, może nawet miesięcy. Bardzo dokładnie pamiętał ten rzadki rarytas. Była to dwuuncjowa tabliczka (w tamtych czasach jeszcze operowano uncjami) na ich troje. Oczywiście należało ją podzielić na trzy równe części. Nagle, zupełnie jakby to przemawiał ktoś inny, Winston usłyszał samego siebie, domagającego się dudniącym, napastliwym głosem całej tabliczki. Matka upomniała go, żeby nie był taki chciwy. Wybuchła długa, ciągnąca się w nieskończoność awantura z krzykiem, płaczem, wymówkami i targami. Jego maleńka siostrzyczka, wczepiona obiema rękami w matkę, zupełnie jak małpiątko, patrzyła na niego przez ramię wielkimi, smutnymi oczami. W końcu matka odłamała trzy czwarte tabliczki i dała Winstonowi, resztę zaś jego siostrze. Dziewczynka wzięła kawałek do rączki i zaczęła go oglądać, zapewne nie wiedząc, co to jest. Winston przez moment obserwował siostrę, po czym skoczył do niej, jednym ruchem wyrwał jej czekoladę i rzucił się do drzwi.

- Winston, Winston! - zawołała za nim matka. - Wróć natychmiast! Oddaj siostrze czekoladę!

Zatrzymał się, ale nie cofnął. Matka wpatrywała się w niego z napięciem. Mało brakowało, aby wydarzyło się coś strasznego, choć nawet teraz, gdy o tym myślał, nie wiedział co. Siostrzyczka, zrozumiawszy, że czegoś ją pozbawiono, zaczęła żałośnie kwilić. Matka objęła ją mocno i przytuliła do piersi. Winston wyczytał jakoś z jej gestu, że dziecko jest umierające. Odwrócił się i zbiegł po schodach, z palcami zaciśniętymi na lepkiej, brunatnej masie.

Nigdy więcej nie zobaczył matki. Kiedy połknął czekoladę, zrobiło mu się wstyd; przez kilka godzin krążył ulicami, dopóki głód nie zmusił go do powrotu. Wróciwszy do domu nie zastał nikogo. W owym czasie nagłe zniknięcia stawały się już powszednie. Oprócz matki i siostry nic więcej nie ubyło. Zostały wszystkie ubrania, w tym nawet palto matki. Winston nadal nie wiedział, czy jego matkę rozstrzelano. Równie dobrze mogła trafić do obozu pracy. Siostrę zaś albo umieszczono - podobnie jak jego - w jednej z założonych po wojnie domowej kolonii dla bezdomnych dzieci (nazywano je ośrodkami wychowawczymi), albo razem z matką wysłano do obozu pracy lub po prostu porzucono gdzieś, żeby umarła.

Wciąż widział tę scenę wyraźnie przed oczami, zwłaszcza ów opiekuńczy gest, którym matka przytuliła małą, a w którym jakby zawierało się całe przesłanie snu. Przypomniał sobie inny sen, sen sprzed dwóch miesięcy. Matka siedziała wówczas w identycznej pozie jak wtedy na łóżku przykrytym wyświechtaną białą kapą, tuląc do siebie dziecko, lecz była hen w dole, w tonącym statku, który wciąż opadał coraz niżej, i cały czas wpatrywała się w Winstona przez mroczniejącą wodę.

Opowiedział Julii o zniknięciu matki. Nie otwierając oczu, przekręciła się w jego stronę i ułożyła wygodniej.

- Na pewno byłeś wtedy niezgorszym bydlakiem - wymamrotała. - Wszystkie dzieci to małe bydlaki.

- Tak. Ale najważniejsze w tej całej historii jest to, że...

Poznał jednak po jej oddechu, że znów zapadła w sen. Chętnie opowiedziałby coś jeszcze o matce. Z tego, co pamiętał, nie była kobietą niezwykłą ani tym bardziej specjalnie inteligentną, lecz cechowały ją uczciwość i szlachetność; zawsze kierowała się własnymi zasadami. Jej uczuć nic nie mogło zmienić. Matce nigdy nie przyszłoby do głowy, że każde bezskuteczne działanie jest zbędne. Uważała, że jeśli się kogoś kocha, to się go kocha, a gdy nie ma już nic, co można by mu zaofiarować, wciąż daje się miłość. Kiedy zabrakło czekolady, przytuliła dziecko. To nic nie pomogło, niczego nie zmieniło, nie pojawiło się więcej czekolady ani też nie oddaliła się śmierć jej i dziecka; po prostu był to dla niej naturalny odruch. Kobieta na łodzi uchodźców w podobny sposób otoczyła chłopca ramionami, choć przecież nie lepiej chroniło go to od kuł niż kartka papieru. Najstraszniejszą krzywdą, jaką ludziom wyrządziła Partia, było wmówienie im - przy równoczesnym pozbawieniu ich jakiegokolwiek wpływu na bieg wypadków - że odruchy i uczucia nic nie znaczą. Kiedy już znalazłeś się w mocy Partii, wówczas to, co czułeś lub czego nie czułeś, co robiłeś lub czego nie robiłeś, nie odgrywało żadnej roli. Znikałeś - i nikt więcej o tobie nie słyszał. Usuwano cię ze strumienia historii. Jednakże ludziom sprzed zaledwie dwóch pokoleń nie wydałoby się to takie istotne, ponieważ sami historii nie usiłowali zmienić. W życiu kierowali się wyłącznie osobistym poczuciem lojalności, nigdy nie podając go w wątpliwość. Największą wagę przykładali do stosunków międzyludzkich, a drobny i niczego nie zmieniający gest, coś takiego jak uścisk, łza lub słowo skierowane do umierającego, miały ogromną wartość. Przyszło mu nagle do głowy, że prole nadal zachowują się w ten sposób. Nie cechuje ich lojalność wobec Partii, kraju czy idei, jedynie wobec samych siebie. Po raz pierwszy w życiu pomyślał o prolach bez pogardy i przestał widzieć w nich jedynie bierną masę, która pewnego dnia zbudzi się i naprawi świat. Prole pozostali ludźmi. Serca im nie skamieniały. Nie dali się obedrzeć z prymitywnych uczuć, których on sam musiał się dopiero uczyć od nowa. Rozmyślając o tym, przypomniał sobie, pozornie bez związku, jak kilka tygodni temu kopnął do rynsztoka leżącą na chodniku ludzką rękę, zupełnie jakby to był głąb kapusty.

- Prole są ludźmi - powiedział głośno. - A my nie.

- Dlaczego? - spytała Julia znów podnosząc głowę.

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

- Czy pomyślałaś kiedyś - rzekł w końcu - że najrozsądniej byłoby po prostu stąd wyjść, póki nie jest za późno, i nigdy więcej się nie widzieć?

- Tak, najdroższy, nieraz. Ale i tak tego nie zrobię.

- Dotąd mieliśmy szczęście, wkrótce jednak może się nam powinąć noga. Jesteś młoda. Wyglądasz zdrowo i niewinnie. Jeśli będziesz trzymać się z dala od takich jak ja, może zdołasz dożyć późnej starości.

- Nie. Wszystko sobie dokładnie przemyślałam. Postąpię tak samo jak ty. Nie martw się. Umiem dbać o własną skórę.

- Nie wiadomo, ile nam zostało czasu. Może pół roku, może rok. W końcu nas rozdzielą. Czy zdajesz sobie sprawę, jak straszliwie będziemy wówczas osamotnieni? Kiedy nas złapią, żadne z nas nie zdoła uczynić nic, żeby pomóc drugiemu. Jeśli się przyznam, zastrzelą cię, jeśli nie przyznam, też cię zastrzelą. Bez względu na to, jak się zachowam, nic nie odwlecze twojej śmierci choćby o pięć minut. Nigdy się nie dowiemy, czy drugie jeszcze żyje, czy już zginęło. Będziemy pozbawieni jakiejkolwiek możliwości działania. Ale choć wiem, że to nic nie zmieni, ważne jest dla mnie jedno: abyśmy się nawzajem nie zdradzili.

- Jeśli masz na myśli przyznanie się do wszystkiego, oboje zrobimy to bardzo szybko. Każdy się przyznaje. Tego się nie da uniknąć. Stosują przecież tortury.

- Nie o to mi chodzi. Przyznanie się to jeszcze nie zdrada. Słowa i czyny nic nie znaczą; liczą się uczucia. Jeśli zmuszą mnie do tego, żebym przestał cię kochać, wówczas będzie to prawdziwa zdrada.

Zadumała się na chwilę.

- Nie, tego nie zdołają osiągnąć - powiedziała wreszcie. -Akurat to jedno jest niemożliwe. Mogą cię zmusić, żebyś mówił, co chcą, absolutnie wszystko, ale nie uda im się sprawić, abyś uwierzył we własne kłamstwa. Przecież nie mają dostępu do twojego mózgu.

- Tak - rzekł z pewną nadzieją w głosie. - Masz rację. Do mózgu nie potrafią się dostać. Dopóki pragniesz być człowiekiem, nawet jeśli to nic nie daje, wygrywasz z nimi.

Pomyślał o wiecznie czuwających teleekranach. Mogą cię szpiegować dwadzieścia cztery godziny na dobę, a i tak, jeśli jesteś dość cwany, zdołasz je przechytrzyć. Mimo całej swojej pomysłowości, Partia wciąż jeszcze nie wpadła na to, jak sprawdzić, co kto myśli. Może wszystko wyglądało inaczej, gdy już mieli kogoś w swoich rękach. Nikt nie wiedział, co naprawdę dzieje się w lochach Ministerstwa Miłości, ale nietrudno było zgadnąć: tortury, zastrzyki, czułe urządzenia rejestrujące każdy odruch, stopniowe łamanie oporu poprzez bezsenność, izolację i ciągłe przesłuchania. Faktów nie sposób ukryć. Mogą je ujawnić podczas dochodzenia, wycisnąć za pomocą tortur. Ale jeśli ktoś przyjmuje za cel nie przetrwanie, lecz zachowanie człowieczeństwa, jakie są tego następstwa? Nie mogą zmienić siłą czyichś uczuć; zresztą nawet sam człowiek nie może ich zmienić, choćby nie wiadomo jak pragnął. Tak, potrafią wydobyć każdy szczegół tego, co robił lub mówił; ale serce, którego działanie nawet dla niego stanowi tajemnicę, pozostaje niezwyciężone.

8

Wreszcie! Wreszcie zdobyli się na ten krok!

Podłużny pokój oświetlała jedynie przyćmiona lampa. Ściszony teleekran ledwie mruczał; stąpając po puszystym, granatowym dywanie mieli uczucie, że jest z aksamitu. Na drugim końcu pokoju, przy zawalonym papierami biurku, na którym stała lampa z zielonym abażurem, siedział O'Brien. Nawet nie podniósł głowy, gdy służący wprowadził Julie i Winstona.

Winstonowi serce kołatało tak mocno, że lękał się, iż nie wydusi z siebie ani słowa. Wreszcie, wreszcie zdobyli się na ten krok! - tylko ta jedna myśl tłukła mu się po głowie. Już przychodząc tu, postąpili nierozważnie, a fakt, że zjawili się razem, zakrawał na czyste szaleństwo, chociaż każde z nich dotarło tutaj inną drogą i spotkali się dopiero przed drzwiami O'Briena. Nawet wejście do budynku wymagało zimnej krwi. Zwyczajni ludzie bardzo rzadko bywali w domach członków Wewnętrznej Partii czy choćby odwiedzali zamieszkane przez nich dzielnice. Cała atmosfera ogromnego wieżowca, jego bogactwo i przestronność, obce zapachy smacznych potraw i dobrego tytoniu, szybkie, bezszelestne windy, przemykający pospiesznie służący odziani w białe kurtki - to wszystko onieśmielało. I choć Winston miał dobry pretekst, aby tu przyjść, prześladowała go myśl, że zaraz wyłoni się zza najbliższego rogu strażnik w czarnym mundurze, zażąda od niego dokumentów i każe mu się wynosić. Służący O'Briena, ubrany w białą kurtkę, wpuścił ich jednak bez słowa. Mały, czarnowłosy, o wydatnych kościach policzkowych i żółtawej, całkiem kamiennej twarzy, wyglądał na Chińczyka. Korytarz, którym ich poprowadził, wyłożony był miękkim dywanem, ściany pokrywała kremowa tapeta, wzdłuż podłogi biegła biała listwa; wszystko aż lśniło czystością. To również onieśmielało. Winston nie przypominał sobie, aby widział korytarz, którego ściany nie lepiłyby się od dotyku niezliczonych ciał.

O'Brien trzymał w palcach jakąś kartkę i studiował ją w skupieniu. Jego grubo ciosana twarz - pochylona, tak że widać było krogulczą linię nosa - sprawiała zarazem groźne i inteligentne wrażenie.

Chyba przez dwadzieścia sekund siedział zupełnie bez ruchu. Następnie przysunął do siebie mowopis i podyktował wiadomość w osobliwym żargonie, którym posługiwano się w ministerstwach:

- Punkty jeden przecinek pięć przecinek siedem zatwierdzam całościowo stop punkt sześć propozycja dwaplus absurdalna omal myślozbrodnia skreślić stop antykontynuować prace budowlane do pouzysku pluspełnego kosztorysu stop koniec noty.

Wstał niespiesznie i stąpając bezgłośnie po miękkim dywanie, ruszył w ich stronę. Kiedy skończył dyktować, urzędowa atmosfera nieco zelżała, lecz O'Brien wciąż miał minę bardziej surową niż zazwyczaj, jakby był niezadowolony, że przeszkadzają mu w pracy. Oprócz przerażenia Winston poczuł także zwykłe zażenowanie. Mógł się przecież po prostu głupio omylić. Czy miał jakikolwiek dowód, że O'Brien faktycznie spiskuje przeciwko Partii? Opierał się tylko na wymianie spojrzeń i jednym dwuznacznym zdaniu; reszta to zaledwie domysły zapoczątkowane snem. Nie mógł nawet w razie czego posłużyć się pretekstem, że wstąpił pożyczyć słownik, bo jak wytłumaczyłby obecność Julii? Mijając teleekran, O'Brien nagle jakby sobie coś przypomniał. Zatrzymał się, obrócił do ściany i przekręcił sterczącą z niej gałkę. Rozległ się głośny trzask. Teleekran zamilkł.

Julia aż pisnęła ze zdumienia.

Mimo strachu Winston też był zbyt zaskoczony, aby pohamować okrzyk:

- Możecie wyłączyć teleekran!

- Owszem, mogę - potwierdził O'Brien. - Członkowie Wewnętrznej Partii mają ten przywilej.

Stali teraz dokładnie naprzeciw siebie. Potężna sylwetka O'Briena górowała nad Winstonem i Julią, a jego twarz wciąż była nieprzenikniona i sroga. Wpatrywał się surowo w Winstona, czekając aż ten się odezwie, ale czego oczekiwał? Nie dawało się wykluczyć, że O'Brien to po prostu bardzo zajęty człowiek, zirytowany, że przerwano mu pracę. Winston milczał. Po wyłączeniu teleekranu w pokoju zapanowała złowieszcza cisza. Każda sekunda trwała wieki. Winston z najwyższym trudem wytrzymywał spojrzenie członka Wewnętrznej Partii. Ale wtem w srogiej twarzy coś drgnęło i pojawił się na niej cień uśmiechu. O'Brien charakterystycznym gestem poprawił okulary.

- Będziecie mówić sami czy mam mówić za was?

- Ja powiem - odparł bez wahania Winston. - Teleekran naprawdę jest wyłączony?

- Tak, wszystko jest wyłączone. Nikt nas nie słyszy.

- Przyszliśmy, ponieważ...

Zawahał się, po raz pierwszy zdając sobie sprawę z tego, jak niesprecyzowane są jego motywy. Nie wiedział, czego właściwie oczekuje od O'Briena, toteż trudno mu było wyjaśnić, po co przyszedł. Brnął jednak dalej, świadom, że jego słowa mogą zabrzmieć szablonowo i pretensjonalnie.

- Wierzymy, że istnieje jakieś podziemie, jakaś tajna organizacja dążąca do obalenia Partii i że wy jesteście z nią związani. Chcemy się przyłączyć i pomagać. Jesteśmy wrogami Partii. Nie wierzymy w angsoc. Jesteśmy myślozbrodniarzami. I cudzołożnikami. Mówię o tym, bo pragniemy zdać się na waszą łaskę. Jeśli zażądacie, abyśmy popełnili jakąś zbrodnię, żeby obciążyć się jeszcze bardziej, jesteśmy gotowi.

Umilkł i spojrzał za siebie, bo wydało mu się, że otwarto drzwi. I rzeczywiście, drobny służący o żółtawej twarzy wślizgnął się do środka bez pukania. Niósł tacę, na której stała karafka i kieliszki.

- Martin jest jednym z nas - oznajmił O'Brien. - Ustaw wszystko na okrągłym stole, Martin. Czy mamy dość krzeseł? A więc możemy usiąść wygodnie i spokojnie porozmawiać. Sobie też przysuń krzesło, Martin. To poważna sprawa. Na dziesięć minut możesz przestać być służącym.

Mały człowieczek wykonał polecenie i usiadł bez skrępowania, jednakże po jego zachowaniu wciąż można było poznać, że to służący, którego pan zaszczycił zaproszeniem do stołu. Winston przypatrywał mu się kątem oka. Człowiek ten zapewne przez całe życie grał pewną rolę i zdjęcie maski, choćby na moment, uważał za niebezpieczne. O'Brien ujął karafkę za szyjkę i napełnił kieliszki ciemnoczerwonym płynem. Zbudziło to w umyśle Winstona mgliste wspomnienie czegoś, co dawno temu widział na murze lub słupie - ogromną neonową butlę, która migotała i gasła, sprawiając wrażenie, że jej zawartość wlewa się do pucharu. Kiedy patrzył z góry na swój kieliszek, płyn wydawał się niemal czarny, lecz w karafce połyskiwał rubinowym blaskiem. Zapach miał kwaśnosłodki. Winston zobaczył, że Julia podnosi kieliszek i wącha go z nie ukrywaną ciekawością.

- To wino - wyjaśnił z lekkim uśmiechem O'Brien. - Na pewno znane jest wam z książek. Niestety, nie trafia do Zewnętrznej Partii.

Znów spoważniał i podniósł kieliszek do góry.

- Sądzę, że powinniśmy zacząć od toastu. Za naszego przywódcę, za Emmanuela Goldsteina!

Winston skwapliwie chwycił kieliszek. Wiele razy czytał i marzył o winie. Podobnie jak szklany przycisk oraz cytowane przez pana Charringtona urywki zapomnianych rymowanek, należało do minionych, romantycznych czasów, które w najskrytszych myślach nazywał epoką szczęścia. Nie wiedzieć czemu, zawsze mu się wydawało, że wino ma wyjątkowo słodki smak, tak jak dżem jagodowy, i natychmiast działa odurzająco. Już przy pierwszym łyku przykro się rozczarował. Po latach picia dżinu prawie wcale nie czuł smaku. Odstawił opróżniony kieliszek.

- Więc Goldstein naprawdę istnieje? - zapytał.

- Tak, istnieje i dobrze się miewa. Ale gdzie przebywa, tego nie wiem.

- A podziemie, organizacja? Też istnieją? Nie jest po prostu wymysłem Policji Myśli?

- Nie, istnieje naprawdę. Nazywa się Braterstwem. Nigdy nie dowiecie się o Braterstwie nic ponad to, że istnieje i że do niego należycie. Zaraz do tego wrócę. - Spojrzał na zegarek. - Nawet dla członków Wewnętrznej Partii nie jest rzeczą rozsądną wyłączać teleekran na dłużej niż pół godziny. Nie powinniście byli przychodzić tu razem i będziecie musieli wyjść oddzielnie. Wy, towarzyszko - skinął głową Julii -wyjdziecie pierwsza. Zostało nam dwadzieścia minut. Rozumiecie, mam nadzieję, że muszę was najpierw wypytać o pewne sprawy. Mówiąc najogólniej, co jesteście gotowi uczynić?

- Co tylko w naszej mocy - odparł Winston.

O'Brien obrócił się nieco na krześle, tak że siedział teraz twarzą do Winstona. Prawie zupełnie ignorował Julię, jak gdyby uważał za rzecz oczywistą, że Winston mówi w imieniu obojga. Na moment zmrużył oczy. Zaczął zadawać pytania cichym, bezbarwnym głosem, jakby to była wielokrotnie powtarzana procedura, litania pytań i odpowiedzi, których większość zna się z góry.

- Czy jesteście gotowi poświęcić życie?

- Tak.

- Czy jesteście gotowi mordować?

- Tak.

- Prowadzić akcje sabotażowe, w następstwie których setki niewinnych ludzi mogą ponieść śmierć?

- Tak.

- Zdradzić ojczyznę, współpracując z obcymi mocarstwami?

- Tak.

- Czy jesteście gotowi oszukiwać, dokonywać fałszerstw, szantażować, zatruwać umysły nieletnich, rozprowadzać narkotyki, zachęcać do prostytucji, szerzyć choroby weneryczne, słowem robić wszystko, co może przyczynić się do osłabienia i demoralizacji Partii?

- Tak.

- Jeśli dla dobra naszej sprawy zajdzie na przykład konieczność oblania twarzy dziecka kwasem siarkowym, czy jesteście gotowi to uczynić?

- Tak.

- Czy jesteście gotowi zmienić swoją tożsamość i do końca życia pracować jako kelner czy doker?

- Tak.

- Czy jesteście gotowi popełnić samobójstwo, jeśli i kiedy wam polecimy?

- Tak.

- Czy jesteście gotowi rozstać się i nigdy więcej się nie widzieć?

- Nie! - zawołała Julia.

Winstonowi zdawało się, że czas płynie, a on wciąż się zastanawia. Przez moment miał nawet wrażenie, że odjęło mu mowę. Jego usta otwierały się i zamykały bezgłośnie, przymierzając się do odpowiedzi: aż do chwili, kiedy się odezwał, nie wiedział, jaka będzie jego decyzja.

- Nie - stwierdził wreszcie.

- Dobrze, żeście mi powiedzieli - oznajmił O'Brien. -Ważne jest, byśmy wiedzieli wszystko.

Zwrócił się do Julii i z nieco większym ożywieniem rzekł:

- Czy rozumiecie, że nawet jeśli wasz przyjaciel nie zginie, będzie zupełnie innym człowiekiem? Otrzyma nową tożsamość. Wszystko ulegnie zmianie. Jego twarz, ruchy, kształt dłoni, barwa włosów, nawet głos! Wy także staniecie się inną osobą. Nasi chirurdzy potrafią zmienić każdego nie do poznania. Czasami bywa to konieczne. Niekiedy trzeba nawet amputować którąś z kończyn.

Winston nie mógł się powstrzymać od spojrzenia ukradkiem na mongolską twarz Martina. Nie dostrzegł żadnych blizn. Julia zbladła trochę i piegi wystąpiły jej wyraźniej na policzkach, lecz odważnie patrzyła na O'Briena. Mruknęła coś cicho, wyrażając zgodę.

- W porządku. Więc to załatwione - oświadczył O'Brien.

Na stole stało srebrne pudełko z papierosami. O'Brien w zamyśleniu przesunął je w ich stronę, sam też się poczęstował, po czym wstał i zaczął spacerować po pokoju, jakby w ten sposób mógł się lepiej skupić. Papierosy były doskonałe, grube, mocno nabite, z niespotykanie jedwabistą bibułką. O'Brien znów zerknął na zegarek.

- Wracaj lepiej do służbówki, Martin - rzekł. - Za kwadrans włączę teleekran. Tylko najpierw przyjrzyj się dobrze tym towarzyszom, żebyś zapamiętał ich twarze. Pewnie się z nimi jeszcze zobaczysz. Ja może już nie.

Dokładnie tak samo jak wówczas, gdy otworzył im drzwi, oczy służącego przesunęły się wolno po Julii i Winstonie. W jego wzroku nie było nic przyjaznego. Martin zapamiętywał ich wygląd, ale oni sami zupełnie go nie obchodzili, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Winstonowi przemknęło przez myśl, że może sztuczna twarz nigdy nie zmienia wyrazu. Bez słowa, nawet bez skinienia głową, służący wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. O'Brien wciąż przechadzał się po pokoju, z jedną dłonią w kieszeni czarnego kombinezonu, a w drugiej trzymając papierosa.

- Musicie zdać sobie sprawę - rzekł - iż zawsze będziecie działać na ślepo. Nigdy o niczym nie będziecie informowani. Będziecie otrzymywać i wypełniać rozkazy, nigdy nie znając ich przyczyn. Później przyślę wam książkę, z której dowiecie się prawdy o ustroju, w którym żyjemy, a także poznacie strategię, dzięki której zamierzamy go zniszczyć. Kiedy przeczytacie książkę, staniecie się rzeczywistymi członkami Braterstwa. Ale oprócz samego celu, o który walczymy, oraz swoich aktualnych zadań nic nie będziecie znali. Wyjawiłem wam, że Braterstwo istnieje, lecz nie

mogę wam zdradzić, czy liczy stu członków, czy dziesięć milionów. Sami nie poznacie nawet dziesięciu osób. Wyznaczymy wam łączników, którzy co pewien czas będą się zmieniali; pewnie trzech, czterech. Ponieważ pierwszy kontakt nawiązaliście ze mną, niech tak pozostanie. Jeśli otrzymacie jakieś rozkazy, wyjdą ode mnie, a Martin wam je przekaże. Kiedy was w końcu złapią, przyznacie się do wszystkiego. Tego nie da się uniknąć. Jednakże poza własnymi czynami o niczym nie będziecie umieli nic powiedzieć. Wsypiecie zaledwie garstkę mało znaczących osób. Mnie prawdopodobnie nie zaszkodzicie. Zresztą możliwe, że do tego czasu zginę albo będę inną osobą, z inną twarzą.

Mówiąc, cały czas przechadzał się po puszystym dywanie. Mimo znacznej tuszy poruszał się z gracją. Cechowała każdy jego gest, nawet gdy wsuwał rękę do kieszeni lub podnosił do ust papierosa. Emanowała z niego siła, lecz przede wszystkim pewność siebie oraz wyrozumiałość, lekko zabarwiona ironią. Chociaż mówił o poważnych sprawach, nie miał w sobie nic z zacietrzewienia fanatyka. Nawet kiedy wspominał o morderstwach, samobójstwach, chorobach wenerycznych, amputacjach kończyn i operacjach twarzy, w jego głosie pobrzmiewała kpiarska, poufała nuta.

„To jest nieuchronne - zdawał się mówić. - Tak musimy postępować i nie wolno nam się wzdragać. Ale zobaczycie: będzie zupełnie inaczej, kiedy życie znów nabierze sensu".

Fala podziwu, niemal uwielbienia, zalała Winstona. Chwilowo zapomniał o tajemniczym Goldsteinie. Patrząc na szerokie bary i mięsistą twarz O'Briena, tak brzydką, a zarazem tak kulturalną, trudno było uwierzyć, iż człowiek ten może zostać pokonany. Nie istniały fortele, których by nie przejrzał, nie było niebezpieczeństw, których by nie przewidział. Na Julii także zrobił duże wrażenie. Słuchała w napięciu, nawet nie dostrzegając, że zgasł jej papieros. A O'Brien perorował . dalej:

- Na pewno słyszeliście pogłoski o Braterstwie. I prawdopodobnie wyrobiliście sobie o nim własne zdanie. Wyobrażacie sobie, że istnieje wielki, podziemny świat spiskowców, którzy spotykają się potajemnie w piwnicach, kontaktują przez wypisywanie na murach zaszyfrowanych wiadomości, a rozpoznają po umówionych hasłach lub gestach. Tymczasem to wszystko nieprawda. Członkowie Braterstwa nie mają żadnych znaków rozpoznawczych i nikt nie zna tożsamości więcej niż kilku osób. Nawet sam Goldstein, gdyby wpadł w ręce Policji Myśli, nie umiałby im zdradzić ani nazwisk wszystkich członków, ani też podać żadnych informacji mogących ułatwić odnalezienie pełnego wykazu. Taki wykaz bowiem w ogóle nie istnieje. Braterstwa nie można zniszczyć, ponieważ nie jest organizacją w zwyczajnym znaczeniu tego słowa. Członków nie łączy nic oprócz wspólnej idei, która jest niezniszczalna. Wy także tylko z niej będziecie mogli czerpać otuchę. Nie poznacie swoich towarzyszy, nie usłyszycie słowa zachęty. A kiedy was złapią, nie spodziewajcie się pomocy. Nigdy nie pomagamy naszym członkom. Możemy najwyżej dostarczyć do celi żyletkę, ale wyłącznie wówczas, gdy trzeba koniecznie zamknąć komuś usta. Musicie przywyknąć do życia bez widocznych wyników i bez nadziei. Przez pewien czas będziecie walczyć, potem was złapią i po wyduszeniu zeznań zabiją. Będzie to jedyny widoczny skutek waszej działalności. Nie ma cienia szansy, aby za naszego życia nastąpiła dostrzegalna poprawa. Wszyscy jesteśmy martwi. Prawdziwe życie czeka nas dopiero w przyszłości. Ale będziemy w nim uczestniczyć wyłącznie jako garść prochów i odłamków kości. Nikt nie wie, jak odległa to przyszłość. Może aż o tysiąc lat. W tej chwili jedyne, co możemy zrobić, to kroczek po kroczku zbliżać ludzi do opamiętania. Nie możemy działać wspólnie. Możemy tylko rozpowszechniać naszą wiedzę ustami pojedynczych osób, przekazywać z pokolenia na pokolenie. W obliczu ciągłego zagrożenia ze strony Policji Myśli nie ma innej drogi.

Umilkł i po raz trzeci spojrzał na zegarek.

- Już prawie pora na was, towarzyszko - rzekł do Julii. -Ale momencik. Karafka wciąż jest do połowy pełna.

Napełnił kieliszki i uniósł swój do góry.

- Jaki toast wzniesiemy tym razem? - spytał z tą samą nutą ironii. - Za zgubę Policji Myśli? Na pohybel Wielkiemu Bratu? Za ludzkość? Za przyszłość?

- Za przeszłość - powiedział Winston.

- Słusznie, przeszłość jest najważniejsza - przyznał z powagą O'Brien.

Opróżnili kieliszki i chwilę później Julia wstała, zbierając się do wyjścia. O'Brien wziął z szafki niewielkie pudełko, wyjął z niego płaską białą pastylkę i wręczył Julii, radząc, żeby ją possała, bo trzeba uważać, aby przypadkiem nie pachnieć winem; windziarze są bardzo spostrzegawczy. Ledwie drzwi zatrzasnęły się za Julią, natychmiast o niej zapomniał. Przeszedł jeszcze kilka kroków po pokoju i zatrzymał się.

- Musimy omówić kilka szczegółów - oświadczył. -Domyślam się, że macie jakąś kryjówkę?

Winston powiedział mu o pokoju nad sklepem pana Charringtona.

- Na razie musi wystarczyć. Potem znajdziemy dla was coś innego. Trzeba często zmieniać lokal. Niedługo przyślę wam Księgę - Winston zauważył, że nawet O'Brien wymawiał to słowo tak, jakby było pisane wielką literą - Księgę Goldsteina, ma się rozumieć. Postaram się z tym nie zwlekać, choć może chwilę potrwa, zanim zdobędę egzemplarz. Nie muszę wam tłumaczyć, jak niewiele ich istnieje. Policja Myśli wyszukuje je i niszczy niemal równie szybko, jak my drukujemy. Ale to i tak nic nie zmienia. Księga jest niezniszczalna. Nawet gdyby przechwycili ostatni egzemplarz, moglibyśmy ją prawie słowo w słowo odtworzyć z pamięci. Czy chodzicie do pracy z teczką?

- Zwykle tak.

- Jak wygląda?

- Czarna, bardzo zniszczona. Zapinana na dwa paski.

- Czarna, dwa paski, bardzo zniszczona; w porządku. Pewnego dnia, w najbliższej przyszłości, choć trudno mi przewidzieć dokładnie datę, otrzymacie w pracy błędnie sporządzoną notatkę; będziecie musieli prosić o powtórzenie polecenia. Nazajutrz idźcie do pracy bez teczki. W ciągu dnia ktoś do was podejdzie na ulicy, dotknie waszego ramienia i powie: „Chyba upuściliście teczkę". W teczce, którą wam wręczy, znajdziecie Księgę Goldsteina. Zwrócicie ją w ciągu dwóch tygodni.

Przez chwilę obaj milczeli.

- Pozostało nam już tylko kilka minut - powiedział O'Brien. - Spotkamy się znowu... Jeśli w ogóle się spotkamy...

Winston spojrzał na niego.

- Tam, gdzie nie ma mroku - rzekł niepewnie. O'Brien skinął głową bez zdziwienia.

- Tam, gdzie nie ma mroku - powtórzył, jakby rozumiał, o co chodzi. - Czy chcielibyście coś powiedzieć przed wyjściem? Coś mi zakomunikować? Może o coś spytać?

Winston zamyślił się. Nie przychodziło mu do głowy żadne pytanie, a nie miał ochoty wypowiadać napuszonych ogólników. Powinien skorzystać z okazji, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o O'Brienie lub Braterstwie, lecz myśli wypełnił mu ciąg nakładających się na siebie obrazów mrocznej sypialni, w której jego matka spędziła ostatnie dni, pokoiku nad sklepem pana Charringtona, szklanego przycisku i ryciny w palisandrowej ramie. Nagle spytał:

- Czy znacie może taki stary wierszyk rozpoczynający się od słów „Pomarańcze za pensa, krzyczą dzwony Klemensa"?

O'Brien ponownie skinął głową i uprzejmie, z powagą, wyrecytował:

Pomarańcze za pensa, krzyczą dzwony Klemensa,
Skradł cytryn pół tuzina, dudnią dzwony Marcina,
Zaraz złapię złodzieja, ryczą dzwony Baileya,
Inni liczą, ty też licz, radzą dzwony Shoreditch.

- Znacie ostatni wers!

- Tak, znam. Ale teraz, niestety, musicie już iść. Moment; na wszelki wypadek wam też dam pastylkę.

Kiedy Winston wstał, O'Brien wyciągnął do niego rękę. Mocny uścisk niemal miażdżył dłoń. W drzwiach Winston obejrzał się, ale O'Brien nie zwracał już na niego uwagi. Czekał z dłonią na gałce teleekranu. Winston jeszcze raz popatrzył na biurko, na lampę z zielonym abażurem, na mowopis i druciane pojemni".! pełne papierów. O'Brien załatwił, co miał do załatwień a, a teraz wracał do innych spraw. Zanim minie trzydzieści sekund, pomyślał Winston, znów zasiądzie do przerwanych na krótko ważnych zadań w służbie Partii.

9

Winston czuł się galaretowaty z wyczerpania. „Galaretowaty" to najwłaściwsze określenie. Samo przyszło mu do głowy. Jego ciało bowiem nie tylko trzęsło się przy każdym ruchu jak galareta, lecz było równie przezroczyste. Miał wrażenie, że gdyby podniósł do góry rękę, ujrzałby przez nią światło. Szaleńcza, nieustająca praca wyżęła z niego limfę i krew, pozostawiając jedynie osłabły ludzki wiór - samą skórę, nerwy i kości. Każde doznanie odbierał ze zwielokrotnioną siłą. Kombinezon drapał go w ramiona, chodnik uwierał w stopy, nawet zgięcie palców odczuwał jako potworny wysiłek, od którego trzeszczą stawy.

W ciągu pięciu dni Winston przepracował ponad dziewięćdziesiąt godzin. Inni zatrudnieni w ministerstwie również. Teraz mordęga się skończyła i nie miał absolutnie nic do roboty, żadnych partyjnych obowiązków, aż do jutra rana. Mógł spędzić sześć godzin w kryjówce nad sklepem pana Charringtona, a następne dziewięć we własnym łóżku. Szedł l powoli, w łagodnym popołudniowym słońcu, nędzną uliczką w stronę sklepu, rozglądając się, czy nie widać patroli, ale jednocześnie żywiąc jakieś niczym nie uzasadnione przekonanie, że akurat dziś nie spotka go nic złego. Ciężka teczka przy każdym kroku obijała mu się o kolano, sprawiając, że mrowie przechodziło go po nodze. W środku znajdowała się Księga, którą już od sześciu dni miał w swoim posiadaniu, lecz dotąd nie znalazł czasu, by ją poczytać lub choćby na nią spojrzeć.

Szóstego dnia Tygodnia Nienawiści, po pochodach, przemówieniach, krzykach, śpiewach, transparentach, filmach, pokazach figur woskowych, dudnieniu bębnów i ryku trąb, tupocie maszerujących nóg, turkocie czołgów, wyciu przelatujących samolotów, grzmocie armat - po sześciu dniach tych atrakcji, kiedy zbiorowy orgazm sięgał szczytu, a powszechna nienawiść do Eurazji przerodziła się w tak zaciekłą furię, że gdyby tłum dostał w swoje ręce owe dwa tysiące eurazjatyckich zbrodniarzy wojennych, których miano powiesić publicznie ostatniego dnia obchodów, to niechybnie rozszarpałby ich na strzępy - dokładnie wówczas ogłoszono naraz, że Oceania wcale nie prowadzi wojny z Eurazją. Nieprzyjacielem Oceanii jest Wschódazja. Eurazja to sprzymierzeniec.

Nie przyznano się, oczywiście, że nastąpiła jakakolwiek zmiana sojuszy. Po prostu nagle, wszędzie równocześnie, ogłoszono, że to Wschódazja, a nie Eurazja jest wrogiem. Winston akurat uczestniczył w wiecu na jednym z głównych placów Londynu. Był późny wieczór - czerwone flagi i twarze zebranych oświetlał jaskrawy blask reflektorów. Na placu tłoczyło się kilka tysięcy ludzi, w tym tysiąc uczniów w mundurkach Kapusiów. Z trybuny obitej czerwonym suknem przemawiał do tłumu mówca z Wewnętrznej Partii, mały, chudy mężczyzna o nieproporcjonalnie długich

rękach i ogromnej głowie, zupełnie łysej, jeśli nie liczyć paru rzadkich, przylizanych kosmyków. Karzeł ten, o twarzy wykrzywionej nienawiścią, w jednej kościstej dłoni dzierżył mikrofon, a drugą - zaciśniętą w ogromną pięść - wymachiwał groźnie w powietrzu. Jego głos, któremu megafony nadawały metaliczne brzmienie, grzmiał wyliczając po kolei wszystkie zbrodnie nieprzyjaciela: masakry, wysiedlenia, grabieże, gwałty, torturowanie jeńców, bombardowanie ludności cywilnej, napaści, kłamliwą propagandę, łamanie układów. Przekonywał każdego, każdemu udzielała się jego furia. Co kilka chwil tak narastała wściekłość tłumu, że barbarzyński, niepohamowany ryk tysięcy gardzieli zagłuszał słowa mówcy. Najdziksze wrzaski wydawali uczniowie. Przemówienie trwało już ze dwadzieścia minut, gdy nagle na trybunę wbiegł posłaniec i wręczył mówcy kartkę. Ten rozwinął ją i przeczytał, nie przerywając potoku słów. Nie zmieniło się ani jego zachowanie, ani ton głosu, ani też treść tego, co mówił, lecz nagle zaczął wymieniać nazwę innego mocarstwa. Nie padło ani jedno słowo wyjaśnienia, ale tłum i tak w mig pojął wszystko. Oceania prowadzi wojnę ze Wschódazją! W następnej chwili podniósł się rwetes. Wszystkie transparenty i plakaty, którymi udekorowano plac, były nieodpowiednie! Połowa z nich przedstawiała niewłaściwe osoby. Sabotaż! Robota agentów Goldsteina! Powstał zamęt; ze ścian zrywano plakaty, a transparenty darto na strzępy i deptano. Kapusie dokonywali cudów zręczności, wdrapując się na dachy i ściągając łopoczące na kominach flagi. Nie minęły dwie, trzy minuty, a było już po wszystkim. Mówca, wciąż dzierżąc w jednej dłoni mikrofon, a drugą wymachując w powietrzu, wychylał się z trybuny i grzmiał jak uprzednio. Jeszcze minuta i tłum znów zaczął wznosić dzikie okrzyki. Nienawiść trwała nadal; zmienił się jedynie jej obiekt.

Na Winstonie - gdy się później nad tym zastanawiał -największe wrażenie zrobiło to, że mówca przestawił się dosłownie w połowie zdania, nie tylko nie przerywając wywodu, lecz nawet nie zmieniając składni. W trakcie wiecu Winston prawie tego nie zauważył, albowiem miał na głowie ważniejsze sprawy. Kiedy wynikło całe zamieszanie i tłum zdzierał plakaty, jakiś człowiek, którego twarzy nawet dobrze nie widział, dotknął jego ramienia i rzekł:

- Przepraszam, towarzyszu, chyba upuściliście teczkę.

Winston wziął ją odruchowo, nie odzywając się słowem. Wiedział, że minie wiele dni, zanim będzie mógł do niej zajrzeć. Zaraz po skończeniu wiecu wrócił do Ministerstwa Prawdy, choć dochodziła już dwudziesta trzecia. Podobnie zrobił cały personel. Komunikaty nakazujące im stawienie się w pracy, nadawane przez teleekrany, były właściwie zbyteczne.

Oceania prowadziła wojnę ze Wschódazją; Oceania zawsze prowadziła wojnę ze Wschódazją. Znaczna część literatury politycznej z ostatnich pięciu lat nagle całkiem się zdezaktualizowała. Najróżniejsze sprawozdania, akta, gazety, książki, broszury, filmy, nagrania, fotografie - wszystko to należało zmienić w błyskawicznym tempie. Chociaż nie wydano żadnych rozporządzeń, wszyscy doskonale wiedzieli, iż dyrektorzy poszczególnych departamentów życzą sobie, aby do końca tygodnia nie ostała się nigdzie ani jedna wzmianka o wojnie z Eurazją lub sojuszu ze Wschódazją. Ogrom pracy przytłaczał, a dodatkowo utrudniało ją to, że nie można było mówić wprost o przyczynie wprowadzenia zmian. Każdy urzędnik Departamentu Archiwów harował osiemnaście godzin na dobę, robiąc dwie trzygodzinne przerwy na sen. Z piwnic wyciągnięto materace i rozłożono na korytarzach. Nie wydawano regularnych posiłków; pracownicy stołówki jeździli z wózkami po piętrach, rozwożąc kanapki i Kawę Zwycięstwa. Za każdym razem Winston starał się wypełnić wszystkie polecenia, zanim wychodził z przegrody, by uciąć sobie drzemkę, ale gdy wracał, zaspany i obolały, okazywało się, że nowa lawina rulonów spadła tymczasem na biurko, zasypując je dokładnie, a nawet zsuwając się na posadzkę; tylko mikrofon mowopisu sterczał spod bieli na biurku niczym spod warstwy śniegu. Winston musiał zaczynać od ułożenia rulonów w równy stos, żeby zrobić sobie miejsce do pracy. Najgorsze, że zadania, które otrzymywał, nie polegały bynajmniej na czysto mechanicznym wprowadzaniu poprawek. Często oczywiście wystarczyło zmienić nazwę jednego mocarstwa na nazwę drugiego, lecz przy opracowywaniu bardziej szczegółowych artykułów niezbędne były skupienie i inwencja.

Samo przeniesienie wojny z jednej części świata do innej wymagało doskonałej znajomości geografii.

Już trzeciego dnia okropnie rozbolały go oczy; co chwila musiał przecierać szkła. Czuł się tak, jakby zlecono mu ciężką pracę fizyczną, której wykonania miał prawo odmówić, a zarazem obsesyjnie pragnął sprostać zadaniu. Kiedy w rzadkich wolnych chwilach zastanawiał się nad tym, co robi, zupełnie nie przeszkadzała mu świadomość, że każde dyktowane przez niego słowo i każdy ruch kopiowego ołówka to rozmyślne kłamstwo. Podobnie jak wszystkim w departamencie, zależało mu, aby jego fałszerstwa były doskonałe. Rankiem szóstego dnia potok rulonów zmalał. Przez całe pół godziny nic nie wypadło z rury; potem wyleciał jeden zwitek, a po nim już nic. Mniej więcej o tej porze wszędzie ustawała praca. Cały departament wydał jedno głębokie westchnienie ulgi. Choć musiało to na zawsze pozostać tajemnicą, dokonano wielkiego dzieła. Nie istniał już ani jeden dokument świadczący o tym, iż wojna z Eurazją kiedykolwiek się toczyła. O dwunastej zero zero niespodziewanie ogłoszono, że wszyscy pracownicy ministerstwa są wolni do jutra rana. Z Księgą w teczce, którą trzymał między kolanami podczas pracy i pod sobą w czasie snu, Winston wrócił do domu, gdzie ogolił się i wykąpał, o mało nie zasypiając w wannie, choć woda była zaledwie letnia.

Stawy trzeszczały mu przy każdym kroku, gdy z niemal lubieżną rozkoszą wspinał się po schodach do pokoju nad sklepem pana Charringtona. Był zmęczony, ale opuściła go senność. Otworzył okno, rozpalił brudny prymus i postawił na nim garnek wody, żeby zaparzyć kawę. Wiedział, że Julia wkrótce się zjawi; ale na razie miał Księgę. Usiadł w zniszczonym fotelu i rozpiął teczkę.

Wydobył z niej ciężki tom w czarnej, amatorsko wykonanej oprawie, bez tytułu i nazwiska autora na okładce. Druk także nie był najlepszej jakości. Książka otwierała się łatwo, a brzegi miała wytarte; dowód, że przeszła przez wiele rąk. Na stronie tytułowej widniał napis:

Emmanuel Goldstein

TEORIA I PRAKTYKA
OLIGARCHICZNEGO KOLEKTYWIZMU

Winston zaczął czytać:

Rozdział I
Ignorancja to Siła

Od początku czasów historycznych, a prawdopodobnie już od końca neolitu, na świecie istnieją trzy warstwy ludzi: górna, średnia i dolna. Wprowadzano najrozmaitsze podziały i wymyślano dla każdej z grup niezliczone określenia, a zarówno ich względna liczebność, jak i wzajemne stosunki zmieniały się w różnych epokach; jednakże podstawowa struktura społeczeństwa pozostała ta sama. Po najburzliwszych nawet wstrząsach i pozornie nieodwołalnych przemianach ludzkość powraca niebawem do dawnego modelu, podobnie jak żyroskop wraca do stałego położenia bez względu na to, jak daleko i pod jakim kątem zostanie wychylony przez działające nań siły.

Cele poszczególnych warstw są absolutnie nie do pogodzenia...

Winston przerwał czytanie, głównie po to, aby rozkoszować się faktem, że czyta, na dodatek w wygodnych i bezpiecznych warunkach. Był sam; wolny od teleekranu, wolny od obaw, że ktoś podsłuchuje przez dziurkę od klucza, wolny nawet od nerwowego odruchu oglądania się za siebie i przysłaniania strony ręką. Wonny, letni wietrzyk łaskotał go w policzek. Z oddali dochodziły stłumione okrzyki dzieci; w samym pokoju panowała cisza przerywana jedynie owadzim cykaniem zegara. Winston zapadł się głębiej w fotelu i oparł nogi o kratę przed kominkiem. Tak wygląda rozkosz, wieczne szczęście. Nagle, jak ktoś, kto wie, że potem wróci do pierwszych stron i przeczyta całą książkę od deski do deski, otworzył ją w innym miejscu, akurat na początku trzeciego rozdziału. Zaczął czytać:

Rozdział III
Wojna to Pokój

Rozpad świata na trzy wielkie supermocarstwa był wydarzeniem nietrudnym do przewidzenia już pod koniec pierwszej połowy dwudziestego wieku. Dwa z trzech istniejących mocarstw, Eurazja i Oceania, powstały właściwie z chwilą wchłonięcia Europy przez Rosję oraz Imperium Brytyjskiego przez Stany Zjednoczone. Trzecie, Wschódazja, wyłoniło się jako odrębna jednostka dopiero po następnym dziesięcioleciu chaotycznych walk. Granice pomiędzy trzema supermocarstwami w wielu miejscach są umowne, w innych zmieniają się zależnie od wyników działań wojennych, na ogół jednak są to granice naturalne. Eurazja zajmuje całą północną część kontynentu eurazjatyckiego, od Portugalii po Cieśninę Beringa. Oceania składa się z obu Ameryk, wysp Oceanu Atlantyckiego łącznie z Wyspami Brytyjskimi, z Australii, wysp południowego Pacyfiku oraz z południowej części Afryki. Wschódazja, najmniejsze z mocarstw, o mało wyraźnej granicy zachodniej, obejmuje Chiny i kraje leżące na południe od nich, Wyspy Japońskie oraz znaczny, lecz niestałej wielkości obszar na terytorium Mandżurii, Mongolii i Tybetu.

Zmieniając sojusze, trzy supermocarstwa ustawicznie prowadzą ze sobą wojnę, która trwa już od dwudziestu pięciu lat. Jednakże wojna współczesna nie przypomina rozpaczliwych i niszczycielskich zmagań, jakie miały miejsce w pierwszych dziesięcioleciach dwudziestego wieku. Jej cele są ograniczone, a prowadzący ją przeciwnicy nie potrafią się pokonać, nie walczą o nic konkretnego i nawet nie dzielą ich żadne zasadnicze różnice natury ideologicznej. Nie oznacza to bynajmniej, że sama wojna stała się bardziej humanitarna, a powszechne do niej nastawienie mniej krwawe. Wprost przeciwnie: histeria wojenna sięgnęła zenitu, a takie czyny, jak gwałty, grabieże, mordowanie dzieci, obracanie całych narodów w siłę niewolniczą oraz znęcanie się nad jeńcami (przybierające nawet tak drastyczne formy jak zakopywanie lub gotowanie żywcem) uchodzą za rzecz normalną, a kiedy dopuszcza się ich nie wróg, lecz własne wojska, za wręcz chwalebną. Jednakże samo prowadzenie działań wojennych angażuje tylko ograniczoną liczbę znakomicie wyszkolonych zawodowców; bilans strat także można uznać za stosunkowo niewielki. Bitwy, jeśli w ogóle do nich dochodzi, toczą się wyłącznie na rubieżach, o których położeniu przeciętny obywatel ma bardzo nikłe pojęcie, lub w pobliżu pływających fortec strzegących strategicznych punktów na szlakach morskich. W aglomeracjach miejskich wojna odczuwalna jest jedynie pod postacią chronicznego niedoboru towarów konsumpcyjnych lub sporadycznych wybuchów pocisków rakietowych, od których ginie najwyżej kilkadziesiąt osób. Charakter wojny zmienił się całkowicie. A ściślej mówiąc, zmieniła się priorytetowość racji jej prowadzenia. Sprawy, które w wielkich wojnach z początku dwudziestego wieku odgrywały tylko niewielką rolę, wysunęły się na czoło, stając się świadomą przyczyną podejmowania działań zaczepnych.

Chcąc zrozumieć charakter obecnej wojny - a cały czas jest to ta sama wojna, choć co kilka lat następuje zmiana sojuszy - po pierwsze należy sobie w pełni uzmysłowić, iż nigdy nie zakończy się zdecydowanym zwycięstwem. Żadne dwa supermocarstwa, nawet działając wspólnie, nie zdołają pokonać trzeciego. Rozkład sił jest zbyt wyważony, a ponadto warunki naturalne każdego z mocarstw zapewniają mu znakomitą pozycję obronną. Eurazję chronią jej ogromne przestrzenie lądowe. Oceanię szerokość Atlantyku i Pacyfiku. Wschódazję liczebność i pracowitość jej mieszkańców. Ponadto, rozpatrując rzecz w kategoriach materialnych, nie ma już o co walczyć. Gospodarka każdego z mocarstw jest samowystarczalna, o podaży regulowanej lokalnym popytem, co sprawia, że traci sens główna niegdyś przyczyna prowadzenia wojen - pogoń za rynkami zbytu. Kwestia zaopatrzenia w surowce również przestała być żywotna, gdyż wszystkie trzy mocarstwa zajmują tak rozległe obszary, iż mają pod dostatkiem surowców wewnątrz własnych granic. Jeżeli w ogóle można mówić o ekonomicznych racjach prowadzenia wojny, jest to walka o siłę roboczą. Poza terytorium trzech mocarstw leży bowiem nie należący do żadnego z nich nieforemny czworobok zamieszkany przez jedną piątą ludzkości, który rozciąga się od Tangeru po Brazzaville i od Darwin po Hongkong. To właśnie o panowanie nad tym gęsto zaludniony n rejonem, a także nad obszarami polarnymi wokół bieguna pomocnego, mocarstwa wojują ze sobą. Żadne z nich nie sprawuje władzy nad całym spornym terenem. Poszczególne jego części wciąż przechodzą z rąk do rąk, a możliwość zdobycia kolejnego kąska, dzięki błyskawicznej, zdradzieckiej akcji, jest właściwie jedyną przyczyną ciągłych zmian sojuszy między przeciwnikami.

Na wszystkich spornych terenach występują złoża cennych minerałów, a tam gdzie panuje tropikalny klimat, w grę wchodzi dodatkowo możliwość uprawy roślin dających ważne surowce naturalne, takie jak kauczuk, którego syntetyczna produkcja jest stosunkowo kosztowna. Głównie jednak tereny te stanowią niewyczerpane źródło taniej siły roboczej. Mocarstwo okupujące albo równikową Afrykę, albo kraje Bliskiego Wschodu, albo też południowe Indie lub Archipelag Malajski dysponuje dziesiątkami lub setkami milionów źle opłacanych, pracowitych kulisów. Mieszkańcy tych obszarów, gdzie bardziej lub mniej jawnie przywrócono niewolnictwo, przechodzą nieustannie z rąk do rąk kolejnych zwycięskich najeźdźców, dla których ich życie nie przedstawia żadnej wartości; umieralność tubylców wkalkulowana jest tak samo jak koszt węgla czy ropy w cenę wzrostu produkcji broni niezbędnej do dalszych podbojów i powiększania siły roboczej, koniecznej do dalszego wzrostu produkcji broni, w celu dalszych podbojów dla zdobycia jeszcze większej siły roboczej - i tak w nieskończoność. Należy dodać, że działania wojenne właściwie nigdy nie przenoszą się poza sporne tereny. Południowa granica Eurazji wciąż przemieszcza się od dorzecza Konga po północne brzegi Morza Śródziemnego; nad wyspami leżącymi na Oceanie Indyjskim i na Pacyfiku panują na zmianę Oceania i Wschódazja; w Mongolii granica między Eurazją i Wschódazją nieustannie przesuwa się to w jedną, to w drugą stronę; w Arktyce wszystkie trzy mocarstwa roszczą sobie prawo do ogromnych obszarów, lecz w większości są one nie zbadane i nie zamieszkane; w sumie równowaga sił między mocarstwami pozostaje niezachwiana, a tereny leżące w ich głębi nie tknięte wojną. Co więcej, praca wyzyskiwanych ludów zamieszkujących okolice równika jest zbędna dla gospodarki światowej. Ich trud nie wzbogaca reszty świata, gdyż całą produkcję pochłaniają działania wojenne, których jedynym celem jest uzyskanie lepszej pozycji do prowadzenia takich działań w przyszłości. Praca zniewolonych ludów umożliwia wyłącznie eskalację tempa wojny. Gdyby nie one, dominujący na świecie ustrój społeczny oraz procesy, dzięki którym się utrzymuje, właściwie pozostałyby bez zmian.

Podstawowym celem działań wojennych (zgodnie z zasadą dwójmyślenia, kierownicze umysły Wewnętrznej Partii są, a zarazem nie są go świadome) jest zużywanie wytworzonych towarów bez podnoszenia stopy życiowej obywateli. Od końca dziewiętnastego wieku państwa uprzemysłowione borykały się z problemem - zrazu tylko potencjalnym - nadwyżki dóbr konsumpcyjnych. Obecnie, gdy większość obywateli głoduje, problem ten oczywiście przestał się rysować tak ostro, lecz może wcale nie stałby się istotny, nawet gdyby zaniechano sztucznych

procesów niszczenia nadwyżek. Świat teraźniejszy jest nędzną, walącą się ruiną w porównaniu ze światem sprzed 1914 roku, a jeszcze bardziej w zestawieniu z wyobrażeniami, jakie ludzie wtedy żyjący mieli o przyszłości. W pierwszych latach dwudziestego wieku wizja przyszłych czasów, w których ludzkość żyć będzie w niewiarygodnym dobrobycie, wygodnie, spokojnie, pracując wydajnie - świetlany, aseptyczny świat ze szkła, stali i śnieżnobiałego betonu - tkwiła w świadomości prawie wszystkich osób wykształconych. Nauka i technika rozwijały się w niesłychanym tempie i wydawało się logiczne, że proces ten będzie postępował naprzód. Tak się jednak nie stało, częściowo w wyniku zubożenia spowodowanego przez długotrwałe wojny i rewolucje, a po części dlatego, że postęp naukowy i techniczny wymaga swobody empirycznego myślenia, dla której nie było miejsca w totalitarnych systemach politycznych. W sumie świat dzisiejszy jest znacznie bardziej prymitywny, niż ten pięćdziesiąt lat temu. Rozwinęły się pewne zacofane gospodarczo obszary, wyprodukowano także nieco nowego sprzętu o przeznaczeniu militarnym lub policyjno-szpiegowskim, lecz niemal całkowicie zaniechano działalności badawczej i wynalazczej, a zniszczeń po wybuchach bomb atomowych z lat pięćdziesiątych nigdy nie naprawiono. Jednakże niebezpieczeństwa, jakie pociąga za sobą industrializacja, nadal są aktualne. Kiedy pojawiły się pierwsze maszyny, dla ludzi myślących stało się jasne, że oto następuje koniec ludzkiego mozołu, a co za tym idzie, w znacznej mierze także koniec nierówności społecznych. Gdyby świadomie użyto maszyn w celu zwalczania głodu, pracy ponad siły, brudu, analfabetyzmu i chorób, przez okres kilku pokoleń można by wyplenić wszystkie te plagi i bolączki. I chociaż kierowano się zupełnie innymi przesłankami, przeciętna stopa życiowa rzeczywiście wzrosła niesłychanie w ciągu pięćdziesięcioletniego okresu na przełomie ubiegłego i obecnego wieku, po prostu jako uboczny wynik procesu industrializacji, wytwarzającego dobra, które siłą rzeczy trafiały do rąk wszystkich.

Zarazem jednak uświadomiono sobie, że powszechny dostatek zagraża trwałości społeczeństw hierarchicznych; właściwie jest ich zgubą. W świecie, gdzie każdy pracuje krótko, ma pod dostatkiem żywności, mieszka w domku z bieżącą wodą, posiada lodówkę, samochód, a może nawet i awionetkę, znikają najbardziej rzucające się w oczy i najbardziej istotne przejawy nierówności. Powszechny dostatek oznacza zatarcie różnic. Można sobie oczywiście wyobrazić społeczeństwo, w którym dobrobyt, w sensie własności dóbr materialnych i wygody życia, dostępny jest wszystkim na równi, podczas gdy władza spoczywa w rękach nielicznej kasty uprzywilejowanych. Ale w praktyce podobna społeczność nie miałaby zagwarantowanej trwałości. Gdyby wszyscy byli jednakowo zamożni i dysponowali taką samą ilością wolnego czasu, ogromna masa ludzi dotychczas ogłupionych nędzą zdobyłaby wykształcenie i nauczyła się myśleć, a wówczas prędzej czy później zdałaby sobie sprawę, że uprzywilejowana mniejszość nie ma żadnej racji bytu i należy ją obalić. Społeczeństwo hierarchiczne musi opierać się na nędzy i ciemnocie, aby sprawnie funkcjonować. Powrót do rolniczej gospodarki przeszłości, o czym marzyli niektórzy myśliciele z początku dwudziestego wieku, w ogóle nie wchodził w grę. Takie rozwiązanie kłóciło się z pędem ku mechanizacji, który na całym świecie przerodził się niemal w instynkt, a co ważniejsze, każdy kraj technicznie zacofany byłby zupełnie bezradny w razie wybuchu konfliktu zbrojnego; musiałby się podporządkować, bezpośrednio lub pośrednio, bardziej rozwiniętym przemysłowo rywalom.

Utrzymanie mas w ubóstwie przez ograniczenie produkcji też nie było wyjściem zadowalającym. Tak właśnie przedstawiała się sytuacja w ostatniej fazie kapitalizmu, mniej więcej w latach 1920-1940. Gospodarkę wielu państw doprowadzono do stagnacji, ziemia leżała odłogiem, nie inwestowano w dalsze środki produkcji, ogromną część ludności pozbawiono pracy, a rządowe instytucje charytatywne wypłacały bezrobotnym zaledwie głodowe zasiłki. Ponieważ jednak taka polityka prowadziła również do osłabienia militarnego, a wynikającego z niej ubóstwa absolutnie nic nie usprawiedliwiało, z czasem napotkała opór. Należało się uporać z problemem, jak utrzymywać w ciągłym ruchu machinę przemysłu, nie zwiększając zamożności świata. Ro-

zumiano, że dobra należy wytwarzać, lecz nie wolno ich rozpowszechniać. Jedynym realnym rozwiązaniem była wiec ciągła wojna.

Istotą wojny jest mszczenie - niekoniecznie zabijanie ludzi, lecz niszczenie wytworów ich rąk. Wojna to sposób na obracanie w pył, wysadzanie w stratosferę lub zatapianie na dno oceanów materiałów, które można by zużytkować inaczej, niepotrzebnie przyczyniając się do podwyższenia poziomu życia szerokich mas społeczeństwa, a co za tym idzie, do ich edukacji. Nawet wówczas, gdy sprzęt bojowy nie ulega zniszczeniu, jego produkcja to wygodny sposób zajęcia siły roboczej bez wytwarzania zbędnych towarów konsumpcyjnych. Na przykład każda pływająca forteca wymaga nakładów pracy wystarczających dla zbudowania kilkuset statków handlowych. Z czasem niszczy się ją jako przestarzałą i jeszcze większym nakładem sił i środków woduje następną, która również nie przynosi nikomu absolutnie żadnego pożytku. W teorii przemysł zbrojeniowy ma pochłaniać wszystkie nadwyżki pozostałe po zaspokojeniu bieżących potrzeb społeczeństwa. W praktyce zawsze zaniża się te potrzeby, czego rezultatem jest ciągły niedobór większości niezbędnych artykułów; ten stan rzeczy uchodzi jednak za korzystny. Rozmyślnie dąży się do tego, aby nawet egzystencja grup uprzywilejowanych utrzymywała się na granicy niedostatku, gdyż powszechna nędza zwiększa wartość drobnych przywilejów, a tym samym poszerza przepaść między poszczególnymi odłamami społeczeństwa. Jeśli przyjąć za kryterium warunki panujące na początku dwudziestego wieku, nawet członek Wewnętrznej Partii prowadzi życie skromne i pracowite. Lecz te nieliczne luksusy, które mu przysługują - duże, odpowiednio urządzone mieszkanie, lepsza gatunkowo odzież, lepszej jakości żywność, napoje i tytoń, dwóch lub trzech służących, prywatny samochód lub helikopter - sprawiają, że żyje w innym świecie niż członek Zewnętrznej Partii, podczas gdy ten z kolei korzysta z przywilejów wynoszących go ponad ciemiężone masy nazywane „prolami". Sytuacja społeczna przypomina tę, jaka istnieje w oblężonym mieście, kiedy to marny ochłap koniny stanowi różnicę między bogactwem a nędzą. Jednocześnie świadomość toczącej się wojny i ciągłego zagrożenia powoduje, iż przekazanie całej władzy w ręce nielicznej kasty wydaje się naturalnym i koniecznym warunkiem przetrwania.

Wojna, jak to się okaże w dalszym ciągu wywodu, nie tylko szerzy niezbędną destrukcję, lecz robi to w sposób psychologicznie łatwy do akceptacji. Teoretycznie można by bez większych trudności zmarnować nadmiar sił wytwórczych, wznosząc świątynie, piramidy, kopiąc i zasypując doły lub produkując ogromne ilości towarów, a następnie je paląc. To jednak stwarzałoby wyłącznie ekonomiczne, a nie emocjonalne podstawy sprawnego funkcjonowania ustroju hierarchicznego. Nie chodzi o morale mas, których odczucia są nieistotne, jak długo ludzie wykonują swoją pracę, lecz o morale samej Partii. Nawet od szeregowych członków Partii oczekuje się fachowości, pracowitości i choćby minimalnej inteligencji, ale najważniejsze jest, aby byli łatwowiernymi fanatykami i ignorantami, których najczęstsze uczucia to strach, nienawiść, uwielbienie oraz orgiastyczny tryumf. Innymi słowy, ich mentalność powinna odpowiadać potrzebom wojny. Nieważne, czy trwa ona rzeczywiście ani też - ponieważ zdecydowane zwycięstwo jednej ze stron jest niemożliwe - jak toczą się jej losy. Liczy się sam fakt ciągłego stanu zagrożenia. Rozszczepienie mózgu, którego Partia wymaga od swych członków, a które łatwiej osiąga się w atmosferze wojny, stało się obecnie już niemal powszechne, a im kto wyżej stoi, tym bardziej wyraziste. Właśnie bowiem wśród członków Wewnętrznej Partii histeria wojenna i nienawiść do wroga są najsilniejsze. Ze względu na kierownicze funkcje członkowie Wewnętrznej Partii często muszą wiedzieć, że ten lub inny komunikat z linii frontu jest kłamliwy; może nawet orientują się, że cała wojna to blaga i albo nie toczy się wcale, albo z zupełnie innych przyczyn niż te, które się oficjalnie głosi; ale swoją wiedzę łatwo neutralizują dzięki technice zwanej dwójmyśleniem. Ich niemal mistyczna wiara, iż wojna trwa naprawdę, pozostaje niezachwiana; święcie wierzą również w to, że kiedyś wojna zakończy się zwycięstwem i Oceania zapanuje niepodzielnie nad światem.

Dla wszystkich członków Wewnętrznej Partii rychłe zwycięstwo Oceanii jest po prostu aktem wiary. Zostanie osiągnięte albo przez stopniowy podbój coraz większych obszarów i związaną z tym

przewagę militarną, albo przez wynalezienie nowej broni, przed którą wróg nie zdoła się zabezpieczyć. Badania nad tego typu bronią trwają bezustannie; przemysł zbrojeniowy jest zresztą jedną z niewielu gałęzi, w których pomysłowość lub w ogóle myślenie jako takie znajduje pewne ujście. We współczesnej Oceanii termin „nauka" w dawnym rozumieniu tego słowa przestał mieć jakiekolwiek zastosowanie. W nowomowie słowo to po prostu nie istnieje. Myślenie empiryczne, podstawa wszystkich naukowych osiągnięć przeszłości, sprzeczne jest z elementarnymi założeniami angsocu. Zresztą postęp techniczny też ma prawo bytu wyłącznie wówczas, gdy może przyczynić się do dalszego uszczuplenia swobód obywatelskich. We wszystkich dziedzinach świat albo się cofa, albo stoi w miejscu. Ziemię orze się pługami ciągniętymi przez konie, a książki pisze maszyna. Jednakże w kwestiach najwyższej wagi -czyli związanych z wojną i aparatem policyjno-szpiegowskim - podejście empiryczne wciąż spotyka się z aprobatą, a przynajmniej z przyzwoleniem. Partia ma dwa zasadnicze cele: zawładnąć całą kulą ziemską i zlikwidować raz na zawsze swobodę myślenia. Tak więc jej dwa największe problemy, które ustawicznie stara się rozwiązać, są następujące: jak wbrew woli danego człowieka odczytać jego myśli oraz jak w ciągu kilku sekund i bez żadnego ostrzeżenia zgładzić kilkaset milionów ludzi. Wszystkie badania koncentrują się na tych dwóch zagadnieniach. Współczesny naukowiec łączy w sobie cechy psychologa i inkwizytora, szczegółowo badając znaczenie ludzkiej mimiki, gestów, tonu głosu, sprawdzając wpływ na prawdomówność różnych preparatów, terapii wstrząsowej, hipnozy i tortur - lub też jest chemikiem, fizykiem czy biologiem, zajmującym się tylko tymi gałęziami swojej dziedziny, które mogą służyć ludobójstwu. W ogromnych laboratoriach Ministerstwa Pokoju, w stacjach badawczych ukrytych w brazylijskich dżunglach, na pustyniach Australii lub samotnych wysepkach Antarktydy zespoły ekspertów niestrudzenie prowadzą doświadczenia. Jedni koncentrują się na logistyce przyszłych wojen; drudzy wymyślają coraz większe pociski rakietowe, coraz silniejsze środki wybuchowe, coraz trwalsze materiały do opancerzania samolotów, statków i pojazdów; inni szukają nowych, bardziej zabójczych gazów, rozpuszczalnych trucizn, które można by produkować w dostatecznych ilościach, aby zniszczyć roślinność całego kontynentu, lub odmian bakterii chorobotwórczych odpornych na wszystkie znane antybiotyki; jeszcze inni usiłują wynaleźć pojazd, który umiałby się poruszać pod ziemią niczym kret, lub samolot zdolny do unoszenia się tygodniami w powietrzu; bada się również jeszcze bardziej odległe możliwości, takie jak skupianie promieni słonecznych dzięki soczewkom rozmieszczonym tysiące kilometrów od ziemi lub sztuczne wywoływanie trzęsień ziemi i potężnych pływów dzięki wykorzystaniu wysokich temperatur panujących wewnątrz skorupy ziemskiej.

Jednakże do realizacji tych projektów wiedzie daleka droga; zresztą żadne z mocarstw nigdy nie osiąga w tym wyścigu znacznej przewagi. Ale najciekawsze jest to, że wszystkie trzy posiadają już broń bez porównania straszliwszą od środków rażenia, które ich naukowcy będą kiedykolwiek potrafili skonstruować, a mianowicie bombę atomową. Chociaż Partia, jak to zwykła czynić, sobie przypisuje jej wynalezienie, w rzeczywistości broń ta pojawiła się po raz pierwszy na początku lat czterdziestych, a mniej więcej dziesięć lat później posłużono się nią na masową skalę. Kilkaset bomb atomowych zrzucono wówczas na ośrodki przemysłowe rozsiane po europejskich obszarach Rosji, po Europie Zachodniej i Ameryce Północnej. Sfery rządzące doszły jednak do wniosku, że dalsze bombardowania doprowadzą do całkowitego zniszczenia cywilizacji, a tym samym ich władzy. Od tego czasu, aczkolwiek nie podpisano w tej sprawie żadnego porozumienia ani nie wystąpiono nawet z takim projektem, bomby przestały spadać. Ale wszystkie trzy mocarstwa nadal je produkują i gromadzą w nadziei, że kiedy nadejdzie decydujący moment, będą mogły posłużyć się nimi i odnieść druzgocące zwycięstwo. Tymczasem w ciągu ostatnich trzydziestu, czterdziestu lat sztuka wojenna nie posunęła się właściwie naprzód. Więcej jest helikopterów, zamiast bombowców wytwarza się raczej pociski samosterujące, a szybkie, lecz łatwe do zatopienia okręty zastąpiono niemal niezniszczalnymi pływającymi fortecami; poza tym jednak postęp jest nieznaczny. Czołgi, łodzie podwodne, torpedy, karabiny maszynowe, jak również karabiny i granaty ręczne pozostają w

użyciu. I wbrew artykułom o ciągłych rzeziach regularnie ukazującym się w prasie, oraz tej samej treści komunikatom teleekranowym, krwawe bitwy znane z wcześniejszych wojen, kiedy w ciągu tygodni ginęły setki tysięcy lub nawet miliony ludzi, nie powtórzyły się ani razu.

Żadne z trzech supermocarstw nigdy nie ryzykuje rozpoczynania działań, które mogłyby zakończyć się dla niego totalną klęską. Jedyne większe operacje wojenne to nagłe podstępne ataki na siły sojusznika. Wszystkie mocarstwa stosują lub raczej udają, że stosują identyczną strategię. Chodzi o to, aby w wyniku działań zbrojnych, traktatów i nagłej zdrady otoczyć własnymi bazami terytorium nieprzyjaciela, podpisać z nim układ przyjaźni i trwać w niej dostatecznie długo, by uśpić jego czujność. Następnie, zgromadziwszy w bazach rakiety uzbrojone w głowice atomowe, odpalić je równocześnie, powodując zniszczenia tak znaczne, iż akcja odwetowa nie będzie możliwa. Wtedy należy podpisać pakt o nieagresji z trzecim mocarstwem i rozpocząć przygotowania do kolejnego ataku. Nie trzeba nawet wyjaśniać, że te plany to mrzonki bez żadnej szansy powodzenia. Co więcej, jedyne podejmowane działania wojenne toczą się w okolicach równika lub bieguna północnego; nigdy nic dochodzi do inwazji rdzennych ziem nieprzyjaciela. To właśnie wyjaśnia, dlaczego niektóre granice między mocarstwami są umowne. Na przykład Eurazja mogłaby bez trudu opanować Wyspy Brytyjskie, które geograficznie stanowią część Europy, Oceania zaś mogłaby przesunąć swoje granice aż po Ren lub nawet Wisłę. Lecz to podważyłoby respektowaną przez wszystkie strony, choć nigdy oficjalnie nie sformułowaną zasadę kulturowej integralności. Gdyby Oceania podbiła tereny znane niegdyś jako Francja i Niemcy, musiałaby albo poddać eksterminacji całą ludność miejscową, co wcale nie byłoby proste, albo wchłonąć sto milionów mieszkańców reprezentujących bardzo zbliżony poziom rozwoju. Wszystkie trzy mocarstwa odczuwają ten problem. Brak wszelkich kontaktów z cudzoziemcami, z wyjątkiem jeńców i ciemnoskórych niewolników, to konieczny warunek powodzenia ich polityki. Nawet aktualnego sojusznika traktuje się podejrzliwie. Pomijając jeńców wojennych, przeciętny mieszkaniec Oceanii nigdy nie ogląda obywateli Eurazji lub Wschódazji, a nauka języków obcych jest zakazana. Gdyby pozwolono mu nawiązać znajomość z cudzoziemcami, przekonałby się, że są takimi samymi ludźmi jak on, a wszystko, co o nich słyszał, to przeważnie kłamstwa. Zamknięty świat, w którym żyje, otworzyłby się nagle, a strach, nienawiść i obłuda, od których zależy jego morale, mogłyby po prostu się ulotnić. Dlatego zainteresowane strony dobrze zdają sobie sprawę z tego, że bez względu na to, jak często Persja, Egipt, Jawa lub Cejlon przechodzą z rąk do rąk, granic samych mocarstw nie mogą przekraczać ludzie, lecz wyłącznie pociski.

Takie rozumowanie wynika także z faktu - o którym nigdy nie wspomina się na głos, choć wszyscy potajemnie zdają sobie z niego sprawę - iż warunki życia w trzech mocarstwach są praktycznie identyczne. W Oceanii zwycięska ideologia nosi nazwę angsocu, w Eurazji neobolszewizmu, we Wschódazji określa się ją chińskim terminem tłumaczonym zwykle jako „kult śmierci", aczkolwiek jego sens lepiej chyba oddaje sformułowanie „zanik ja". Obywatel Oceanii nie ma prawa zgłębiać dwóch pozostałych ideologii, lecz uczy się gardzić nimi jako barbarzyńskimi idiotyzmami stanowiącymi obrazę moralności i zdrowego rozsądku. W rzeczywistości wszystkie trzy ideologie są bardzo do siebie zbliżone, oparte zaś na nich systemy polityczne w ogóle niczym się nie różnią. Wszędzie obowiązuje ta sama hierarchiczna struktura i kult niemal boskiego przywódcy, a identyczne gospodarki całkowicie podporządkowano prowadzeniu wojny. Trzy supermocarstwa nie tylko nie potrafią się pokonać, lecz także nie miałyby z tego żadnych korzyści. Przeciwnie: dopóki panuje między nimi niezgoda, dopóty podpierają się nawzajem niby trzy snopki pszenicy. Jak zwykle, grupy rządzące są równocześnie świadome i nieświadome tej zależności. Marzy im się podbój całego świata, ale zarazem zdają sobie sprawę, że wojna powinna trwać wiecznie i nikomu nie przynosić zwycięstwa. Fakt, iż groźba totalnej klęski po prostu nie istnieje, umożliwia negowanie rzeczywistości, co jest cechą charakterystyczną i angsocu, i wrogich mu światopoglądów. W tym miejscu należy powtórzyć wypowiedzianą już wcześniej myśl, że przez ciągłość wojna całkowicie zmieniła charakter.

W minionych wiekach wojna niemal z definicji prędzej czy, później kończyła się wyraźnym zwycięstwem lub klęską. Stanowiła też jeden z najlepszych sprawdzianów zakotwiczenia danej zbiorowości w rzeczywistym świecie. Wszyscy władcy we wszystkich stuleciach usiłowali narzucić swoim poddanym fałszywą wizję świata, lecz nie mogli upierać się przy iluzji, która osłabiałaby gotowość bojową ich kraju. Dopóki klęska oznaczała utratę niepodległości lub przynosiła inne niepożądane następstwa, należało dobrze zabezpieczyć się przed przegraną. Nie wolno było lekceważyć rzeczywistości. W filozofii, religii, etyce lub polityce dwa plus dwa mogło równać się pięć, ale gdy chodziło o skonstruowanie armaty czy samolotu, wynik musiał brzmieć cztery. Narody, które pozwalały się wyprzedzić pod względem rozwoju technicznego, z czasem podbijano bez wyjątku, a walka o postęp toczyła się zwykle w klimacie zabójczym dla iluzji. Aby iść naprzód, trzeba umieć korzystać z doświadczeń przeszłości, a chcąc to czynić, należy mieć o niej dokładne pojęcie. Gazety i podręczniki zawsze, oczywiście, przedstawiały wiadomości w sposób stronniczy, lecz fałszowanie ich do tego stopnia, jak praktykuje się to obecnie, było nie do pomyślenia. Groźba wojny powodowała, że warstwy stojące u władzy musiały się kierować zdrowym rozsądkiem w swoich poczynaniach. Dopóki wojna kończyła się klęską lub zwycięstwem, nie mogły sobie pozwolić na pełną samowolę.

Kiedy jednak wojna zamienia się w proces ciągły, przestaje być niebezpieczna. Wieczna wojna wyklucza istnienie wyższych racji wojskowych. Postęp techniczny może ulec zahamowaniu, a najbardziej oczywiste fakty można przekręcić lub ignorować. Jak wspomniano powyżej, w przemyśle zbrojeniowym nadal prowadzi się badania uważane niegdyś za naukowe, lecz ponieważ plany podboju leżą wyłącznie w sferze fantazji, brak powodzenia bynajmniej nikogo nie martwi. Sprawność, nawet sprawność militarna, przestała być konieczna. Jedyny sprawnie funkcjonujący organ w Oceanii to Policja Myśli. Skoro każde z mocarstw jest niepokonane, każde w efekcie tworzy odrębny świat, w którym można bez żadnych przeszkód wprowadzać w życie najbardziej niedorzeczne koncepcje. Rzeczywistość daje się odczuć wyłącznie w kwestiach dotyczących podstawowych potrzeb życiowych - takich jak zaspokojenie głodu i pragnienia, zapewnienie dachu nad głową, zaopatrzenie w odzież, a także zabezpieczenie się przed przypadkowym połknięciem trucizny lub wypadnięciem z okna wieżowca. Między życiem a śmiercią, przyjemnością a bólem wciąż znać różnicę, ale to wszystko. Odcięty od kontaktu ze światem zewnętrznym, a także z przeszłością, obywatel Oceanii przypomina człowieka zawieszonego w przestrzeni międzygwiezdnej; jak on nie potrafi stwierdzić, gdzie jest góra, a gdzie dół. Rządzący takim państwem mają władzę absolutną, o jakiej nawet nie marzyli faraonowie czy rzymscy cesarze. Muszą się troszczyć o to, aby nie zagłodzić na śmierć zbyt wielkiej rzeszy poddanych, gdyż mogłoby to mieć negatywne skutki dla kraju, muszą też utrzymywać swój arsenał na tak samo niskim poziomie technicznym jak rywale; lecz zadbawszy o to minimum, mogą wyczyniać z rzeczywistością, co im się żywnie podoba.

Tak więc obecna wojna, jeśli stosować do niej miarę dawnych wojen, jest zwyczajną fikcją. Przypomina walki toczone przez samce pewnych parzystokopytnych gatunków, których rogi wyrastają pod takim kątem, iż zwierzęta nie mogą wyrządzić sobie krzywdy. Ale chociaż jest fikcyjna, nie znaczy to, że nie odgrywa żadnej roli. Likwiduje nawis produkcyjny i pomaga utrzymać psychozę niezbędną do prawidłowego funkcjonowania systemu. Wojna, jak to wykażemy w dalszej części wywodu, obecnie stała się wyłącznie wewnętrzną sprawą państwa. W przeszłości grupy rządzące poszczególnych krajów wojowały ze sobą i zwycięzca zawsze łupił pokonanego, aczkolwiek świadomość wspólnoty interesów powstrzymywała go od nadmiernego szerzenia zniszczeń. W dzisiejszych czasach grupy te nie walczą ze sobą wcale. Teraz wojnę toczy rząd przeciwko obywatelom własnego państwa, a jej celem nie są korzyści terytorialne lub zapobieżenie grabieży, lecz zachowanie panującego ustroju w nie zmienionej formie. Sam termin „wojna" stał się więc mylący. Właściwie można rzec, nie mijając się z prawdą, iż z chwilą przeobrażenia się w ciągłą, wojna przestała istnieć. Nacisk, jaki jej groźba wywierała na społeczność ludzką pomiędzy

neolitem a początkiem dwudziestego wieku, znikł; obecnie mamy do czynienia z czymś zupełnie innym. Skutek byłby identyczny, gdyby zamiast ze sobą walczyć, trzy mocarstwa zgodziły się zawrzeć wieczny pokój i zagwarantować sobie nienaruszalność granic. W tym wypadku każde z nich nadal byłoby zamkniętym światem, wolnym od jakiegokolwiek otrzeźwiającego zagrożenia z zewnątrz. Trwały pokój niczym by się nie różnił od ciągłej wojny. Taki właśnie - choć ogromna większość członków Partii uświadamia sobie tylko jego powierzchowne znaczenie - jest ukryty sens partyjnego hasła Wojna to Pokój.

Winston na chwilę oderwał się od lektury. Gdzieś w oddali rozległ się huk pocisku rakietowego. Fakt czytania zakazanej książki w samotności, w pomieszczeniu bez teleekranów, wciąż napawał go błogością. Samotność i poczucie bezpieczeństwa odbierał jako takie same doznania fizyczne jak zmęczenie mięśni, miękkość fotela lub łagodny powiew wiatru wpadający przez okno. Był zachwycony książką; a może raczej tym, że potwierdza jego własne przemyślenia. Nie dowiedział się z niej właściwie nic nowego, lecz to jedynie zwiększało jej atrakcyjność. Słowa, które czytał, mógłby napisać sam, gdyby tylko zdołał uporządkować swoje rozproszone myśli. Książkę stworzył ktoś o podobnym umyśle, ale znacznie potężniejszym, bardziej systematycznym, mniej strachliwym. Winston doszedł do wniosku, że najlepszymi książkami są te, które mówią nam to, co już sami wiemy. Otworzył tom na początku pierwszego rozdziału, gdy nagle usłyszał na schodach kroki Julii. Poderwał się z fotela, żeby ją przywitać. Cisnęła na podłogę brązową torbę z narzędziami i rzuciła mu się na szyję. Nie widzieli się przeszło tydzień.

- Mam Księgę - oznajmił, jak tylko wypuścił ją z objęć.

- Tak, naprawdę? Świetnie - odparła i nie okazując większego zainteresowania uklękła przy prymusie, aby zaparzyć kawę.

Następne pół godziny spędzili w łóżku; w tym czasie nie wracali do tematu książki. Pod wieczór lekko się ochłodziło, przykryli się więc kapą. Z dołu dochodził znajomy śpiew i odgłosy butów szurających o bruk. Krzepka kobieta o czerwonych rękach, którą Winston widział, kiedy pierwszy raz czekał tu na Julię, dosłownie nie opuszczała podwórka. O każdej porze dnia krążyła nieustannie między balią a sznurem, to zatykając sobie usta spinaczami do bielizny, to śpiewając na całe gardło. Julia ułożyła się wygodniej i powoli zapadała w sen. Winston sięgnął po książkę, która leżała na podłodze, i usiadł na łóżku, oparty o wezgłowie.

- Musimy ją przeczytać - rzekł. - Oboje. Wszyscy członkowie Braterstwa muszą ją znać.

- Przeczytaj pierwszy - odpowiedziała, nie otwierając oczu. - Najlepiej czytaj na głos. Wtedy będziesz mógł mi wyjaśniać trudniejsze fragmenty.

Wskazówki zegara wskazywały szóstą, czyli osiemnastą. Mieli przed sobą trzy, cztery godziny. Winston oparł książkę o kolana i zaczął czytać.

Rozdział I
Ignorancja to Siła

Od początku czasów historycznych, a prawdopodobnie już od końca neolitu, na świecie istnieją trzy warstwy ludzi: górna, średnia i dolna. Wprowadzono najrozmaitsze podziały i wymyślano dla każdej z grup niezliczone określenia, a zarówno ich względna liczebność, jak i wzajemne stosunki zmieniały się w różnych epokach; jednakże podstawowa struktura społeczeństwa pozostała ta sama. Po najburzliwszych nawet wstrząsach i pozornie nieodwołalnych przemianach ludzkość powraca niebawem do dawnego modelu, podobnie jak żyroskop wraca do stałego położenia bez względu na to, jak daleko i pod jakim kątem zostanie wychylony przez działające nań siły.

- Julio, nie śpisz? - spytał.
- Nie, najdroższy, słucham. Czytaj dalej. To wspaniałe. Wrócił do lektury.

Cele poszczególnych warstw są absolutnie nie do pogodzenia. Celem górnej jest utrzymanie swojej pozycji. Celem średniej jest zamiana miejsc z górną. Celem dolnej, jeśli akurat go ma - gdyż na ogół jej przedstawiciele są zbyt ogłupieni ciężką pracą fizyczną, aby myśleć o czymkolwiek poza żmudną codziennością - jest znieść przywileje i stworzyć społeczeństwo, w którym wszyscy będą sobie równi. Na przestrzeni dziejów wciąż toczą się boje, w ogólnych zarysach przebiegające identycznie. Przez długie okresy warstwa górna pewnie dzierży władzę, lecz prędzej czy później następuje moment, kiedy traci wiarę we własne siły albo w swoje umiejętności sprawnego rządzenia; czasami dzieje się to równocześnie. Wówczas obala ją warstwa średnia, która kaptuje do pomocy dolną, wmawiając jej, iż walczy o wolność i sprawiedliwość. Zaledwie osiąga cel, spycha warstwę dolną na jej dawną, podrzędną pozycję, a sama przeistacza się w górną. Po pewnym czasie z jednej lub obu tych warstw wykluwa się nowa grupa średnia i bój zaczyna się od początku. Z trzech warstw tylko dolnej nigdy nie udaje się choćby na krótko zrealizować upragnionych celów. Twierdzenie, iż w ciągu wieków nie dokonał się żaden postęp materialny, byłoby przesadą. Nawet w obecnych czasach, mimo panującego zacofania, warunki bytowe przeciętnego obywatela są lepsze niż przed kilkuset laty. Lecz ani dostatek, ani wzrost kultury obyczajów, ani reformy i rewolucje nie przybliżyły choćby o milimetr realizacji ideału powszechnej równości. Z punktu widzenia warstwy dolnej żadna odmiana historyczna nie zmieniła niczego oprócz nazwy panów.

Pod koniec dziewiętnastego wieku wielu badaczy dostrzegło ten powtarzający się schemat. Powstały wówczas szkoły myślicieli, którzy pojmowali historię jako proces cykliczny i usiłowali wykazać, iż nierówność należy do niepodważalnych praw natury. Pogląd ten, oczywiście, zawsze miał swoich zwolenników, lecz po raz pierwszy sformułowano go tak dosadnie. Wcześniej doktryna uzasadniająca konieczność istnienia hierarchicznej struktury społeczeństwa była domeną warstwy górnej. Głosili ją królowie i arystokracja, a także księża, prawnicy i podobne pasożyty grup rządzących; zwykle dla osłody obiecywano rekompensatę w fikcyjnym świecie pozagrobowym. Warstwa średnia, dopóki walczyła o władzę, zawsze chętnie szermowała takimi hasłami jak wolność, sprawiedliwość, braterstwo. Nastał jednak czas, kiedy ideę braterstwa zaczęli atakować ci, którzy jeszcze nie skupiali w swych rękach władzy, lecz dopiero mieli ochotę po nią sięgnąć. Dotychczas warstwa średnia dokonywała rewolucji pod sztandarem równości, po czym obaliwszy dawną tyranię natychmiast ustanawiała własną. Natomiast reprezentanci nowej warstwy średniej z góry zapowiadali wprowadzenie tyranii. Socjalizm, teoria, która pojawiła się na początku dziewiętnastego wieku i stanowiła ostatnie ogniwo myśli leżącej u podstaw buntów niewolników jeszcze w starożytności, była początkowo głęboko przesiąknięta utopijnymi poglądami wcześniejszych stuleci. Lecz każda kolejna wersja socjalizmu tworzona po roku 1900 coraz bardziej jawnie dystansowała się od idei wolności i równości. Nowe ideologie, które wyłoniły się w połowie wieku - angsoc w Oceanii, neobolszewizm w Eurazji oraz, według powszechnie używanego określenia, ,,kult śmierci" we Wschódazji - zupełnie świadomie dążyły do wprowadzenia niewoli i nierówności. Ideologie te, wyrosłe z socjalizmu, zachowały jego terminologię i mieniły się jego duchowymi spadkobiercami. Jednakże celem ich twórców było zatrzymanie postępu i biegu historii w dowolnie wybranym momencie. Wahadło dziejów powinno się wychylić po raz ostatni... i zatrzymać. Jak zwykle, warstwę górną miała obalić i zastąpić warstwa średnia, lecz tym razem, dzięki świadomej strategii, nowi władcy mieli panować wiecznie.

Przyczyną powstania nowych doktryn było w znacznej mierze nagromadzenie wiedzy historycznej oraz wykształcenie się historycznej świadomości, nieznanej w minionych stuleciach. Dostrzeżono cykliczność dziejów; a skoro ją dostrzeżono, wysnuto wniosek, iż zjawisko to można zmienić. Lecz za główną i podstawową przyczynę należy uznać fakt, że już na początku

dwudziestego wieku realizacja hasła równości stała się możliwa. Wprawdzie ludzie nadał nie byli sobie równi pod względem wrodzonych uzdolnień, a ich pozycja zależała od wykonywanego zawodu, znikła jednak potrzeba podziałów klasowych oraz silnego zróżnicowania majątkowego. W przeszłości różnice klasowe nie tylko były nieuchronne, lecz także pożądane. Nierówność stanowiła cenę postępu. Ale wraz z początkiem industrializacji sytuacja zmieniła się radykalnie. To, że ludzie wykonują różne prace, nie musi wcale oznaczać, że różna jest ich sytuacja społeczna i materialna. Dlatego też nowym grupom dążącym do przechwycenia władzy powszechna równość jawiła się nie jako ideał, do którego należy dążyć, lecz niebezpieczeństwo, przed którym trzeba się bronić. W bardziej zacofanych epokach, kiedy sprawiedliwa i pokojowa egzystencja była nieziszczalnym marzeniem, łatwo przychodziło w nią wierzyć. Myśl o ziemskim raju, gdzie wszyscy żyją zgodnie jak bracia, a prawo i wyzysk nie istnieją, przez tysiące lat przewijała się w zbiorowej wyobraźni. Utopii tej uległy nawet grupy odnoszące największe korzyści po każdym przewrocie. Spadkobiercy rewolucji francuskiej, angielskiej i amerykańskiej po trosze sami wierzyli w swoje deklaracje, chociażby o niezbywalnych prawach człowieka, wolności słowa i równości w oczach prawa, a także pozwalali, by do pewnego stopnia kształtowały ich działanie. Ale już na początku lat trzydziestych myśl polityczną zdominowały poglądy, których głosiciele opowiadali się za władzą autorytatywną. Marzenia o ziemskim raju odrzucono dokładnie wtedy, gdy ich realizacja po raz pierwszy stała się możliwa. Każda nowa teoria polityczna, bez względu na to, jakie nosiła miano, propagowała hierarchizację i rządy silnej ręki. Powszechna zachowawczość poglądów, charakterystyczna dla tego okresu, sprawiła, iż powrócono do dawnych praktyk, zarzuconych już kilkaset lat temu, takich jak przetrzymywanie więźniów bez procesu, wykorzystywanie jeńców do niewolniczej pracy, publiczne egzekucje, wymuszanie zeznań torturami, porywanie zakładników oraz deportacje całych narodów - a co więcej, takie działania tolerowali i występowali w ich obronie ludzie uważający się za światłych i postępowych.

Dopiero po dziesięcioleciu wojen, walk domowych, rewolucji i kontrrewolucji, które nie ominęły żadnej części świata, angsoc i konkurencyjne ideologie przekształciły się w praktyczne koncepcje polityczne. Zwiastowały je różne systemy rządzenia, zwykle nazywane totalitarnymi, które pojawiły się wcześniej, toteż ostateczny kształt świata, jaki wyłonił się z chaosu, nikogo nie zaskoczył. Podobnie i to, kto sięgnął po władzę. Nową arystokrację utworzyli w większości urzędnicy, naukowcy, technicy, etatowi pracownicy związków zawodowych, propagatorzy, socjologowie, nauczyciele, dziennikarze i zawodowi politycy. Ludzi tych, wywodzących się z inteligencji pracującej oraz górnych odłamów klasy robotniczej, ukształtował i zbliżył bezduszny świat zmonopolizowanego przemysłu i scentralizowany aparat rządowy. W porównaniu z poprzednikami nie cechowała ich wyjątkowa chciwość, mniej kusiły luksusy, ale za to w większym stopniu byli żądni władzy jako takiej, a przede wszystkim bardziej świadomi tego, co czynią, i bardziej bezwzględni w niszczeniu opozycji. Ta ostatnia różnica jest zasadnicza. W porównaniu z tyranią, jaka panuje obecnie, wszystkie poprzednie to zaledwie nieudolne, amatorskie przymiarki. Dawne grupy rządzące zawsze w pewnej mierze unikały radykalnych rozwiązań i interweniowały tylko w wypadku jawnego buntu, natomiast treścią myśli poddanych nie interesowały się wcale. Częściowo wynikało to stąd, że żaden z dawniejszych rządów nie miał możliwości prowadzenia ciągłej inwigilacji wszystkich obywateli. Wynalezienie druku ułatwiło jednak manipulację opinią publiczną, a film i radio przyspieszyły ten proces. Wraz z rozwojem telewizji i postępem technicznym, który umożliwił podwójną, nadawczo-odbiorczą rolę sprzętu telewizyjnego, skończyła się prywatność życia obywateli. Policja mogła - jeśli uznano to za pożądane - obserwować każdego obywatela dwadzieścia cztery godziny na dobę; cały czas bombardując ludzi oficjalną propagandą, odcinano ich jednocześnie od innych źródeł informacji. Po raz pierwszy otworzyła się przed władzą nie tylko możliwość narzucenia obywatelom całkowitego posłuchu wobec państwa, lecz także pełnej jednomyślności poglądów na dosłownie każdy temat.

Po rewolucji i burzliwych latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych społeczeństwo jak zawsze podzieliło się na warstwę górną, średnią i dolną. Lecz nowi władcy, w odróżnieniu od poprzednich, nie działali na oślep; wiedzieli dokładnie, co robić, aby utrzymać swoją pozycję. Od dawna zdawali sobie sprawę, że jedynym systemem społeczno-ekonomicznym zapewniającym trwałą podstawę rządom oligarchicznym jest kolektywizm. Dobrobyt i przywileje najłatwiej chronić, kiedy są własnością zbiorową. Tak zwane „zniesienie własności prywatnej", które nastąpiło w połowie stulecia, oznaczało w praktyce skupienie wszystkich dóbr w rękach jeszcze mniej licznej garstki, z tą różnicą, że nowymi właścicielami były nie poszczególne jednostki, lecz grupa. Indywidualnie żaden członek Partii nie posiada nic oprócz osobistych drobiazgów. Kolektywnie Partia jest właścicielem wszystkiego w Oceanii, gdyż wszystkim rządzi i dysponuje według własnego uznania. Kiedy po zwycięstwie Rewolucji Partia sięgnęła po władzę, właściwie nie napotkała oporu, ponieważ wszyscy uwierzyli, iż uczciwie wprowadzi kolektywizację. Zawsze zakładano, że po wywłaszczeniu kapitalistów nastąpi socjalizm; i Partia rzeczywiście wywłaszczyła kapitalistów. Odebrano im wszystko: fabryki, kopalnie, ziemię, domy, środki transportu, a skoro dobra te przestały być własnością prywatną, sądzono, że staną się teraz własnością społeczną

Angsoc, który wyrósł z wcześniejszego ruchu socjalistycznego i odziedziczył jego terminologię, rzeczywiście wprowadził w życie główny punkt programu socjalistów; wynikiem tego - zamierzonym i przewidzianym - jest trwała nierówność materialna.

Jednakże utrzymanie hierarchicznej społeczności bez zmian to dość złożone zadanie. Istnieją cztery realne przyczyny utraty władzy przez grupę rządzącą: zbrojna interwencja z zewnątrz; tak nieudolne kierowanie państwem, iż uciśnione masy dokonują przewrotu; powstanie silnej i rozgoryczonej warstwy średniej; utrata pewności siebie i ochoty do rządzenia. Jedna z tych przyczyn nie wystarczy; zwykle występują, w różnym stopniu, wszystkie cztery. Grupa rządząca, która umiałaby się przed nimi zabezpieczyć, mogłaby wiecznie sprawować władzę. Decydującym czynnikiem jest więc samo nastawienie rządzących.

Z końcem lat pięćdziesiątych obecnego stulecia pierwsze z powyższych zagrożeń właściwie znikło. Każde z trzech mocarstw obecnie panujących nad światem jest nie do pokonania; mogłoby zostać podbite jedynie po długotrwałym procesie zmian demograficznych, któremu każdy rząd o tak rozległej władzy potrafi bez trudu zapobiec. Drugie niebezpieczeństwo również istnieje wyłącznie w teorii. Masy nigdy nie buntują się same z siebie i nigdy tylko dlatego, że są ciemiężone. Dopóki nie mają skali porównawczej, nie zdają sobie nawet sprawy z ucisku. Powtarzającym się niegdyś kryzysom ekonomicznym, które już wówczas były zupełnie zbędne, obecnie się zapobiega, a inne, równie poważne zaburzenia, choć zdarzają się od czasu do czasu, nie mają żadnych następstw politycznych, gdyż panujące warunki nie pozwalają, aby niezadowolenie przerodziło się w bunt. Problem nadprodukcji, tak ważny dla świata od momentu wkroczenia w erę industrializacji, rozwiązuje polityka ciągłej wojny (por. rozdział III), przydatna również do utrzymywania pożądanych nastrojów społecznych. Tak więc z punktu widzenia obecnej sfery rządzącej jedynym istotnym niebezpieczeństwem jest wyodrębnienie się nowej grupy ludzi zdolnych, niedowartościowanych, żądnych władzy, oraz szerzenie się liberalnych tendencji i sceptycznych nastrojów we własnych szeregach. Jest to, że tak powiem, problem wychowawczy. Należy cały czas odpowiednio kształtować świadomość zarówno grupy kierowniczej, jak i liczniejszej grupy wykonawczej stojącej tuż pod nią w hierarchii. Na świadomość mas wystarczy wpływać tylko w sensie negatywnym.

Każdy, kto nie znał dotąd struktury społecznej Oceanii, mógłby sam nakreślić jej obraz, wykorzystując powyższe dane. Na szczycie stoi Wielki Brat. Wielki Brat jest nieomylny i wszechmocny. Każdy sukces, każde osiągniecie, każde zwycięstwo, każde odkrycie naukowe, cała wiedza, mądrość, szczęście i cnota wynikają bezpośrednio z jego przewodnictwa i inspiracji. Nikt nigdy nie widział Wielkiego Brata. Jest podobizną na plakatach, głosem płynącym z teleekranów. Możemy być prawie pewni, że nigdy nie umrze, tak jak właściwie nie wiadomo, kiedy się urodził.

Wielki Brat to przebranie, w którym Partia ukazuje się światu. Działa jak ogniskowa, skupiając na sobie miłość, strach i uwielbienie - tymi bowiem uczuciami łatwiej darzyć jednostkę niż organizację. Poniżej Wielkiego Brata stoi Wewnętrzna Partia, o liczebności ograniczonej do sześciu milionów członków, co wynosi niecałe dwa procent ludności Oceanii. Poniżej Wewnętrznej Partii znajduje się Zewnętrzna Partia; jeśli Wewnętrzną Partię nazwiemy mózgiem państwa, Zewnętrzną należy przyrównać do rąk. Jeszcze niżej stoją nieokrzesane masy określane mianem proli, które stanowią około osiemdziesiąt pięć procent ludności. Prole to właśnie dolna warstwa z naszej wstępnej klasyfikacji, gdyż niewolnicze ludy rejonów podzwrotnikowych, nad którymi na zmianę panują różni zdobywcy, nie są ani stałym, ani koniecznym elementem struktury społecznej.

W zasadzie przynależność do danej grupy nie jest dziedziczna. Dziecko rodziców należących do Wewnętrznej Partii nie staje się automatycznie jej członkiem. Przyjęcie do jednej lub drugiej gałęzi Partii odbywa się w wieku lat szesnastu na podstawie egzaminu. Nie istnieje ani dyskryminacja rasowa, ani wyraźna dominacja którejś prowincji nad pozostałymi. Żydzi, Murzyni, a w Ameryce Południowej czystej krwi Indianie piastują często najwyższe stanowiska partyjne, natomiast administratorzy poszczególnych obszarów zawsze rekrutują się z ludności miejscowej. Żadna prowincja Oceanii nie ma, w odczuciu jej mieszkańców, statusu kolonii, nad którą sprawuje rządy odległa stolica. Oceania takowej w ogóle nie posiada, a miejsca pobytu oficjalnej głowy państwa nie zna nikt. Poza tym, że językiem używanym na terenie całego mocarstwa jest angielski, językiem urzędowym zaś nowomowa, nie występuje zjawisko centralizacji. Władców Oceanii nie łączą więzy krwi, lecz wierność tej samej doktrynie. Prawdą jest, iż w naszym społeczeństwie mamy do czynienia ze sztywną stratyfikacją, a jej głównym kryterium może się wydawać dziedziczna przynależność do danej warstwy. Wynika to stąd, że pomiędzy poszczególnymi warstwami zachodzi znacznie bardziej ograniczony ruch niż w czasach kapitalizmu czy nawet w epoce wcześniejszej. W rzeczywistości następują drobne przetasowania między dwiema gałęziami Partii, ale jedynym ich celem jest pozbycie się z szeregów Wewnętrznej Partii słabeuszy oraz unieszkodliwienie ambitnych jednostek z Zewnętrznej Partii poprzez awans. Proletariusze nie mają w praktyce żadnych szans dostania się do Partii. Najzdolniejszych, którzy mogliby się stać przywódcami w wypadku rozruchów, wykrywa i eliminuje Policja Myśli. Ale ten stan rzeczy nie musi być trwały i nie wynika z ideologii. Partia nie jest klasą w dawnym sensie tego słowa i nie przyświeca jej idea przekazywania władzy potomkom; gdyby w jej własnych szeregach miało zabraknąć wartościowych jednostek zdolnych do sprawowania rządów, bez namysłu dokonałaby rekrutacji całego następnego pokolenia spośród proletariatu. W przełomowym, początkowym okresie fakt, że Partia wykluczyła dziedziczność, w znacznym stopniu przyczynił się do zneutralizowania opozycji. Socjalistom starej daty, przyzwyczajonym do walki z „przywilejami klasowymi", wydawało się, iż stratyfikacja nie oparta na dziedziczności nie może być trwała. Nie rozumieli, iż ciągłość oligarchii nie musi wynikać ze związków krwi, nie pomyśleli również o tym, że arystokracje rodowe zawsze krótko utrzymywały się przy władzy, podczas gdy organizacje adopcyjne, takie jak np. Kościół katolicki, istniały czasami niezmiennie przez setki i tysiące lat. Istotą ustroju oligarchicznego nie jest cedowanie własności z ojca na syna, lecz trwałość pewnego światopoglądu i sposobu życia, który z umarłych przenosi się na żywych. Grupa rządząca pozostaje grupą rządzącą, dopóki może wyznaczać swoich następców. Partii nie zależy na przekazywaniu władzy potomstwu jej członków, lecz na umacnianiu własnej potęgi. Nie ma znaczenia, kto sprawuje władzę, byleby tylko hierarchiczna struktura mogła trwać bez zmian.

Wszystkie poglądy, obyczaje, gusty, uczucia i przekonania typowe dla naszych czasów kształtuje się tak, aby podtrzymywać kult Partii oraz ukryć prawdziwy charakter panującego ustroju. Wszelkie zamieszki czy nawet próby ich wywołania stały się obecnie niemożliwe. Partia nie musi obawiać się proletariatu. Pozostawiony sobie, będzie tak samo funkcjonował z pokolenia na pokolenie przez najbliższe stulecia, pracując, płodząc potomstwo i umierając, nie tylko pozbawiony wszelkiego odruchu buntu, lecz również umiejętności wyobrażenia sobie innego, lepszego świata.

Proletariusze mogliby się stać niebezpieczni tylko wtedy, gdyby w wyniku postępu technicznego zaszła j konieczność zapewnienia im lepszego wykształcenia; jednakże odkąd ustał wyścig militarny i gospodarczy, poziom szkolenia proli nieustannie spada. Jest właściwie sprawą obojętną, co myślą masy; ponieważ reprezentują zerowy poziom inteligencji, mogą cieszyć się wolnością myśli. Natomiast u członka Partii nie toleruje się choćby najdrobniejszego myślowego odstępstwa i to nawet w najbardziej błahych kwestiach.

Życie członka Partii, od urodzin po śmierć, przebiega pod okiem Policji Myśli. Nawet gdy jest sam, nie może być całkowicie pewien, że nikt go nie śledzi. Bez względu na to, gdzie przebywa i co robi -śpi, pracuje, odpoczywa, kąpie się czy leży w łóżku - można go kontrolować bez żadnego ostrzeżenia i bez jego wiedzy. Wszystko, co czyni, ma swoje znaczenie. Jego przyjaźnie, rozrywki, zachowanie wobec żony i dzieci, wyraz twarzy, kiedy jest sam, słowa, które mamrocze przez sen, charakterystyczne gesty - wszystko to pozostaje pod ścisłym nadzorem. Nie umknie nie tylko żadne jego wykroczenie, lecz nawet najmniejsza ekscentryczność, zmiana zwyczajów lub nerwowy tik, który może świadczyć o wewnętrznej rozterce. Członek Partii jest całkowicie ubezwłasnowolniony; jego zachowania nie regulują jednak żadne normy prawne ani też nie istnieją wyraźne wzorce postępowania. W Oceanii praw nie ma. Myśli i czynów, których wykrycie oznacza śmierć, nigdy oficjalnie nie zakazano, a nie kończące się czystki, aresztowania, tortury, uwięzienia i ewaporacje to nie kary za popełnione zbrodnie, lecz działalność prewencyjna, polegająca na usuwaniu jednostek, które w przyszłości mogłyby się dopuścić przestępstw. Od członka Partii wymaga się nie tylko słusznych przekonań, lecz również prawidłowych reakcji. Większość poglądów i sądów, których się od niego oczekuje, nie została nigdzie jasno sformułowana, gdyż nie sposób ich spisać bez obnażenia sprzeczności angsocu. Człowiek z natury prawomyślny (w nowomowie dobromyślak) w każdej sytuacji będzie natychmiast wiedział, bez zastanawiania się, co sądzić i jak reagować. Gruntowny trening myślowy przebyty w dzieciństwie, a związany z takimi pojęciami z nowomowy, jak zbrodnioszlaban, czarnobiał czy dwójmyślenie, sprawia zresztą, iż członek Partii z reguły niechętnie oddaje się jakimkolwiek głębszym rozważaniom, a często nawet tego nie potrafi.

Członek Partii nie powinien mieć żadnych uczuć osobistych; musi natomiast, bez chwili wytchnienia, tryskać entuzjazmem, cały czas pałać dziką nienawiścią do wrogów i zdrajców, radować się ze zwycięstw oraz bałwochwalczo wielbić Partię za jej potęgę i mądrość. Niezadowolenie z marnej, jałowej egzystencji specjalnie kieruje się na zewnątrz, wyładowuje podczas takich akcji jak Dwie Minuty Nienawiści, a rozważania zdolne wywołać sceptycyzm lub nawet wrogość do ustroju uniemożliwia wpajana od najmłodszych lat dyscyplina wewnętrzna. Pierwszy i podstawowy stopień wtajemniczenia, od którego można już rozpocząć edukację najmłodszych dzieci, nazywa się w nowomowie zbrodnioszlaban. Oznacza to zdolność niemal odruchowego zatrzymania i zmiany toku myśli, gdy tylko przybierają potencjalnie niebezpieczny kierunek. Pod pojęciem tym zawarta jest także umiejętność niewyciągania wniosków i zamykania oczu na błędy logiczne oraz nierozumienia najprostszych argumentów wrogich wobec angsocu, a ponadto automatyczne uczucie nudy i wstrętu do rozważań, które mogłyby prowadzić do nieprawomyślnych wniosków. Zbrodnioszlaban, innymi słowy, oznacza głupotę ochronną. Ale głupota sama w sobie nie wystarcza. Wręcz przeciwnie, chcąc być w pełni ortodoksyjnym, należy mieć większą kontrolę nad swoim umysłem, niż cyrkowy akrobata ma nad ciałem. U podstaw ustroju Oceanii leży wiara, iż Wielki Brat jest wszechmocny, a Partia nieomylna. W rzeczywistości jednak ani Partia nie jest nieomylna, ani Wielki Brat wszechmocny; od obywateli wymaga się zatem, by czujnie, a zarazem błyskawicznie zmieniali swoje podejście do faktów. Kluczowy termin to słowo czarnobiał. Podobnie jak wiele innych określeń nowomowy, ma dwa sprzeczne znaczenia. Użyte wobec przeciwnika, piętnuje jego zwyczaj bezczelnego upierania się, że coś jest białe, podczas gdy faktycznie jest czarne. Natomiast w stosunku do członka Partii wyróżnia jego lojalność dla dyscypliny partyjnej, szczerą chęć, by jej się podporządkować i twierdzić, iż czarne jest białe. Oznacza to także zdolność natychmiastowego uznania własnych słów za prawdę, a co więcej,

wyrobienie w sobie głębokiej wiary, że tak było zawsze i że nigdy nie sądziło się inaczej. Wymaga to ciągłego przystosowywania pamięci do bezustannych zmian, jakim podlega przeszłość; umożliwia je sposób myślenia zawierający w sobie wszystkie pozostałe umiejętności, a określany w nowomowie terminem dwójmyślenie.

Zmienianie przeszłości jest konieczne z dwóch powodów, z których jeden ma charakter uboczny i jest tylko środkiem ostrożności. Przedstawia się następująco: członek Partii, podobnie jak proletariusze, toleruje nędzne warunki bytowe po części dlatego, że nie ma skali porównawczej. Chcąc podtrzymać w nim wiarę, iż żyje mu się lepiej niż jego przodkom, a stopa życiowa ustawicznie wzrasta, trzeba odciąć go zarówno od przeszłości, jak i od kontaktów z cudzoziemcami. Jednakże o wiele istotniejszą przyczyną manipulowania przeszłością jest ochrona nieomylności Partii. Należy zatem ustawicznie aktualizować przemówienia, statystykę i wszelkie zapisy, aby służyły za dowód, iż sprawdzają się wszystkie partyjne prognozy. Nie wolno się także przyznać do jakiejkolwiek zmiany dotyczącej politycznych sojuszy lub spraw doktrynalnych. Każda bowiem zmiana czy to poglądów, czy choćby polityki uchodzi za przejaw słabości. Jeśli na przykład obecnie wrogiem jest Eurazja, to była nim zawsze. Jeżeli z faktów wynika co innego, fakty należy zmienić. Tak więc ciągle tworzy się historię na nowo. Codzienne fałszowanie przeszłości przez Ministerstwo Prawdy jest równie niezbędne dla stabilności reżimu, jak represje i proceder szpiegowski Ministerstwa Miłości.

Zmienność przeszłości to podstawowy dogmat angsocu. Według partyjnej argumentacji, przeszłe wydarzenia nie istnieją obiektywnie, a tylko w formie zapisów i wspomnień. Przeszłość jest więc tym, co do czego zapisy i pamięć ludzka są zgodne. Skoro w rękach Partii znajdują się i wszelkie archiwa, i władza nad umysłami członków, przeszłość wygląda tak, jak życzy sobie Partia. Chociaż jest zmienna, twierdzi się, iż nigdy nie bywa zmieniana. Kiedy bowiem przybiera kształt w danej chwili pożądany, nowa wersja wydarzeń po prostu jest przeszłością; inna przeszłość nigdy nie mogła istnieć. Zasada ta sprawdza się nawet wówczas, gdy -jak to się często dzieje - ten sam fakt przerabia się całkowicie kilka razy w roku. Partia zawsze głosi prawdy absolutne, a prawda absolutna nie mogła przecież być kiedyś inna niż obecnie. Jak zostanie wykazane w dalszej części wywodu, panowanie nad przeszłością zależy głównie od odpowiedniego szkolenia pamięci członków Partii. Chcąc sprawić, aby wszystkie archiwalne zapisy zgadzały się z aktualnie obowiązującą wersją, wystarczy wprowadzić stosowne zmiany. Partia jednak wymaga także i tego, by pamiętano, że wszystko zdarzyło się tak, jak sama akurat twierdzi, a ilekroć zachodzi konieczność dokonywania przeszufladkowań we własnej pamięci i przerabiania zapisów, należy o tym zaraz zapominać. Tej sztuczki można się nauczyć równie łatwo jak innych procesów myślowych. Opanowuje ją większość członków Partii, a zwłaszcza ci, którzy są inteligentni i prawomyślni. W staromowie mówi się o tym, całkiem otwarcie, jako o „regulacji faktów". W nowomowie stosowany jest termin dwójmyślenie, choć pojęcie to ma znacznie szerszy zakres.

Dwójmyślenie oznacza przede wszystkim umiejętność wyznawania dwóch sprzecznych poglądów i wierzenia w oba naraz. Partyjny inteligent wie, kiedy powinien zmienić swoje wspomnienia, a zatem w pełni się orientuje, że przekręca fakty; równocześnie jednak, dzięki dwójmyśleniu, święcie wierzy, iż prawda nie została pogwałcona. Proces ten musi być świadomy, gdyż inaczej brakowałoby mu precyzji, a zarazem bezwiedny, aby człowiek nie zdawał sobie sprawy z faktu dokonania fałszerstwa, bo to mogłoby wywołać w nim poczucie winy. Dwójmyślenie to w gruncie rzeczy kwintesencja angsocu, ponieważ cała działalność Partii sprowadza się do głoszenia wierutnych kłamstw z takim przekonaniem i pewnością siebie, jakie normalnie cechują wypowiedzi ludzi kryształowo uczciwych. Kłamać z pełną premedytacją, a jednocześnie głęboko wierzyć we własne słowa, zapominać niewygodne fakty, po czym, gdy zachodzi konieczność, przywoływać je z niebytu na tak długo, jak trzeba, negować istnienie obiektywnej rzeczywistości, a zarazem kierować się nią - to wszystko musi umieć każdy. Nawet używając terminu dwójmyślenie należy stosować rozumianą pod nim technikę. Posłużenie się tym terminem jest bowiem równoznaczne z

przyznaniem się do manipulowania rzeczywistością; dzięki dwójmyśleniu zabiegowi wymazuje się tę wiedzę - i tak w kółko. Kłamstwo bezustannie o krok wyprzedza prawdę. Jednakże to właśnie dzięki dwójmyśleniu Partii udało się - a stan ten może równie dobrze trwać przez tysiące lat - zatrzymać bieg historii.

Wszystkie wcześniejsze oligarchie utraciły władzę albo dlatego, że skostniały, albo dlatego, że zmiękły. Jedne stawały się bezmyślne i aroganckie, nie chciały dostosować się do nowych warunków, a wówczas je obalano; inne opanowywał liberalizm, tchórzostwo, szły na ustępstwa, kiedy powinny użyć siły, co również kończyło się ich zniszczeniem. Można powiedzieć, że ginęły albo przez brak świadomości, albo przez jej nadmiar. Znacznym sukcesem Partii jest stworzenie systemu myślowego, w którym oba te stany mogą występować równocześnie. Na żadnym innym podłożu myślowym Partia nie zdołałaby tak trwale oprzeć swojej władzy. Jeśli ktoś pragnie rządzić, rządzić nieprzerwanie, musi umieć burzyć w poddanych poczucie rzeczywistości. Tajemnica sprawnych rządów polega na łączeniu wiary we własną nieomylność z umiejętnością wyciągania wniosków z wcześniej popełnianych błędów.

Najsubtelniej, rzecz jasna, potrafią się posługiwać dwójmyśleniem ci, którzy je wymyślili i wiedzą, iż jest to złożony system myślowego oszustwa. W naszym społeczeństwie ludźmi z najpełniejszym rozeznaniem we wszystkim, co się dzieje, są równocześnie ludzie najdalsi od postrzegania świata takim, jaki jest naprawdę. Z reguły im większa orientacja, tym większe omamienie; im kto inteligentniejszy, tym bardziej szalony. Najlepszym dowodem jest fakt, że wraz z zajmowaną pozycją w hierarchii społecznej wzrasta natężenie histerii wojennej. Najbardziej racjonalny stosunek do wojny mają zniewoleni mieszkańcy spornych obszarów. Dla nich wojna to po prostu ciągły kataklizm, który dosięga ich raz z jednej, raz z drugiej strony, niczym potężne fale. Jest im zupełnie obojętne, która strona zwycięża. Wiedzą, że każda zmiana polega jedynie na tym, iż będą wykonywać tę samą pracę dla nowych panów, a ci potraktują ich tak samo podle jak poprzedni. Znajdujący się w stosunkowo lepszym położeniu robotnicy, zwani „prolami", tylko sporadycznie zdają sobie sprawę z wojny. Kiedy zachodzi potrzeba, można ich pobudzić do szału strachu i nienawiści, jednakże pozostawieni sami sobie zapominają o wojnie na długi czas. Dopiero w szeregach Partii, zwłaszcza Wewnętrznej Partii, napotykamy autentyczny entuzjazm wojenny. W podbój świata najgoręcej wierzą ci, którzy zdają sobie sprawę, że jest niemożliwy. To osobliwe łączenie przeciwności - wiedzy z ignorancją, cynizmu z fanatyzmem- należy do najbardziej charakterystycznych cech społeczeństwa Oceanii. Oficjalna ideologia aż roi się od sprzeczności, nawet takich, które nie mają żadnego praktycznego uzasadnienia. Partia na przykład odrzuca i szkaluje wszystkie pierwotne idee ruchu socjalistycznego, lecz robi to właśnie pod maską socjalizmu. Głosi pogardę dla robotników będącą nie do pomyślenia nawet w ubiegłych stuleciach, a zarazem świadomie ubiera swoich członków w mundury wzorowane na dawnej odzieży roboczej pracowników fizycznych. Systematycznie podkopuje solidarność rodzinną, lecz swojego przywódcę obdarza mianem odwołującym się bezpośrednio do rodzinnych sentymentów. Również nazwy czterech rządzących nami ministerstw odzwierciedlają bezczelność, z jaką celowo przeinacza się fakty. Prawdziwą dziedziną Ministerstwa Pokoju jest wojna; Ministerstwa Prawdy - kłamstwo; Ministerstwa Miłości - tortury; Ministerstwa Obfitości- głód. Te sprzeczności nie są przypadkowe ani nie wynikają ze zwykłej hipokryzji; są celowymi przejawami dwójmyślenia. Tylko bowiem przez godzenie sprzeczności można nieustannie dzierżyć władzę. To jedyny sposób zatrzymania odwiecznego cyklu. Jeśli ma się powieść trwale zapobieżenie równości, jeśli warstwa górna- jakeśmy ją na wstępie nazwali - ma nieprzerwanie utrzymywać się na szczycie, wówczas powszechnym stanem umysłów musi być kontrolowane szaleństwo.

Pozostaje wszakże jedno pytanie, na które dotychczas nie próbowaliśmy odpowiedzieć. Dlaczego należy zapobiec równości? Załóżmy, że wszystkie mechanizmy tego ogromnego i z taką pieczołowitością opracowanego przedsięwzięcia zostały prawidłowo przedstawione; jakiż jednak przyświeca mu cel? Po co wkłada się tyle wysiłku w zatrzymanie biegu historii?

W tym miejscu dochodzimy do tajemnicy stanowiącej istotę całego zagadnienia. Jak wykazano powyżej, trwałość Partii, a zwłaszcza Wewnętrznej Partii, opiera się na dwójmyśleniu. Lecz u samych podstaw jej sukcesu leży pierwotny motyw sięgnięcia po władzę, nigdy nie kwestionowany instynkt, z którego z czasem wzięło swój początek dwójmyślenie, Policja Myśli, ciągła wojna oraz inne elementy niezbędne do sprawnego funkcjonowania systemu. Motyw ten polega w rzeczywistości na...

Winston zdał sobie sprawę z panującej ciszy. Uświadomił ją sobie tak, jakby to był nowy dźwięk. Pomyślał, że Julia od dłuższego czasu zachowuje się wyjątkowo spokojnie. Leżała na boku, odkryta od pasa w górę, z policzkiem opartym o dłoń. Ciemny lok przysłaniał jej oczy, a pierś falowała wolno i miarowo.

- Julio?

Nie było odpowiedzi.

- Julio, śpisz?

Milczenie. Spała. Zamknął książkę, położył ją ostrożnie na podłodze, po czym sam również wyciągnął się wygodnie na łóżku i przykrył siebie i Julię kapą.

Pomyślał, że wciąż jeszcze nie poznał największej tajemnicy. Rozumiał jak; nie rozumiał dlaczego. Zarówno rozdział pierwszy, jak i trzeci nie powiedziały mu właściwie nic nowego; pozwoliły tylko usystematyzować posiadane informacje. Mimo to lektura utwierdziła go przynajmniej w jednym: nie jest szalony. Należenie do mniejszości, nawet jednoosobowej, nie czyni nikogo szaleńcem. Istnieje prawda i istnieje fałsz, lecz dopóki ktoś upiera się przy prawdzie, nawet wbrew całemu światu, pozostaje normalny. Przez okno wpadł jasny promień zachodzącego słońca i rozświetlił poduszkę. Winston zamknął oczy. Słoneczny blask, który skąpał jego twarz, i gładkie, dziewczęce ciało leżące tuż obok natchnęły go senną pewnością siebie. On i Julia byli bezpieczni i wszystko układało się pomyślnie. Szepcząc do siebie „normalność nie jest kwestią statystyki", zasnął przekonany, że w stwierdzeniu tym kryje się głęboka mądrość.

Obudził się z uczuciem, że spał bardzo długo, ale kiedy spojrzał na staromodny zegar, okazało się, iż jest dopiero dwudziesta trzydzieści. Drzemał jeszcze przez chwilę, dopóki z podwórza nie dobiegł go znajomy donośny śpiew:

To był tylko chwilowy urok
I minął jak kwietniowy dzień,
Lecz cóż za marzenia rozbudził!
Z serca mego najlżejszy zdjął cień!

Kiczowaty szlagier nie tracił popularności. Słyszało się go na każdym kroku. Przetrwał nawet „Pieśń Nienawiści". Śpiew zbudził Julię, która przeciągnęła się z lubością i wstała z łóżka.

- Głodna jestem. Zaparzę kawy. Cholera! Prymus zgasł i woda jest zupełnie zimna. - Podniosła go i potrząsnęła. -Pusty, nafta się skończyła.

- Możemy pożyczyć od pana Charringtona.

- Dziwne, ale kiedy sprawdzałam, zdawało mi się, że jest pełen. Muszę się ubrać, bo jakoś zrobiło się chłodno.

Winston również wstał i włożył ubranie. Niestrudzony głos wciąż zawodził:

Mówią, że czas leczy rany,
Wszystko w niepamięć odpływa;
Lecz moje serce wciąż szlocha żałośnie,

Gdy wspomnienie sprzed łat w nim odżywa!

Zapinając pasek kombinezonu, Winston podszedł do okna. Słońce skryło się za domami; nie oświetlało już podwórza. Bruk był mokry, jakby świeżo umyty, i niebo też wyglądało jak świeżo wyszorowane, tak jasny i czysty wydawał się jego błękit widoczny między kominami. W dole prolka krążyła wytrwale pomiędzy balią a sznurem, na przemian to zatykając sobie usta spinaczami i milknąc, to wyjmując spinacze i śpiewając, zajęta rozwieszaniem nieprzebranego zapasu pieluszek. Winston nie wiedział, czy praniem zarabia na życie, czy też haruje tak dla dwadzieściorga lub trzydzieściorga wnucząt. Julia podeszła do niego i wspólnie, z dziwnym zafascynowaniem, obserwowali tęgą sylwetkę prolki. Kiedy stanęła w swojej charakterystycznej pozie, z grubymi ramionami wyciągniętymi do sznura w górze, a potężnym jak u klaczy zadem mocno wypiętym, Winston po raz pierwszy uświadomił sobie jej piękno. Nigdy przedtem nie zdawał sobie sprawy, iż ciało pięćdziesięcioletniej kobiety, rozdęte licznymi ciążami do monstrualnych rozmiarów, stwardniałe i zgrubiałe od ustawicznej pracy, grudowate jak przejrzała rzepa, może być urodziwe. Ale dlaczego nie, pomyślał. Masywne, bezkształtni ciało podobne do bloku granitu, ze swoją szorstką, czerwonawi skórą, tak się ma do ciała młodej dziewczyny jak owoc dzikiej róży do jej kwiatu. Dlaczegóż owoc miałby być gorszy?

- Ależ ona piękna - szepnął.
- Przecież jest gruba jak beka! - zawołała Julia.
- Przy jej typie urody to nie przeszkadza - odparł.

Jedną ręką obejmował gibką talię dziewczyny. Jej biodro i udo przylegały do jego boku. Z ich ciał nigdy nie narodzi się dziecko. Na ten krok się nie odważą. Jedynie przekazując innym swoje myśli, będą mogli zapewnić ciągłość oporu wobec Partii. Kobieta w dole nie miała bystrego umysłu, a tylko silne dłonie, gorące serce i płodne łono. Ciekaw był, ile dzieci wydała na świat. Pewnie z piętnaścioro. Na krótko, nie dłużej niż rok, zakwitła jak dzika róża, po czym nabrzmiała niczym zapłodniony owoc, stała się masywna, czerwona, pospolita, a na jej życie złożyło się pranie, szorowanie, cerowanie, gotowanie, sprzątanie, polerowanie, szycie, i znów szorowanie, pranie, najpierw dla dzieci, potem dla wnuków, bez wytchnienia przez trzydzieści lat. A mimo to wciąż śpiewała. Niemal mistyczny szacunek, jaki dla niej odczuwał, wiązał się jakoś z jasnością bezchmurnego nieba, ciągnącego się w nieskończoność za kominami. To niezwykłe, że niebo jest wszędzie takie samo; w Eurazji, we Wschódazji, tutaj. I ludzie żyjący pod nim też niczym nie różnią się między sobą - wszędzie, na całym świecie, żyją setki tysięcy milionów takich samych ludzi, nieświadomych nawzajem swojego losu, rozdzielonych murami kłamstwa i nienawiści, a jednak tak bardzo podobnych; ludzi, którzy nigdy nie nauczyli się myśleć, lecz w których sercach, lędźwiach i mięśniach gromadzi się siła zdolna w przyszłości wstrząsnąć światem. Jeśli w ogóle istnieje nadzieja, spoczywa w prolach! Chociaż nie przeczytał jeszcze całej Księgi, wiedział, iż tak musi brzmieć końcowe przesłanie Goldsteina. Przyszłość należy do proli. Ale czy mógł oczekiwać, że gdy nadejdzie ich pora, stworzą świat bardziej bliski jemu, Winstonowi Smithowi, niż świat stworzony przez Partię? Tak, albowiem nie będzie to świat oparty na szaleństwie. Tam gdzie istnieje równość, może istnieć i zdrowy rozsądek. Prędzej czy później to się stanie: siła przerodzi się w świadomość. Prole są nieśmiertelni - patrząc na dzielną kobietę na podwórzu, nie sposób było w to wątpić. Kiedyś, choćby za tysiąc lat, wreszcie się zbudzą. Dopóki to nie nastąpi, nadal będą żyć wbrew wszelkim przeciwnościom, niczym ptaki, przekazując z pokolenia na pokolenie witalność, której Partia ani nie ma, ani nie umie stłumić.

- Czy pamiętasz drozda, który śpiewał dla nas pierwszego dnia, tam na skraju lasu? - spytał.
- Nie śpiewał dla nas - odparła Julia. - Śpiewał dla własnej przyjemności. Nie, to też nie. Po prostu śpiewał.

Ptaki śpiewają, śpiewają prole - Partia nie śpiewa. Na całym świecie, w Londynie i w Nowym Jorku, w Afryce i w Brazylii, a także w tajemniczych zakazanych krainach poza granicami

Oceanii, na ulicach Paryża i Berlina, w wioskach na bezkresnych rosyjskich równinach, na chińskich i japońskich bazarach - wszędzie można napotkać tę samą masywną, niepokonaną postać, zeszpeconą przez pracę i liczne ciąże, przez całe życie harującą bez wytchnienia, ale mimo to rozśpiewaną. Pewnego dnia z jej potężnych lędźwi zrodzi się świadome pokolenie. My jesteśmy martwi; przyszłość należy do nich. Ale możemy w niej uczestniczyć, jeśli tak jak oni przekazują witalność swoich ciał, my zapewniamy przetrwanie naszym myślom, szerząc tajemną doktrynę, że dwa i dwa to cztery.

- Jesteśmy martwi - rzekł.
- Jesteśmy martwi - powtórzyła posłusznie Julia.
- Jesteście martwi - oświadczył żelazny głos za nimi.

Odskoczyli od siebie. Winston poczuł nagły chłód w kiszkach. Ujrzał białka wystraszonych oczu Julii. Jej twarz stała się mlecznożółta. Róż na policzkach kontrastował silnie z barwą jej skóry, zupełnie jakby przykleiła sobie dwa czerwone krążki.

- Jesteście martwi - odezwał się ponownie żelazny głos.
- Dochodzi zza ryciny - szepnęła Julia.
- Dochodzi zza ryciny - powtórzył głos. - Zostańcie na swoich miejscach. Nie ruszać się bez rozkazu.

Wreszcie, wreszcie się stało! Nie mogli uczynić nic, więc tylko patrzyli sobie w oczy. Uciekać, wybiec na ulicę, zanim będzie za późno - podobne myśli nawet nie przychodziły im do głowy. Nieposłuszeństwo wobec żelaznego głosu dobiegającego ze ściany było nie do pomyślenia. Usłyszeli cichy trzask, jakby coś odczepiano, a następnie brzęk tłuczonego szkła. Rycina spadła na podłogę, ukazując ukryty za nią teleekran.

- Teraz nas widzą - powiedziała Julia.
- Teraz was widzimy - rzekł głos. - Stańcie na środku pokoju, plecami do siebie. Ręce spleść na karku! Nie dotykać się!

Chociaż się nie dotykali, Winstonowi zdawało się, że czuje, jak Julia dygocze. A może to dygotał on sam. Udało mu się powstrzymać dzwonienie zębów, ale nie potrafił zapanować nad drżeniem kolan. Na dole, w środku i na zewnątrz budynku, rozbrzmiewał tupot wielu nóg. Podwórze musiało roić się od ludzi. Coś wleczono po bruku. Śpiew prolki raptownie ucichł. Rozległ się głośny, wibrujący brzęk, jakby przewrócono na bruk blaszaną balię, a po chwili gniewne krzyki i głośny pisk bólu.

- Dom jest otoczony - stwierdził Winston.
- Dom jest otoczony - powtórzył głos.

Julia szczękała zębami.

- Chyba widzimy się po raz ostatni - powiedziała.
- Widzicie się po raz ostatni - potwierdził głos.

Po czym inny głos, cienki, kulturalny, który wydał się Winstonowi znajomy, dodał:

- A skoro o tym mowa, coś wam chcę przypomnieć: „Oto ciastko, możesz zjeść połowę, a oto topór, który zetnie ci głowę!"

Coś spadło z hukiem na łóżko za plecami Winstona. To wetknięta przez okno drabina wyważyła część ramy. Ktoś już wskakiwał do środka. Równocześnie schody zadudniły od ciężkich kroków. W następnej chwili pokój zapełnił się uzbrojonymi w pałki drabami w czarnych mundurach i podkutych żelazem buciorach.

Winston przestał dygotać. Starał się nawet nie patrzeć na boki. Liczyło się jedno: nie ruszać się, nie ruszać, nie dać im żadnego pretekstu do bicia! Olbrzym o gładkiej twarzy zawodowego

zapaśnika, na której usta były tylko cienką szramą, zatrzymał się naprzeciw Winstona, z namysłem kołysząc w dwóch palcach pałkę. Oczy mężczyzn na moment się zetknęły. Świadomość własnej bezbronności, gdy tak stał z rękami splecionymi na karku, wystawiony na razy, była dla Winstona nie do zniesienia. Olbrzym wysunął koniuszek białego języka, oblizał nie istniejące wargi, po czym odszedł. Rozległ się kolejny huk. To ktoś podniósł ze stolika szklany przycisk i roztrzaskał o płytę kominka.

Niewielki, pofałdowany koral, podobny do cukrowej różyczki zdobiącej tort, potoczył się po dywanie. Jakiż jest maleńki, pomyślał Winston, jakiż maleńki był zawsze! Tuż za plecami usłyszał jęk, po czym głuchy łoskot, i coś tak silnie uderzyło go w kostkę, że omal nie stracił równowagi. To jeden z funkcjonariuszy wyrżnął Julię pięścią w splot słoneczny; dziewczyna zgięła się jak scyzoryk i padła na ziemię. Miotała się po podłodze, usiłując złapać oddech. Winston bał się odwrócić głowę choćby o milimetr, lecz chwilami kątem oka dostrzegał siną twarz Julii i jej szeroko otwarte usta. Mimo panicznego strachu niemal fizycznie odczuwał jej straszliwy ból i jeszcze straszliwsze, rozpaczliwe wysiłki odzyskania tchu. Wiedział, co przeżywa; okropny, rozdzierający ból, który jednak schodzi na drugi plan, bo stokroć ważniejsze jest, by wciągnąć powietrze w płuca. Potem dwóch funkcjonariuszy chwyciło Julię za ręce i nogi i wyniosło jak worek. Winstonowi mignęła jej odchylona do tyłu twarz, żółta, wykrzywiona, z zaciśniętymi oczami i wciąż ze śladami różu na policzkach; więcej Julii nie widział.

Stał w całkowitym bezruchu. Jak dotąd nikt go nie uderzył. Różne myśli, wcale nie najistotniejsze, przepływały mu przez głowę. Co zrobili z panem Charringtonem? Co się stało z prolką z podwórza? Zdał sobie sprawę, że czuje gwałtowną potrzebę oddania moczu i zdziwił się nieco, ponieważ zaledwie dwie, trzy godziny temu korzystał z toalety. Zauważył, że zegar na kominku wskazuje dziewiątą, czyli dwudziestą pierwszą. Ale na dworze wciąż było jasno. Może on i Julia pomylili się co do godziny - może przespali całą noc i tylko im się wydawało, że jest dwudziesta trzydzieści, gdy w rzeczywistości była ósma trzydzieści rano? Lecz nie zastanawiał się nad tym długo. Nie miało to teraz znaczenia.

Na korytarzu rozległy się inne, trochę lżejsze kroki. Do pokoju wszedł pan Charrington. Funkcjonariusze w czarnych mundurach od razu przycichli. W wyglądzie pana Charringtona coś jakby się zmieniło. Dostrzegł na podłodze roztrzaskany przycisk.

- Sprzątnąć to - rozkazał ostro.

Jeden z drabów natychmiast schylił się, żeby pozbierać kawałki szkła. Głos pana Charringtona stracił akcent typowy dla proli; Winston nagle zdał sobie sprawę, że to właśnie on przemówił do niego i Julii z teleekranu. Pan Charrington jak zwykle miał na sobie aksamitną marynarkę, lecz jego siwe włosy były teraz całkiem czarne. I nie nosił okularów. Rzucił Winstonowi krótkie, badawcze spojrzenie, jakby sprawdzał jego tożsamość, i nie poświęcał mu już więcej uwagi. W ciemnowłosym mężczyźnie wciąż dawało się rozpoznać pana Charringtona, lecz w sumie wyglądał na zupełnie innego człowieka. Przygarbione plecy wyprostowały się, przez co sprawiał wrażenie znacznie wyższego. Twarz zmieniła się tylko minimalnie, ale i tak różnica była piorunująca: wystarczyło, że czarne brwi stały się mniej krzaczaste i znikły zmarszczki, a kształt twarzy wydawał się inny, nos znacznie krótszy. Winston miał przed sobą czujne, zimne oblicze trzydziestopięcioletniego mężczyzny. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu patrzy na kogoś, co do kogo nie ma wątpliwości, iż jest agentem Policji Myśli.

Część trzecia

1

Nie wiedział, gdzie jest. Prawdopodobnie przebywał w Ministerstwie Miłości, ale nie miał jak się upewnić.

Znajdował się w wysokiej, pozbawionej okien celi o ścianach wyłożonych lśniącymi białymi kaflami. Ukryte lampy zalewały pomieszczenie zimnym światłem. Skądś dobiegał cichy, miarowy szum, zapewne urządzeń wentylacyjnych. Wzdłuż ścian, z przerwą na drzwi oraz na usytuowany naprzeciwko nich klozet bez deski, biegła ława lub raczej półka, tak wąska, że ledwo dawało się na niej usiąść.

W brzuchu czuł tępe kłucie. Ból towarzyszył mu od momentu, kiedy wepchnęli go do furgonetki i odjechali spod sklepu. Równocześnie doskwierał mu głód, od którego aż skręcały mu się kiszki. Minęła doba, może półtorej, odkąd jadł po raz ostatni. Wciąż nie wiedział i podejrzewał, że już nigdy się nie dowie, czy aresztowano go rano, czy wieczorem. Od chwili aresztowania nie miał nic w ustach.

Siedział na wąskiej ławie z dłońmi złożonymi na kolanie, starając się zachować bezruch. Szybko nauczył się nie wykonywać żadnych ruchów. Każdy niespodziewany gest prowokował jeden z teleekranów do wrzasku. Ale głód nie dawał Winstonowi spokoju. Oddałby wszystko za kromkę chleba. Przyszło mu do głowy, że w kieszeni kombinezonu może znaleźć nieco okruchów. A nawet - pomyślał tak, gdyż od czasu do czasu coś łaskotało go w udo - spory kawałek skórki. W końcu głód pokonał strach; więzień wsunął dłoń do kieszeni.

- Smith! - wrzasnął teleekran. - 6079 Smith W.! W celi nie wolno wkładać rąk do kieszeni.

Znieruchomiał i ponownie oparł dłonie na kolanie. Zanim tu trafił, najpierw zawieziono go w inne miejsce, do zwykłego więzienia lub raczej aresztu. Nie wiedział, jak długo go tam trzymano, ale przynajmniej kilka godzin; ponieważ nie było ani zegara, ani okien, przez które wpadałoby światło, nie umiał ocenić upływu czasu. Panował tam hałas i potworny smród. Umieszczono go w celi podobnej do tej, w której znajdował się obecnie, tylko obrzydliwie brudnej i zatłoczonej - przebywało w niej równocześnie od dziesięciu do piętnastu osób. Byli to w większości przestępcy kryminalni, choć zauważył również kilku więźniów politycznych. Winston siedział w milczeniu oparty o ścianę, wtłoczony między cuchnące, rozpychające się ciała, zbyt zaprzątnięty swoim lękiem i kłuciem w żołądku, by zwracać uwagę na otoczenie, lecz i tak uderzyła go różnica w zachowaniu członków Partii i pozostałych więźniów. Wszyscy partyjni milczeli wystraszeni, podczas gdy pospolici przestępcy zachowywali się tak, jakby nie bali się nikogo i niczego. Wymyślali strażnikom, szamotali się z furią, gdy odbierano im posiadane przedmioty, wypisywali na podłodze różne świństwa, spożywali przeszmuglowane jedzenie, które wydobywali z różnych zakamarków odzienia, a nawet zakrzykiwali teleekran, kiedy płynący z niego głos usiłował zaprowadzić porządek. Niektórzy byli w jak najlepszej komitywie ze strażnikami, zwracali się do nich po imieniu i próbowali wyłudzić od nich papierosy przez judasza. Strażnicy również traktowali kryminalistów bardziej wyrozumiale, nawet wówczas, gdy musieli siłą zmuszać ich do posłuchu. Głównym tematem rozmów były obozy pracy, dokąd większość aresztantów spodziewała się trafić.

Winston dowiedział się, że w obozach „nie jest źle", o ile człowiek ma chody i umie sobie radzić. Cwaniacy prosperowali: liczyły się łapówki oraz znajomości, kwitł homoseksualizm i prostytucja; krążył nawet alkohol nielegalnie pędzony z kartofli. Porządkowych mianowano spośród przestępców kryminalnych; na ogół byli to gangsterzy i mordercy, tworzący obozową arystokrację. Politycznym przypadały najbrudniejsze prace.

Przez areszt ustawicznie przewijali się najróżniejsi klienci: handlarze narkotyków, złodzieje, bandyci, spekulanci, pijacy, prostytutki. Niektórzy pijacy tak bardzo się awanturowali, że reszta więźniów musiała ich uspokajać wspólnymi siłami. Czterech strażników wniosło, trzymając ją pod ręce i za nogi, wielką, steraną życiem babę około sześćdziesiątki, o ogromnych, zwalistych piersiach i grubych splotach siwych włosów, które rozsypały się podczas szarpaniny. Ściągnęli jej buciory, bo próbowała ich kopać i cisnęli ją prosto na Winstona, o mało nie gruchocząc mu kości. Wyprostowała się, wrzasnęła za nimi „P... skurwysyny!", po czym - czując, że siedzi na czymś nierównym - zsunęła się z kolan Winstona na ławkę.

- Przepraszam cię, kochaniutki, nie siadłabym na tobie, gdyby mnie nie rzuciły te łajdaki. Chamy, nie wiedzą, jak należy traktować kobietę! - Poklepała się po brzuchu i beknęła. - Przepraszam, coś niezbyt dobrze się czuję.

Pochyliła się i długo wymiotowała na posadzkę.

- No, nieco mi ulżyło - oświadczyła, opierając się o ścianę i przymykając oczy. - Jak ci coś zaszkodzi, nie warto trzymać tego w sobie. Najlepiej czym prędzej opróżnić żołądek.

Po krótkim odpoczynku otworzyła oczy i znów spojrzała na Winstona; chyba musiał przypaść jej do gustu, bo objęła go potężnym ramieniem i przyciągnęła do siebie, zionąc mu prosto w twarz wonią piwa i rzygowin.

- Jak się nazywasz, kochaniutki? - spytała.

- Smith - odparł Winston.

- Smith? - ucieszyła się. - A to mi numer! Ja też mam Smith na nazwisko. Mogłabym być twoją matką!

Rzeczywiście mogłaby, pomyślał Winston. Typem budowy przypominała j ego matkę, wiek również się zgadzał, a przecież po dwudziestu latach w obozie pracy wygląd człowieka ma prawo się zmienić.

Nikt więcej się do niego nie odezwał. Był zdziwiony, że kryminaliści tak kompletnie ignorują członków Partii. Z pogardliwą obojętnością nazywali ich „politami". Partyjni bali się otworzyć usta do kogokolwiek, a zwłaszcza do innych partyjnych. Tylko raz, gdy dwie kobiety, obie należące do Partii, przysunęły się do siebie w ogólnym ścisku, pośród panującego gwaru dobiegł go pośpieszny szept jednej z nich; powiedziała coś, czego nie zrozumiał, o „pokoju sto jeden".

Do nowej celi przywieźli go dwie lub trzy godziny temu. Kłucie w trzewiach nie ustępowało; chwilami ból dokuczał bardziej, chwilami mniej, a to z kolei wpływało na tok jego myśli. Kiedy ból się wzmagał, Winston myślał jedynie o swoim żołądku i głodzie; gdy tylko robiło mu się trochę lepiej, natychmiast ogarniał go strach. Chwilami tak dokładnie wyobrażał sobie, co go czeka, że serce waliło mu jak młotem, a w płucach brakowało tchu. Czuł na łokciach razy spadających pałek, a na łydkach kopniaki podkutych butów; widział siebie, jak tarza się po ziemi i wyje, błagając o litość przez pieńki powybijanych zębów. Prawie nie myślał o Julii. Próbował, lecz jego myśli zaraz biegły innym torem. Wiedział, że ją kocha i że jej nie zdradzi; ale poczucie to było tak bezemocjonalne, jak znajomość matematycznych reguł. Nie czuł miłości i wcale nie zastanawiał się nad losem dziewczyny. Częściej myślał o O'Brienie, i to z pewną nikłą nadzieją. O'Brien musiał mieć już informacje o aresztowaniu. Mówił, że Braterstwo nigdy nie stara się ratować swoich członków, ale wspominał też o żyletce; jeśli im się uda, dostarczą mu żyletkę. Będzie miał pewnie z pięć sekund, zanim strażnik wpadnie do celi. Wyobraził sobie palący chłód ostrza, które werżnie

mu się w ciało; nawet palce zaciśnięte na żyletce będzie miał rozorane aż do kości. Wszystko sprowadzało się do jego obolałego ciała-a ono kurczyło się, dygocząc, na myśl o najmniejszym bólu. Wątpił, czy starczy mu odwagi, by użyć żyletki, nawet jeśli ją dostanie. Bardziej naturalne wydawało mu się egzystować z chwili na chwilę, cieszyć się z każdych dziesięciu minut życia, nawet ze świadomością, że nie uniknie tortur.

Dla zabicia czasu usiłował liczyć lśniące kafle pokrywające ściany. Proste, łatwe zajęcie, a jednak ciągle gubił się w rachubie. Dość często próbował zgadnąć, gdzie się znajduje i która jest godzina. Raz był przekonany, że na zewnątrz świeci słońce, a za moment, że panuje nieprzenikniona noc. Niemal instynktownie wiedział, że tu światło nie gaśnie nigdy. Przebywał w miejscu, gdzie nie ma mroku; teraz pojął, dlaczego O'Brien jakby od razu zrozumiał jego aluzję. Gmach Ministerstwa Miłości pozbawiony był okien. Cela mogła mieścić się w samym środku budynku lub przy jednej ze ścian zewnętrznych; mogła znajdować się dziesięć pięter pod powierzchnią lub trzydzieści nad ziemią. W myślach przenosił ją z miejsca na miejsce i usiłował wybadać z reakcji swojego ciała, czy tkwi wysoko pod niebem, czy głęboko w dole.

Na korytarzu rozległ się miarowy stukot butów. Stalowe drzwi otworzyły się z głośnym zgrzytem. Młody oficer o zgrabnej sylwetce opiętej czarnym mundurem, niemal całym z lśniącej, wypolerowanej skóry, i o bladej, surowej twarzy podobnej do woskowej maski wmaszerował sprężystym krokiem do środka i dał znak strażnikom, żeby wprowadzili eskortowanego więźnia. Do celi, powłócząc nogami, wszedł poeta Ampleforth. Drzwi zatrzasnęły się z głuchym łoskotem.

Ampłeforth obrócił się niepewnie w lewo, potem w prawo, jakby szukał drugich drzwi, przez które mógłby wydostać się na zewnątrz, po czym zaczął chodzić tam i z powrotem. Jeszcze nie dostrzegł Winstona. Jego niespokojny wzrok przesuwał się po ścianie mniej więcej metr nad głową siedzącego. Ampłeforth był bez butów; duże brudne palce u nóg wyłaziły przez dziury w skarpetkach. Najwyraźniej nie golił się od kilku dni. Twarz aż po kości policzkowe pokrywał szczeciniasty zarost, nadając jej bandycki wygląd, dziwnie nie pasujący do dużego, ale słabego ciała i nerwowych ruchów.

Winston otrząsnął się nieco z letargu. Choćby miał narazić się na wrzaski teleekranu, musiał odezwać się do Amplefortha. Istniał cień prawdopodobieństwa, że to właśnie poeta przekaże mu żyletkę.

- Ampłeforth - rzekł.

Teleekran milczał. Ampłeforth zatrzymał się, lekko zaskoczony. Powoli przeniósł wzrok na Winstona.

- A, Smith! - zawołał. - Ty również!

- Za co cię zamknęli?

- Prawdę mówiąc... - Usiadł ciężko na ławie naprzeciw Winstona. - Jest tylko jedna zbrodnia, nie?

- I ty ją popełniłeś?

- Na to wygląda.

Przyłożył dłoń do czoła i trzymał ją tak przez chwilę, jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

- Nie ma jak temu zapobiec. Zdołałem odgrzebać w pamięci jeden jedyny moment, kiedy mogłem ją popełnić. Tak, postąpiłem bardzo nierozważnie. Przygotowywaliśmy ostateczne wydanie poezji Kiplinga. Pozwoliłem, żeby na końcu jednego wersu pozostało słowo „Bóg". Nie miałem wyjścia! -zawołał niemal z oburzeniem, unosząc głowę, by spojrzeć na Winstona. - Nie dało rady tego zmienić. Konieczny był rzeczownik, pełny rym męski do słowa „głóg". Znalazłem czterdzieści, lecz żaden nie pasował. Przez wiele dni łamałem sobie głowę, aż w końcu dałem za wygraną. Więcej takich słów po prostu nie ma!

Wyraz jego twarzy uległ transformacji. Znikło rozdrażnienie; przez chwilę Ampłeforth miał prawie zadowoloną minę. Mimo brudu i zarostu jego oblicze promieniowało intelektualnym ciepłem, radością pedanta z odkrycia jakiegoś bezużytecznego faktu.

- Czy myślałeś kiedykolwiek o tym, jak bogactwo lub ubóstwo rymów wpływa na treść poezji?

Nie, tego problemu Winston akurat nigdy nie rozważał. W obecnych okolicznościach tym bardziej nie wydało mu się to ani specjalnie ważne, ani interesujące.

- Wiesz może, która jest godzina? - spytał.

Amplefort znów zrobił zaskoczoną minę.

- W ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Aresztowali mnie dwa dni temu. Może trzy. - Ponownie obiegł spojrzeniem ściany, jakby oczekiwał, że zobaczy okno. - Tu noce i dnie nie różnią się od siebie. Nie wiem, jak mierzyć upływ czasu.

Przez kilka minut prowadzili urywaną rozmowę, po czym nagle, bez żadnego wyraźnego powodu, teleekran wrzasnął na nich, żeby się uciszyli. Winston siedział spokojnie ze skrzyżowanymi rękami. Ampleforth, zbyt masywny, by zmieścić się wygodnie na wąskiej ławce, wiercił się splatając szczupłe dłonie to na jednym, to na drugim kolanie. Teleekran warknął na niego, żeby przestał się kręcić. Czas płynął. Dwadzieścia minut, godzina - trudno zgadnąć. Na korytarzu znów zadudniły kroki. Winston poczuł skurcz kiszek. Wkrótce, już bardzo niedługo, może za pięć minut, a może nawet teraz, tupot za drzwiami będzie oznaczał, że nadeszła jego kolej.

Drzwi otworzyły się. Do celi wszedł oficer o lodowatej twarzy. Szybkim ruchem dłoni wskazał Ampleforthа.

- Pokój sto jeden - powiedział.

Ampleforth wymaszerował niezdarnie między dwoma strażnikami; na jego twarzy malował się cień niepokoju, lecz przede wszystkim dezorientacja.

Winstonowi zdawało się, że mijają godziny. Ból żołądka narastał. Myśli krążyły uporczywie tymi samymi torami, niczym bile raz po raz wpadając do tych samych łuz. Powtarzało się tylko sześć tematów. Ból żołądka - kromka chleba - krew i krzyki - O'Brien - Julia - żyletka. Znów poczuł skurcz kiszek; kroki zbliżały się ponownie. Kiedy odemknięto drzwi celi, poruszone nimi powietrze wypełniła ostra woń zimnego potu. Do celi wszedł Parsons. Miał na sobie szorty barwy khaki i sportową koszulę.

Winston był tak zaskoczony, że zapomniał o własnej niedoli.

- Ty tutaj? - zawołał.

W spojrzeniu, które Parsons mu posłał, nie malowało się ani zaciekawienie, ani zdumienie, jedynie boleść. Zaczął przechadzać się nerwowo po celi, najwyraźniej niezdolny usiedzieć w miejscu. Kiedy przy każdym kroku prostował grube kolana, widać było, że nogi mu dygoczą. Oczy miał wielkie, rozszerzone, jakby cały czas wypatrywał czegoś w oddali.

- Za co się wsadzili? - spytał Winston.

- Za myślozbrodnię! - wykrzyknął Parsons, o mało nie wybuchając płaczem.

Ton jego głosu sugerował z jednej strony pełne przyznanie się do winy, a z drugiej zdumienie i trwogę, że coś takiego mogło się przytrafić właśnie jemu. Zatrzymał się przed Winstonem i zaczął wypytywać go błagalnie:

- Nie zastrzelą mnie, prawda, stary? Nie zabiją kogoś, kto niczego nie zrobił, tylko coś pomyślał wbrew sobie, prawda? Wiem, że potraktują mnie sprawiedliwie. Mam do nich pełne zaufanie! Będą wiedzieli, że mam nieskazitelną opinię, prawda? Nawet ty możesz to poświadczyć! Starałem się, jak umiałem, prawda? Może nie jestem najbystrzejszy, ale za to nigdy nie żałowałem sił. Wypruwałem sobie żyły dla Partii! Nie skażą mnie na więcej niż pięć lat, co? Góra dziesięć, prawda? Ktoś taki jak ja przyda się w obozie pracy, prawda? Nie zastrzelą mnie przecież za ten jeden wyskok, co?

- Jesteś winny?

- Oczywiście! - zawołał Parsons, zerkając wiernopoddańczo w stronę teleekranu. - Chyba nie sądzisz, że Partia mogłaby aresztować niewinnego człowieka, co?

Jego żabia twarz jakby się trochę uspokoiła, a nawet przybrała nieco świętoszkowaty wyraz.

- Myślozbrodnia to straszna rzecz, stary - oświadczył moralizatorskim tonem. - Może zdradziecko wkraść się do twojego umysłu bez najmniejszego udziału woli. Wiesz, jak to było ze mną? Owładnęła mną we śnie! Tak, wierz mi. Żyłem sobie spokojnie, pracowałem, przykładałem się najlepiej, jak mogłem, i nawet nie podejrzewałem, że w moim umyśle dzieje się coś niedobrego. Po czym nagle zacząłem mówić przez sen. I wiesz, co powiedziałem?

Zniżył głos, jak ktoś, kto ze względów medycznych musi użyć nieprzyzwoitego słowa.

- „Precz z Wielkim Bratem!" Tak, dokładnie! Ja! Podobno nawet powtórzyłem wiele razy. *Zdradzę* ci w zaufaniu, stary, cieszę się, że mnie aresztowano, zanim posunąłem się dalej. Wiesz, co zrobię, kiedy postawią mnie przed trybunałem? „Dziękuję wam - oświadczę - że mnie uratowaliście, zanim byłoby za późno".

- Kto cię zadenuncjował?

- Moja córeczka - oznajmił Parsons z ponurą dumą. - Podsłuchiwała przez dziurkę od klucza. Jak usłyszała, co mówię, zaraz nazajutrz pognała na policję. Ma dopiero siedem lat, a patrz, jaka cwana! Wcale nie mam jej za złe tego, co zrobiła. Jestem z niej dumny. Przynajmniej widać, że dobrze ją wychowałem.

Postąpił nerwowo kilka kroków, zerkając z upragnieniem na muszle klozetową, po czym nagle ściągnął szorty.

- Przepraszam cię, stary. Nic nie poradzę. Nie wytrzymuję tego czekania.

Usadowił swój tłusty zad na muszli. Winston przysłonił twarz dłońmi.

- Smith! - ryknął teleekran. - 6079 Smith W.! Odkryć twarz! W celi nie wolno zasłaniać twarzy!

Winston odjął dłonie od oczu. Parsons załatwiał się długo, głośno i obficie. Ponieważ odpływ był zatkany, cela cuchnęła potem przez wiele godzin.

Parsonsa zabrano. Do celi wprowadzano coraz to nowych więźniów, a po pewnym czasie zabierano ich, nie wiadomo dokąd. Jedna z kobiet miała pójść do pokoju sto jeden; Winston zauważył, jak na wieść o tym skurczyła się i zbladła. W pewnym momencie doszedł do wniosku, że jeśli trafił tu rano, teraz musi być popołudnie; jeśli po południu, północ. W celi znajdowało się sześcioro więźniów. Wszyscy siedzieli bez ruchu. Miejsce naprzeciw Winstona zajmował mężczyzna o tłustym podbródku i wystających zębach, który przypominał jakiegoś wielkiego, nieszkodliwego gryzonia. Jego obfite, czerwone policzki były tak pękate, jakby miał w nich poupychane zapasy jedzenia, a bladoszare oczy przesuwały się płochliwie po twarzach współwięźniów i umykały natychmiast, gdy ktoś kierował na niego wzrok.

Drzwi otworzyły się i do celi wprowadzono kolejnego więźnia; na jego widok ciarki przeszły Winstona po grzbiecie. Wygląd miał dość powszedni, nawet prostacki; mógł być inżynierem czy technikiem. Jednakże chudość jego twarzy przejmowała grozą. Właściwie była to czaszka. Wymizerowanie sprawiało, że usta i oczy wydawały się nieproporcjonalnie wielkie; zwłaszcza oczy, w których żarzyła się jakaś straszliwa, mordercza nienawiść.

Chudzielec usiadł na ławie nieopodal Winstona. Winston nie patrzył na niego, lecz udręczona, wynędzniała twarz tak silnie wryła mu się w pamięć, że widział ją równie wyraźnie, jakby nadal się w nią wpatrywał. Nagle zdał sobie sprawę, co dolega mężczyźnie. Po prostu umierał z głodu. W tym samym momencie uświadomili to sobie także pozostali. Naokoło celi poszedł szmer. Więzień o tłustych policzkach to kierował spojrzenie na głodomora, to odwracał je zmieszany, to znów zerkał w jego stronę; nie umiał się powstrzymać od patrzenia. Przez chwilę wiercił się niespokojnie, w końcu wstał, przeszedł kaczym chodem przez celę, pogrzebał w kieszeni kombinezonu i nieśmiało podał nowemu przybrudzony kawałek chleba.

Z teleekranu rozległ się wściekły, ogłuszający ryk. Grubas aż podskoczył. Głodomór natomiast schował ręce za siebie, jakby demonstrując całemu światu, że nie zamierzał przyjąć daru.

- Bumstead! - ryczał teleekran. - 2713 Bumstead J.! Rzuć chleb na ziemię!

Grubas upuścił kawałek chleba.

- Pozostań na miejscu! - rozkazał dalej głos. - Obróć się twarzą do drzwi! I nie ruszaj się!

Grubas posłusznie wykonał polecenia. Jego wielkie, pękate policzki drżały niepohamowanie. Drzwi otworzyły się z łoskotem. Do środka wmaszerował młody oficer i usunął się na bok; za nim wpadł niski, krępy strażnik o potężnych barach. Zatrzymał się przed grubasem, po czym, na znak oficera, zamachnął się szeroko i z całej siły rąbnął więźnia pięścią w usta. Cios niemal oderwał grubasa od ziemi. Przeleciał przez długość celi i upadł obok muszli klozetowej. Przez chwilę leżał ogłuszony, a z ust i nosa sączyła mu się ciemnoczerwona krew. Półprzytomny, wydawał z siebie ciche jęki, niemal zwierzęce skowytanie. Potem przekręcił się na brzuch i zaczął niepewnie unosić się na czworakach. Z ust wypadła mu ociekająca śliną i krwią sztuczna szczęka, złamana na pół.

Pozostali więźniowie siedzieli bez ruchu, z rękami splecionymi na kolanach. Grubas dowlókł się na swoje miejsce. Jedna strona twarzy zaczynała mu sinieć. Spuchnięte usta wyglądały jak wiśniowy wrzód z czarną dziurą pośrodku. Od czasu do czasu wąska strużka krwi ściekała mu na pierś. Szare oczy, w których malowało się poczucie winy, znów wędrowały szybko po twarzach obecnych, jakby grubas usiłował się przekonać, czy współwięźniowie pogardzają nim ze względu na doznane przez niego upokorzenie.

Drzwi ponownie się otworzyły. Oficer wskazał niedbałym gestem głodomora.

- Pokój sto jeden - rzekł.

Obok Winstona rozległ się jęk, po czym coś upadło na ziemię. To głodomór rzucił się na kolana, wyciągając błagalnie ręce.

- Towarzyszu oficerze! - zawołał. - Nie zabierajcie mnie tam! Przecież powiedziałem już wszystko! Co jeszcze chcecie wiedzieć? Gotów jestem przyznać się do każdej zbrodni, naprawdę każdej! Powiedzcie tylko, do czego mam się przyznać, a natychmiast to zrobię! Przygotujcie dowolne zeznania, ja wszystko podpiszę! Przysięgam! Tylko nie bierzcie mnie do pokoju sto jeden!

- Pokój sto jeden - powtórzył oficer.

Twarz głodomora, od początku bardzo blada, przybrała teraz odcień, który Winston zawsze dotąd uważał wyłącznie za przenośnię. Stała się autentycznie zielona.

- Uczyńcie ze mną, co chcecie! Głodzicie mnie od tygodni. Więc zabijcie mnie wreszcie! Zastrzelcie! Powieście! Skażcie na dwadzieścia pięć lat ciężkich robót! Chcecie, żebym jeszcze kogoś wsypał? Powiedzcie tylko kogo, a natychmiast go obciążę! Nie obchodzi mnie, kto to będzie ani co z nim zrobicie! Mam żonę i troje dzieci. Najstarsze z nich nie ma jeszcze sześciu lat. Możecie przywieźć tu ich wszystkich i na moich oczach poderżnąć im gardła. Wolę to, niż iść do pokoju sto jeden!

- Pokój sto jeden - powtórzył oficer.

Głodomór powiódł oszalałym spojrzeniem po współwięźniach, jakby szukał kogoś, z kim mógłby się zamienić na miejsca. Jego wzrok zatrzymał się na zakrwawionej twarzy grubasa. Wskazał go wychudłą dłonią.

- To jego powinniście zabrać, a nie mnie! - zawołał. - Nie słyszeliście, co mówił, kiedy dostał w gębę! Poczekajcie, zaraz wam wszystko powtórzę! To on jest wrogiem Partii, nie ja!

Kiedy strażnicy postąpili krok w stronę głodomora, jego głos przeszedł w cienki pisk.

- Nie słyszeliście! Coś się zacięło w teleekranie! To on jest wrogiem! Bierzcie jego, nie mnie!

Dwóch masywnych strażników pochyliło się, by chwycić głodomora pod pachy, ale rzucił się rozpaczliwie w bok i uczepił żelaznej nogi ławki, skowycząc jak zwierzę. Usiłowali go oderwać, jednakże trzymał się kurczowo i z nieoczekiwaną siłą. Szamotali się tak z pół minuty. Pozostali więźniowie siedzieli bez słowa, z rękami złożonymi na kolanach, patrząc prosto przed siebie. Skowyt ucichł; głodomór z trudem łapał oddech, lecz nie dawał się oderwać od ławki. Nagle zawył; to jeden ze strażników zmiażdżył mu palce kopniakiem. Teraz z łatwością podnieśli go na nogi.

- Pokój sto jeden - powtórzył oficer.

Strażnicy wyprowadzili głodomora; szedł słaniając się, z głową zwieszoną nisko, tuląc do piersi bolącą rękę; wola walki opuściła go zupełnie.

Czas płynął. Jeśli głodomora wyprowadzono o północy, nastał już świt; jeśli o świcie, minęło południe. Winston był sam; sam od kilku godzin. Od siedzenia na wąskiej ławce tak bardzo bolały go kości, że co pewien czas wstawał i przechadzał się po celi; teleekran ani razu dotąd nie zareagował. Kawałek chleba leżał wciąż tam, gdzie upuścił go grubas. Początkowo Winston musiał specjalnie odwracać wzrok, żeby nie patrzeć w tamtą stronę, ale w końcu głód ustąpił miejsca pragnieniu. W ustach miał suchy, nieprzyjemny smak. Miarowy szum i ciągłe jaskrawe światło sprawiły, że ogarnęła go słabość, a w głowie czuł kompletną pustkę. Kiedy nie mógł już dłużej wytrzymać bólu, wstawał, po czym siadał niemal natychmiast, gdyż ilekroć się podnosił, zaczynało mu się kręcić w głowie. Kiedy chwilami niewygody ciała przestawały mu tak okropnie doskwierać, powracał przeraźliwy strach. Momentami z gasnącą nadzieją myślał o O'Brienie i żyletce. Wydawało mu się prawdopodobne, że zostanie dostarczona w jedzeniu -jeśli w ogóle będą go tu karmić. Rzadziej myślał o Julii. Możliwe, że cierpi teraz jeszcze gorsze męczarnie niż on. Może właśnie w tym momencie wyje z bólu. „Czy gdybym mógł ją uratować, zwiększając swoje męki, uczyniłbym to? - zapytał się w myślach. - Tak, nie wahałbym się". Ale była to wyrozumowana decyzja; uznał, że tak należy postąpić. Nie podyktowała mu tej odpowiedzi miłość. Tu, gdzie teraz przebywał, nie odczuwało się nic prócz bólu i strachu przed jeszcze większym bólem. A zresztą, czy kiedy się cierpi, można z jakiegokolwiek powodu szczerze pragnąć, aby ból się wzmógł? Tego jeszcze nie wiedział.

Znów rozległy się kroki. Szczęknęły drzwi. Do celi wszedł O'Brien.

Winston poderwał się na równe nogi. Widok O'Briena tak go zaskoczył, że zapomniał o ostrożności. Po raz pierwszy od wielu lat zapomniał nawet o obecności teleekranu.

- Was też mają!

- I to od bardzo dawna - odparł ironicznie i niemal z żalem przybysz.

Odsunął się od drzwi; za nim wkroczył potężnie zbudowany strażnik z długą czarną pałką w ręce.

- Wiedziałeś o tym, Winston - rzekł O'Brien. - Nie oszukuj się. Wiedziałeś; wiedziałeś od samego początku.

Tak, Winston zdał sobie teraz sprawę, że rzeczywiście wiedział od samego początku. Nie miał jednak czasu głębiej się nad tym zastanawiać. Całą uwagę skupił na pałce w dłoni strażnika. Mogła spaść wszędzie: rąbnąć go w czubek głowy, tuż nad uchem, w ramię, w łokieć...

Łokieć! Osunął się na kolana jak rażony gromem, drugą ręką przyciskając palący łokieć. Przed oczami zrobiło mu się żółto. Niemożliwe, niemożliwe, aby jeden cios mógł wywołać tak przeraźliwy ból! Kiedy wzrok mu się rozjaśnił, ujrzał strażnika i O'Briena, którzy pochylali się nad nim. Strażnik chichotał obserwując, jak więzień skręca się z bólu. A Winston poznał odpowiedź na swoje pytanie. Nigdy, z najwznioślejszego powodu, nie można pragnąć zwiększenia bólu. Chce się tylko jednego: by zelżał. Nic na świecie nie jest tak straszne jak ból fizyczny. W obliczu bólu nie ma bohaterów, w obliczu bólu nie ma bohaterów - powtarzał w myślach, tarzając się po posadzce i bezradnie tuląc do siebie rwące lewe ramię.

2

Leżał na czymś zbliżonym do polowego łóżka, ale znacznie wyższym, w dodatku nie mógł się poruszyć, gdyż krępowały go pasy. Światło, jeszcze bardziej jaskrawe niż zwykle, świeciło mu

prosto w twarz. Tuż obok łóżka stał O'Brien, wpatrując się w niego badawczo. Z drugiej strony znajdował się mężczyzna w białym kitlu trzymający strzykawkę.

Kiedy otworzył oczy, nie od razu zdał sobie sprawę ze swojego otoczenia. Miał uczucie, że wpływa do tego wnętrza z zupełnie innego świata, z podwodnego świata gdzieś głęboko w dole. Nie miał pojęcia, jak długo tam przebywał. Od momentu aresztowania nie widział ani mroku, ani światła dziennego. Poza tym jego wspomnieniom brakowało ciągłości. Zdarzało się, że świadomość - nawet taka, jaką ma człowiek śpiący - urywała mu się zupełnie i powracała po przerwie wypełnionej próżnią. Lecz czy przerwy te trwały dni, tygodnie, czy zaledwie sekundy, tego nie wiedział.

Koszmar rozpoczął się od uderzenia w łokieć. Dopiero znacznie później Winston zdał sobie sprawę, że było to jedynie wstępne, rutynowe przesłuchanie, jakiemu poddawano niemal wszystkich więźniów. Istniał długi wykaz zbrodni -szpiegostwo, sabotaż i tym podobne - do których po prostu każdy musiał się przyznać. Stanowiło to zwykłą formalność, choć same tortury były jak najprawdziwsze. Nie pamiętał, ile razy go bito i jak długo. Zawsze zajmowało się nim pięciu lub sześciu oprawców w czarnych mundurach. Czasami walili go pięściami, kiedy indziej używali pałek lub żelaznych prętów, czasem wyłącznie kopali. Zdarzało się, że przekroczywszy wszelkie granice wstydu tarzał się po posadzce jak zwierzę, zwijając się i miotając na boki w ciągłej, beznadziejnej próbie uniknięcia buciorów, które co chwila trafiały go w żebra, brzuch, łokcie, uda, pachwiny, jądra i kość ogonową. Niekiedy tortury trwały tak długo, że najokrutniejsze, najstraszniejsze i najbardziej nieludzkie wydawało mu się nie to, iż funkcjonariusze nie przestają się nad nim pastwić, lecz że sam nie potrafi się zmusić do utraty przytomności. Wiele razy kompletnie zawodziły go nerwy i wtedy błagał o litość, jeszcze zanim spadło pierwsze uderzenie; sam widok pięści wzniesionej do ciosu wystarczył, aby zaczął przyznawać się do prawdziwych i zmyślonych zbrodni. Czasami obiecywał sobie, że tym razem nie powie nic, i każde słowo musieli z niego wyciskać pomiędzy jękami bólu; kiedy indziej decydował się na niewielki kompromis, postanawiając: „Przyznam się, ale jeszcze nie teraz. Muszę wytrzymać, aż ból stanie się nieznośny. Jeszcze trzy kopniaki, jeszcze dwa, a wtedy zeznam to, czego chcą". Nieraz bili go tak, że ledwo mógł ustać, po czym ciskali na kamienną posadzkę celi niczym wór kartofli, a gdy po kilku godzinach przychodził nieco do siebie, zabierali go i znów bili. Zdarzały się i dłuższe okresy, kiedy pozwalano mu trochę odzyskać siły. Niewiele z tego zostało mu w pamięci, gdyż albo wówczas spał, albo leżał otępiały. Pamiętał celę z blaszaną miednicą do mycia i twardą pryczą z desek, jakby półką umocowaną do ściany, oraz posiłki złożone z gorącej zupy, chleba i rzadziej kawy. Pamiętał gburowatego fryzjera, który przyszedł zeskrobać mu zarost i przystrzyc włosy, a także ludzi w białych kitlach: ci w sposób rutynowy, bez cienia współczucia, mierzyli mu puls, sprawdzali odruchy, podwijali powieki, obmacywali twardymi rękami ciało, szukając połamanych kości, i wstrzykiwali środki nasenne.

Tortury stały się rzadsze; funkcjonowały teraz na zasadzie groźby, okropności, które lada moment mogą go znów spotkać, jeśli odpowiedzi będą niezadowalające. Przesłuchania prowadzili teraz nie oprawcy w czarnych mundurach, lecz partyjni intelektualiści, mali, krępi osobnicy o szybkich ruchach i połyskujących okularach; zmieniali się kilkakrotnie podczas każdej sesji, zwykle trwającej - tak mu się zdawało, choć pewności nie miał - dziesięć, dwanaście godzin. Ci nowi śledczy pilnowali, żeby wciąż odczuwał lekki ból, ale nie polegali wyłącznie na bólu. Bili go po twarzy, szarpali za włosy, wykręcali mu uszy, kazali stać na jednej nodze, nie pozwalali oddać moczu, świecili w twarz jaskrawymi lampami, aż oczy zaczynały mu łzawić; to wszystko jednak robili głównie po to, żeby go poniżyć i pozbawić zdolności logicznego rozumowania. Ich prawdziwą bronią było samo śledztwo, ciągnące się bezlitośnie przez długie godziny, kiedy to usiłowali przyłapać go na sprzecznych zeznaniach, zastawiali na niego pułapki i przekręcali jego wypowiedzi, co rusz zarzucając mu kłamstwo i plątanie się w faktach, aż zaczynał płakać ze wstydu i nerwowego wyczerpania. Zdarzało się, że płakał kilka razy podczas jednej sesji. Niemal cały czas

wrzeszczeli i obrzucali go wyzwiskami, a gdy się wahał, co mówić, grozili, że znów trafi do rąk strażników; niekiedy jednak nieoczekiwanie zmieniali taktykę, tytułując go „towarzyszem", apelując do jego sumienia w imię angsocu i Wielkiego Brata i pytając ze smutkiem, czy tak dalece wyzbył się lojalności wobec Partii, iż nie pragnie naprawić wyrządzonych przez siebie szkód. Po wielogodzinnej sesji, kiedy nerwy miał już zupełnie poszarpane, nawet na takie słowa reagował łkaniem. W końcu ich natrętne głosy złamały go bardziej niż pięści i buciory strażników. Cała jego osoba sprowadzała się teraz do ust, które mówiły to, czego żądano, i do ręki, która podpisywała wszystko, co mu podsunięto. Jedynym celem, jaki sobie stawiał, było odgadnąć czym prędzej, do czego ma się przyznać - i przyznawał się natychmiast, żeby tylko się nad nim więcej nie znęcali. Przyznał się do zamachów na ważnych członków Partii, do rozprowadzania ulotek o wywrotowych treściach, do malwersacji pieniężnych, do sprzedawania tajemnic wojskowych, do uprawiania sabotażu. Przyznał się, że od 1968 roku był płatnym szpiegiem rządu wschódazjatyckiego. Zeznał, że uprawiał praktyki religijne, że jest zwolennikiem kapitalizmu i zboczeńcem seksualnym. Przyznał się do zamordowania żony, chociaż wiedział, a przesłuchujący zapewne wiedzieli również, iż ona wciąż żyje. Zeznał, że od lat utrzymywał ścisły kontakt z Goldsteinem i należał do podziemnej organizacji, w której szeregach znalazły się także niemal wszystkie znajome mu osoby. Najprościej było przyznać się do wszystkiego i obciążyć każdego, kogo się tylko znało. Zresztą w pewnym sensie nie kłamał. Był przecież wrogiem Partii, a w oczach Partii między myślą i czynem nie zachodziła żadna różnica.

Miał też inne wspomnienia. Zapisały się w jego umyśle jako luźne, nie powiązane ze sobą obrazy przedzielone czernią.

Znajdował się w celi, w której równie dobrze mógł panować mrok jak jasność, albowiem całe pole widzenia wypełniała para świecących oczu. Tuż obok tykało wolno i miarowo jakieś urządzenie. Oczy powiększyły się, stały bardziej lśniące. Nagle wzniósł się do góry, skoczył między ślepia i znikł.

Przywiązany do fotela i otoczony tarczami różnych przyrządów, siedział skąpany blaskiem oślepiających lamp. Człowiek w białym kitlu studiował tarcze. Na korytarzu rozległy się ciężkie kroki. Drzwi otworzyły się z łoskotem. Do środka wmaszerował oficer o woskowej twarzy, a za nim dwaj strażnicy.

- Pokój sto jeden - rozkazał oficer.

Człowiek w białym kitlu nie zareagował. Nie spojrzał też na Winstona; cały czas wpatrywał się tylko w tarcze.

Toczył się ogromnym korytarzem szerokości kilometra zalanym wspaniałym złotym światłem, wyjąc ze śmiechu i wykrzykując ile tchu najróżniejsze zeznania. Przyznawał się do wszystkiego, nawet do tego, co udało mu się przemilczeć podczas tortur. Spowiadał się z całego życia słuchaczom, którzy świetnie je znali. Razem z nim byli jego oprawcy, śledczy, ludzie w białych kitlach. O'Brien, Julia, pan Charrington; wszyscy toczyli się korytarzem, zarykując się ze śmiechu. Jakieś okropne zdarzenie, które miało nastąpić w przyszłości, ominęło go i już nie musiał się obawiać. Wszystko było w porządku, tortury się skończyły, każdy szczegół jego życia został wyciągnięty na wierzch, zrozumiany, wybaczony.

Na wpół uniósł się z twardej pryczy, przekonany, że doleciał go głos O'Briena. Podczas przesłuchań, aczkolwiek nie widział go ani razu, miał uczucie, że O'Brien stoi tuż obok, choć poza zasięgiem wzroku. To O'Brien wszystkim kierował. On kazał strażnikom bić Winstona i on pilnował, aby go nie zatłukli na śmierć. To on decydował, kiedy więzień ma wyć z bólu, kiedy odpoczywać, kiedy jeść, kiedy spać, jakie środki należy mu wstrzykiwać. To on zadawał pytania i podsuwał odpowiedzi. On był katem i obrońcą, inkwizytorem i przyjacielem. Pewnego razu - Winston nie pamiętał, czy podczas normalnego snu, czy też snu wywołanego środkami nasennymi, a może nawet w momencie przebudzenia - usłyszał przy uchu szept: „Nie przejmuj się, Winston; mam nad tobą pieczę. Obserwowałem cię przez siedem lat. Teraz nadeszła chwila zwrotna. Uratuję

cię, uczynię doskonałym." Nie miał pewności, czy przemawiał do niego O'Brien, ale nie wątpił, że był to ten sam głos, który w innym śnie, przed siedmioma laty, oznajmił mu: „Spotkamy się tam, gdzie nie ma mroku."

Nie pamiętał końca przesłuchań. We wspomnieniach miał lukę; następna rzecz, która powoli wyłoniła się w jego świadomości, to pomieszczenie czy też cela, gdzie znajdował się teraz. Leżał niemal płasko na wznak i nie mógł się poruszyć. Jego ciało w różnych punktach przytrzymywały pasy. Nawet głowę miał całkowicie unieruchomioną. O'Brien przyglądał mu się z powagą i jakby ze smutkiem. Widziana od dołu twarz była prostacka i zmęczona, z worami pod oczyma i głębokimi bruzdami ciągnącymi się od nosa do brody. O'Brien wyglądał starzej, niż Winstonowi się dotąd wydawało; mógł już mieć pięćdziesiątkę. Trzymał dłoń na przełączniku obok tarczy z podziałką.

- Powiedziałem ci - rzekł O'Brien - że jeśli się spotkamy, to właśnie tutaj.

- Tak - przyznał Winston.

Drobny ruch dłoni O'Briena i bez żadnego uprzedzenia Winstona zalała fala bólu. Torturę potęgował fakt, że więzień nie widział, co się dzieje, a czuł się tak, jakby zadawano mu śmiertelne rany. Nie miał pojęcia, czy katują go naprawdę, czy też wrażenie bólu powstaje za sprawą prądu, lecz zdawało mu się, że ciało rozszarpują mu szczypce, a stawy wyłamuje jakaś siła. I choć od bólu pot wystąpił mu na czoło, straszniejsza od samych cierpień była myśl, że pęknie mu kręgosłup. Zacisnął zęby i oddychał ciężko przez nos, usiłując jak najdłużej wytrzymać bez krzyku.

- Boisz się, że za chwilę coś ci pęknie - zauważył O'Brien, obserwując jego twarz. - Najbardziej się lękasz, że trzaśnie ci kręgosłup. Masz przed oczami wyraźny obraz tego, jak kręgi odskakują od siebie, a spomiędzy nich zaczyna się sączyć płyn rdzeniowy. O tym właśnie teraz myślisz, prawda, Winston?

Winston nie odpowiedział. O'Brien przesunął umieszczony nad tarczą przełącznik. Ból odpłynął niemal równie szybko, jak się pojawił.

- To było czterdzieści - wyjaśnił O'Brien. - Jak widzisz, skala dochodzi do setki. Staraj się nie zapominać podczas naszej rozmowy, że w każdej chwili mogę zadać ci ból o dowolnym natężeniu, dobrze? Jeśli zaczniesz uciekać się do kłamstw, stosować wykręty lub choćby udzielać mi odpowiedzi nie dorastających do twoich umysłowych możliwości, natychmiast będziesz wył z bólu. Zrozumiałeś?

- Tak.

Zachowanie O'Briena stało się mniej surowe. Poprawił w zamyśleniu okulary i przeszedł parę kroków. Kiedy się znów odezwał, jego głos był łagodny i cierpliwy. O'Brien miał teraz w sobie coś z lekarza, nauczyciela lub nawet księdza, kogoś, kto nie pragnie karać, lecz tłumaczyć i przekonywać.

- Specjalnie zadaję sobie tyle trudu i zajmuję się tobą, Winston, bo jesteś tego wart. Sam dobrze wiesz, co ci dolega. Wiedziałeś od lat, chociaż usiłowałeś nie dopuszczać tego do świadomości. Jesteś obłąkany. Cierpisz na zaburzenia pamięci. Nie pamiętasz prawdziwych wypadków i wmawiasz w siebie, że pamiętasz zdarzenia, które nigdy nie miały miejsca. Na szczęście twoja choroba jest uleczalna. Sam nigdy się nie wykurowałeś, bo nie chciało ci się próbować. Wymagało to wysiłku, na który nie umiałeś się zdobyć. Wiem, że nawet teraz wciąż trwasz przy swoich ułudach, bo wydaje ci się, że na tym polega cnota. Przykładowo, z którym mocarstwem, twoim zdaniem, Oceania prowadzi obecnie wojnę?

- Kiedy mnie aresztowano, prowadziła wojnę ze Wschódazją.

- Ze Wschódazją. Znakomicie. I zawsze prowadziła wojnę ze Wschódazją, tak?

Winston wciągnął powietrze. Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale się powstrzymał. Nie mógł oderwać oczu od tarczy.

- Mów prawdę, Winston, dobrze? S woj ą prawdę. Powiedz mi, co t y pamiętasz.

- Pamiętam, że zaledwie tydzień przed moim aresztowaniem, Wschódazją nie była naszym wrogiem. Łączył nas sojusz. A wojnę prowadziliśmy z Eurazją. Przez cztery lata. Wcześniej...

O'Brien powstrzymał go ruchem dłoni.

- Weźmy inny przykład. Przed kilkoma laty uległeś bardzo poważnym omamom. Nabrałeś przekonania, że trzej ludzie, dawni członkowie Partii o nazwiskach Jones, Aaronson i Rutherford, straceni za zdradę i sabotaż po złożeniu pełnych, wyczerpujących zeznań, wcale nie popełnili zbrodni, o które ich oskarżano. Zdawało ci się, że widziałeś niezaprzeczalny dowód, jakoby te zeznania były fałszywe. Miałeś halucynacje na temat pewnej fotografii. Nawet wierzyłeś, że trzymałeś ją w palcach. I że wyglądała mniej więcej tak.

W rękach O'Briena pojawił się strzęp gazety. Przez pięć sekund Winston miał go w polu widzenia. Ujrzał zdjęcie, to samo zdjęcie, na które natrafił przypadkiem jedenaście lat temu i które zaraz zniszczył; pomyłka nie wchodziła w grę. O'Brien trzymał strzęp innego egzemplarza gazety ze zdjęciem Jonesa, Aaronsona i Rutherforda na uroczystości partyjnej w Nowym Jorku. Po chwili cofnął dłoń. Lecz zdjęcie istniało, co do tego nie było dwóch zdań! Z rozpaczliwym, bolesnym wysiłkiem Winston szarpnął całym ciałem, aby się podnieść. Ani drgnął. W tym momencie zapomniał nawet o tarczy. Pragnął tylko dotknąć fotografii albo przynajmniej jeszcze raz na nią spojrzeć.

- Więc istnieje! - zawołał.

- Nie - powiedział O'Brien.

Przeszedł na drugi koniec pomieszczenia. Na przeciwległej ścianie znajdowała się luka pamięci. O'Brien uniósł klapę. Strumień ciepłego powietrza porwał skrawek papieru; chwilę później połknęły go niewidoczne płomienie. O'Brien odwrócił się od ściany.

- Popiół - stwierdził. - Nawet nie popiół, pył. Zdjęcie nie istnieje. Nigdy nie istniało.

- Istniało! Wciąż istnieje! Istnieje w pamięci. Pamiętam je. Wy je pamiętacie!

- Nie pamiętam - rzekł O'Brien.

Winston stracił wszelką nadzieję. Na tym właśnie polegało dwójmyślenie. Czuł się absolutnie bezradny. Gdyby przynajmniej miał pewność, że O'Brien kłamie, nie ogarnęłoby go takie przygnębienie. O'Brien mógł jednak naprawdę zapomnieć o zdjęciu. A jeśli tak, zapomniał już również o własnych, tak niedawnych słowach, iż go nie pamięta, oraz o zabiegu myślowym, który pozwolił mu usunąć je z pamięci. Skąd można wiedzieć, że to tylko oszustwo? Może takie obłędne korygowanie pamięci zdarza się naprawdę; ta myśl przygnębiła Winstona do reszty.

O'Brien przyglądał mu się z namysłem. Teraz jeszcze bardziej przypominał nauczyciela, który zadaje sobie trud z niesfornym, lecz obiecującym uczniem.

- Istnieje slogan partyjny mówiący o rządzeniu przeszłością - rzekł. - Powtórz go, proszę.

- „Kto rządzi przeszłością, w tego rękach jest przyszłość; kto rządzi teraźniejszością, w tego rękach jest przeszłość" -wyrecytował posłusznie Winston.

- „Kto *rządzi* teraźniejszością, w tego rękach jest przeszłość" - powtórzył O'Brien, powoli, z aprobatą kiwając głową. - A czy twoim zdaniem, Winston, przeszłość istnieje naprawdę?

Winstona znów ogarnęła bezradność. Wbił spojrzenie w tarczę z podziałką. Nie wiedział, czy odpowiedź „tak", czy „nie" uchroni go od bólu; nie wiedział nawet, którą z nich uważa za słuszną.

O'Brien uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie jesteś metafizykiem, Winston. Dotychczas nie zastanawiałeś się nad znaczeniem słowa „istnieć". Uściślę więc pytanie. Czy przeszłość istnieje namacalnie gdzieś w przestrzeni? Czy jest takie miejsce, jakiś konkretny świat, w którym przeszłość nadal trwa?

- Nie.

- Gdzież więc, jeśli w ogóle, istnieje przeszłość?

- W dokumentach. Została zapisana.

- W dokumentach, mówisz? I gdzie jeszcze?

- W ludzkiej pamięci. We wspomnieniach.

- W pamięci, tak? No dobrze. Ale my, Partia, mamy w swoich rękach całą dokumentację i my panujemy nad wspomnieniami. A więc rządzimy przeszłością, prawda?

- Tylko jak możecie sprawić, by ludzie o czymś nie pamiętali? - zawołał Winston, na moment znów zapominając o tarczy i przełączniku. - Pamięć jest mimowolna. Nie można zapomnieć o czymś jedynie dlatego, że się tego chce. Jak możecie rządzić pamięcią? Z moją wam się nie udało!

O'Brien znów przybrał surowy wyraz twarzy i położył dłoń na przełączniku.

- Przeciwnie - rzekł. - To nie nam, lecz tobie się nie udało. Dlatego tu trafiłeś. Jesteś tu dlatego, że poniosła cię buta, zabrakło ci samodyscypliny. Nie umiałeś zdobyć się na pokorę, a właśnie pokora to cena normalności. Wolałeś zostać szaleńcem, jednoosobową mniejszością. Tylko umysł zdyscyplinowany, Winston, jest zdolny postrzegać rzeczywistość. Zdaje ci się, że rzeczywistość istnieje obiektywnie, zewnętrznie i samoistnie. Ponadto twoim zdaniem te cechy rzeczywistości są dla każdego oczywiste. Kiedy wmawiasz w siebie, że coś widzisz, sądzisz zaraz, że wszyscy postrzegają to identycznie. Ale wierz mi, Winston, rzeczywistość wcale nie jest czymś zewnętrznym. Rzeczywistość istnieje w umyśle ludzkim i nigdzie poza nim. Nie w pojedynczym umyśle, który może się mylić, a zresztą wkrótce ginie, lecz w zbiorowym, nieśmiertelnym umyśle Partii. Cokolwiek Partia uważa za prawdę, jest prawdą. Nie sposób postrzegać rzeczywistości inaczej niż oczami Partii. Tej reguły musisz się ponownie nauczyć, Winston. Wymaga to samozaprzeczenia i wysiłku woli. Musisz zdobyć się na pokorę, żeby odzyskać postradane zmysły.

Zamilkł na dłuższą chwilę, jakby dawał Winstonowi czas na zrozumienie tego, co powiedział.

- Czy pamiętasz - podjął znów - jak napisałeś w pamiętniku: „Wolność oznacza prawo twierdzenia, że dwa i dwa to cztery"?

- Tak.

O'Brien podniósł do góry lewą dłoń, obróconą wierzchem do Winstona; kciuk był schowany, lecz pozostałe, palce wyraźnie widoczne.

- Ile palców widzisz?

- Cztery.

- A jeśli Partia powie, że jest ich pięć, to ile będziesz widział wtedy?

- Cztery.

Głos Winstona przeszedł w skowyt bólu. Strzałka na tarczy wskazywała pięćdziesiąt pięć. Pot zrosił całe jego ciało. Przy każdym oddechu z piersi wydobywał mu się głęboki jęk, którego nie umiał powstrzymać, choć z całej siły zaciskał zęby. O'Brien nie spuszczał go z oka, wciąż trzymając w górze cztery palce. Cofnął przełącznik. Lecz tym razem ból zelżał tylko trochę.

- Ile palców, Winston?

- Cztery.

Strzałka skoczyła do sześćdziesięciu.

- Ile palców, Winston?

- Cztery! Cztery! Co innego mogę powiedzieć? Cztery!

Strzałka musiała znów podskoczyć, lecz Winston nie mógł spojrzeć na tarczę. Surowa, masywna twarz O'Briena i uniesione cztery palce wypełniły jego pole widzenia. Palce sterczały mu przed oczami jak kolumny; wielkie, trochę zamazane, zdawały się wibrować, ale wciąż na pewno było ich cztery.

- Ile palców, Winston?

- Cztery! Przestańcie, przestańcie! Nie męczcie mnie! Cztery! Cztery!

- Ile palców, Winston?

- Pięć! Pięć! Pięć!

- Nie, Winston, nic z tego. Kłamiesz. Wciąż wydaje się, że widzisz cztery. Słucham, ile palców?

- Cztery! Pięć! Cztery! Ile chcecie! Tylko błagam, wyłączcie tę machinę!

I nagle siedział, a O'Brien podtrzymywał go ramieniem. Chyba stracił na kilka sekund przytomność. Nie wiedział, kiedy rozluźniono krępujące go pasy. Było mu potwornie zimno; dygotał na całym ciele, szczękając zębami, a po policzkach spływały mu łzy. Na chwilę przylgnął do O'Briena jak niemowlę, czerpiąc dziwną otuchę z tego, że czuje na barkach ciężkie ramię starszego mężczyzny. Zdawało mu się, że O'Brien jest jego obrońcą i chroni go przed bólem, który pochodzi z zewnątrz, z jakiegoś obcego źródła.

- Nie jesteś zbyt pojętnym uczniem, Winston - powiedział łagodnie O'Brien.

- Cóż na to poradzę? - wyszlochał. - Jak mogę widzieć coś innego niż to, co mam przed oczami? Dwa i dwa to cztery.

- Czasami, Winston. Czasami pięć. Czasami trzy. Czasami cztery, pięć i trzy równocześnie. Musisz się bardziej starać. Powrót do zmysłów nie jest rzeczą łatwą.

O'Brien puścił go i Winston z powrotem opadł na łóżko. Pasy znów zacisnęły się na jego ciele, ból jednak odpłynął, a dreszcze ustąpiły; tylko wciąż czuł się słaby i było mu zimno. O'Brien skinął na mężczyznę w białym kitlu, który dotąd cały czas stał bez ruchu. Ten pochylił się i zajrzał Winstonowi w oczy, zmierzył mu puls, a następnie przyłożył ucho do jego piersi i go ostukał; w końcu spojrzał na O'Briena i kiwnął głową.

- Jeszcze raz - rzekł O'Brien.

Ból ponownie przeniknął ciało więźnia. Strzałka musiała dojść do siedemdziesięciu, siedemdziesięciu pięciu. Winston zamknął oczy. Zdawał sobie sprawę, że O'Brien wciąż stoi tuż obok z dłonią uniesioną i rozczapierzonymi palcami -czterema palcami! Ale myślał tylko o tym, czy uda mu się przetrwać ból, czy nie wyzionie ducha. Nie wiedział nawet, czy krzyczy, czy milczy. Potem ból znów zelżał. Otworzył oczy. O'Brien cofnął przełącznik.

- Ile palców widzisz, Winston.

- Cztery. Chyba cztery. Gdybym umiał, chętnie zobaczyłbym pięć. Staram się zobaczyć pięć.

- Czego pragniesz: przekonać mnie, że widzisz pięć, czy naprawdę zobaczyć?

- Naprawdę zobaczyć.

- Jeszcze raz - polecił O'Brien.

Strzałka doszła do osiemdziesięciu - może dziewięćdziesięciu. Winston chwilami zapominał, co jest przyczyną bólu. Pod zaciśniętymi powiekami widział jakby roztańczony las palców, które to zbliżały się, to oddalały, zlewały się ze sobą i zaraz rozdzielały. Usiłował je zliczyć, choć nie pamiętał po co. Wiedział jednak, że nie potrafi i że wiąże się to z zagadkową tożsamością liczb pięć i cztery. Ból zaczął powoli słabnąć, ale kiedy Winston otworzył oczy, wciąż widział to samo. Gąszcz niezliczonych palców przesuwał się bezustannie raz w jedną, raz w drugą stronę, a ich szeregi nakładały się na siebie. Znów zamknął oczy.

- Ile palców trzymam teraz w górze, Winston?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Drugi raz nie przeżyję takiego bólu! Cztery, pięć, sześć, przysięgam, nie wiem!

- Już lepiej - pochwalił O'Brien.

Igła wbiła się w ramię Winstona. W tym samym momencie po całym jego ciele rozeszło się błogie, kojące ciepło. Prawie natychmiast zapomniał o bólu. Otworzył oczy i z wdzięcznością popatrzył na O'Briena. Na widok masywnej, pożłobionej zmarszczkami twarzy, tak brzydkiej, a zarazem tak inteligentnej, zrobiło mu się lżej na duszy. Gdyby mógł się poruszyć, chętnie wyciągnąłby dłoń i dotknął ramienia O'Briena. W tej chwili darzył go tak wielką miłością jak nigdy dotąd, i to wcale nie dlatego, że wyłączył urządzenie. Powróciło dawne uczucie, że w sumie nie robi różnicy, czy O'Brien jest przyjacielem, czy wrogiem. Z O'Brienem można rozmawiać. Może

to, czego człowiek pragnie najbardziej, to nie tyle być kochanym, ile rozumianym. O'Brien zadał mu męki, które doprowadziły go na skraj obłędu, a wkrótce pośle go na śmierć. Ale to niczego nie zmienia, łączy ich zażyłość w pewnym sensie znacznie głębsza od przyjaźni; choć prawdopodobnie nigdy do tego nie dojdzie, gdyby się spotkali we właściwych okolicznościach, na pewno mogliby się świetnie porozumieć. Wyraz twarzy, z jakim O'Brien spoglądał na niego, zdawał się wskazywać, że myśli dokładnie o tym samym. A kiedy się odezwał, mówił takim tonem, jakby prowadzili towarzyską pogawędkę.

- Czy wiesz, Winston, gdzie się teraz znajdujesz?
- Nie wiem. Domyślam się, że w Ministerstwie Miłości.
- Czy wiesz, jak długo tu jesteś?
- Nie wiem. Dni, tygodnie, miesiące... Chyba od kilku miesięcy.
- A jak ci się wydaje, po co trzymamy tu ludzi?
- Żeby wydobyć z nich zeznania.
- Nie, wcale nie dlatego. Spróbuj jeszcze raz.
- Żeby ich ukarać.
- Nie! - ryknął O'Brien; głos zmienił mu się całkowicie, a na twarzy odmalowały się poruszenie i gniew. - Nie! Wcale nie po to, żeby wydobyć zeznania lub wymierzyć karę! Mam ci powiedzieć, dlaczego się tu znalazłeś? Bo chcemy cię wyleczyć! Sprawić, byś odzyskał zmysły! Czy ty nie rozumiesz, Winston, że nikt nie opuszcza tych murów nie uleczony? Nie obchodzą nas te głupie zbrodnie, które popełniłeś. Partii nie obchodzą czyny; nas interesuje myśl. My nie niszczymy naszych wrogów; my ich zmieniamy. Rozumiesz, o czym mówię?

Pochylił się nisko nad Winstonem. Z bliska jego twarz wydawała się ogromna, a widziana od dołu wręcz potworna. Bił z niej jakiś szaleńczy entuzjazm, jakaś pasja. Winstonowi serce podeszło do gardła. Gdyby mógł, najchętniej zapadłby się pod ziemię. Był przekonany, że O'Brien ze złości nastawi przełącznik na największą moc. Lecz O'Brien nagle odsunął się od łóżka. Przeszedł się kilka kroków, po czym znów podjął wątek, ale mówił teraz znacznie mniej gwałtownie:

- Pierwsze, co musisz zrozumieć, to że tutaj nie ma męczenników. Czytałeś o prześladowaniach religijnych w przeszłości. W średniowieczu była inkwizycja. Poniosła klęskę. Miała wyplenić herezję, a przyczyniła się do jej rozprzestrzenienia. Na miejsce każdego heretyka spalonego na stosie pojawiały się tysiące nowych. Dlaczego? Ponieważ inkwizycja zabijała swoich wrogów publicznie i zabijała ich, choć nie okazywali skruchy; w rzeczy samej, zabijała ich właśnie za to, że byli nie skruszeni. Ludzie umierali dlatego, że nie chcieli wyrzec się swoich przekonań. Oczywiście cała gloria spływała na ofiary, a inkwizytorzy okrywali się hańbą. Później, w dwudziestym wieku, pojawili się zwolennicy totalitaryzmu: hitlerowcy w Niemczech i komuniści w Rosji. Rosjanie tępili herezję znacznie okrutniej niż inkwizycja. Wydawało im się, że nauczyli się czegoś od przeszłości; w każdym razie wiedzieli, że nie należy przysparzać męczenników. Zanim wystawiali swoje ofiary na pokaz podczas publicznych procesów, najpierw świadomie niszczyli ich godność. Poprzez tortury i izolację przemieniali tych ludzi w obrzydliwe, kulące się ze strachu wraki, gotowe zeznać wszystko, co im kazano, lżyć się, oskarżać wzajemnie i skamleć o litość. A jednak po kilku latach historia się powtórzyła. Zgładzonych uznano za męczenników, a o ich upodleniu zapomniano. Dlaczego tak się stało? Przede wszystkim dlatego, że ich zeznania były wyraźnie wymuszone, nieprawdziwe. My nie popełnimy tego rodzaju błędów. Wszystkie składane nam zeznania są prawdziwe. Sprawiamy, że stają się prawdziwe. A co najważniejsze, nie pozwalamy, aby zgładzeni powstali przeciwko nam. Nie wyobrażaj sobie, Winston, że potomność cię zrehabilituje. Potomność nigdy się o tobie nie dowie. Usuniemy cię ze strumienia historii. Poddamy ewaporacji; ulecisz w stratosferę jako para. Nic po tobie nie zostanie: ani nazwisko w księgach metrykalnych, ani wspomnienie w czyjejś pamięci. Nie będziesz istniał w przeszłości, tak samo jak w przyszłości. To, że nigdy nie istniałeś, stanie się faktem.

Po co więc zadawać sobie trud, żeby mnie torturować? -pomyślał z goryczą Winston. O'Brien zatrzymał się w pół kroku, zupełnie jakby go usłyszał. Jego wielka, brzydka twarz znów się przybliżyła, oczy zwęziły w szparki.

- Zastanawiasz się - rzekł - po co tracimy czas na przesłuchania, skoro i tak zamierzamy zetrzeć cię z powierzchni ziemi, a więc cokolwiek powiesz lub uczynisz nie ma najmniejszego znaczenia. O tym myślałeś, prawda?

- Tak - potwierdził Winston. O'Brien uśmiechnął się nieznacznie.

- Jesteś skazą na obowiązującym modelu, Winston. Plamą, którą należy wywabić. Czyż nie mówiłem ci przed sekundą, że się różnimy od dawnych prześladowców? Nie zadowala nas ani wymuszony posłuch, ani nawet najbardziej pokorna uległość. Kiedy wreszcie pokajasz się przed nami, zrobisz to całkiem dobrowolnie. Nie zabijamy heretyków dlatego, że nam się opierają; dopóki nam się ktoś opiera, nie ginie. My go musimy nawrócić, opanować jego umysł, zrobić z niego nowego człowieka. Wypalamy z jego mózgu wszelkie zło i ułudę; przeciągamy go na naszą stronę, nie pozornie, lecz z duszą i ciałem. Zanim go zabijemy, staje się jednym z nas. Partia nigdy nie pogodzi się z myślą, że gdzieś na świecie egzystuje wroga myśl, choćby najbardziej skryta i bezsilna. Nawet w chwili śmierci nie możemy tolerować odstępstwa. W dawnych czasach heretyk prowadzony na stos wciąż był heretykiem i triumfalnie głosił swoją herezję. Również ofiary rosyjskich czystek, idąc korytarzem na rozstrzelanie, nadal mogły żywić myśl o buncie, ukrytą głęboko pod czaszką. Ale my sprawiamy, że zanim kula roztrzaska mózg skazańca, staje się on doskonały. Przykazanie dawnych despotów głosiło: „Nie będziesz słuchał innego". W totalitaryzmie przekształciło się w: „Będziesz słuchał nas". Nasze przykazanie brzmi: „Słuchasz na s". Nikt, kto tu trafia, więcej się przeciw nam nie buntuje. Wszyscy zostają oczyszczeni. Nawet ci trzej nieszczęśni zdrajcy, w których niewinność niegdyś wierzyłeś, Jones, Aaronson i Rutherford, dali się złamać. Osobiście uczestniczyłem w przesłuchaniach. Byłem świadkiem, jak stopniowo się załamują, jak się płaszczą, skowyczą, łkają, na końcu wcale już nie z bólu czy ze strachu, lecz w poczuciu skruchy. Kiedy z nimi skończyliśmy, przypominali wydrążone skorupy. Nie zostało w nich nic oprócz żalu za popełnione zbrodnie i miłości do Wielkiego Brata. Kochali go tak bardzo, że było to wręcz wzruszające. Błagali, żeby zastrzelić ich jak najprędzej, ponieważ chcą zginąć nie splamieni złą myślą.

Głos O'Briena stał się niemal marzycielski. Na jego twarzy wciąż malowały się uniesienie i obłąkańczy entuzjazm. Nie udaje, pomyślał Winston, nie jest hipokrytą, wierzy we wszystko, co mówi. Najbardziej przygnębiała Winstona świadomość własnej intelektualnej niższości. Wpatrywał się w masywną, a jednak pełną gracji sylwetkę, która to pojawiała mu się przed oczami, to znów odchodziła. O'Brien był człowiekiem przerastającym go pod każdym względem. Każdą myśl, która kiedykolwiek przyszła lub mogła przyjść Winstonowi do głowy, O'Brien już dawno przeanalizował i odrzucił. Jego umysł mieścił w sobie umysł Winstona. Ale czyż w takim razie O'Brien mógł być szalony? Nie - to on, Winston, musiał stracić rozum. O'Brien zatrzymał się i spojrzał na niego, ponownie przybierając surowy wyraz twarzy.

- Nie wyobrażaj sobie, Winston, że zdołasz się uratować, choćbyś nie wiem jak ukorzył się przed nami. Nie darujemy nikomu, kto zbłądził. Nawet gdybyśmy pozwolili ci żyć, dopóki nie umrzesz śmiercią naturalną, i tak byś się nam nie wymknął. To, co ci się tu przydarzy, zmieni cię na zawsze. Uświadom to sobie wreszcie. Zgnieciemy cię tak, że nigdy się nie podźwigniesz. Z tego, czego doznasz, nie otrząśniesz się, nawet gdybyś żył tysiąc lat. Nigdy więcej nie zaznasz żadnych ludzkich uczuć. Wszystko w tobie obumrze. Nigdy nie będziesz zdolny odczuwać miłości, przyjaźni, radości życia; zapomnisz, co to śmiech, ciekawość, odwaga, prawość. Będziesz pusty w środku. Wyciśniemy z ciebie wszystko, po czym napełnimy cię sami.

Umilkł i dał znak człowiekowi w kitlu. Winston słyszał, że ten przysuwa mu do głowy jakieś ciężkie urządzenie. O'Brien usiadł przy łóżku; jego twarz znajdowała się prawie na tym samym poziomie co Winstona.

- Trzy tysiące - polecił, zwracając się do asystenta nad głową leżącego.

Dwie niewielkie poduszeczki, lekko wilgotne w dotyku, przywarły do skroni Winstona. Zadrżał. Czekał go ból; nowy, nieznany. O'Brien uspokajającym, niemal dobrotliwym gestem położył rękę na dłoni więźnia.

- Tym razem nie będzie bolało. Patrz mi w oczy.

W tej samej chwili nastąpiła przeraźliwa eksplozja, a przynajmniej Winstonowi zdawało się, że słyszy jej huk, choć może rozlegał się tylko w jego głowie. Na pewno jednak ujrzał oślepiający blask. Nic mu się nie stało, ale czuł się tak, jakby siła wybuchu cisnęła go na ziemię. Chociaż cały czas leżał na plecach, miał wrażenie, że dopiero za sprawą wybuchu znalazł się w tej pozycji. Straszliwe, bezbolesne uderzenie rozciągnęło go na płask. Zarazem coś dziwnego wydarzyło się z jego umysłem. Kiedy odzyskał wzrok, przypomniał sobie, kim jest i gdzie się znajduje, rozpoznał twarz wpatrzonego w niego człowieka; lecz gdzieś w jego głowie powstała nagle próżnia, jakby wycięto mu kawałek mózgu.

- Zaraz wrócisz do siebie - rzekł O'Brien. - Spójrz na mnie. Powiedz, z jakim państwem Oceania prowadzi wojnę?

Winston zadumał się. Wiedział, co to Oceania, i wiedział, że jest jej obywatelem. Znał też nazwy Eurazja i Wschódazja, ale zupełnie się nie orientował, kto z kim wojuje. Prawdę mówiąc, w ogóle nie kojarzył, że trwa jakaś wojna.

- Nie pamiętam.
- Oceania prowadzi wojnę ze Wschódazja. Przypominasz sobie?
- Tak.
- Oceania zawsze walczyła ze Wschódazja. Od twojego urodzenia, od powstania Partii, od początku historii wojna trwa nieprzerwanie, cały czas ta sama. Teraz pamiętasz?
- Tak.
- Przed jedenastu laty wymyśliłeś sobie bajeczkę o trzech ludziach skazanych na śmierć za zdradę. Wmówiłeś sobie, że widziałeś strzęp papieru świadczący o ich niewinności. Nic takiego nigdy nie istniało. Po prostu całą historię wyssałeś z palca, a potem w nią uwierzyłeś. Czy teraz pamiętasz, że to się tak właśnie zaczęło?
- Tak.
- Przed chwilą pokazałem ci uniesioną, dłoń. Widziałeś pięć palców. Pamiętasz?
- Tak.

O'Brien podniósł lewą dłoń, jak uprzednio chowając kciuk.

- Pokazuję ci pięć palców. Widzisz pięć palców?
- Tak.

I naprawdę je widział przez ułamek sekundy, dopóki coś w jego mózgu się nagle nie przestawiło. Zupełnie wyraźnie widział pięć palców. Po chwili wszystko wróciło do normy; powróciły też strach, nienawiść i dezorientacja. Ale przez pewien czas - nie miał pewności, jak długo to trwało, może nie więcej niż trzydzieści sekund - widział wszystko z wyjątkową jasnością; każda kolejna sugestia O'Briena wypełniała sobą mały segment pustki, stając się niepodważalną prawdą, a dwa plus dwa mogło się naprawdę równać trzy lub pięć, jeśli zachodziła potrzeba. Wrażenie to rozwiało się, jeszcze zanim O'Brien opuścił rękę; Winston zapamiętał ten swój krótkotrwały stan tak samo, jak pamięta się istotne przeżycia sprzed wielu lat, kiedy właściwie było się zupełnie innym człowiekiem. Nie potrafiłby jednak ponownie się w ten stan wprowadzić.

- Teraz przynajmniej wiesz - rzekł O'Brien - że to możliwe.
- Tak - przyznał Winston.

O'Brien, wyraźnie zadowolony, podniósł się z miejsca. Winston ujrzał, jak mężczyzna w białym kitlu na lewo od niego łamie ampułkę i napełnia strzykawkę. O'Brien z uśmiechem znów zwrócił się do Winstona. Poprawił okulary na nosie niemal takim samym gestem, jak to czynił niegdyś.

- Czy pamiętasz - zaczął -jak napisałeś w pamiętniku, że wszystko jedno, czy jestem przyjacielem, czy wrogiem, bo przynajmniej jestem kimś, kto cię rozumie i z kim mógłbyś porozmawiać? Miałeś rację. Lubię z tobą gawędzić. Pociąga mnie twój umysł. Jest podobny do mojego, z tą różnicą, że ty jesteś szalony. Zanim zakończymy sesję, możesz mi zadać kilka pytań, jeśli masz ochotę.

- Mogę pytać o wszystko?

- Tak. - Widząc, że Winston wpatruje się w przełącznik, dodał: - Urządzenie jest wyłączone. Co chcesz wiedzieć?

- Co zrobiliście z Julią?

O'Brien się uśmiechnął.

- Zdradziła cię, Winston. Od razu i bez wahania. Rzadko *zdarza* mi się widzieć, by ktoś tak szybko przeszedł na naszą stronę. Gdybyś ją teraz ujrzał, prawie byś jej nie poznał. Skłonność do buntu, oszustw, ryzyka, umiłowanie sprośności -wszystko zostało w niej wypalone do cna. Idealne nawrócenie, wręcz klasyczny przypadek.

- Torturowaliście ją?

O'Brien nie udzielił mu odpowiedzi.

- Następne pytanie - rzekł.

- Czy Wielki Brat istnieje?

- Oczywiście, że istnieje. Partia istnieje, a Wielki Brat to ucieleśnienie Partii.

- Czy istnieje w ten sam sposób co ja?

- Ty nie istniejesz.

Winstona znów ogarnęło poczucie bezsilności. Wiedział, a przynajmniej wyobrażał sobie, jakimi argumentami można się posłużyć, chcąc udowodnić, że nie istnieje - ale to przecież oczy wista bzdura, żonglowanie słowami. Czyż stwierdzenie „Ty nie istniejesz" nie jest logicznym absurdem? Lecz spieranie się nic by nie dało. Jego umysł aż wzdrygnął się na myśl o niezbitych, szalonych argumentach, które O'Brien zacząłby przytaczać, aby pokonać rozmówcę.

- Myślę, że istnieję - powiedział ze znużeniem. - Jestem świadom swojej egzystencji. Urodziłem się i umrę. Mam ręce i nogi. Zajmuję określone miejsce w przestrzeni. Tej samej przestrzeni nie może równocześnie zajmować żaden inny konkretny przedmiot. Czy Wielki Brat istnieje podobnie?

- To nie ma znaczenia. Wielki Brat istnieje.

- Czy Wielki Brat kiedyś umrze?

- Skądże znowu! To niemożliwe. Następne pytanie.

- Czy istnieje Braterstwo?

- Tego, Winston, nie dowiesz się nigdy. Nawet jeśli po zakończeniu twojej reedukacji postanowimy cię zwolnić i dożyjesz spokojnie dziewięćdziesiątki, nigdy nie poznasz prawdy. Jak długo będziesz żył, istnienie Braterstwa pozostanie dla ciebie nie rozwiązaną zagadką.

Winston leżał w milczeniu. Oddech miał przyspieszony. Wciąż nie zadał pytania, które pierwsze przyszło mu do głowy. Musiał je postawić, lecz język jakby odmawiał mu posłuszeństwa. Na twarzy O'Briena malowało się lekkie rozbawienie. Nawet jego okulary zdawały się połyskiwać ironicznie. Wie, pomyślał nagle Winston, o co chcę zapytać! I niemal natychmiast wyrzucił z siebie powstrzymywane słowa:

- Co jest w pokoju sto jeden?

Wyraz twarzy O'Briena nie zmienił się. Członek Wewnętrznej Partii z nie skrywaną przyjemnością wygłosił następującą odpowiedź:

- Sam wiesz najlepiej, Winston, co jest w pokoju sto jeden. Wszyscy wiedzą, co się tam znajduje.

Dał ręką znak człowiekowi w białym kitlu. Najwidoczniej sesja dobiegła końca. Winston poczuł ukłucie igły i z miejsca zapadł w głęboki sen.

3

Twoja reedukacja składa się z trzech etapów - oświadczył O'Brien. - Pierwszy to nauka; drugi to zrozumienie; trzeci to akceptacja. Najwyższy czas przejść do drugiego etapu.

Winston jak zawsze leżał płasko na wznak. Ostatnio jednak krępujące go pasy były luźniejsze. Wciąż przytwierdzały go do łóżka, lecz mógł poruszać nieco kolanami, przekręcać głowę oraz podnosić dłonie; ręce przywiązane miał dopiero nad łokciami. Również tarcza z podziałką przestała napawać go taką grozą, jak na początku. Mógł uniknąć bólu, jeśli postępował inteligentnie; z reguły tylko wówczas, gdy głupio odpowiadał na pytania, O'Brien przesuwał przełącznik. Zdarzały się sesje, podczas których nawet go nie dotykał. Winston nie pamiętał, ile sesji ma już za sobą. Cały proces ciągnął się chyba bardzo długo, może wiele tygodni, a przerwy między sesjami trwały czasami kilka dni, czasami zaledwie godzinę lub dwie.

- Leżąc tu - rzekł O'Brien - często zastanawiałeś się i nawet pytałeś mnie o to, dlaczego Ministerstwo Miłości zadaje sobie tyle trudu, dlaczego poświęca ci tak wiele cennego czasu. Właściwie to samo pytanie gnębiło cię, kiedy żyłeś na wolności. Pojmowałeś mechanizmy działania naszego ustroju, ale nie rozumiałeś motywów, z których wynikają. Pamiętasz chyba, że napisałeś w pamiętniku: „Rozumiem jak; nie rozumiem d l a c z e g o". To właśnie zastanawiając się dlaczego, zacząłeś powątpiewać, czy jesteś normalny. Przeczytałeś Księgę, Księgę Goldsteina, a przynajmniej jej fragmenty. Czy dowiedziałeś się z niej czegoś, o czym byś sam nie wiedział?

- Wyście ją czytali?

- Napisałem ją. To znaczy, uczestniczyłem w jej pisaniu. Jak wiesz, każdą książkę przygotowuje zespół.

- A czy nakreślony w niej obraz jest prawdziwy?

- Jeśli chodzi o sam opis, tak. Ale program, który przedstawia, to nonsens. Potajemne gromadzenie wiedzy, stopniowe oświecanie ludzi, a wreszcie bunt proletariatu i obalenie Partii. Sam przewidziałeś, że właśnie taka będzie jej konkluzja. Czysta bzdura. Proletariat nigdy się nie zbuntuje, ani za tysiąc, ani za milion lat. Nie ma jak. Nie muszę ci tłumaczyć dlaczego; sam dobrze wiesz. Jeśli miałeś kiedykolwiek nadzieję na burzliwy przewrót, musisz ją porzucić. Obalenie Partii nie jest możliwe. Jej rządy będą trwały wiecznie. Musisz to przyjąć jako pierwszy aksjomat.

Przysunął się bliżej łóżka.

- Wiecznie - powtórzył. - A teraz powróćmy do kwestii „jak" i „dlaczego". Zdajesz sobie dostatecznie jasno sprawę z tego, jak Partia utrzymuje się przy władzy. Powiedz mi więc, dlaczego tak nam na władzy zależy? Jakie są nasze pobudki? Po co nam władza?

Widząc, że Winston milczy, dodał:

- No, mów!

Mimo to upłynęło parę chwil, zanim Winston wreszcie się odezwał. Ogarnęło go głębokie znużenie. Z twarzy O'Briena znów bił maniakalny entuzjazm. Winston z góry wiedział, co tamten mu powie. Że Partia nie pragnie władzy dla własnych celów, lecz dla dobra ogółu. Że sięgnęła po władzę tylko dlatego, iż większość ludzi to słabe, tchórzliwe jednostki, które nie potrafią radzić sobie z wolnością i z prawdą, a zatem muszą być rządzone i systematycznie oszukiwane przez innych, znacznie od nich silniejszych. Że należy wybierać między wolnością i szczęściem, a dla szerokich mas szczęście jest sprawą ważniejszą. Że Partia to odwieczny opiekun słabych, sekta z samozaparciem czyniąca zło dla dobra ogółu, poświęcająca własne szczęście dla korzyści innych. Ale najbardziej przerażała Winstona świadomość, iż O'Brien wierzy w te brednie. Tę wiarę miał wypisaną na twarzy. A przecież wiedział wszystko. Orientował się tysiąc razy lepiej od niego,

Winstona, jak naprawdę wygląda świat, w jakim poniżeniu żyje niemal cała ludzkość i do jakich kłamstw oraz jakiego barbarzyństwa ucieka się Partia, aby nie pozwolić się podźwignąć rządzonym. Wszystko poznał, wszystko zważył, ale prawda nie miała dla niego znaczenia: cel ostateczny uświęcał wszelkie środki. Jak można radzić sobie z szaleńcem - pomyślał Winston - który jest inteligentniejszy od ciebie, wysłuchuje wszystkich twoich argumentów, po czym dalej upiera się przy swoich błędnych racjach?

- Rządzicie nami dla naszego własnego dobra - zaczął bez przekonania. - Uważacie, że ludzie nie potrafią rządzić się sami, więc...

Podskoczył i o mało nie krzyknął. Ból przeniknął jego ciało. O'Brien nastawił przełącznik na trzydzieści pięć.

- Co za głupoty wygadujesz, Winston! - zawołał. - Wstyd! Stać cię na coś mądrzejszego.

Cofnął przełącznik i mówił dalej:

- Sam udzielę ci odpowiedzi na moje pytanie. Partia pragnie władzy wyłącznie dla samej władzy. Nie obchodzi nas dobro ludzkości; obchodzi nas wyłącznie władza. Nie bogactwa, luksusy, długie życie lub szczęście, a tylko władza, czysta władza. Zaraz ci wyjaśnię, co oznacza czysta władza. Otóż różnimy się od wszystkich oligarchii przeszłości, ponieważ działamy całkowicie świadomie. Wszyscy nasi poprzednicy, nawet ci najbardziej do nas podobni, byli tchórzami i hipokrytami. Hitlerowcy w Niemczech i komuniści w Rosji stosowali metody zbliżone do naszych, ale nigdy nie mieli dość odwagi, aby otwarcie przyznać się do pobudek, które nimi kierują. Udawali, a może nawet w to wierzyli, że sięgnęli po władzę wbrew sobie i będą ją dzierżyć tylko przez krótki czas - że tuż za następnym zakrętem czeka raj, w którym wszyscy staną się wolni i równi. My jesteśmy inni. Wiemy, że nikt nie sięga po władzę z zamiarem jej oddania. Władza to nie środek do celu; władza to cel. Nie wprowadza się dyktatury po to, by chronić rewolucję; wznieca się rewolucję w celu narzucenia dyktatury. Celem prześladowań są prześladowania. Celem tortur są tortury. Celem władzy jest władza. Czy wreszcie zaczynasz rozumieć?

Winstona, nie po raz pierwszy, uderzyło zmęczenie widoczne na twarzy O'Briena. Była to twarz silna, mięsista, brutalna; biły z niej inteligencja i jakby hamowany, obezwładniający fanatyzm, ale także zmęczenie. Od razu dostrzegało się wory pod oczami i bruzdy na policzkach. O'Brien pochylił się nad Winstonem, specjalnie przybliżając swoją znużoną twarz do jego.

- Myślisz o tym, jak starą i zniszczoną mam twarz - powiedział. - Myślisz o tym, że mówię o władzy, a nie umiem nawet powstrzymać rozpadu własnego ciała. Czy nie rozumiesz, Winston, że człowiek to tylko pojedyncza komórka? Zmęczenie komórek świadczy o żywotności całego organizmu. Czy umiera się od obcinania paznokci?

Odsunął się od łóżka i z ręką w kieszeni zaczął spacerować tam i z powrotem.

- Jesteśmy kapłanami władzy - rzekł. - Bóg to władza. Ale dla ciebie władza jest tylko pustym słowem. Czas, żebyś choć w części zdał sobie sprawę, co ono znaczy. Po pierwsze musisz zrozumieć, że władza należy do zbiorowości. Jednostka posiada władzę tylko wtedy, gdy przestaje być jednostką. Znasz hasło Partii: „Wolność to Niewola". Czy przyszło ci kiedy do głowy, że można je odwrócić? Niewola to Wolność. Pojedynczy człowiek, co z tego, że wolny, zawsze ponosi klęskę. Tak być musi, bo przecież każdy w końcu umiera, a śmierć jest największą klęską. Ale jeśli człowiek potrafi całkowicie i bezwzględnie podporządkować się Partii, do tego stopnia, że rezygnuje ze swojej tożsamości, wówczas zlewa się z Partią, staje się Partią, a wtedy jest wszechmocny i nieśmiertelny. Druga rzecz, którą musisz zrozumieć, to że władza oznacza władzę nad ludźmi. Nad ich ciałami, lecz co ważniejsze, także nad umysłami. Władza nad materią, czy jak byś to określił, rzeczywistością zewnętrzną, nie odgrywa tak istotnej roli. Nasza władza nad nią jest obecnie absolutna.

Na moment Winston zapomniał o tarczy. Szarpnął się gwałtownie, chcąc usiąść na łóżku, ale jedyny skutek był taki, że pasy werżnęły mu się głębiej w ciało.

- Jak możecie władać materią?! - zawołał. - Nie panujecie chociażby nad klimatem czy siłą ciężkości. A przecież są choroby, ból, śmierć...

O'Brien uciszył go ruchem ręki.

- Rządzimy materią, bo rządzimy umysłami. Rzeczywistość mieści się w mózgu. Stopniowo wszystkiego się nauczysz, Winston. Nie ma nic, czego byśmy nie potrafili dokonać. Niewidzialność, lewitacja, to dla nas nic trudnego. Gdybym chciał, mógłbym unieść się w górę niczym bańka mydlana. Nie chcę, gdyż nie chce tego Partia. Musisz pozbyć się tych dziewiętnastowiecznych przesądów o prawach przyrody. To my ustanawiamy prawa przyrody!

- Nic podobnego! Przecież nie jesteście nawet panami tej planety! Co z Eurazją i Wschódazją? Jeszcze nie udało wam się pokonać żadnego z tych mocarstw!

- To nieistotne. Kiedy uznamy za stosowne, podbijemy oba. A jeśli nie, co z tego? Zawsze możemy wykreślić je z naszej rzeczywistości. Wtedy całym światem będzie Oceania.

- A czy nasz świat nie jest tylko drobiną pyłu, a człowiek maleńką, bezsilną istotą? Pojawił się nie tak dawno temu. Ziemia przez miliony lat była nie zamieszkana.

- Bzdura. Ziemia istnieje tak długo jak my, ani chwili dłużej. Jak może być inaczej? Wszystko istnieje wyłącznie dzięki naszej świadomości.

- Przecież pełno jest skamieniałych kości wymarłych gatunków: mamutów, mastodontów, ogromnych gadów, które zamieszkiwały Ziemię na wiele lat przed pojawieniem się człowieka.

- A widziałeś, Winston, te skamieniałe kości? Oczywiście, nie widziałeś. To wymysł dziewiętnastowiecznych biologów. Przed człowiekiem nie było nic. Po nim, gdyby nagle miał nastąpić kres ludzkości, też nic nie będzie. Bez człowieka nic nie ma.

- Przecież cały wszechświat istnieje bez człowieka! Choćby gwiazdy! Niektóre są odległe o milion lat świetlnych! Na zawsze zostaną poza naszym zasięgiem.

- Co znaczy te kilka gwiazd? - spytał obojętnie O'Brien. -To drobiny ognia oddalone o kilka kilometrów. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy do nich dolecieć. Albo je zakryć. Ziemia jest środkiem wszechświata. Słońce i gwiazdy obracają się dookoła niej.

Winston znów szarpnął się konwulsyjnie, ale tym razem nic nie powiedział. O'Brien kontynuował tak, jakby zbijał jego kolejne argumenty:

- Są oczywiście sytuacje, kiedy twierdzenie to nie musi być prawdziwe. Do celów nawigacji morskiej lub kiedy przewidujemy zaćmienia, często wygodniej nam przyjąć roboczą hipotezę, że to Ziemia obraca się wokół Słońca, a gwiazdy są odległe o wiele milionów kilometrów. Ale co z tego? Czy myślisz, że stworzenie podwójnego systemu astronomii przekracza nasze możliwości? Gwiazdy mogą by ć bliskie lub dalekie, zależnie od naszych potrzeb. Myślisz, że nasi uczeni nie potrafią sobie z tym radzić? Zapomniałeś o dwójmyśleniu?

Winston opadł na łóżko. Cokolwiek wymyślił, szybka riposta miażdżyła jego argumenty. A przecież wiedział, wiedział, że się nie myli. Musiał istnieć jakiś sposób udowodnienia fałszywości poglądu, iż nic nie istnieje poza ludzkim umysłem! Czyż już dawno temu nie dowiedziono, że opiera się na błędnym rozumowaniu? Nawet był na to odpowiedni termin, choć teraz go nie pamiętał. Kąciki ust O'Briena drgnęły; uśmiechnął się nieznacznie, spoglądając w dół na Winstona.

- Mówiłem ci już, Winston, że metafizyka nie jest twoją najmocniejszą stroną. Słowo, którego szukasz, to solipsyzm. Mylisz się jednak. Nasze podejście nie jest solipsyzmem. Można je nazwać ewentualnie solipsyzmem zbiorowym. A to już zupełnie co innego; wręcz przeciwieństwo solipsyzmu. To zresztą tylko dygresja - dodał zmieniając ton. - Prawdziwa władza, władza, o którą musimy walczyć w dzień i w nocy, to władza nad ludźmi.

Urwał, po czym na moment znów przeobraził się w nauczyciela przepytującego zdolnego ucznia:

- Powiedz, Winston, w jaki sposób człowiek utwierdza swoją władzę nad drugim człowiekiem?

Winston zastanowił się chwilę.

- Każąc mu cierpieć.
- Doskonale. Każąc mu cierpieć. Posłuszeństwo nie wystarczy. Bo dopóki ktoś nie cierpi, czy można mieć pewność, że jest posłuszny twojej woli, a nie własnej? Władza polega na poniżaniu i na zadawaniu bólu. Władza oznacza rozrywanie umysłów na strzępy i składanie ich ponownie według obranego przez siebie modelu. Czy powoli wyłania ci się wreszcie obraz tworzonego przez nas świata? Jest dokładnym przeciwieństwem idiotycznych, hedonistycznych utopii, jakie wymyślali dawni reformatorzy. Świat strachu, zdrady i cierpienia, świat depczących i deptanych, świat, który w miarę rozwoju staje się nie mniej, lecz bardziej okrutny. Postęp w naszym świecie oznacza postęp bólu. Dawne cywilizacje twierdziły, że opierają się na miłości lub sprawiedliwości. Nasza zbudowana jest na nienawiści. Wkrótce wyeliminujemy wszystkie uczucia oprócz strachu, wściekłości, triumfu i samoupodlenia. Zniszczymy je; zniszczymy wszystkie! Już teraz trzebimy nawyki myślowe, które przetrwały sprzed Rewolucji. Przecięliśmy więź łączącą rodziców z dziećmi, człowieka z człowiekiem, mężczyznę z kobietą. Nikt nie ma już odwagi ufać żonie, dziecku lub przyjacielowi. W przyszłości jednak w ogóle nie będzie żon i przyjaciół. Dzieci zaraz po porodzie będzie się odbierać matkom, podobnie jak kurom zabiera się jajka. Wyplenimy popęd seksualny. Płodzenie potomstwa stanie się doroczną formalnością, taką samą jak przedłużanie kart zaopatrzeniowych. Zlikwidujemy orgazm. Nasi neurolodzy już nad tym pracują. Nikt nie będzie odczuwał lojalności wobec nikogo i niczego oprócz Partii. Nie będzie kochał nikogo oprócz Wielkiego Brata. Nie będzie się śmiał, chyba że radując się z triumfu nad wrogiem. Zniesiemy sztukę, literaturę, naukę. Kiedy staniemy się wszechwiedzący, nauka na nic się nam nie zda. Zatrzemy różnicę między brzydotą a pięknem. Zniknie ciekawość, zniknie radość życia. Zniknie cała gama przyjemności. Ale zawsze, Winston, zapamiętaj to sobie, zawsze istnieć będzie upajająca władza, coraz potężniejsza i coraz bardziej wyrafinowana. I zawsze, w każdej sekundzie da się odczuć rozkoszny dreszcz zwycięstwa, jaki budzi deptanie pokonanego wroga. Jeśli chcesz wiedzieć, jaka będzie przyszłość, wyobraź sobie but depczący ludzką twarz, wiecznie!

Zamilkł, spodziewając się, że Winston coś odpowie. Winston jednak, zupełnie przybity, leżał nieruchomo. Serce w nim struchlało; nie potrafił wydusić z siebie słowa. O'Brien mówił więc dalej:

- Pamiętaj, że tak będzie już zawsze. Nie zabraknie twarzy, które można deptać. Zawsze znajdą się heretycy i wrogowie państwa, abyśmy mogli pokonywać ich i poniżać bez końca. Przetrwa wszystko, czego doznałeś, odkąd znalazłeś się w naszych rękach, i to zwielokrotnione. Inwigilacja, donosicielstwo, aresztowania, tortury, egzekucje i zniknięcia nigdy się nie skończą. Świat przyszłości okaże się w równej mierze światem terroru co triumfu. Im potężniejsza będzie Partia, tym mniej tolerancyjna; im słabsza opozycja, tym silniejszy despotyzm. Goldstein i jego herezje będą żyć wiecznie. Codziennie, co chwila pokonywany, dyskredytowany, ośmieszany, lżony, jednak zdoła przetrwać. Ta gra, którą prowadzę z tobą od siedmiu lat, zacznie się powtarzać z pokolenia na pokolenie, z tym, że nasze metody staną się subtelniejsze. I zawsze heretyk trafi tutaj; zdany na naszą łaskę, wrzeszczący, złamany wrak człowieka, w końcu będzie z własnej, nieprzymuszonej woli czołgać się u naszych stóp, całkowicie skruszony i uratowany od samego siebie. Taki właśnie świat szykujemy, Winston. Świat, w którym zwycięstwo goni zwycięstwo, a po triumfie następuje triumf; ciągłe, ustawiczne naciskanie na nerw władzy. Widzę, że powoli zaczynasz to wszystko ogarniać. Wkrótce nie tylko zrozumiesz ten nasz świat, ale zaakceptujesz go, powitasz, staniesz się jego częścią.

Winston na tyle doszedł do siebie, że mógł się odezwać.

- Nie uda wam się! - zaprotestował słabym głosem.
- Co przez to rozumiesz, Winston?
- Nie uda wam się stworzyć takiego świata, jaki opisaliście. To mrzonka. To nierealne.
- Dlaczego?

- Nie można oprzeć cywilizacji na strachu, nienawiści i okrucieństwie. Upadnie natychmiast.

- Dlaczego?

- Zabraknie jej witalności. Rozpadnie się. To czyste samobójstwo.

- Bzdura. Wydaje ci się, że nienawiść jest bardziej wyczerpująca od miłości. Niby dlaczego? A jeśli nawet, cóż to zmienia? Załóżmy, że gotowi jesteśmy spalać się szybciej. Że przyspieszymy tempo ludzkiego życia tak, że człowiek w wieku lat trzydziestu będzie zgrzybiałym starcem. I co z tego? Czy nie rozumiesz, że śmierć jednostki nie jest śmiercią? Partia jest nieśmiertelna.

Winston znowu poczuł się bezsilny; głos O'Briena jak taran kruszył wszystkie jego racje. Co więcej, bał się, że jeśli dalej będzie się sprzeciwiał, O'Brien przesunie przełącznik. A jednak nie mógł milczeć. Wizja nakreślona przez O'Briena zdjęła go taką grozą, że musiał zaprotestować, nawet jeśli nie miał już żadnych argumentów.

- Nie wiem... I nie obchodzi mnie jak. Ale na pewno wam się nie uda. Coś was pokona. Życie was pokona.

- To my, Winston, kontrolujemy życie, każdy jego wycinek. Wydaje ci się, że istnieje coś takiego jak natura ludzka, która oburzona tym, co robimy, zwróci się przeciwko nam. Ale pamiętaj, że to my kształtujemy ludzką naturę. Człowiek jest nieskończenie podatny na formowanie. A może powróciłeś do swojej starej tezy, że proletariusze lub niewolnicy powstaną i nas obalą? Daj sobie spokój. Są bezradni, jak zwierzęta. Ludzkość to Partia. Ci poza nią są bez znaczenia.

- Nic mnie to nie obchodzi. W końcu was pokonają. Prędzej czy później przejrzą na oczy, a wtedy rozszarpią was na strzępy.

- Czy cokolwiek przemawia za tym, że tak się stanie? Masz jakieś dowody, że na to się zanosi?

- Nie. Po prostu w to wierzę. Wiem, że poniesiecie klęskę. Istnieje we wszechświecie... sam nie wiem, jakiś duch, jakaś siła... której nigdy nie uda wam się zwyciężyć.

- Czy wierzysz w Boga, Winston?

- Nie.

- Więc co to za siła nas pokona?

- Nie wiem. Duch ludzki.

- Czy uważasz się za człowieka, Winston?

- Tak.

- Jeśli jesteś człowiekiem, Winston, to ostatnim. Twój gatunek wymiera, a za spadkobierców ma nas. Czy nie pojmujesz, że zostałeś sam jak palec? Wypadłeś już poza nawias historii; nie istniejesz. - Zachowanie O'Briena zmieniło się; szorstkim tonem zapytał: - Czy uważasz się za lepszego od nas, dlatego że kłamiemy i umiemy być okrutni?

- Tak. Jestem lepszy od was.

O'Brien nic nie powiedział. W pomieszczeniu rozległy się dwa inne głosy. Po chwili Winston zorientował się, że jeden należy do niego. Było to nagranie rozmowy, którą odbył z O'Brienem w dniu, kiedy wstąpił do Braterstwa. Słyszał siebie, jak obiecuje kłamać, kraść, fałszować, mordować, zachęcać do narkomanii i prostytucji, rozpowszechniać choroby weneryczne, oblać kwasem siarkowym twarz dziecka. O'Brien machnął niecierpliwie ręką, jakby uważał, że szkoda czasu na dalsze wykazywanie Winstonowi jego dwulicowości. Nacisnął klawisz i głosy umilkły.

- Wstań - polecił.

Pasy się rozpięły. Winston spuścił nogi na ziemię i wyprostował się niepewnie.

- Jesteś ostatnim człowiekiem - rzekł O'Brien. - Strażnikiem ducha ludzkości. Ujrzysz się takim, jaki jesteś naprawdę. Rozbierz się do naga.

Winston rozsupłał sznurek, który przytrzymywał jego kombinezon. Zamek błyskawiczny dawno już wyrwano. Nie pamiętał, czy od chwili aresztowania choć raz zdejmował ubranie. Pod kombinezonem jego ciało spowijały brudne, pożółkłe szmaty, w których z trudem rozpoznał resztki bielizny. Zsunąwszy je na ziemię, ujrzał na końcu pomieszczenia trój skrzydłowe lustro. Zaczął iść w jego stronę; nagle zatrzymał się w pół kroku i mimo woli krzyknął.

- Dalej - rozkazał O'Brien. - Stań między skrzydłami. Wówczas zobaczysz się również z boku.

Winston zatrzymał się zdjęty grozą. Z lustra szedł mu naprzeciw przygarbiony, szary kościotrup. Winstona przeraziła nie tyle świadomość, że widzi siebie, ile sam widok. Przysunął się bliżej. Z powodu zgiętej sylwetki twarz wydawała się wysunięta do przodu: posępna twarz więźnia z guzowatym czołem przechodzącym w łysy czerep, z krzywym nosem i poobijanymi kośćmi policzkowymi, nad którymi płonęły czujne, gniewne oczy. Policzki poznaczone bruzdami, usta zapadłe. Winston oczywiście nadal mógł się rozpoznać, lecz jego twarz zmieniła się bardziej, niż on zmienił się wewnętrznie. Zapisane na niej przeżycia przerastały okropnością wszystko, co faktycznie przeszedł. Częściowo wyłysiał. Przez moment zdawało mu się również, iż osiwiał, ale okazało się, że resztki włosów ma po prostu szare od nawarstwionego brudu, który pokrywał całe jego ciało poza dłońmi i twarzą. Gdzieniegdzie spod wżartego brudu wyzierały czerwone blizny po ranach, a owrzodzenie powyżej kostki stało się jedną wielką opuchlizną z łuszczącą się skórą. Ale najbardziej przeraziło Winstona ogólne wycieńczenie jego ciała. Klatkę piersiową miał chudą jak szkielet; nogi tak cienkie, że kolana były grubsze niż uda. Zrozumiał, dlaczego O'Brien chciał, aby obejrzał się z boku. Wygięcie kręgosłupa wydawało się wprost nieprawdopodobne. Wychudłe ramiona tak mocno pochyliły się do przodu, że klatka piersiowa zapadła się do wewnątrz, a wiotka szyja niemal zgięła wpół pod ciężarem głowy. Powiedziałby, że patrzy na ciało śmiertelnie chorego sześćdziesięcioletniego starca.

- Myślałeś, że moja twarz, twarz członka Wewnętrznej Partii, jest stara i zniszczona - rzekł O'Brien. - Jak oceniasz własną?

Złapał Winstona za ramiona i obrócił szybko do siebie.

- Popatrz, jak wyglądasz! - zawołał. - Spójrz na brud, którym obrosłeś, który wżarł ci się między palce u nóg! Spójrz na ten ohydny, ropiejący wrzód powyżej kostki! Czy wiesz, że cuchniesz jak cap? Pewnie przestałeś to zauważać. Patrz, jaki jesteś chudy. Widzisz? Kciukiem i palcem wskazującym mogę objąć twój biceps. Mógłbym ci złamać szyję niczym marchew. Czy wiesz, że odkąd jesteś w naszych rękach, schudłeś dwadzieścia pięć kilo? Włosy wyłażą ci garściami. Popatrz! - Chwycił go za włosy i wyszarpnął mu kilka kosmyków. - Otwórz usta. Zostało ci dziewięć, dziesięć, jedenaście zębów. Ile miałeś przedtem? A te mizerne resztki wkrótce też ci wypadną. Spójrz!

Zacisnął dwa potężne palce na jednym z ocalałych przednich zębów Winstona. Ból przeszył szczękę więźnia. O'Brien wyrwał mu ruszający się ząb wraz z korzeniem, po czym cisnął go na drugi koniec celi.

- Gnijesz, rozpadasz się! - ryknął. - Wiesz, czym jesteś? Worem gnoju. A teraz obróć się i jeszcze raz popatrz w lustro. Widzisz tę ohydę? To właśnie ostatni człowiek. Tak wygląda ludzkość, jeśli ty ją reprezentujesz. Możesz się ubrać.

Winston zaczął się ubierać, powoli i niedołężnie. Do tej pory jakoś nie zauważył, że jest taki chudy i słaby. W jego głowie kołatała się jedna myśl: musi tu być znacznie dłużej, niż sądził. Po czym nagle, gdy owijał się w nędzne łachmany, zrobiło mu się straszliwie żal swojego wyniszczonego ciała. Opadł bezwolnie na stołek przy łóżku i wybuchnął płaczem. Mimo świadomości, jak okropnie, wręcz odrażająco wygląda w ostrym, jaskrawym świetle - szlochający worek kości w cuchnącej bieliźnie - nie mógł pohamować łez. O'Brien niemal dobrotliwym gestem dotknął jego ramienia.

- Twoja męka kiedyś się skończy - rzekł. - Jeśli tylko zechcesz, przestaniesz cierpieć. Wszystko zależy od ciebie.

- To wy! To wy doprowadziliście mnie do tego stanu! -zaszlochał Winston.

- Nie, Winston, sam się doprowadziłeś. Sam wybrałeś tę drogę, kiedy postanowiłeś sprzeciwić się Partii. Wszystkie następstwa wynikły z twojego pierwszego kroku. Nie spotkało cię nic, czego nie mogłeś przewidzieć.

Na chwilę przerwał, po czym oznajmił:

- Pokonaliśmy cię, Winston. Złamaliśmy. Widzisz, jak wygląda twoje ciało. Twój umysł jest w identycznym stanie. Nie sądzę, aby zostało w tobie wiele dumy. Kopano cię, bito, lżono; wrzeszczałeś z bólu, tarzałeś się po ziemi we własnej krwi i we własnych wymiocinach. Skamlałeś o litość, zdradziłeś wszystkich i wszystko. Czy znasz choć jedno poniżenie, które cię ominęło?

Winston przestał szlochać, choć łzy wciąż spływały mu po twarzy. Podniósł wzrok na O'Briena.

- Nie zdradziłem Julii - powiedział. O'Brien popatrzył na niego z namysłem.

- Tak. To prawda. Nie zdradziłeś Julii.

Dziwaczny podziw dla O'Briena, podziw, którego nic nie mogło zniszczyć, znów przepełnił serce Winstona. Jakiż to mądry człowiek, pomyślał, jakiż inteligentny! O'Brien zawsze rozumiał wszystko, co się do niego mówiło. Ktoś inny natychmiast odparłby, że przecież zdradził Julię. Bo czyż nie złożył wyczerpujących zeznań podczas tortur? Poinformował dokładnie śledczych o jej zwyczajach, charakterze, przeszłości; wyjawił w najdrobniejszych szczegółach przebieg spotkań i treść rozmów; opowiedział o posiłkach przyrządzanych z czarnorynkowych artykułów, o cudzołóstwie, o nie sprecyzowanych knowaniach przeciwko Partii - o wszystkim. A jednak, w tym sensie, w jakim rozumiał to słowo, nie zdradził Julii. Nie przestał jej kochać. Jego uczucia wobec niej pozostały takie same. O'Brien pojął rzecz od razu, nic nie trzeba mu było tłumaczyć.

- Powiedzcie mi, kiedy mnie zastrzelą? - spytał Winston.

- Chyba będziesz musiał jeszcze długo czekać - rzekł O'Brien. - Twój przypadek nie jest prosty. Ale nie trać nadziei. Prędzej czy później każdego udaje się wyleczyć. Na końcu zastrzelimy cię na pewno.

4

Czuł się znacznie lepiej. Z dnia na dzień - o ile można mówić o dniach, gdy nic nie dzieli ich od siebie - przybierał na wadze i powracały mu siły.

Jaskrawe światło nie gasło ani na chwilę i wciąż rozlegał się szum, lecz nowa cela była trochę wygodniejsza od poprzednich. Miał w niej stołek, a na pryczy z desek leżały materac i poduszka. Zaprowadzono Winstona do łaźni, dość często pozwalano mu się myć w blaszanej miednicy. Nawet dostarczano ciepłą wodę. Otrzymał nową bieliznę i czysty kombinezon. Owrzodzenie posmarowano jakąś kojącą maścią i nałożono opatrunek. Na koniec usunięto więźniowi resztkę zębów i dano mu sztuczne szczęki.

Musiało minąć wiele tygodni lub nawet miesięcy. Teraz, gdyby miał ochotę, mógłby mierzyć upływ czasu, ponieważ karmiono go w miarę regularnie. Sądził, że dostaje trzy posiłki na dobę; nie miał tylko pewności, czy podawane są w dzień, czy w nocy. Jedzenie było nadspodziewanie smaczne; na co trzeci posiłek dostawał mięso. Raz nawet otrzymał paczkę papierosów. Nie miał zapałek, ale zawsze mógł prosić o ogień milczącego strażnika, który przynosił

posiłki. Kiedy pierwszy raz zapalił, zrobiło mu się niedobrze, lecz nie zrezygnował. Dawkował sobie papierosy, paląc pół po każdym posiłku, żeby paczka starczyła na dłużej.

Dostał także białą tabliczkę z przywiązanym do rogu ołówkiem. Początkowo w ogóle z niej nie korzystał. Nie próbował nawet wyrwać się z apatii. Czas między posiłkami spędzał prawie bez ruchu, albo śpiąc, albo leżąc w sennym odrętwieniu, z zamkniętymi oczami, gdyż otwarcie ich wymagało zbyt wielkiego wysiłku. Już dawno przywykł do spania przy silnym świetle padającym mu prosto na twarz. Jedynie sny miewał znacznie mniej chaotyczne. Śnił teraz wyjątkowo często, zawsze o rzeczach przyjemnych. Przebywał w Złotej Krainie lub siedział wśród potężnych, wspaniałych, zalanych słońcem ruin, z matką, z Julią, z O'Brienem - siedzieli sobie leniwie i rozmawiali o pogodnych sprawach. Kiedy myślał o czymś na jawie, to mniemał wyłącznie o swoich snach. Odkąd znikł bodziec w postaci groźby bólu, Winston jakby stracił zdolność do podejmowania wysiłku intelektualnego. Nie nudził się, nie czuł potrzeby prowadzenia rozmów, nie tęsknił do żadnych rozrywek. To, że przebywał w samotności, bez bicia i przesłuchań, w dodatku syty i czysty, zadowalało go w zupełności.

Z czasem spał coraz mniej, ale wciąż nie miał ochoty wstawać z łóżka. Najchętniej leżał bez ruchu, czując, jak powracają mu siły. Obmacywał swoje ciało, aby się upewnić, czy jego mięśnie naprawdę nabierają masy, a skóra staje się mniej wiotka. Wreszcie odeszły go wszelkie wątpliwości: tak, przybierał na wadze; uda miał już zdecydowanie grubsze od kolan. Od tej chwili, na początku z niejakim ociąganiem, zaczął się systematycznie gimnastykować. Wkrótce mógł już przejść trzy kilometry, spacerując wolno po celi, a kabłąkowate ramiona nieco mu się wyprostowały. Ale kiedy zabrał się do trudniejszych ćwiczeń, ze zdziwieniem i upokorzeniem odkrył, że nie może im podołać. Nie potrafił przyspieszyć kroku, nie umiał utrzymać stołka w wyprostowanej ręce, przewracał się, gdy usiłował stanąć na jednej nodze. Z przysiadu podniósł się z ogromnym wysiłkiem, ledwo przezwyciężając rwący ból ud i łydek. Kiedy się położył na brzuchu i usiłował zrobić pompkę, okazało się to beznadziejne: nie potrafił podźwignąć się choćby o centymetr. Ale po kilku dniach - i kilku kolejnych posiłkach - nawet tej sztuki udało mu się dopiąć; z czasem doszedł do sześciu pompek pod rząd. Zaczął odczuwać dumę ze swojej sprawności fizycznej i miał tylko nadzieję, iż jego twarz również odzyskuje dawny wygląd. Dopiero przypadkiem dotknąwszy łysej czaszki, przypomniał sobie, jak dalece zniszczona i pokryta bruzdami była twarz, którą widział w lustrze.

Jego umysł stał się bardziej sprawny. Winston mógł teraz usiąść na pryczy, oprzeć się o ścianę i z tabliczką na kolanie całkiem świadomie przystąpić do swojej reedukacji.

Skapitulował, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Zastanawiając się nad tym obecnie, zrozumiał, że właściwie gotów był skapitulować znacznie wcześniej, niż sobie to uświadomił. Już w chwili kiedy znalazł się w Ministerstwie Miłości - a nawet wcześniej, wtedy gdy stał bezradnie z Julią, słuchając poleceń żelaznego głosu płynącego z teleekranu -zdał sobie sprawę z lekkomyślności i naiwności swojej próby buntu przeciwko Partii. Teraz wiedział, że przez siedem lat Policja Myśli obserwowała go niczym owada pod lupą. Uwagi funkcjonariuszy nie umknął żaden jego czyn, żadne słowo; znali nawet jego myśli. Ostrożnie kładli jasny paproch z powrotem na okładce pamiętnika. W trakcie przesłuchań puszczano mu nagrania, pokazywano zdjęcia. Niektóre przedstawiały jego i Julię. Tak, nawet wówczas, gdy... Nie potrafił dłużej walczyć z Partią. A zresztą, Partia ma rację. Musi mieć, bo czy nieśmiertelny, zbiorowy mózg może się mylić? Według jakich zewnętrznych kryteriów można oceniać jego sądy? Normalność to średnia statystyczna. Należało jedynie nauczyć się myśleć tak jak oni. Tylko...!

Ołówek, który trzymał w palcach, wydawał mu się jakiś gruby i nieporęczny. Winston zaczął notować myśli, które przychodziły mu do głowy. Na początku napisał dużymi, krzywymi literami:

WOLNOŚĆ TO NIEWOLA

Po czym, nie zastanawiając się, dopisał:

DWA I DWA TO PIĘĆ

Ale nagle coś się w nim zacięło. Jego umysł, jakby pragnąc czegoś uniknąć, odmawiał posłuszeństwa. Więzień miał świadomość, że wie, jak brzmi kolejna maksyma, lecz chwilowo nie mógł sobie przypomnieć. Wreszcie udało mu się ją odtworzyć; nie tyle przypomnieć, ile zrekonstruować w myślach. Zanotował:

BÓG TO WŁADZA

Zgadzał się na wszystko. Przeszłość była zmienna. Przeszłości nigdy nie zmieniono. Oceania prowadziła wojnę ze Wschódazją. Oceania zawsze prowadziła wojnę ze Wschódazją. Jones, Aaronson i Rutherford byli winni zbrodni, o które zostali oskarżeni. Nigdy nie widział zdjęcia, które stanowiło dowód ich niewinności. Nigdy nie istniało, po prostu je wymyślił. Pamiętał sprzeczne ze sobą fakty, lecz wiedział, że wiele wspomnień sobie uroił, powstały z jego zmyśleń. Jakież to było proste! Wystarczyło się poddać, a reszta wynikała sama. Zupełnie jakby człowiek płynął pod prąd, który spycha go do tyłu mimo najrozpaczliwszych wysiłków, a potem nagle decydował się zawrócić i płynąć z prądem, zamiast mu się opierać. Nie zmieniało się nic oprócz nastawienia: działo się i tak to, co było nieuchronne. Winston właściwie nie wiedział, dlaczego w ogóle się buntował. Przecież prościej jest zaniechać oporu; jedynie...!

Wszystko może być prawdą. Tak. zwane prawa przyrody to nonsens. Prawo ciążenia to nonsens. „Gdybym chciał - powiedział O'Brien - mógłbym wznieść się do góry niczym bańka mydlana". Winston rozważał to przez chwilę. „Jeśli jemu się wydaje, że się unosi, a mnie, że to widzę, wówczas tak jest w istocie". Nagle jednak, niczym zanurzony pod wodę drąg, który wypływa na powierzchnię, z głębi mózgu wyłoniła się refleksja: „Nie, wcale tak nie jest. Po prostu ponosi nas fantazja. Ulegamy halucynacji". Czym prędzej odepchnął ją od siebie. Opierała się na ewidentnym błędzie, na fałszywym założeniu, że gdzieś na zewnątrz istnieje „rzeczywisty" świat, w którym dzieją się „rzeczywiste" rzeczy. Ale jak może istnieć? Jak można mieć świadomość czegokolwiek inaczej niż poprzez myśli? Wszystko dzieje się w głowie. A co dzieje się w głowach wszystkich, dzieje się naprawdę.

Odrzucenie błędu nie sprawiło mu trudności; nie obawiał się, że da się znów sprowadzić na manowce. Jednakże taki fałszywy tok rozumowania w ogóle nie powinien był mu przyjść do głowy. Umysł musi umieć się wyłączać, ilekroć zbacza na niebezpieczne tory. Proces ten powinien zachodzić automatycznie, odruchowo. W nowomowie określano go mianem *zbrodnioszlaban.*

Winston zaczął wyrabiać w sobie tę umiejętność. Przywoływał w myślach różne tezy - na przykład: „Partia twierdzi, że ziemia jest płaska", „Partia twierdzi, iż lód jest cięższy od wody" - i ćwiczył zdolność niedostrzegania lub nierozumienia argumentów, które mogłyby je obalić. Nie było to łatwe. Należało szybko myśleć, a ponadto mieć dar improwizacji. Już problemy arytmetyczne typu „dwa i dwa to pięć" znacznie przekraczały intelektualne możliwości Winstona. Wymagały niesłychanej giętkości umysłu, pozwalającej w jednym momencie dokonywać najsubtelniejszych operacji logicznych, w następnym nie dostrzegać najbardziej podstawowych błędów w rozumowaniu. Głupota okazywała się równie niezbędna jak inteligencja, a znacznie trudniej było mu ją w sobie wykształcić.

Przez cały czas nurtowało go pytanie, kiedy go zastrzelą. „Wszystko zależy od ciebie" - powiedział O'Brien; Winston zdawał sobie jednak sprawę, że żadnym swoim czynem nie zdoła przybliżyć końca. Mogą go zastrzelić za dziesięć minut lub za dziesięć lat. Mogą trzymać latami w izolatce, zesłać do obozu pracy, a nawet na krótko zwolnić, jak to się niekiedy zdarza. Bardzo

możliwe, że wówczas, zanim go zastrzelą, powtórzy się cały cyrk z aresztowaniem i przesłuchaniem.

Jedno było pewne: śmierć nadchodzi nieoczekiwanie. Zgodnie z tradycją - niemówioną tradycją; choć nikt o tym nie wspominał, jakoś się wiedziało - więźniowi strzelano zawsze w tył głowy, zawsze znienacka, prowadząc go korytarzem niby to z jednej celi do drugiej.

Pewnego dnia - aczkolwiek mógł to być nie dzień, a środek nocy - Winston zapadł w dziwny, błogi sen. Szedł korytarzem czekając na kulę. Wiedział, że strzał padnie w następnej sekundzie. Wszystko było załatwione, wyjaśnione, umierał pogodzony. Nie dręczyły go już wątpliwości, nie wdawał się w żadne spory, nie czuł bólu ani strachu. Ciało miał zdrowe i silne. Szedł bez wysiłku, radując się ruchem, przekonany, że idzie w pełnym słońcu. Nie znajdował się w jednym z wąskich, białych korytarzy Ministerstwa Miłości, lecz w ogromnym, zalanym słońcem pasażu, ponad kilometr szerokim, który pamiętał z majaków wywołanych zastrzykami. Był w Złotej Krainie, szedł ścieżką po wyskubanej przez króliki łące. Czuł pod stopami krótką, sprężystą trawę, a na twarzy ciepłe promienie słońca. Na skraju pola widział kołyszące się łagodnie wiązy, a gdzieś w oddali wił się strumień, w którego zielonych rozlewiskach pod wierzbami pływały klenie.

Nagle poderwał się niczym rażony prądem. Pot zrosił mu plecy. Usłyszał, jak krzyczy na głos:

- Julio! Julio! Julio, moja najdroższa! Julio!

Przez chwilę trwał w iluzji, iż Julia jest tuż obok niego. A właściwie nie tyle obok, ile w nim, jakby stanowili jedność. W tym momencie kochał ją bardziej niż kiedykolwiek, bardziej niż wtedy, gdy byli razem i na wolności. Zrozumiał, że Julia wciąż żyje i potrzebuje jego pomocy.

Opadł na posłanie, starając się opanować. Cóż zrobił najlepszego! Ileż dodatkowych lat niewoli będzie go kosztować ten moment słabości!

Za chwilę doleci go stukot kroków. Tego wybuchu nie puszczą mu płazem. Jeśli nawet dotąd się nie domyślali, teraz wiedzą na pewno, że nie dotrzymuje warunków umowy. Był posłuszny Partii, lecz wciąż jej nienawidził. Dawniej ukrywał heretyckie poglądy pod płaszczykiem prawomyślności. Teraz cofnął się o krok wstecz: oddał im w niewolę swój umysł, jednakże serce zachował nieskażone. Wiedział, że nie ma racji, ale wolał jej nie mieć, niż być taki jak oni. Rozszyfrują go - O'Brien go rozszyfruje. Zdradził się tym jednym, głupim okrzykiem.

Będzie musiał zaczynać od początku. Proces może trwać lata. Przejechał ręką po twarzy, usiłując przyzwyczaić się do jej dotyku. Głębokie bruzdy znaczyły policzki, kości policzkowe sterczały ostro, nos był spłaszczony. A odkąd widział się w lustrze, wprawiono mu sztuczne zęby. Niełatwo kontrolować mimikę, kiedy nie zna się wyglądu własnej twarzy. Zresztą samo panowanie nad mimiką nie wystarczało. Po raz pierwszy w życiu zdał sobie sprawę, że jeśli chce się zachować tajemnicę, należy ukryć ją nawet przed sobą. Trzeba pamiętać o niej bez przerwy, lecz dopóki nie nadejdzie właściwa chwila, nie należy ani ubierać jej w słowa, ani pozwolić, aby przeniknęła do świadomości. Od tej chwili nie tylko jego myśli, ale również odczucia i sny muszą być prawomyślne. I przez cały ten czas musi kryć swoją nienawiść głęboko w sobie, nosić ją jak torbiel, która tkwi w ciele, a zarazem nic jej z nim nie łączy.

Pewnego dnia postanowią go zastrzelić. Nie sposób przewidzieć, kiedy to nastąpi, ale chyba domyśli się kilka sekund wcześniej. Zawsze strzelają w tył głowy, prowadząc korytarzem. Dziesięć sekund starczy. Przez ten czas wszystko w nim zdąży wywrócić się na opak. Nagle, bez słowa, bez zmiany rytmu kroków, bez drgnienia twarzy - nagle spadnie zasłona kamuflażu i trach! gruchną armaty nienawiści. Nienawiść wypełni go niczym potężny, szalejący płomień. I niemal w tym samym momencie trach! wystrzeli kula; wystrzeli za późno lub za wcześnie. Rozsadzi mu mózg, zanim znów zdołają nad nim zapanować. Heretycka myśl pozostanie nie ukarana, nie skruszona, na zawsze poza ich zasięgiem. Jednym strzałem zniszczą stworzoną przez siebie doskonałość. Umrzeć pałając do nich nienawiścią - oto prawdziwa wolność.

Zamknął oczy. Czekało go trudniejsze zadanie od narzucenia sobie myślowej dyscypliny. Musiał się upokorzyć, okaleczyć. Musiał zanurzyć się w najohydniejszym brudzie. Przez chwilę zastanawiał się, co jest najbardziej wstrętne, najbardziej obmierzłe ze wszystkiego? Pomyślał o Wielkim Bracie. Ogromna twarz (ponieważ zwykle widział ją na plakatach, w jego wyobraźni też miała ponad metr szerokości), z sutymi, czarnymi wąsami i o oczach pilnie śledzących każdy ruch, sama z siebie stanęła mu w myślach. Co naprawdę odczuwał wobec Wielkiego Brata?

Na korytarzu rozległ się ciężki stukot butów. Stalowe drzwi celi otworzyły się z brzękiem. Do środka wszedł O'Brien; oficer o woskowej twarzy i strażnicy w czarnych mundurach zostali na zewnątrz.

- Wstań - rozkazał O'Brien. - Zbliż się.

Winston stanął naprzeciwko O'Briena. Ten ujął go za ramiona i przyjrzał mu się bacznie.

- Miałeś ochotę mnie oszukać - rzekł. - Bardzo nierozsądnie. Wyprostuj się. Patrz mi w oczy.

Na moment umilkł, po czym kontynuował nieco łagodniejszym tonem:

- Robisz postępy. Umysłowo jesteś już prawie zdrów, ale emocjonalnie nie posunąłeś się ani o krok do przodu. Powiedz mi, Winston, i pamiętaj, nie łżyj: wiesz, że zawsze potrafię poznać, kiedy kłamiesz; powiedz mi, jakie uczucia żywisz naprawdę do Wielkiego Brata?

- Nienawidzę go.

- Nienawidzisz go. Świetnie. Więc najwyższy czas, abyśmy przeszli do ostatniego etapu. Musisz pokochać Wielkiego Brata. Nie wystarczy go słuchać; trzeba go kochać.

Pchnął Winstona w stronę strażników.

- Pokój sto jeden - polecił.

5

Na każdym etapie uwięzienia Winston wiedział, a przynajmniej tak mu się zdawało, w jakiej części pozbawionego okien budynku akurat przebywa. Może poznawał to po niewielkich różnicach ciśnienia. Cele, w których bili go strażnicy, mieściły się pod ziemią. Pokój, w którym przesłuchiwał go O'Brien, ulokowany był gdzieś wysoko, niemal pod samym dachem. Teraz z kolei zabrano go do pomieszczenia położonego wiele metrów pod ziemią, chyba na najniższej kondygnacji budynku.

Było obszerniejsze niż większość cel, gdzie dotąd go trzymano. Jednakże nie zwracał uwagi na otoczenie. Zauważył tylko, że przed sobą ma dwa stoliki, oba przykryte zielonym suknem. Jeden stał zaledwie półtora metra od niego, drugi nieco dalej, bliżej drzwi. Winston siedział w fotelu, skrępowany tak ciasno, że nie mógł się poruszyć, nawet skinąć głową. Sztywna podpórka sprawiała, że musiał patrzeć prosto przed siebie.

Przez chwilę był sam, po czym drzwi otworzyły się i do środka wszedł O'Brien.

- Pytałeś mnie kiedyś - rzekł - co jest w pokoju sto jeden. Powiedziałem ci, że sam wiesz najlepiej. Wszyscy wiedzą. Tutaj czeka cię to, co jest najstraszniejsze na świecie.

Drzwi otworzyły się ponownie. Do środka wszedł strażnik; wniósł jakiś przedmiot wykonany z drutu, kosz albo skrzynkę, i postawił na dalszym stoliku. Winston nie mógł się dobrze przyjrzeć, bo O'Brien zasłaniał mu widok.

- Dla każdego człowieka co innego jest najstraszniejsze na świecie - wyjaśnił O'Brien. - Dla jednego może to być pogrzebanie żywcem, dla drugiego spalenie, a dla trzeciego utonięcie, wbicie na pal lub dopiero pięćdziesiąty rodzaj śmierci. Czasami chodzi o coś bardzo trywialnego, co wcale nie powoduje zgonu.

Przesunął się nieco, aby Winston mógł lepiej dojrzeć przedmiot umieszczony na stole. Była to podłużna, druciana klatka z umocowanym na wierzchu uchwytem. Z przodu znajdowała się jakby maska szermiercza, wklęsłą stroną zwrócona na zewnątrz. Chociaż klatka stała w odległości prawie czterech metrów, Winston widział, że przedzielona jest wzdłuż na dwie części i że w każdej z nich siedzi zwierzę. Szczur.

- W twoim wypadku - kontynuował O'Brien - najstraszniejsze są szczury.

Dziwny, ostrzegawczy dreszcz, niewytłumaczalny lęk wstrząsnął Winstonem, gdy tylko ujrzał klatkę. Lecz dopiero w tym momencie zrozumiał, do czego służy podobne do maski urządzenie umocowane z przodu. Kiszki zamieniły mu się w lód.

- Nie możecie! - zawył piskliwym, łamiącym się głosem. -Nie możecie! Nie! Nie!

- Czy pamiętasz chwile grozy, które nachodziły cię w snach? - spytał O'Brien. - Przed sobą widziałeś mroczną jamę, w uszach słyszałeś grzmot. W jamie kryło się coś strasznego. Wiedziałeś co, lecz nie dopuszczałeś tej wiedzy do świadomości. Szczury!

- O'Brien! - zawołał Winston, usiłując zapanować nad głosem. - Przecież wiecie, że to nie jest konieczne. Czego ode mnie chcecie?

O'Brien nie odpowiedział wprost. Kiedy się odezwał, mówił - co mu się czasem zdarzało - tonem nauczycielskim. Patrzył z namysłem przed siebie, jakby zwracał się do słuchaczy siedzących gdzieś za Winstonem.

- Ból sam w sobie często nie wystarczy. Są sytuacje, w których człowiek zdoła wytrzymać największy ból, a nawet może z bólu umrzeć. Ale każdego coś napawa taką grozą, że boi się choćby o tym myśleć. Nie ma to nic wspólnego z odwagą i strachem. Kiedy człowiek spada z wysokości, nie jest tchórzostwem łapanie się liny. Jeśli wynurza się spod wody, nie jest tchórzostwem wciąganie powietrza w płuca. To odruch, którego nie sposób się wyzbyć. Tak samo jest z tobą i szczurami. Dla ciebie są najkoszmarniejszą rzeczą na świecie. Choćbyś nie wiem jak pragnął, tej formy nacisku nie potrafisz znieść. Zrobisz, czego tylko od ciebie zażądam.

- Ale czego, czego żądacie?! Jak mogę to zrobić, skoro nie wiem?!

O'Brien przeniósł klatkę na bliższy stolik. Postawił ją ostrożnie na zielonym suknie. Winstonowi krew zahuczała w uszach. Czuł się straszliwie osamotniony. Zdawało mu się, że siedzi pośrodku rozległej, bezludnej równiny, pustyni zalanej słonecznym blaskiem, a wszystkie dźwięki docierają do niego z ogromnej odległości. Ale klatka ze szczurami stała zaledwie półtora metra od jego fotela. Były wielkie. Oba w tym wieku, gdy szczurom grubieją pyski i stają się bardziej drapieżne, a sierść z szarej przemienia się w brunatną.

- Szczury, choć gryzonie, są mięsożerne - ciągnął O'Brien, jakby wciąż przemawiał do swoich niewidocznych słucha*czy.* - Chyba sam wiesz, co zdarza się w ubogich dzielnicach. Są ulice, gdzie kobiety boją się zostawiać niemowlę w domu bez opieki choćby na pięć minut. Szczury z miejsca by się na nie rzuciły i po kilku chwilach pozostałyby tylko ogryzione do cna kości. Szczury atakują również ludzi chorych lub umierających. Wykazują niebywałą zdolność wyczuwania, że ktoś jest bezsilny.

Nagle z klatki rozległy się głośne piski. Dochodziły Winstona jakby z bardzo daleka. Szczury, rozdrażnione, szturmowały dzielącą je ściankę. Usłyszał głęboki jęk rozpaczy. Ten dźwięk również zdawał się płynąć z oddali.

O'Brien podniósł klatkę i coś przy niej nacisnął. Rozległ się głośny trzask. Winston szarpnął całym ciałem jak oszalały, próbując zerwać się z fotela. Daremny wysiłek; ciało i głowę miał całkowicie unieruchomione. O'Brien przybliżył klatkę. Była teraz niecały metr od twarzy Winstona.

- Nacisnąłem pierwszą dźwignię - wyjaśnił O'Brien. - Domyślasz się chyba, jak funkcjonuje klatka. Maska zamknie się wokół twojej głowy. Kiedy nacisnę drugą dźwignię, drzwiczki w klatce uniosą się do góry. Wygłodniałe bestie skoczą do przodu jak wystrzelone z procy. Czy widziałeś kiedy, jak szczur rzuca się do ataku? Skoczą ci prosto na twarz i *zaczną* się w nią wgryzać. Czasami od razu wyżerają oczy. Czasami najpierw przegryzają policzki i wyjadają język.

Klatka była coraz bliżej, coraz większa. Winston usłyszał kilka krótkich jęków, które dolatywały jakby gdzieś znad jego głowy. Walczył rozpaczliwie, aby opanować strach. Wymyśl coś, wymyśl, masz jeszcze ułamek sekundy, to twoja ostatnia szansa! Nagle stęchły, obrzydliwy smród uderzył go w nozdrza. Wstrząsnęły nim mdłości tak silne, że o mało nie zemdlał. Zrobiło mu się czarno przed oczami. Na moment sam zmienił się w szalone, wyjące zwierzę. Jednakże wydobył się z mroku, unosząc ze sobą zbawienną myśl. Był to jeden, jeden jedyny sposób ratunku. Musi odgrodzić się od szczurów ciałem innego człowieka.

Otwór maski był tak blisko, że nic poza nim nie widział. Druciane drzwiczki zbliżyły się na szerokość dwu dłoni do jego twarzy. Szczury wiedziały już, co zaraz nastąpi. Jeden podskakiwał niecierpliwie, a drugi, stary rynsztokowiec o szorstkim, pomarszczonym pysku, uniósł się na tylne łapy i opierając o druty różowe spody przednich, zaczął gniewnie węszyć. Winston wpatrywał się w jego wąsy i żółte zębiska. Znów owładnął nim paniczny strach. Czuł się ślepy, bezsilny, otępiały.

- W cesarskich Chinach była to dość pospolita tortura -oświadczył O'Brien tym samym dydaktycznym tonem.

Maska zamykała się wokół twarzy Winstona. Druty dotykały policzków. I wówczas - nie, nie była to ulga, lecz nadzieja, zaledwie iskierka nadziei. Za późno, mogło już być za późno. Ale nagle zrozumiał, że na całym świecie istnieje tylko jedna osoba, na którą może przenieść tę straszliwą torturę - jedno ciało, którym może się zasłonić przed szczurami. I zaczął wrzeszczeć jak opętany, powtarzając w kółko:

- Zróbcie to Julii! Julii! Nie mnie! Julii! Nie obchodzi mnie, co się z nią stanie. Niech jej zeżrą twarz, obgryzą aż do kości. Nie mnie! Julii! Nie mnie!

Spadł do tyłu, w jakąś bezdenną otchłań; oddalał się od szczurów. Wciąż przywiązany do fotela, przeleciał przez posadzkę, przez ściany budynku, przez ziemię, przez oceany, przez atmosferę, uniósł się w kosmos, w gwieździste przestworza - cały czas coraz bardziej oddalając się od szczurów. Dzieliły go od nich lata świetlne, ale wciąż czuł na policzkach zimny dotyk drucianej siatki. I O'Brien wciąż stał u jego boku. Kiedy jednak w ciemnościach rozległ się metaliczny trzask, Winston wiedział, że drzwiczki klatki nie otworzyły się, lecz zatrzasnęły na dobre.

6

W kawiarni Pod Kasztanem nie było prawie nikogo. Zakurzone stoły złociły się w promieniach słońca wpadających ukośnie przez okno. Dochodziła godzina piętnasta; spokojna pora. Z teleekranów sączyły się blaszane tony muzyki.

Winston siedział w tym samym rogu co zawsze, ze wzrokiem utkwionym w pustej szklance. Raz na jakiś czas spoglądał na ogromną twarz obserwującą go z przeciwnej ściany. WIELKI BRAT PATRZY - głosił napis. Kelner, nie wzywany, podszedł i napełnił szklankę Dżinem Zwycięstwa, po czym z innej butelki, przez rurkę osadzoną w korku, strząsnął do środka kilka kropli. Była to sacharyna przyprawiona goździkami, specjalność zakładu.

Winston słuchał teleekranu. Chwilowo płynęła z niego muzyka, lecz lada moment mogli nadać specjalny komunikat Ministerstwa Pokoju. Z frontu afrykańskiego nadchodziły wyjątkowo niepokojące wiadomości. Winston zadręczał się nimi od samego rana. Wojska eurazjatyckie (Oceania prowadziła wojnę z Eurazją; Oceania zawsze prowadziła wojnę z Eurazją) posuwały się na południe w przerażającym tempie. Komunikat nadany o dwunastej nie wymieniał żadnego konkretnego rejonu, lecz walki prawdopodobnie toczyły się już przy ujściu Kongo. Brazzaville i Leopoldville znalazły się w niebezpieczeństwie. Winston nawet bez patrzenia na mapę wiedział, co

to oznacza. W grę wchodziła nie tylko utrata Afryki Środkowej; po raz pierwszy od wybuchu wojny zagrożona była sama Oceania.

Gwałtowne uczucie - nie całkiem strachu, raczej dziwnego podniecenia - targnęło Winstonem, po czym znów przygasło. Przestał myśleć o wojnie. Nie umiał skoncentrować się na żadnym temacie dłużej niż przez kilka chwil. Podniósł szklankę i opróżnił ją jednym haustem. Jak zwykle wzdrygnął się z obrzydzenia i zrobiło mu się niedobrze. Smak był ohydny. Goździki i sacharyna, same odrażająco mdłe, nie mogły zabić przykrej, oleistej woni dżinu; najgorsze jednak, że ta woń, która roztaczała się wokół niego w dzień i w nocy, kojarzyła mu się nierozerwalnie ze smrodem tych...

Nigdy, nawet w myślach, nie wymieniał ich nazwy, i na ile mógł, starał się nie przywoływać ich widoku. Były czymś, czego usiłował do końca sobie nie uświadamiać: cieniem przy twarzy, smrodem trzymającym się nozdrzy. Kiedy dżin podszedł mu do gardła, beknął przez sine wargi. Utył, odkąd go zwolniono, rysy mu zgrubiały, a cera stała się bardziej rumiana niż przedtem; nos i policzki miał wręcz prostacko czerwone, łysinę ciemnoróżową. Kelner, znów nieproszony, przyniósł szachy i ostatnie wydanie „The Times", otwarte na stronie z zadaniem szachowym. Następnie widząc, że szklanka Winstona jest pusta, napełnił ją dżinem. Winston nie potrzebował wydawać żadnych poleceń. Znano jego zwyczaje. Szachy zawsze na niego czekały, podobnie jak stolik w kącie; nawet gdy w lokalu panował tłok, nikt się nie dosiadał do Winstona, bo ludzie woleli nie być widziani w jego towarzystwie. Nigdy nie liczył, ile kolejek wypija. W nieregularnych odstępach czasu przynoszono mu brudne świstki, niby rachunki, lecz odnosił wrażenie, że za każdym razem żądają od niego za mało pieniędzy. Gdyby było odwrotnie, nie robiłoby mu to żadnej różnicy. Nie cierpiał na brak gotówki; na nowej posadzie - typowej synekurze - zarabiał znacznie więcej niż kiedykolwiek przedtem.

Muzyka umilkła i z teleekranu rozległ się głos. Winston uniósł głowę. Nie nadawano jednak komunikatu z frontu, lecz krótki biuletyn Ministerstwa Obfitości. Wynikało z niego, że w ubiegłym kwartale produkcja sznurowadeł przewidziana w Dziesiątym Planie Trzyletnim została przekroczona o dziewięćdziesiąt osiem procent.

Winston przestudiował zadanie szachowe i ustawił figury. Była to trudna końcówka, wymagająca użycia obu skoczków. „Grają białe; mat w dwóch posunięciach". Winston spojrzał na plakat Wielkiego Brata. Białe zawsze zwyciężają, pomyślał z niejasnym uczuciem mistycyzmu. Zawsze, bez wyjątku; taki jest porządek rzeczy. Jak świat światem, w żadnym zadaniu szachowym czarne jeszcze nigdy nie odniosły zwycięstwa. Czy nie miało to symbolizować wiecznego, niezmiennego triumfu Dobra nad Złem? Ogromna twarz patrzyła na niego; promieniowała spokojną mocą. Białe zawsze zwyciężają.

Głos urwał, po czym dodał innym, znacznie poważniejszym tonem:

- Informujemy, że o piętnastej trzydzieści nadamy ważny komunikat. Prosimy pamiętać: piętnasta trzydzieści, wiadomości najwyższej wagi! Należy ich wysłuchać. Powtarzam: piętnasta trzydzieści!

Znów popłynęły dźwięki blaszanej muzyki.

Winstonowi serce zabiło mocniej. Na pewno będzie to komunikat z frontu; przeczucie mówiło mu, że podadzą złe nowiny. Przez cały dzień co rusz ogarniało go podniecenie na myśl o druzgocącej klęsce w Afryce. Niemal widział, jak wojska eurazjatyckie przelewają się przez nigdy dotąd nie naruszoną granicę i pędzą w dół niczym kolumny mrówek. Dlaczego nie udało się jakoś oskrzydlić wroga? Miał przed oczami wyraźny kontur zachodniego wybrzeża kontynentu. Podniósł białego skoczka i przestawił na nowe pole. Tak, to było właściwe miejsce. Wyobrażając sobie gnające na południe czarne hordy, naraz ujrzał inne wojska, nie wiadomo skąd przybyłe, zajmujące pozycje na tyłach nieprzyjaciela, odcinające jego łączność na morzu i lądzie. Zdawało mu się, że wysiłkiem woli powołuje te wojska do życia. Ale trzeba się spieszyć. Jeśli wróg opanuje całą Afrykę i założy na Przylądku lotniska i bazy łodzi podwodnych, tym samym przepołowi Oceanię.

A to może oznaczać wszystko: klęskę, rozpad, nowy podział świata, zniszczenie Partii! Wziął głęboki oddech. Niesłychanie pomieszane uczucia - właściwie nie tyle pomieszane, ile tak nawarstwione, że trudno było poznać, które jest najsilniejsze - walczyły w nim o prymat.

Spazm minął. Cofnął białego skoczka, ale przez chwilę nie mógł się skupić na zadaniu szachowym. Jego myśli znów biegły innym torem. Niemal nieświadomie napisał palcem na zakurzonym blacie stołu:

2 + 2 =

„Nie mają dostępu do twojego mózgu" - powiedziała. A jednak mieli. „To, co ci się tu przydarzy, zmieni cię na zawsze" - rzekł O'Brien. I nie skłamał. Są *rzeczy*, własne czyny, po których nie można wrócić do siebie. Coś w człowieku umiera: zostaje wypalone, skauteryzowane.

Widział ją; nawet z nią rozmawiał. Nie było to niebezpieczne. Wiedział, a raczej czuł, że teraz prawie wcale się nim nie interesują. Mógł się z nią ponownie umówić, gdyby którekolwiek z nich wyraziło ochotę. Spotkali się przypadkiem w parku, w ohydny, zimny marcowy dzień, kiedy ziemia była twarda jak żelazna skorupa, trawa martwa i nie rosło nic prócz kilku krokusów, które przebiły się na powierzchnię po to tylko, by wiatr rozszarpał je na strzępy. Szedł pospiesznie, ze zlodowaciałymi rękoma i oczami łzawiącymi od zimna, gdy nagle ujrzał ją niespełna dziesięć metrów przed sobą. Z miejsca uderzyła go dziwna, nieuchwytna zmiana, jaka się w niej dokonała. Minęli się bez słowa; zawrócił jednak i ruszył za nią, choć bez specjalnej ochoty. Wiedział, że nic im nie grozi, że nikt nie będzie się nimi interesował. Nie powiedziała do niego słowa. Szła na ukos po wyschniętej trawie, jakby chciała się go pozbyć, ale w końcu, zrezygnowana, pogodziła się z jego obecnością. Wkrótce znaleźli się wśród strzępiastych, bezlistnych krzaków, niezdatnych zarówno do osłony przed ludzkim wzrokiem, jak i przed wiatrem. Zatrzymali się. Panował potworny ziąb. Wiatr gwizdał w gałęziach i szarpał rzadkie, sine krokusy.

Objął ją w pasie. Wprawdzie nie było teleekranów, lecz na pewno gdzieś tkwiły poukrywane mikrofony, a w dodatku stali na widoku. Ale to nie miało znaczenia; nic nie miało znaczenia. Gdyby chcieli, mogli się położyć na ziemi i robić to co dawniej. Jego ciało wzdrygnęło się, kiedy o tym pomyślał.

Nie zareagowała w żaden sposób na jego uścisk; nie próbowała nawet się uwolnić. Teraz wiedział, co się w niej zmieniło. Twarz miała ziemistą, a przez czoło i skroń biegła długa blizna, częściowo przysłonięta włosami; lecz nie to było główną odmianą. Zmieniła się przede wszystkim jej talia; stała się grubsza i dziwnie sztywna. Przypomniał sobie, jak kiedyś, po wybuchu bomby, pomagał wyciągnąć z ruin trupa; zdumiał go wówczas nie tyle ciężar, ile sztywność zwłok, piekielnie utrudniająca zadanie; kojarzyła się bardziej z bryłą kamienia niż z martwym ludzkim ciałem. Talia, której dotykał, sprawiała takie samo wrażenie. Przyszło mu do głowy, że również skóra musi być w dotyku całkiem inna niż niegdyś.

Nie odzywali się do siebie i nie próbował jej pocałować. Po raz pierwszy popatrzyła na niego, kiedy szli z powrotem przez trawnik. Rzuciła mu krótkie spojrzenie pełne pogardy i niechęci. Nie wiedział, czy niechęć ta wynika wyłącznie z przeszłości, czy może wywołał ją widok jego nabrzmiałej twarzy i oczu łzawiących od wiatru. Usiedli na żelaznych krzesłach, obok siebie, ale nie za blisko. Zorientował się, że chce coś powiedzieć. Przesunęła o kilka centymetrów nogę w niezgrabnym bucie i rozdeptała gałązkę. Jej stopa wydała mu się o wiele szersza, niż pamiętał.

- Zdradziłam cię - oświadczyła bez ogródek.

- Ja ciebie też - odparł.

Znów rzuciła mu krótkie, pełne niechęci spojrzenie.

- Czasami - ciągnęła - grożą ci czymś... czymś, czego nie możesz znieść, o czym boisz się nawet myśleć. A wtedy mówisz: „Nie róbcie tego mnie, zróbcie to temu-a-temu". I może później próbujesz udawać, że był to jedynie wybieg, że powiedziałeś tak tylko po to, aby przestali cię

dręczyć, że przecież wcale tak nie myślałeś. Ale to nieprawda. Wówczas, kiedy ci grożą, pragniesz tego ze wszystkich sił. Wiesz, że to jedyny ratunek, więc chwytasz się go kurczowo. Chcesz, żeby zrobili to tej osobie. Nie obchodzi cię, jak bardzo będzie cierpiała. Liczysz się tylko ty.

- Liczysz się tylko ty - powtórzył.
- I potem zmienia się nastawienie do tego kogoś.
- Tak, zmienia - potwierdził.

Nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia. Świszczący wiatr przylepiał im do ciał cienkie kombinezony. Po tej krótkiej wymianie zdań oboje czuli się niezręcznie w swoim towarzystwie; poza tym było zbyt zimno, aby siedzieć tak bez ruchu. Oznajmiła, że nie chce się spóźnić na metro i wstała.

- Musimy się znów spotkać - rzekł.
- Tak, musimy - odparła.

Przez pewien czas szedł niezdecydowanie pół kroku za nią. Oboje milczeli. Nie próbowała się go pozbyć, lecz specjalnie szła szybko, aby nie mógł się z nią zrównać. Postanowił, że odprowadzi ją do stacji metra, ale nagle zdjęła go niechęć do bezsensownego włóczenia się na zimnie. Ogarnęło go pragnienie nie tyle ucieczki od Julii, ile powrotu do kawiarni Pod Kasztanem, która nigdy nie wydawała mu się tak atrakcyjna jak w tym momencie. Z tęsknotą myślał o swoim stoliku w rogu, o gazecie, szachach, dżinie lejącym się nieprzerwaną strugą, a zwłaszcza o cieple. W następnej chwili pozwolił, by grupka ludzi oddzieliła go od Julii. Bez zbytniego entuzjazmu spróbował ją jeszcze dogonić, po czym zwolnił, odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku. Kiedy uszedł pięćdziesiąt metrów, obejrzał się. Na ulicy panował niewielki ruch, lecz już nie zdołał jej dojrzeć. Mogła być którąkolwiek z kilkunastu oddalających się pospiesznie sylwetek. Nie umiał rozpoznać od tyłu jej zgrubiałego, zesztywniałego ciała.

„Wówczas, kiedy ci grożą, pragniesz tego ze wszystkich sił" - oznajmiła. Tak, pragnął tego. Nie tylko tak powiedział; rzeczywiście pragnął. Modlił się, żeby to ją, a nie jego, wystawiono na łup tych...

Wtem zmieniła się muzyka płynąca z teleekranu. Wkradła się w nią fałszywa, szydercza, wręcz ociekająca żółcią nuta. A potem - choć może nie działo się to naprawdę, może to tylko pamięć płatała mu figle - głos zaśpiewał:

Pod konarami kasztana,
Pan sprzedał mnie, a ja pana...

Łzy napłynęły mu do oczu. Przechodzący kelner spostrzegłszy, że szklanka jest pusta, wrócił z butelką dżinu.

Winston podniósł szklankę i powąchał jej zawartość. Dżin z każdym łykiem wydawał mu się nie mniej, lecz bardziej ohydny. Ale stał się jego żywiołem. Był jego życiem, śmiercią i zmartwychwstaniem. Wieczorem pozwalał mu się zwalić jak kłoda i zasnąć, a rano oprzytomnieć. Kiedy Winston się budził, rzadko przed jedenastą, ze sklejonymi ropą oczyma, palącym gardłem i tak obolałym grzbietem, jakby miał złamany kręgosłup, nie zdobyłby się na to, aby się w ogóle podnieść, gdyby nie butelka i filiżanka, które wieczorem stawiał sobie przy łóżku. Przez następne kilka godzin siedział z butelką pod ręką, wpatrując się tępo w teleekran. Od piętnastej do zamknięcia lokalu tkwił w kawiarni Pod Kasztanem. Nikogo już nie obchodziło, co robi; nie budził go gwizd i nie upominał głos z teleekranu. Czasami, zwykłe dwa razy w tygodniu, wpadał do zakurzonego, obskurnego pokoju w Ministerstwie Prawdy, gdzie oddawał się pracy - lub czemuś, co nazywało się pracą. Został przydzielony do pod komitetu jednego z pod komitetów, które powstały z jednego z niezliczonych komitetów zajmujących się opracowywaniem drobniejszych zagadnień związanych z redakcją jedenastego wydania *Słownika nowomowy.* Przygotowywali „Sprawozdanie okresowe", choć Winston nie wiedział, czego dokładnie ma ono dotyczyć. Chodziło

mniej więcej o to, czy przecinki powinno się umieszczać wewnątrz nawiasów, czy poza nimi. Z pozostałych czterech członków pod komitetu wszyscy przeszli przez podobne doświadczenia co Winston. Bywały dni, kiedy zbierali się i zaraz rozchodzili, jawnie przyznając się przed sobą, że nie mają nic do roboty. Ale bywały i takie, kiedy niemalże z entuzjazmem rozpoczynali dzień pracy, ostentacyjnie sporządzając notatki, a następnie zabierając się do opracowania sążnistych elaboratów, których nigdy nie kończyli. Spierali się wówczas zażarcie na temat tego, co powinni robić, używając coraz bardziej złożonych i zawiłych argumentów, targowali się o najdrobniejsze odcienie znaczeniowe, raczyli długimi dygresjami, kłócili, a nawet uciekali do gróźb poskarżenia się nadrzędnym czynnikom. Po czym nagle pryskał cały ich zapał i tylko siedzieli wokół stołu wpatrując się w siebie nawzajem martwym wzrokiem, niczym duchy rozmywające się w powietrzu po zapianiu koguta.

Teleekran umilkł. Winston znów podniósł głowę. Zaraz nadadzą komunikat! Ale nie, po prostu zmieniali muzykę. Miał przed oczami mapę Afryki. Ruchy armii były na niej zaznaczone strzałami: czarna strzała pędziła pionowo w dół, na południe, biała zaś mknęła na wschód i wbijała się w ogon czarnej. Jakby pragnąc potwierdzenia, znów zerknął na niewzruszone oblicze na plakacie. Czy możliwe, aby druga strzała wcale nie istniała?

Znowu nie potrafił skupić uwagi. Wypił kolejny łyk dżinu, podniósł białego skoczka i na próbę postawił go w innym miejscu. Szach. Ale nie było to właściwe posunięcie, gdyż...

Nagle, bez powodu, stanął mu przed oczami pewien obraz. Ujrzał oświetlony świecą pokój, ogromne łóżko przykryte białą kapą oraz siebie jako dziesięcioletniego chłopca; siedział na podłodze, potrząsając kubkiem z kośćmi, i śmiał się do rozpuku. Matka siedziała naprzeciwko i również się śmiała.

Działo się to mniej więcej miesiąc przed jej zniknięciem: chwila pogodzenia, kiedy zapomniał o dokuczliwym głodzie skręcającym mu wnętrzności i na krótko wróciła miłość, jaką dawniej darzył matkę. Pamiętał dobrze ów dzień, mokry i deszczowy; strugi wody spływały po szybach, a w środku było zbyt ciemno, żeby czytać. Dwójka dzieci w ciemnym, ciasnym pokoju nudziła się okropnie. Winston marudził i narzekał, daremnie dopraszając się jedzenia, rozdrażniony biegał po pokoju grzebiąc w szafkach i kopiąc w listwę nad podłogą, aż sąsiedzi zaczęli stukać w ścianę, podczas gdy młodsze dziecko co rusz zanosiło się płaczem. W końcu matka powiedziała: „Jak będziesz grzeczny, kupię ci grę. Śliczną grę, zobaczysz, na pewno ci się spodoba". Wyszła na deszcz, do niewielkiego sklepiku w pobliżu, który czasem jeszcze bywał czynny, po czym wróciła z tekturowym pudełkiem z dziecięcą grą planszową „Węże i drabiny". Do dziś pamiętał zapach mokrej tektury. Grę wykonano nędznie: plansza była popękana, a maleńkie, drewniane kości tak nierówne, że nie chciały leżeć prosto. Winston patrzył na nią nadąsany, bez zainteresowania, ale matka zapaliła ogarek świecy i namówiła go, by usiedli na podłodze i zaczęli grać. Wkrótce strasznie się zapalił; krzyczał i śmiał się, gdy pionki wspinały się ochoczo na drabiny, po czym ześlizgiwały po wężach niemal do linii startu. Zagrali osiem partii, każde wygrywając cztery razy. Jego siostrzyczka, zbyt mała, żeby rozumieć zasady gry, siedziała oparta o poduszkę i śmiała się, bo oni się śmiali. Przez całe popołudnie tworzyli zgodną, szczęśliwą rodzinę, tak jak za czasów jego wczesnego dzieciństwa.

Odsunął od siebie ten obraz, ewidentnie fałszywe wspomnienie. Chwilami dręczyły go takie fałszywe wspomnienia. Ale były niegroźne, póki pamiętał, że są fałszywe. Po prostu niektóre rzeczy zdarzyły się naprawdę, a inne nie zdarzyły się nigdy. Ponownie skupił się na zadaniu szachowym. Podniósł białego skoczka i w tej samej sekundzie poderwał się jak ukłuty szpilką, wypuszczając go z palców; skoczek z trzaskiem spadł na szachownicę.

Powietrze przeciął przenikliwy dźwięk trąbki. Wreszcie komunikat! Zwycięstwo! Ilekroć komunikat poprzedzano sygnałem trąbki, oznaczało to zwycięstwo. Dreszcz radości wstrząsnął wszystkimi gośćmi. Nawet kelnerzy zamarli i nadstawili uszu.

Sygnał trąbki wywołał prawdziwą wrzawę. Podniecony głos, który zaczął trajkotać z teleekranu, niemal natychmiast zagłuszyły okrzyki wznoszone na zewnątrz. Wiadomość lotem błyskawicy obiegła całe miasto. Z tego, co zdołał wyłowić, Winston zorientował się, że akcja potoczyła się tak, jak sobie wyobraził: ogromna, w tajemnicy zebrana armada uderzyła niespodziewanie na tyły nieprzyjaciela; biała strzała wbiła się w ogon czarnej. Przez zgiełk dolatywały go urywki triumfalnych wieści: „Wspaniały manewr strategiczny... idealna koordynacja... całkowita klęska... pół miliona jeńców... totalna demoralizacja... opanowanie całej Afryki... koniec wojny tuż-tuż... zwycięstwo... największe zwycięstwo w dziejach ludzkości... zwycięstwo, zwycięstwo, zwycięstwo!"

Pod stolikiem nogi Winstona drgały konwulsyjnie. Nie ruszył się z miejsca, lecz w myślach gnał, pędził, przyłączał się do tłumu na zewnątrz i krzyczał z radości ile tchu w piersi. Znów spojrzał na plakat Wielkiego Brata. Kolos, który stoi na straży świata! Skała, o którą rozbijaj ą się azjatyckie hordy! Pomyślał o tym, jak dziesięć minut temu - tak, zaledwie dziesięć minut temu - z mieszanymi uczuciami w sercu czekał na ogłoszenie klęski lub zwycięstwa. Och, nie tylko armia eurazjatycka została pokonana! Bardzo się zmienił od pierwszego dnia pobytu w Ministerstwie Miłości, lecz ostateczna, konieczna, uzdrawiająca przemiana dokonała się w nim dopiero teraz.

Głos z teleekranu wciąż informował o jeńcach, łupach i rzezi, ale okrzyki na ulicy trochę przycichły. Kelnerzy wrócili do pracy. Jeden z nich zbliżył się z butelką dżinu. Winston, błogo rozmarzony, nawet nie zauważył, że napełniono mu szklankę. Nie biegł już, nie krzyczał. Znowu był w Ministerstwie Miłości. Wybaczono mu zbrodnie, duszę miał czystą jak śnieg. Siedział na ławie oskarżonych, zeznając wszystko co trzeba i wszystkich obciążając. Szedł korytarzem wyłożonym białymi kaflami, z uczuciem, że idzie w słońcu; za nim maszerował uzbrojony strażnik. W następnej chwili od dawna upragniona kula rozsadzała mu mózg.

Spojrzał na ogromną twarz. Zajęło mu czterdzieści lat, nim odkrył, jaki to uśmiech kryje się pod czarnym wąsem. Och, cóż za okrutna, niepotrzebna pomyłka! Och, cóż za upór i arogancja nie pozwalały mu się przytulić do miłującej piersi! Dwie pachnące dżinem łzy spłynęły mu wolno po policzkach. Ale wszystko już było dobrze, wreszcie było dobrze; walka się skończyła. Odniósł zwycięstwo nad samym sobą. Kochał Wielkiego Brata.

==

Aneks

ZASADY NOWOMOWY

Nowomowa, urzędowy język Oceanii, została opracowana zgodnie z ideologicznymi potrzebami angsocu, czyli socjalizmu angielskiego. W 1984 roku nikt jeszcze nie posługiwał się wyłącznie nowomową. Co prawda pisano w niej artykuły wstępne w „The Times", lecz wymagało to biegłości posiadanej zaledwie przez garstkę specjalistów. Przewidywano, że do roku 2050 nowomową wyprze ostatecznie staromowę (czyli język, którym porozumiewamy się obecnie). Rozprzestrzeniała się stosunkowo szybko, albowiem członkowie Partii wykazywali tendencję do

używania na co dzień jej neologizmów i konstrukcji gramatycznych. Wersję z 1984 roku, opartą na dziewiątym oraz dziesiątym wydaniu *Słownika nowomowy*, traktowano jako przejściową; zawierała wiele zbędnych słów i archaicznych konstrukcji, które zamierzano usunąć w późniejszym terminie. Poniżej zajmiemy się jej ostateczną i udoskonaloną postacią, zaprezentowaną w jedenastym wydaniu *Słownika.*

Celem nowomowy było nie tylko dostarczenie środków odpowiednich do wyrażania światopoglądu oraz myśli właściwych dla zwolenników angsocu, lecz również uniemożliwienie swobody myślenia. Zakładano, że z chwilą gdy nowomowa wejdzie całkowicie do powszechnego użytku, a staromowa ulegnie zapomnieniu, jakakolwiek herezja myślowa - czyli odejście od zasad angsocu - stanie się całkowicie nierealna, przynajmniej jeśli chodzi o ujęcie jej w słowa. Słownictwo nowomowy tak ukształtowano, aby za jego pomocą można było przekazać - ze wszystkimi odcieniami znaczeniowymi - to, co lojalny członek Partii ma do powiedzenia, zarazem zaś uniemożliwiono wykorzystanie języka do formułowania, nawet okrężną drogą, myśli uznawanych za niewłaściwe. Osiągnięto to częściowo poprzez tworzenie nowych słów, głównie jednak przez usunięcie wyrazów niepożądanych oraz przez pozbawienie pozostawionych jednostek leksykalnych nieprawomyślnego sensu, a w miarę możności jakichkolwiek znaczeń ubocznych. Niech wystarczy ten jeden przykład: słowo wolny wciąż istniało w nowomowie, lecz występowało tylko w takich zdaniach jak: „Pies jest wolny od pcheł" lub „Pole jest wolne od chwastów". Nie sposób było się nim posłużyć, aby stwierdzić, iż ktoś jest „wolny politycznie" albo „wolny intelektualnie", gdyż takie pojęcia jak wolności obywatelskie oraz wolnomyślność dawno wypleniono, a odpowiadające im określenia zlikwidowano. Oprócz usuwania słów o wyraźnie nieprawomyślnym zabarwieniu, redukcję słownictwa traktowano jako cel sam w sobie; nie pozostawiono żadnych wyrazów, bez których można się obyć. Nowomowę skonstruowano nie po to, żeby zwiększyć, a wręcz przeciwnie, żeby zawęzić zakres myślenia. Temu celowi pośrednio służyło również ograniczenie do minimum zasobu słów dostępnych użytkownikom.

Nowomowa opierała się na języku, którym posługujemy się obecnie, ale wiele zdań, nawet nie zawierających świeżo powstałych wyrazów, byłoby dla nas po prostu niezrozumiałych. Słownictwo nowomowy dzieliło się na trzy odrębne kategorie określane jako zbiory A, B (wyrazy złożone) oraz

C. Najprościej będzie omówić każdy po kolei; gramatyczne właściwości nowomowy zostaną zaprezentowane w części poświęconej zbiorowi A, gdyż te same zasady obowiązują we wszystkich grupach jednostek leksykalnych.

ZBIÓR A. Zbiór A składał się z wyrazów niezbędnych w życiu codziennym, wyrażających takie czynności, jak: jedzenie, picie, praca, wkładanie odzieży, chodzenie, poruszanie się pojazdami, uprawa ogrodu, gotowanie itp. Zawierał niemal wyłącznie słowa występujące w naszym języku, takie jak *cios, bieg, pies, drzewo, cukier, dom, pole,* lecz ich zasób, w porównaniu z obecnym, był niezmiernie mały, a sens zdefiniowano o wiele bardziej rygorystycznie. Wyeliminowano wszelką dwuznaczność i odcienie znaczeniowe. Właściwie doprowadzono do tego, iż wyrazy tej kategorii, stanowiące krótkie, wyraźne dźwięki, służyły przekazywaniu jednej konkretnej informacji. Posługiwanie się zbiorem A w twórczości literackiej czy w politycznych lub filozoficznych dyskusjach było całkowicie niemożliwe. Miał służyć do, wyrażania prostych, nieabstrakcyjnych myśli, zwykle odnoszących się do przedmiotów konkretnych lub do czynności fizycznych.

Najbardziej charakterystyczną cechę nowego języka stanowiła łatwość tworzenia nowych jednostek wyrazowych w oparciu o zupełnie dowolne części mowy. Każdy istniejący wyraz (w zasadzie odnosiło się to nawet do wyrazów tak abstrakcyjnych jak *jeśli* lub *kiedy)* mógł służyć za podstawę słowotwórczą do urabiania czasownika, rzeczownika, przymiotnika czy przysłówka. Czasownik i rzeczownik opierały się na tym samym temacie wyrazowym, którym najczęściej był

rzeczownik, a czasownik powstawał przez dodanie do niego przyrostka; sama ta zasada spowodowała likwidację wielu dawnych form. Na przykład czasownik *krwawić* nie występował w nowomowie. Jego miejsce zajął neologizm *krewać,* powstały z rzeczownika *krew* uzupełnionego elementem formalnym. Przy wydzielaniu tematów nie kierowano się żadną regułą etymologiczną; w jednym przypadku zachowywano temat wyrazowy rzeczownika, w innym czasownika. Jeśli nawet rzeczownik i czasownik o zbliżonym znaczeniu nie były sobie etymologicznie pokrewne, zwykle pozostawiano tylko jeden formant. Wyeliminowano na przykład słowo *ciąć,* gdyż sens ten oddawał czasownik *nóżać,* mający za punkt wyjścia rzeczownik *nóż.* Przymiotniki urabiano przez dodawanie do rzeczownika przyrostka *-ny,* natomiast przysłówki przez dodawanie przyrostka *-nie.* Tak więc *pędny* oznaczało „szybki", *a pędnie* „szybko". Niektóre ze współczesnych przymiotników -takie jak *dobry, silny, wielki, ciepły, miękki* - zachowały się w niezmienionej formie, lecz w sumie pozostawiono ich bardzo niewiele. Stały się zbędne, skoro przymiotniki można było tworzyć do woli przez dodanie właściwego przedrostka. Z używanych obecnie przysłówków nie ocalały żadne, oprócz tych stosunkowo nielicznych, które kończą się na *-nie;* tego przyrostka używano właściwie wyłącznie. Przysłówek „głośno", na przykład, zastąpiono przez *głośnie.*

Co więcej, każdy wyraz - to również stosowało się w teorii do absolutnie wszystkich - mógł przyjąć znaczenie przeciwstawne po dodaniu przedrostka *bez-* lub zyskać na natężeniu dzięki przedrostkowi *plus-,* albo, dla większej intensywności, przedrostkowi *dwaplus-.* I tak, na przykład, *bezciepfy,* oznaczało „zimny", podczas gdy *plusciepły oraz dwaplusciepły* odpowiednio „gorący" i „bardzo gorący". Przymiotnik „zimny" stał się zbyteczny, podobnie jak „zły", którego sens oddawał nie gorzej, a nawet lepiej, przymiotnik *bezdobry.* W przypadku antonimów należało tylko zdecydować, które ze słów o przeciwstawnym znaczeniu zatrzymać, a które usunąć. Zamiast „ciemny", na przykład, można było powiedzieć *bezjasny* lub zamiast, jasny" - *bezciemny;* wybór podstawy słowotwórczej zależał od kaprysu specjalistów. Było też możliwe, podobnie jak obecnie, zmienianie sensu niemal każdego wyrazu przez pisane łącznie przedrostki przyimkowe typu *pod-, nad-, na-, wy-, prze-,* etc. Dzięki takim zabiegom udało się doprowadzić do nieprawdopodobnej redukcji słownictwa.

Jeśli chodzi o odmianę rzeczowników, dążono do jej maksymalnego uproszczenia, które osiągnięto głównie dzięki przyjęciu zasady niezmienności tematu rzeczownika; tak więc liczby mnogie rzeczowników *człowiek, pies, ucho,* wyglądały odpowiednio: *człowieki, piesy, ucha.* Stopniowanie przymiotników odbywało się wyłącznie przez dodanie do formy stopnia równego przedrostka *wtór-* w stopniu wyższym oraz przedrostka *naj-* w stopniu najwyższym (np. *dobry, wtórdobry, najdobry).* Identycznie stopniowano przymiotniki uchodzące dotąd za nieregularne, a stopniowanie opisowe, polegające na stosowaniu przysłówków *bardziej* i *najbardziej* skasowano.

Chociaż pozostawiono w nie zmienionej formie część dawnych, najczęściej używanych czasowników, formy fleksyjne nowo powstających starano się ujednolicić i uprościć; wszystkie bezokoliczniki urabiano przez dodanie przyrostka *-ać* do rzeczownika lub wydzielonego z niego tematu, przykładowo: *krok - krakać; robota - robotać; sklep - sklepać.* Prostota była zresztą celem nadrzędnym; na odstępstwo od własnych zasad słowotwórczych decydowano się wówczas, gdy ich ścisłe przestrzeganie stwarzało niebezpieczeństwo, że danego neologizmu nie da się wymówić szybko i płynnie. Wyraz trudny do wymówienia lub taki, który mógł być błędnie zrozumiany przez odbiorcę, uważano za nieodpowiedni; dla lepszego brzmienia wstawiano dodatkowe zgłoski lub zachowywano dawną formę słowa. Dotyczyło to przede wszystkim zbioru B. Z dalszej części wywodu jasno wyniknie, dlaczego tak wielką wagę przykładano do łatwości wypowiadania słów.

ZBIÓR B. Na zbiór B składały się wyrazy utworzone specjalnie do celów politycznych, czyli takie, które nie tylko były nośnikami politycznych treści, lecz miały również wywierać odpowiedni wpływ na umysłowość ich użytkownika. Brak pełnego zrozumienia zasad angsocu właściwie wykluczał prawidłowe posługiwanie się nimi. Niektóre dawały się tłumaczyć na staromowę lub nawet na słowa ze zbioru A, choć otrzymywało się wówczas nie tyle przykład, ile

raczej okrężną parafrazę, a proces ten pociągał za sobą utratę wielu odcieni znaczeniowych. Wyrazy ze zbioru B stanowiły jakby werbalny odpowiednik stenotypii; korzystając z nich, w zaledwie kilku sylabach można było zawrzeć całe bogactwo idei, w dodatku znacznie bardziej precyzyjnie i z większym ładunkiem emocjonalnym niż przy użyciu normalnego słownictwa.

Do zbioru B należały wyłącznie wyrazy złożone.(Niektóre wyrazy złożone, np. *mowopis*, znajdowały się oczywiście również w zbiorze A, lecz były to po prostu wygodne skrótowce bez żadnego zabarwienia ideologicznego.) Tworzyły kombinacje dwu i więcej wyrazów lub ich wybranych grup głoskowych, scalonych w łatwą do wymówienia, jednolitą całość. Każde złożenie można było bez trudu przekształcić -przez dodanie odpowiedniej końcówki - w inną część mowy, a odmieniano je według zasad tę część mowy obowiązujących. Jako przykład weźmy wyraz *dobromyśl,* w przybliżeniu oznaczający „myśl ortodoksyjną". Utworzony z niego czasownik *dobromyślać* można oddać jako „myśleć ortodoksyjnie". Jego pochodne były następujące: rzeczownik odsłowny: *dobromyślenie',* przymiotnik: *dobromyślny;* przysłówek: *dobromyślnie;* wykonawca czynności: *dobromyślak.*

Przy komponowaniu nowych wyrazów ze zbioru B nie kierowano się żadnymi zasadami etymologicznymi. Łączone tematy wyrazowe mogły być wyodrębnione ze wszystkich części mowy, stać w dowolnym szyku i podlegać dowolnym zniekształceniom upraszczającym ich wymowę, o ile nie przysłaniało to sensu. Na przykład w wyrazie *myślozbrodnia* (zbrodnia myślowa), temat *myśl* stanowił człon pierwszy, a w wyrazie *polmyśl* (Policja Myśli) - drugi; element łączący, jak widać, nie zawsze musiał występować. Ponieważ w wypadku wyrazów ze zbioru B uzyskanie prostoty brzmienia było znacznie trudniejsze niż w wypadku wyrazów ze zbioru A, zdecydowano się wprowadzić wiele form przestępnych. Przykładowo, od nazw ministerstw *Miniprawd, Minipax* i *Minimiło* utworzono przymiotniki *miniprawy, minikojny* oraz *minimiły,* gdyż końcówki *-prawdny, -pokójny* oraz *-miłny* uznano za niewygodne do wymówienia. W zasadzie jednak wyrazy ze zbioru B przyjmowały wyłącznie przyrostki używane w nowomowie.

Niektóre słowa zawarte w zbiorze B przekazywały bardzo subtelne odcienie znaczeniowe, zupełnie niezrozumiałe dla kogoś, kto nie posiadał sztuki operowania nowomową. Weźmy na przykład typowe zdanie z artykułu wstępnego w „The Times": *Staromyślaki bezkiszkoczują angsoc.* Na staromowę należy je przełożyć w następujący sposób: „Ludzie, których światopogląd ukształtował się przed Rewolucją, nie rozumieją socjalizmu angielskiego we właściwy, emocjonalny sposób". Tłumaczenie jednak nie oddaje zadowalająco treści oryginału. Chcąc w pełni pojąć sens przytoczonego zdania, trzeba przede wszystkim dokładnie wiedzieć, co oznacza *angsoc.* Co więcej, jedynie ktoś dobrze obeznany z ideologią *angsocu* może w pełni docenić siłę czasownika *kiszkoczuć,* sugerującego ślepą, entuzjastyczną akceptację, wręcz niemożliwą do wyobrażenia w dzisiejszych czasach; podobne trudności nastręcza również określenie *staromyślaki,* nierozerwalnie kojarzące się z niegodziwością i dekadencją. Niektóre słowa nowomowy, między innymi właśnie *stammyślak,* miały służyć nie tyle przekazywaniu znaczeń, ile ich niszczeniu. Zakres pojęciowy tych słów, z założenia nielicznych, rozciągał się jak gumowy worek, aż w końcu wyrażały sobą treści, których nośnikami były oryginalnie dziesiątki odrębnych wyrazów, z czasem usuniętych z języka i zapomnianych. Największa trudność, z jaką borykali się specjaliści redagujący *Słownik nowomowy,* nie polegała na wymyślaniu nowych wyrazów, lecz na ustalaniu, co one znaczą i ile dawniejszych słów można nimi zastąpić.

Jak wykazaliśmy na przykładzie wyrazu *wolny,* pewne słowa, które niegdyś miały nieprawomyślne znaczenie, pozostawiono dla wygody w nowomowie, odarłszy je uprzednio z ich niepożądanego sensu. Niezliczone inne wyrazy, takie jak *honor, sprawiedliwość, moralność, internacjonalizm, demokracja, wiedza* i *religia* po prostu usunięto. Zastąpiło je kilka słów funkcjonujących na zasadzie gumowych worków, które całkiem zatarły ich pierwotną treść. Na przykład słowa dotyczące wolności i równości oddawało określenie *myślozbrodnia,* a wszystkie wyrazy związane z pojęciami obiektywności i racjonalizmu obejmował termin *staromyślenie.*

Większa precyzja byłaby niebezpieczna. Od członków Partii oczekiwano podejścia, jakie charakteryzowało starożytnych Hebrajczyków, którzy - nie posiadając żadnej wiedzy na ten temat - uważali, że wszystkie pozostałe narody czczą „fałszywych bogów". Nie potrzebowali się orientować, iż bogowie ci nazywają się Ozyrys, Baal, Moloch, Isztar; im mniej o nich wiedzieli, tym lepiej to świadczyło o ich ortodoksyjności. Wierzyli, że istnieje Jahwe, i znali jego przykazania, z których przecież jasno wynikało, iż wszyscy bogowie noszący inne imiona lub obdarzeni innymi atrybutami są fałszywi. Podobnie członek Partii orientował się, jakie postępowanie jest właściwe, a o tym, jakie odstępstwa od niego mógłby popełnić, miał jedynie bardzo mgliste pojęcie. Na przykład życie seksualne każdego członka Partii wyrażały i kształtowały dwa słowa: *seksozbrodnia* (niemoralność seksualna) oraz *dobroseks* (wstrzemięźliwość). Termin *seksozbrodnia* odnosił się do wszelkiego rodzaju wykroczeń seksualnych. Obejmował cudzołóstwo, nierząd, homoseksualizm i inne zboczenia, a także normalny stosunek płciowy między małżonkami, uprawiany wyłącznie dla przyjemności. Wszystkie te formy współżycia uważano za zbrodnicze i groziła za nie kara śmierci, nie zachodziła zatem konieczność ich wyszczególniania. W zbiorze C, na który składały się terminy naukowe i techniczne, mogły się znaleźć specjalistyczne określenia poszczególnych zboczeń, lecz dla przeciętnego obywatela ich znajomość była zbędna. Wiedział, co znaczy *dobroseks* - normalny stosunek między małżonkami, uprawiany jedynie w celu płodzenia potomstwa i nie sprawiający kobiecie żadnej satysfakcji; wiedział też, że inne formy współżycia to *seksozbrodnie.* Nowomowa rzadko pozwalała rozwinąć heretycką myśl - człowiek najwyżej mógł sobie uświadomić, że stoi na progu herezji; na krok następny po prostu brakowało mu słów.

Żaden wyraz ze zbioru B nie był ideologicznie obojętny. Wiele z nich to eufemizmy. Na przykład określenia: *milbóz* (karny obóz pracy) lub *Minipax* (Ministerstwo Pokoju, czyli Ministerstwo Wojny) miały niemal dokładnie odwrotny sens od tego, co zdawały się sugerować. Z kolei inne słowa jawnie i z pogardą nawiązywały do prawdziwego charakteru stosunków panujących w Oceanii. Do nich należy *zaliczyć wyraz prolżarlo,* oznaczający tandetne rozrywki oraz fałszywe wiadomości, którymi Partia karmiła masy. Zbiór B zawierał też słowa dwuznaczne, mające sens pozytywny, gdy stosowano je w odniesieniu do Partii, oraz negatywny, gdy dotyczyły jej wrogów. Ponadto występowało w nim wiele słów, które na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie zwykłych skrótowców, gdyż ich ideologiczne zabarwienie wynikało nie tyle z ich znaczenia, ile z budowy.

W miarę możliwości starano się, żeby wszystkie słowa mające lub mogące mieć jakiekolwiek znaczenie polityczne zaliczały się właśnie do zbioru B. Nazwom organizacji, zrzeszeń, doktryn, państw, instytucji, budynków publicznych nadawano - pilnując się tylko, aby sens był nadal zrozumiały -swojskie brzmienie poprzez sprowadzenie ich do pojedynczych, łatwo wpadających w ucho słów o jak najmniejszej liczbie sylab. Na przykład Departament Archiwów Ministerstwa Prawdy, w którym pracował Winston, nazywano *Ardep,* Departament Literatury - *Lidep,* Departament Teleprogramów -*Teldep,* i tak dalej. Nie chodziło wyłącznie o oszczędność czasu. Już w pierwszych dziesięcioleciach dwudziestego wieku w języku politycznym istniała tendencja do skracania słów i określeń; najsilniej przejawiała się w państwach o ustroju totalitarnym lub w organizacjach o takim charakterze. Przykładowo: *Nazi, Gestapo, Agitprop.* Na początku zasadę tę stosowano niemal instynktownie, w nowomowie jednak posługiwano się nią z całą świadomością. Uznano bowiem, że skracając nazwę, zawęża się i subtelnie odmienia jej sens, odzierając ją ze skojarzeń, które inaczej nasuwałyby się same. Nazwa *Międzynarodówka Komunistyczna* przywodzi na myśl powszechne braterstwo, czerwone sztandary, barykady, Karola Marksa i Komunę Paryską. Natomiast skrót *Komintem* kojarzy się jedynie z organizacją o zwartych szeregach oraz zestawem jasno określonych doktryn. Sugeruje coś równie konkretnego jak krzesło lub stół. *Komintern* to wyraz, który można wymówić zupełnie bezmyślnie, podczas gdy nie sposób powiedzieć *Międzynarodówka Komunistyczna,* nie zastanawiając się choć przez chwilę nad sensem własnych słów. Skojarzenia wywołane określeniem *Miniprawd* są również mniej liczne i łatwiej

poddają się kontroli niż te, które nasuwa nazwa *Ministerstwo Prawdy*. Właśnie chęć wyeliminowania niebezpiecznych skojarzeń tłumaczy, dlaczego tak ochoczo wprowadzano skróty i dlaczego przywiązywano tak dużą wagę do łatwości wymawiania poszczególnych słów.

W nowomowie największy nacisk kładziono na dokładność semantyczną, a tuż po niej na eufonię. Kiedy zachodziła potrzeba, bez skrupułów poświęcano prawidłowość gramatyczną. I słusznie, gdyż dla celów politycznych najlepiej się nadawały krótkie, dobitne słowa o jasnej, jednoznacznej treści, łatwe do wymówienia i wywołujące minimalną liczbę skojarzeń w umyśle użytkownika. Wyrazy ze zbioru B nawet zyskiwały na sile dzięki temu, że tak niewiele różniły się między sobą. Prawie bez wyjątku - *dobromyśl, Minipax, prolżarło, dobroseks, miłbóz, angsoc, kiszkoczuć, polmyśl* i wiele, wiele innych - były to wyrazy dwu- lub trzysylabowe, akcentowane zazwyczaj na przedostatniej sylabie. Posługiwanie się nimi sprawiało, że mowa przypominała szczekanie, składały się bowiem z krótkich, monotonicznych dźwięków. Właśnie o to chodziło: chciano uniezależnić mowę - a zwłaszcza mówienie na tematy nieobojętne politycznie - od świadomości. O ile bowiem w rozmowie
o sprawach codziennych człowiek czasami musi się zastanowić przed wypowiedzeniem jakiejś kwestii, o tyle członek Partii powołany do wygłoszenia oceny natury politycznej lub etycznej powinien umieć wyrzucić z siebie właściwe opinie równie automatycznie, jak karabin maszynowy wystrzeliwuje kule. Przygotowywało go do tego stosowne wyszkolenie, nowomowa dostarczała mu niezbędnych środków, a zadanie upraszczały same słowa, ich chropawe dźwięki i celowa brzydota zgodna z duchem angsocu.

Za duże ułatwienie należy również uznać ograniczony wybór słów. W porównaniu ze słownictwem używanym przez nas, zasób nowomowy był niezwykle mały, a ponadto wciąż wyszukiwano sposoby, żeby go jeszcze bardziej uszczuplić. Nowomowa tym właśnie różniła się od większości języków, iż jej słownictwo nie rosło, lecz kurczyło się z roku na rok. Każdą redukcje traktowano jako korzystną, gdyż im mniejszy wybór, tym mniejsza pokusa myślenia. Dążono do tego, aby przekształcić mowę w strumień dźwięków wydobywający się prosto z krtani bez żadnego udziału ośrodków wyższych. Do tego celu przyznawano się otwarcie, czego przykładem wyraz *kwakmowa*, oznaczający „mowę podobną do kwakania kaczki". Jak wiele innych słów ze zbioru B, termin *kwakmowa* miał znaczenie pozytywne i negatywne - pozytywne wówczas, kiedy wygłaszane tym sposobem opinie były ortodoksyjne; tak więc gdy w „The Times" nazwano jednego z partyjnych mówców *dwaplusdobrym kwakmówcą*, należało rozumieć to jako najwyższą pochwałę.

ZBIÓR C. Zbiór C stanowił uzupełnienie dwóch powyższych; składała się nań wyłącznie terminologia naukowa i techniczna. Poszczególne wyrazy przypominały te znajdujące się w użyciu obecnie, miały również identyczną etymologię; podobnie jednak jak w wypadku innych wyrazów, sztywno określono ich sens oraz usunięto wszelkie znaczenie uboczne. Do terminów ze zbioru C stosowały się te same zasady gramatyczne co do całej nowomowy. Bardzo niewiele wyrazów tej kategorii trafiało bądź to do potocznego, bądź do politycznego języka. Każdy naukowiec lub technik mógł znaleźć wszystkie niezbędne mu terminy w spisie poświęconym jego specjalności, lecz rzadko znał więcej niż garść terminów z innych dziedzin, a zaledwie kilka określeń było dla nich wspólnych. Całkiem natomiast brakowało słów, aby wyrazić pojęcie nauki jako takiej lub mówić o naukowym sposobie myślenia czy naukowym podejściu w sensie interdyscyplinarnej metody poznawczej. Nie istniało też w ogóle słowo odpowiadające pojęciu „wiedza" - wszystkie jego odcienie znaczeniowe przejął na siebie termin *angsoc*.

Z powyższego opisu wynika jasno, że wyrażenie w nowomowie nieortodoksyjnych poglądów było właściwie niewykonalne. Pozostawała, oczywiście, możliwość wygłaszania bardzo prymitywnych herezji, a raczej bluźnierstw, typu: *Wielki Brat jest bezdobry*. Jednakże podobnego stwierdzenia, które osoba ortodoksyjna przyjęłaby jako ewidentny absurd, nikt nie zdołałby poprzeć

rozsądną argumentacją, gdyż zabrakłoby mu podstawowych słów. Idee wrogie angsocowi nie mogły zostać sformułowane i wyrażone słowami; także potępiając je, stosowano ogólne miano herezji bez precyzowania ich bliżej. Właściwie jedyny sposób, w jaki można było posłużyć się nowomową do nieortodoksyjnych celów, to przestępczo podstawiając pod słowa ich pierwotne, staro-mowne znaczenia. Zdanie *Wszystkie człowieki są równe* brzmiało w nowomowie równie bezsensownie co w staro-mowie stwierdzenie *Wszyscy ludzie są rudzi.* Nie zawierało błędu gramatycznego, lecz głosiło oczywistą nieprawdę, a mianowicie, że wszyscy są równi wagą, wzrostem i siłą. Nie istniało pojęcie politycznej równości, ten uboczny sens słowa *równy* dawno już wyrugowano. W roku 1984, gdy wszyscy na co dzień wciąż jeszcze posługiwali się staromową, istniało teoretycznie niebezpieczeństwo, że używając nowo-mownych słów nadal będą pamiętać ich dawne znaczenia, lecz w praktyce uniknięcie takiej sytuacji nie sprawiało trudności żadnemu obywatelowi dobrze obeznanemu z zasadami *dwójmyślenia,* a liczono, że w ciągu dwóch pokoleń niebezpieczeństwo to zniknie zupełnie. Tak jak ktoś, kto nigdy w życiu nie słyszał o szachach, nie jest świadom ubocznych znaczeń słów „królowa" i „wieża", tak człowiek od dziecka mówiący wyłącznie nowomową nie będzie wiedział, że słowo *równy* wiązało się niegdyś z pojęciem równości politycznej, a słowo *wolny* z pojęciem swobody intelektualnej. Wielu przestępstw i omyłek nie będzie mógł popełnić po prostu dlatego, że nie zdoła ująć ich w słowa i nawet sformułować w myślach. Spodziewano się, że z biegiem lat charakterystyczne cechy nowomowy staną się jeszcze wyraźniejsze: postępująca redukcja słów, coraz sztywniej określone znaczenia pozostałych, a możliwość posłużenia się nimi do niewłaściwych celów coraz mniej prawdopodobna.

Kiedy staromowa raz na zawsze ustąpi miejsca nowomowie, zerwaniu ulegnie ostatnie ogniwo z przeszłością. Historię już dawno napisano ponownie, lecz - na skutek niedopatrzeń cenzury - fragmentom dawnych dzieł literackich udało się gdzieniegdzie przetrwać, i dla tych, którzy znali staromowę, nadal były dostępne. W przyszłości jednak, nawet jeśli się zachowają, podobne urywki będą niezrozumiałe i nieprzetłumaczalne. Nie sposób bowiem przełożyć tekstu ze staro-mowy na nowomowę, chyba że jest to opis techniczny, dotyczy bardzo prostej codziennej czynności lub ma ortodoksyjny (w nowomowie *dobromyślny)* charakter. W praktyce oznacza to, iż żadnej książki sprzed około 1960 roku nie można przetłumaczyć w całości. Literaturę z okresu przed-rewolucyjnego należy poddać przekładowi ideologicznemu, czyli takiemu, który zmienia nie tylko język, lecz również treść. Weźmy na przykład ten dobrze znany ustęp Deklaracji Niepodległości:

Uważamy na niezbite i oczywiste prawdy: że ludzie stworzeni zostali równymi sobie; że Stwórca udzielił im pewnych praw niezbywalnych, w rzędzie których na pierwszym miejscu postawić należy prawo do życia, do wolności i do poszukiwania szczęścia; że w celu zapewnienia sobie tych praw ludzie ustanowili między sobą rządy, których władza wypływa z woli rządzonych; że ilekroć jakakolwiek forma rządu sprzeciwia się celowi, w jakim była ustanowiona, naród ma prawo zmienić ją lub znieść zupełnie, i ustanowić rząd nowy... *

Przełożenie tego ustępu na nowomowę, przy zachowaniu wierności oryginałowi, jest niepodobieństwem. Najbliżej można by oddać całość tekstu zaledwie jednym słowem: *myślozbrodnia.* Pełny przekład mógłby być wyłącznie przekładem ideologicznym, w którym słowa Jeffersona przybrałyby formę panegiryku na cześć rządów totalitarnych.

Wiele dzieł literatury dawniejszej tłumaczono właśnie w ten sposób. Ze względów prestiżowych uważano za wskazane zachować pamięć o pewnych postaciach historycznych, równocześnie przetwarzając ich osiągnięcia zgodnie z duchem angsocu. Podjęto prace nad przekładami utworów różnych pisarzy, takich jak Shakespeare, Milton, Swift, Byron, Dickens; po ich zakończeniu zamierzano zniszczyć dzieła oryginalne, jak również wszystko, co pozostało z

literatury dawniejszej. Proces tłumaczenia był powolny i żmudny; przewidywano, że zakończy się nie wcześniej niż w pierwszym lub drugim dziesięcioleciu dwudziestego pierwszego wieku. Ogromne masy literatury fachowej, w tym podręczników, również należało przetworzyć. To właśnie głównie dlatego, chcąc dać czas na wstępne opracowanie przekładów, ostateczny termin wprowadzenia nowomowy wyznaczono dopiero na rok 2050.

KONIEC

Antyutopia George'a Orwella powstała w 1948 r. jako kolejne - po Folwarku zwierzęcym (1945) - ostrzeżenie przed powierzchowną atrakcyjnością ideologii socjalistycznej i jej trzem wcieleniom: komunistycznemu socjalizmowi bolszewickiemu, niemieckiemu socjalizmowi narodowemu i liberalnemu socjalizmowi angloamerykańskiemu. Socjalista z przekonania, człowiek, który na własnej skórze poznał, co to nędza (Na dnie w Paryżu i w Londynie, 1933)- uczestnik wojny domowej w Hiszpanii, gdzie walczył po stronie republikańskiej (Hołd Katalonii, 1938), Orwell znacznie wcześniej niż inni intelektualiści zachodni zrozumiał, że iluzoryczna droga ku powszechnemu szczęściu w rzeczywistości prowadzi w ciemny i ślepy zaułek. Gorycz pozwoliła mu stworzyć dzieło wybitne, satyrę polityczna o niesłychanej sile, powieść, która na trwałe weszła do kanonu literatury światowej.

George Orwell (właściwie Eric Blair, 1903-1950) zasłynął przede wszystkim jako autor dwóch wstrząsających antyutopii: Folwark zwierzęcy (1945) i Rok 1984 (1949).

